

**KATE McCABE**

**BAR PRZY PLAŻY**

Tytuł oryginału:

*The Beach Bar*

TLR

**Maurze**

# Rozdział 1

Emma Dunne już w szkole marzyła o wspaniałej karierze modelki lub aktorki. Ponieważ miała burzę blond loków i śliczną buzię, bezustannie wyobrażała sobie, że spaceruje po Dublinie otoczona tłumem wielbicieli. Mężczyźni ustawialiby się w kolejce, właściciele klubów biliby się o jej obecność, a dozorczy rozwijaliby przed nią czerwony dywan. W modnych czasopismach pojawiałyby się fotografie Emmy, a w rubrykach plotkarskich co chwila ukazywałyby się nowe plotki na jej temat. Nosiłaby najdroższe ciuchy, jadała w najlepszych restauracjach – zawsze z przystojnym mężczyzną u boku. To byłoby idealne życie – a dziewczyna taka, jak Emma mogła je mieć.

Jednak z wiekiem rzeczywistość zweryfikowała te marzenia. Chociaż Emma naprawdę była bardzo piękna, miała ciepłe niebieskie oczy i idealną figurę, wkrótce okazało się, że ze swoim wzrostem – metr i sześćdziesiąt siedem centymetrów – nie ma szans na karierę modelki. Agencje wolały dziewczyny, które miały przynajmniej metr osiemdziesiąt i nogi do samego nieba. Jeśli zaś chodzi o aktorstwo, Emma szybko zrozumiała, że łatwiej by jej szło osvajanie tygrysów bengalskich niż zmaganie się z superambitnymi panienkami, które chciały grać w filmach.

Tak czy owak, los sprawił, że zamiast wieść życie sławy, Emma prowadziła teraz rodzinny interes.

Jej ojciec, Joe, stworzył swoją małą drukarnię od podstaw – a zaczynał w 1970 roku, mając do dyspozycji tylko małe biuro w śródmieściu. Drukował ulotki, plakaty i zaproszenia, korzystając ze starej prasy, która miała paskudny zwyczaj psucia się w najważniejszych chwilach, kiedy trzeba było dostarczyć jakieś duże, pilne zamówienie.

Pan Dunne na własną rękę szukał zleceń po całym mieście, jako że stanowił cały, jednoosobowy personel firmy – pukał do najróżniejszych drzwi, dzwonił do organizatorów koncertów, chodził do salonów bingo i wszędzie tam, gdzie była szansa na zdobycie jakiegoś poligraficznego zamówienia. Wychodził do pracy codziennie o siódmej rano i często wracał dopiero po północy. Joe Dunne był zdecydowany, ale nie arogancki. Nigdy nie odrzucił zlecenia, nawet jeśli było niewielkie. „Każda robota to dodatkowe pieniądze, za które można zapłacić rachunki” – mawiał.

I tak firma w końcu zaczęła przynosić zyski. Joe powoli zdobywał dobrą markę, był solidny i wykonywał dobrej jakości wydruki. Na dodatek ceny zawsze miał przystępne. Po jakimś czasie mógł sobie pozwolić na zakup nowej, doskonałej prasy drukarskiej, która wypuszczała błyszczące kolorowe broszury i katalogi w

tysiącach egzemplarzy, a wystarczyło jedynie nacisnąć guzik. Przychodziło coraz więcej zamówień i pan Dunne mógł zatrudnić dodatkowy personel – i to nie byle jaki, bo najlepszych w mieście drukarzy. Interes kwitł i w końcu przeniesiono go z zagraconego pomieszczenia przy Talbot Street do okazałej nowej siedziby w industrialnej okolicy w Baldoye.

Joe jeździł bmw, fundował rodzinie wczasy na Florydzie (co roku w czerwcu spędzali tam trzy tygodnie), a potem kupił nowy dom z ogrodem w Sutton, nad morzem, skąd widać było góry Wicklow. Ojciec Emmy nie lubił chwalić się sukcesami, ale sprawiało mu przyjemność, że wieloletnia ciężka praca w końcu się opłaciła i przyniosła rezultaty.

Mimo że dla rodziny Dunne'ów nastał czas prosperity, Joe często z tęsknotą rozmyślał o przeszłości – a to właśnie wtedy, zdaniem Emmy i jej matki, rozpoczęły się jego problemy ze zdrowiem. Kiedy rozkręcał interes, pracował pod ogromną presją, całe dni spędzał poza domem, jadł paskudne posiłki w barach szybkiej obsługi, stresował się krótkimi terminami i ewentualnymi kłopotami, a kiedy stara prasa drukarska ledwie zipała – ciśnienie rosło jeszcze bardziej. To wszystko wywołało problemy z sercem, które w końcu zmusiły Joego, aby w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat przeszedł na emeryturę i przekazał firmę córce.

Emma właśnie przygotowywała się do końcowych egzaminów, kiedy dotarła do niej wiadomość o chorobie ojca. Już od jakiegoś czasu narzekał na problemy z oddychaniem, ale należał niestety do tych mężczyzn, którzy nie przywiązują wagi do swego zdrowia. Mimo że matka Emmy, Nancy, przez kilka miesięcy prosiła męża, aby umówił się z doktorem Faganem, Joe wciąż odkładał wizytę. Mówił, że to tylko wina lekkiej nadwagi. Po co zajmować lekarzowi cenny czas, skoro jest tylu innych biedaków, którzy mają prawdziwe problemy zdrowotne? Po za tym doktor Fagan mógłby pomyśleć, że pan Dunne jest hipochondrykiem, gdyby ten biegał do niego za każdym razem, kiedy zabraknie mu tchu.

Kryzys nastąpił pewnego słonecznego niedzielnego popołudnia, przy siódmym dołku na polu golfowym Deerpark, gdzie Joe lubił grywać od czasu do czasu z kumplami. Chwilę po tym, jak wybił piłeczkę, poczuł, że ostry ból przeszywa mu lewą rękę i rozrywa klatkę piersiową. Minutę później leżał już na ziemi, ktoś walił go w piersi, a ktoś inny próbował robić sztuczne oddychanie. Potem nastąpiła ciemność i Joe obudził się dopiero po kilku godzinach na oddziale kardiologicznym szpitala Beaumont.

Okazało się, że jedna z tętnic wieńcowych była prawie całkiem zatkana blaszką miażdżycową. Joe leżał w szpitalu dwa tygodnie, a kardiochirurdzy założyli mu potrójny bypass, żeby poprawić ukrwienie mięśnia sercowego. Po operacji jeden z lekarzy przyszedł do pacjenta i przeprowadził z nim długą rozmowę. Powiedział, że pan Dunne ma szczęście, iż w ogóle żyje, ale będzie musiał całkowicie zmienić stresujący tryb życia, zwolnić i nie denerwować się zbyt często.

Kiedy głowę rodziny wypisano ze szpitala, jej członkowie odbyli naradę. Siedząc dokoła wielkiego stołu w jadalni, próbowali ustalić plan działania. Joe nic był skłonny postępować zgodnie z zaleceniami lekarza. Twierdził, że może wciąż prowadzić firmę, jeśli tylko zmniejszy swój zakres obowiązków i ktoś inny przejmie część zleceń. Jednak Nancy w końcu postawiła na swoim: jej mąż już dość się w życiu napracował. Przyszedł czas, aby wycofał się z interesu i przekazał go komuś innemu.

Podczas pobytu ojca Emmy w szpitalu prowadzenie drukarni spadło na barki George'a Caseya, zastępcy Joego. Był wprawdzie kompetentnym menedżerem, ale nie było w nim pasji i pomysłowości, które powinny cechować właściciela firmy. Stało się oczywiste, że to tylko chwilowa zmiana, by przetrwać najgorętszy okres. Na miejsce Joego trzeba było koniecznie znaleźć kogoś innego – i musiał to być ktoś z rodziny.

Najstarszy syn, Peter, był na drugim roku stażu medycznego w szpitalu Świętego Wincentego. Nigdy nie wykazywał najmniejszego zainteresowania prowadzeniem rodzinnej firmy i przeraziła go myśl, że musiałby rzucić medycynę, aby przejąć drukarnię. Jego brat, Alan, był o dwa lata młodszy i pracował jako dziennikarz sportowy w państwowej telewizji. Co prawda, Alan zgodził się pomóc w kryzysowej sytuacji, która tak nagle zaistniała, ale wszyscy członkowie rodziny wiedzieli doskonale, że nie ma on pojęcia o biznesie. Nancy już sobie wyobrażała, jak młodszy syn negocjuje warunki umowy z klientem, a w myślach rozważa szanse Liverpoolu w meczu przeciwko Arsenalowi. To nie mogło się udać.

Zostawała więc Emma. Zanim ktokolwiek zdążył powiedzieć słowo, wiedziała już, że rodzinna firma spadnie na jej barki. Emma miała wtedy osiemnaście lat i po zdaniu egzaminów zamierzała iść do college'u. Młodzieńcze sny o karierze modelki czy aktorki już się rozwiały, ale pozostała nadzieja na ekscytującą karierę w marketingu lub na rynku wydawniczym. Wszystko trzeba było jednak odłożyć i szybko posiąść sekrety offsetu, marży, zniżek, podatków oraz zapamiętać daty dostaw. Nie o takiej „światlanej” przyszłości marzyła dla siebie Emma.

– To oczywiste, że powinnaś przejąć drukarnię – oznajmił Peter, widząc, że siostra się waha, i chcąc jednocześnie upewnić się, że odpowiedzialność zostanie zdjęta z niego. – Może przynajmniej spróbujesz?

Emma zastanowiła się, co musiałaby zrobić. Musiałaby uczyć się fachu od podstaw i pracować całymi dniami. Spędzałaby większość czasu w biurze, zamiast cieszyć się życiem towarzyskim i przyjaciółmi. Miała zaledwie osiemnaście lat i zamierzała wkroczyć w świat wciąż zdominowany przez mężczyzn. Czy podoła?

Ojciec uśmiechał się tylko i delikatnie ścisnął dłoń Emmy.

– Nauczę cię wszystkiego, co wiem – powiedział. – Dasz radę.

Emma spojrzała na wyczekujące twarze członków rodziny zebranych wokół mahoniowego stołu, przy którym siadali do niedzielnych obiadów, od kiedy tylko

pamiętała. Firma ojca zapewniła im wszystkim dostatnie życie. Gdyby trzeba było oddać ją w obce ręce – to byłaby katastrofa. Nic wiedzieć czemu, Emmie wydawało się, że powinna się zgodzić z obowiązkiem wobec pozostałych. Westchnęła głęboko, przygryzła wargę i powiedziała:

- W porządku. Spróbuję.

Uzgodniono, że Emma obejmie funkcję dyrektora zarządzającego, a George Casey pozostanie jej zastępcą, podczas gdy ojciec będzie wprowadzał córkę w arkana drukarskiego fachu. Oprócz tego Emma zapisała się na wieczorowy kurs zarządzania w Dublińskim Instytucie Technologicznym – wiedziała dobrze, że bez tego się nie obejdzie. Niektórzy przyjaciele współczuli jej. Zamiast cieszyć się studenckim życiem, Emma prosto ze szkoły wkroczyła w stresujący świat biznesu. Oni chodzili po pubach i klubach, a ona użerała się z księgowymi i dostawcami oraz negocjowała z klientami. Wieczorami, kiedy przyjaciele wychodzili na miasto, Emma biegła do sali wykładowej z zeszytami i podręcznikami.

Na dodatek w głębi duszy Emmy wciąż pojawiała się przerażająca myśl, że sobie nic poradzi i że doprowadzi firmę do bankructwa. Wiedziała, że tak zwani przyjaciele szczerze by się ucieszyli, gdyby poniosła porażkę. Ale Emma nie miała zamiaru dręczyć się obawami. Nieważne, jak ciężko miała pracować, jakie przeszkody napotkać – była zdecydowana działać. Teraz, kiedy już przejęła kierownictwo Hi-Speed Printing Company, postanowiła, że bez względu na koszty osiągnie sukces.

Oczywiście, było także wiele osób, którym imponowała odwaga młodej dziewczyny. Jednym z pierwszych przyjaciół, których poznała na zajęciach wieczorowych, był pewien ambitny młody człowiek – Tim Mulhall. Tim skończył informatykę, ale postanowił dodatkowo studiować zarządzanie. W ciągu dnia pracował w firmie komputerowej, a wieczorami uczył się, żeby zdobyć drugi dyplom.

Pewnego wieczoru po wykładzie Tim zaprosił Emmę na drinka. Po kilku piwach objaśnił jej swoje zamiary:

- Wszyscy teraz koniecznie chcą zostać informatykami – opowiadał – a ponieważ to wciąż młody biznes, cały czas brakuje ludzi na stanowiska kierownicze. Za kilka lat zacznie się prawdziwy boom na menedżerów w tej branży.

- Co zamierzasz robić? – spytała Emma.

- Założyć swoją firmę. Chcę pracować na własny rachunek. A ty?

- Ja już tak pracuję – odparła. Tim był zaskoczony.

- Pracujesz na własny rachunek?

- Tak, mój ojciec założył naszą firmę. Ale teraz ja ją prowadzę. Czy raczej, uściślając, uczę się, jak ją prowadzić.

Timowi opadła szczęka.

- To fantastyczne! Jesteś taka młoda. To znaczy... - Zawstydział się i zaczerwienił.

- Wiem, o co ci chodzi. Dopiero co skończyłam dziewiętnaście lat i zdaję sobie sprawę, że muszę się jeszcze wiele nauczyć, ale jestem zdecydowana, by spróbować.

- A jak reagują inni na wiadomość, że prowadzisz własną firmę? Nie mówią, że jesteś jeszcze zbyt mało doświadczona?

Emma zastanowiła się.

- Raczej nie. Wydaje mi się, że mnie akceptują. Tim opadł na krzesło i gwizdnął z podziwem.

- To świetnie! Prowadzić własny interes w wieku dziewiętnastu lat... Odałbym prawą rękę, żeby dostać taką szansę.

Reakcja Tima bardzo ucieszyła Emmę. Być może przejście drukarni nie było aż tak złym pomysłem i oznaczało wielką szansę. Być może Emma powinna uważać się za szczęściarę - w końcu została dyrektorem zarządzającym Hi-Speed Printing, a ma dopiero dziewiętnaście lat...

Jednak w trakcie rozmowy z Timem nie była całkiem szczerą. Kilku starszych pracowników firmy nie chciało zaakceptować faktu, że ktoś tak młody może być szefem, a niektórzy nawet dość otwarcie wyrażali swoje zastrzeżenia. Uważali Emmę za amatorkę, która nie ma pojęcia, co robi. Ale panna Dunne nauczyła się, jak być cierpliwą, a przede wszystkim - że trzeba słuchać dobrych rad. Ci ludzie znali swój fach i mogła się od nich wiele nauczyć. Aż do momentu, w którym będzie już znała wszystkie zawiłości związane z prowadzeniem firmy, miała zamiar bardzo delikatnie podchodzić do współpracowników, żeby nie narazić się żadnemu z nich.

Opłaciło się. Ojciec pomagał Emmie przez dziewięć miesięcy, stopniowo przekazując jej wszystkie obowiązki, tak aby przejmowała po kolei jego zadania. W końcu pozwolił córce działać całkiem samodzielnie, a sam poświęcił się grze w golfa, zaczął się zdrowo odżywiać i często jeździć na wakacje. Joe Dunne większość swojego życia niewolniczo pracował dla firmy. Teraz wydawał się naprawdę cieszyć życiem. Emma uznała to za dobry znak. Wiedziała zresztą, że jeśli pojawi się jakiś problem, zawsze będzie mogła zwrócić się do ojca po pomoc i konsultację.

A w następnych latach okazało się, że problemów pojawi się niemało. Ponieważ Emma była młoda, a na dodatek była kobietą, wielu klientów myślało, że łatwo będzie nią manipulować. Jasne loki i duże błękitne oczy jeszcze potęgowały to wrażenie. Emma przeklinała często swój anielski wygląd. Klienci straszili, podlizywali się albo uciekali się do szantażu. Zalegali z płatnościami. Narzekali na jakość zleceń, żądali zniżek i rabatów. Emma wiedziała, że trwa jej okres próbny. Rozumiała, że jeśli okaże choć odrobinę niepewności i wahania, zostanie to uzna-



ne za słabość. A żądania klientów jeszcze by wzrosły, gdyby rozniosła się wieść, że córka Joego Dunne'a to mięczak.

Emma starała się więc być twarda. Każdym klientem zajmowała się osobiście, aby poznać ich wszystkich. Słuchała skarg, a jeśli okazywały się uzasadnione, była gotowa negocjować. Wiedziała, że jej nieustępliwość można uznać zarówno za oznakę słabości, jak i za sygnał, że nowa pani dyrektor nie poddaje się przy pierwszej okazji. Stopniowo zdobywała szacunek klientów i całego personelu. Była szczególnie usatysfakcjonowana, gdy dotarło do niej, że jeden z najbardziej wymagających klientów firmy podobno mówił znajomym, że Emma Dunne to wykapany ojciec i działa jak żelazna pięść w aksamitnej rękawiczce – jest twarda, ale sprawiedliwa. Emma uśmiechnęła się z zadowoleniem, słysząc to porównanie.

Ciężka praca szybko jednak zaczęła odbijać się na jej życiu prywatnym, zwłaszcza towarzyskim. Emma wyprowadziła się z rodzinnego domu i kupiła małe mieszkanie w Howth – z dużym tarasem i widokiem na port. W ten sposób była blisko zarówno rodziców, jak i firmy, zresztą podobała się jej wolność, jaką dawało Howth – spacerowanie po górach, nad morzem, prowincjonalne życie małego miasteczka, jachtklub i znajome puby.

Nawet po ukończeniu kursu w Dublińskim Instytucie Technologicznym, Emma nie przestała się spotykać z Timem Mulhallem, który wciąż marzył o założeniu własnej firmy komputerowej. Widywali się regularnie, szli na drinka albo na obiad do jednej z rybnych restauracji w Howth. Emmie podobał się niezobowiązujący charakter tego związku, a najbardziej lubiła długie spacerowanie wzdłuż Howth Head, kiedy Tim opowiadał o swoich planach, o przyszłej sławie, o tym, co się zdarzy, gdy w końcu przekona jakiś bank, aby pożyczył mu trochę gotówki na rozkręcenie firmy. Emma próbowała udzielać Timowi rad, bo naprawdę chciała, aby przyjacielowi się udało, ale wkrótce stało się oczywiste, że jeśli nie napisze on porządnego planu biznesowego i nie wyjdzie z konkretną inicjatywą, żadna instytucja finansowa nie zaryzykuje inwestycji w tak niepewny projekt. Co prawda, po ukończeniu studiów Tim dostał awans na młodszego menedżera, ale mijały lata i okazało się, że ta praca nie daje żadnych możliwości rozwoju.

Pewnego wieczoru sfrustrowany Tim oznajmił Emmie, że daje sobie spokój.

- Masz jakiś inny pomysł? – spytała z ciekawością.
- Mam propozycję pracy w Kalifornii – odparł z dumą.
- No, no! – ze zdziwieniem wykrzyknęła Emma.
- Jankesi doceniają własną inicjatywę. Lubią ludzi, którzy szybko myślą i działają. Szacuję, że za sześć miesięcy będę już prowadził swoją własną firmę.
- A co to za praca, którą dostałeś?
- Podobna do tej, którą mam teraz. Będę odpowiedzialny za mały zespół informatyków. To wielka szansa. Emmo.



- Czasem tylko się wydaje, że trawa u sąsiada jest bardziej zielona – powiedziała z wahaniem.

- Muszę jechać – dodał Tim. – Mam trzydzieści dwa lata. Jeśli teraz czegoś nie zrobię, któregoś ranka obudzę się i zrozumieję, że jestem podstarzałym facetem, który wciąż trzyma się młodzieńczych marzeń.

Emma czuła, jak ogarnia ją smutek. Spojrzała na Tima, który siedział obok, a w jego pięknych oczach błyszczało zdecydowanie. Coś jej mówiło, że nic się nie zmieni w życiu przyjaciela. Praca, którą mu zaproponowano, to tylko kolejny ślepy zaułek. Ale – pogoda w Kalifornii będzie lepsza, a doświadczenie przyda mu się w późniejszych latach. Tim miał rację, że chciał spełnić marzenia, nawet jeśli miało mu się nie udać. Przynajmniej próbował.

Ujęła jego twarz w swoje dłonie i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Życzę ci szczęścia. Dobrze robisz.

Tim wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Będę za tobą tęsknił – odparł.

- A ja za tobą.

- Będę się odzywał. Pisał e-maile i opowiadał, co się ze mną dzieje.

Emma delikatnie ścisnęła dłoń przyjaciela.

- Mam nadzieję.

Ale wiedziała, że będzie inaczej.

Emma spotykała się w swoim życiu z wieloma mężczyznami, ale żaden związek nie trwał zbyt długo. Niektórzy faceci okazywali się tylko łowcami posagów zainteresowanymi stanowiskiem Emmy i jej pieniędzmi. Ale tych łatwo było rozgryźć i Emma szybko się ich pozbywała. Od czasu do czasu spotykała kogoś, kto ją interesował, ale wciąż wypełniony grafik nie sprzyjał utrzymywaniu jakichkolwiek kontaktów towarzyskich. Zwykle mężczyźni, z którymi się spotkała, byli starsi – bo poznawała ich w sytuacjach zawodowych. Praca uniemożliwiała jakiegokolwiek wieczorne wyjścia do klubów czy pubów z koleżankami.

Zdarzało się, że zainteresowani Emmą mężczyźni chcieli budować trwałe związki i chodziła im po głowie – wypowiedana lub nie – myśl o szybkim małżeństwie. Niestety, kolejne odwoływane kolacje, spóźnienia, denerwujące rozmowy telefoniczne, które przerywały romantyczne wieczory – to wykończyłoby nawet najbardziej cierpliwego adoratora. Tak więc jeden po drugim romanse kończyły się niczym. Emma znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Zmuszona była przyznać, że z powodu tego, iż jej styl życia wykluczał wszelkie związki z młodymi i wolnymi mężczyznami, znalezienie starszego faceta, który chciałby zawsze być na drugim miejscu po pracy, nie było łatwe.

Z jednym z takich mężczyzn udało się Emmie zawiązać trwałą przyjaźń. Conor Delaney, czterdziestodwulatek, był właścicielem biura podróży Clear Skies i jed-

nym z najważniejszych klientów firmy Dunne'ów. Dwa razy do roku, wiosną i zimą, Emma drukowała foldery dla Conora. Zamówienie zawsze było duże: sto tysięcy błyszczących katalogów z kolorowymi zdjęciami pięknych ludzi wylegujących się na słonecznych plażach, pluskających się w basenach i popijających drinki w przytulnych małych barach. Za każdym razem, kiedy przychodziło zlecenie z biura Delaneya, Emma przeglądała zdjęcia i z tęsknotą marzyła, aby wypoczywać tak jak ludzie na fotografiach, zamiast siedzieć w głośnym, szarym i przygnębiającym Dublinie, gdzie następny dzień był bardziej deszczowy od poprzedniego.

Katalogi były dla Delaneya niezmiernie ważne. Stanowiły najważniejszą reklamę firmy i Conor miał nadzieję, że kolorowe obrazki wywrą taki sam efekt na tysiącach potencjalnych turystów, jaki wywierały na Emmie. Starannie projektował każdy szczegół, wybierał z rozmysłem zdjęcia, spędzał dni na pisaniu tekstów z chwytliwymi nagłówkami, takimi jak *Niech błękitne niebo rozwieje twoje smutki* albo *Relaks w magicznym otoczeniu słonecznej wyspy Lanzarote*. Kiedy Conor kończył projekt i był z niego zadowolony, urządzał imprezę promocyjną, zapraszając dziennikarzy z branży turystycznej i potencjalnych partnerów. Emma także otrzymywała zaproszenie. Conor zwykle organizował przyjęcia w dobrych restauracjach ze świetnym jedzeniem i litrami wina, tak aby dziennikarze jak najszybciej się upili i obiecali zarekomendować Clear Skies w swoim następnym artykule.

Emmie wydawało się, że Conor ma wspaniałą pracę, dużo bardziej ekscytującą niż jej monotonne zajęcia w Hi-Speed Printing. Wciąż podróżował, aby sprawdzać nowe miejsca i ewentualnie dodawać je do swojej oferty. Od czasu do czasu proponował Emmie, żeby pojechała razem z nim.

- Zasługujesz na odpoczynek - mawiał. - Firma poradzi sobie bez ciebie przez kilka dni. Czemu nie pojedziesz i trochę nie zwolnisz?

Emmę zawsze kusiły te propozycje, ale konsekwentnie odmawiała. Podobał jej się Conor. Nie była zakochana, ale też przestawała powoli wierzyć, że w ogóle może się kiedykolwiek zakochać. Zresztą pora na miłość i tak nie była odpowiednia. Związek z Conorem nie okazałby się pewnie złym pomysłem - Delaney był wysoki, przystojny, czuły i dobrze się z nim rozmawiało. Ale niektóre informacje budziły niepokój Emmy. Mówiło się, że gdzieś w Killiney Conor ma żonę i trójkę dzieci, ale jest w separacji i nigdy nie wspomina o swojej rodzinie. Na dodatek był raczej nieodjrzały i nieodpowiedzialny jak na swój wiek. Czterdzieści dwa lata i mentalność chłopca. Kiedy spotykał się z dziennikarzami, pił całą noc do upadłego, a następnego dnia odsypiał i wyłączał telefon aż do południa. Nic był to najlepszy sposób na prowadzenie interesu.

Mimo że Emma opierała się romantycznym uniesieniom, Conor zdecydowanie ją pociągał. Kiedy miała problem, którego wolała nie omawiać z ojcem, szła po radę właśnie do Delaneya, a on zawsze miał czas, żeby wyjść na wieczorne przyjęcie

albo imprezę, na której dama powinna być w męskim towarzystwie. „Gdyby tylko był bardziej odpowiedzialny – wzdychała Emma. – Gdyby się ustatkował, mógłby być idealnym partnerem”. Ale Emma sporo już wiedziała o życiu – a starego psa trudno nauczyć nowych sztuczek.

Zanim nadeszły jej trzydzieste urodziny, Emma nie tylko świetnie знаła tajemnice trudnej sztuki drukarskiej, ale na dodatek wprowadziła znaczne ulepszenia w rodzinnej firmie. Kupiła nową prasę i oprócz normalnych zleceń udało jej się zdobyć ważny kontrakt na druk jednej z darmowych gazet. Sam ten kontrakt przyniósł firmie prawie tak duży zysk, jak wszystkie pozostałe razem wzięte. Firma zaczynała wzbudzać podziw, a wkrótce i zazdrość u konkurencji, więc Emma wcale nie dziwiła się, że co jakiś czas pojawiali się chętni, aby przejąć część udziałów lub całkowicie wykupić drukarnię Dunne'ów.

Najciekawszą ofertę złożono jej pewnego czerwcowego dnia w 2005 roku przy smakowitym lunchu w restauracji Patricka Guilbanda przy Merrion Street. Człowiek, który przedstawił jej plan, nazywał się Gunter Braun i reprezentował dużą niemiecką firmę poligraficzną, która chciała wejść na irlandzki rynek. Herr Braun mówił doskonałą angielszczyzną i miał równie doskonałe maniery. Grzecznie unikał wszelkich rozmów o interesach, dopóki nie skończyli posiłku, i odczekał, aż podano kawę. Potem wyłożył karty na stół.

– Jesteśmy gotowi zapłacić pani trzy miliony euro za firmę, a także zatrudnić panią na pięć lat w charakterze konsultanta, z roczną pensją w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy euro – oznajmił.

Emma aż zakrzuszyła się z wrażenia. Nie miała najmniejszego zamiaru sprzedawać firmy i spotkała się z Herr Braunem wyłącznie z ciekawości. Ale wysokość oferty zaskoczyła ją ogromnie. Musiała bardzo się starać, aby udawać obojętną i nie okazać, jak bardzo jest zdziwiona.

– A kto prowadziłby firmę, jeśli byście ją przejęli? – spytała.

– My sami.

– Wprowadzilibyście własny zespół?

– Oczywiście.

– Jaka byłaby więc moja rola?

– Pracowałaby pani jako doradca i zdobywała nowe zlecenia. Zna pani dobrze lokalny rynek. Ludzie ufają pani i szanują.

– A kiedy mój kontrakt wygaśnie za pięć lat? Co wtedy?

– Na nowo ocenimy sytuację. Jeśli wciąż będziemy potrzebowali pani usług, oczywiście przedłużymy kontrakt.

Emma z zamyśleniem pokiwała głową. Nie wiedziała, co myśleć. Zamiast kawy z chęcią wypiłaby brandy.

- Bardzo pochlebia mi państwa zainteresowanie – odparła – ale potrzebuje trochę czasu, by rozważyć tę ofertę.

- Oczywiście. Będę w Dublinie jeszcze przez tydzień. Mieszkam w hotelu Westbury. Proszę się ze mną kontaktować, jeśli będzie pani miała więcej pytań.

- Dziękuję.

Zadzwoiła do biura i nakazała sekretarce informować wszystkich, że Emmie wypadło bardzo ważne spotkanie służbowe, a także zapisywać wszystkie telefony. Potem pojechała prosto do domu, do Howth, wzięła gorącą kąpiel, nalała sobie kieliszek schłodzonego białego wina i zanurzyła się w wannie, próbując przemyśleć propozycję, którą właśnie złożył jej Herr Braun.

Nie miała pojęcia, że firma jest warta aż tak dużo pieniędzy. Wiedziała jednak, że to dopiero wstępna oferta niemieckiej korporacji. Emma była przekonana, że gdyby weszłyby z nimi w poważne negocjacje, mogłaby jeszcze zwiększyć proponowaną stawkę. A pensja konsultanta w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy euro rocznie była co najmniej kusząca. Nawet jeśli po pięciu latach zrezygnowaliby z usług Emmy, zarobiona kwota i tak wydawała się przyzwoita.

Emma miała trzydzieści jeden lat. Przez trzynaście lat pracowała wyłącznie dla rodzinnej firmy. Prawie całkowicie zrezygnowała z prywatnego życia. Gdyby przyjęła ofertę Herr Brauna, nigdy więcej nie musiałyby pracować. Oczywiście, rodzice otrzymaliby część pieniędzy ze sprzedaży i mogliby je wpłacić na dobrze oprocentowany fundusz emerytalny. Peter, brat Emmy, był już starszym konsultantem w szpitalu Mater i rzadko kiedy poruszał temat interesów. Alan natomiast został redaktorem sportowym w ogólnokrajowej gazecie i był w swoim żywiole, mogąc relacjonować mecze rugby, piłki nożnej i wyścigi konne. Wszyscy mieli własne życie. Własne udane kariery. Dlaczego Emma miałyby na zawsze związać się z Hi-Speed Printing, zwłaszcza że właśnie otrzymała możliwość bardzo korzystnego rozwiązania sprawy?

Ale to byłby bardzo poważny krok. Co pomyśleliby pracownicy? Wszyscy tak ciężko pracowali, zwłaszcza George Casey, który poświęcił wiele lat, lojalnie pracując dla firmy. No i co z ojcem? Założył ten interes i całe życie go rozwijał. Czy pomyśli, że Emma ucieka ze statku, którym dowodzi? A czy jej samej będzie brakowało pracy? Mimo wszystkich niedogodności i narzekań Emma umiała jedynie zarządzać rodzinną firmą. Oczywiście, chwilami była koszmarnie zmęczona, ale równie często czuła ogromną satysfakcję, kiedy udało się zdobyć intratny kontrakt albo dobrze wykonać zlecenie.

Emma leżała w wannie, aż woda zaczęła stygnąć. Takiej decyzji nie można było podjąć ot, tak. Trzeba było dokładnie i bez pośpiechu ją przemyśleć. Emma potrzebowała porady. Musiała się z kimś skonsultować. Tylko jedna osoba mogła udzielić jej takiej rady, jednocześnie zachowując wszystko w tajemnicy. Conor De-

laney. Tak, od razu do niego zadzwoni i spróbuje się umówić. Wyszła z wanny i zaczęła się wycierać, kiedy zadzwoniła komórka.

- Halo – powiedziała Emma, a woda kapała na podłogę.
- Tu Conor – odparł zdyszany głos.
- Hej, co za zbieg okoliczności! Właśnie miałam do ciebie dzwonić.
- Musimy pogadać. To pilne. Potrzebuję twojej pomocy.

Emma umówiła się z Conorem w holu pobliskiego hotelu. Szybko się ubrała i wyszła. Jakie kłopoty mógł mieć Conor? Rozbił samochód? Zgubił karty kredytowe? Ktoś go pozwał do sądu? Kiedy Emma dotarła do hotelu, dostrzegła, że Conor właśnie tuli się do wielkiej szklanki whisky. Widać było, że nie pierwszej. Krawat miał przekrzywiony, na czole lśnił mu pot, a na brodzie ciemniał kilkudniowy zarost.

- Wyglądasz, jakbyś nie spał od trzech dni – powiedziała Emma na przywitaniu. – Co się stało?

Conor łyknął wielki haust whisky i odparł:

- Mam okropne wieści. Moja firma upada.

Serce Emmy zamarło. Mówił poważnie? Przecież Conor nigdy nie żartował, kiedy chodziło o interesy. Co prawda, trochę wypił, ale zdecydowanie nie był pijany. Emma szybko zapomniała o swoich dobrych nowinach. Usiadła obok i pogłodziła przyjaciela po ramieniu.

- Powiedz, co się stało.

- Od czego mam zacząć? – rzekł, bezradnie rozkładając ręce. – Internetowe firmy podbierają mi zlecenia, a na dodatek coraz więcej ludzi kupuje własne mieszkania w ciepłych krajach i nie interesują ich już zorganizowane wczasy. Na dodatek konkurencja rośnie w siłę. Zarezerwowałem tysiąc pokoi hotelowych, których nie mam jak sprzedać. Krótko mówiąc, jestem niewypłacalny. Muszę postawić firmę w stan upadłości. – Conor spojrział na Emmę smutnym wzrokiem. – Chciałem, żebyś dowiedziała się pierwsza.

- Mogę ci jakoś pomóc? – spytała Emma, próbując naprędce wymyślić jakieś rozwiązanie. Zmartwiła ją myśl, że Conor bankrutuje mimo tak ciężkiej pracy i wysiłku, jaki włożył w rozkręcenie swojego interesu.

Przyjaciel tylko uśmiechnął się ponuro.

- Nie, nic nie poradzisz. Choć miło, że pytasz. Niestety, mnie już nic nie uratuje. Jutro, kiedy wieść się rozejdzie, przylecą sępy i rozdziobią moje resztki.

- Och, nie mów tak.

- Ale taka jest prawda. Wiesz, jak jest. – Conor wziął głęboki haust whisky i dodał: – Nie zapłaciłem ci za ostatnie zlecenie: dwie serie katalogów, to chyba czterdzieści tysięcy euro.

- Daj spokój! – rzekła Emma. – To najmniejszy z twoich problemów.



– Nie, nie, muszę się wypłacić – upierał się Conor. – Zawsze byłaś wobec mnie uczciwa, Emmo. Nie mogę dać ci gotówki, ale zaproponuję coś innego. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął stamtąd jakieś dokumenty. – To jest dowód własności baru przy plaży, którego jestem właścicielem. Zainwestowałem w niego, kiedy interesy szły lepiej. Bar znajduje się na Costa del Sol. Nie jest wart wiele, ale zawsze to coś. Chciałbym, żebyś go przejęła jako zapłatę za katalogi.

Emma odepchnęła od siebie dokumenty.

– Na miłość boską! Za kogo ty mnie uważasz? Jak mogłabym zabrać ci ten bar?

– Proszę, zrobisz mi tylko przysługę. Odzyskam choć odrobinę godności. A jeśli ty nie przejmiesz baru, komornik na pewno nim nie pogardzi. Przynajmniej będę wiedział, że choć ty skorzystasz na tej katastrofie. – Conor podniósł papiery i wcisnął je w dłoń Emmy. – Jutro rano spotkamy się w biurze mojego notariusza i załatwimy formalności, żeby mógł zamknąć transakcję. A teraz nie chcę już słyszeć protestów. Mam zamiar tu siedzieć, aż uświerknę. Pozwolisz, że postawię ci drinka?

– Kieliszek białego wina, poproszę – odparła Emma i zrobiło się jej żal Conora.

Następnego ranka Emma obudziła się wcześniej niż zwykle. Całą noc myślała o wypadkach ostatnich kilku dni i wiedziała już dokładnie, co powinna zrobić.

Tak jak się umówili, spotkała się z Conorem u notariusza. Podpisali dokumenty, które prawnie sankcjonowały przejęcie baru.

– Gdzie on się właściwie znajduje? – spytała.

– We Fuengirolí. W tej chwili bar prowadzi pewna Hiszpanka. Kiepsko przędzie, ale przy odrobinie wysiłku może być dużo lepiej. – Conor wyglądał na smutnego i skacowanego.

– Co masz zamiar zrobić? – Emma zadała kolejne pytanie.

Conor wzruszył ramionami.

– Nie martw się o mnie. Jakoś przeżyję.

Emma objęła przyjaciela za szyję i pocałowała go w policzek.

– Powodzenia – wyszeptwała. – Odzywaj się do mnie.

Potem pojechała do domu rodziców w Sutton. Ojciec siedział w atrium i czytał gazetę, a mama krzątała się w ogrodzie.

– Muszę z wami o czymś porozmawiać – powiedziała Emma do ojca.

Joe wskazał córce krzesło obok.

– Siadaj.

Pan Dunne wysłuchał uważnie, co opowiadała mu Emma o propozycji, jaką złożył rodzinie Herr Braun. Kiedy skończyła, ojciec spytał:

– Myślisz, że powinniśmy się zgodzić?

- A co ty myślisz?
- To bardzo dobra oferta. Powinnaś ją rozważyć.
- Jakbyś się czuł, gdybym się zgodziła?
- Moje uczucia są tu bez znaczenia – odparł Joe. – Wzięłaś na siebie pro-

wadzenie interesu, kiedy zachorowałem, ale nigdy nie myślałem, że będziesz to robiła do końca świata. Twoi bracia mają udane życie zawodowe. Ty także musisz w końcu pomyśleć o sobie. Jesteś wciąż młodą kobietą. Powinnaś się ustatkować i może wyjść za męża.

Emma uśmiechnęła się na myśl, że mogłaby rzucić pracę, gdyby znalazła męża, i pogładziła ojca po policzku.

- Pewnie myślisz, że porządny facet mógłby mnie doprowadzić do porządku?

- Mógłby – uśmiechnął się Joe.

Emma wstała z krzesła.

- Chcę odczekać jakiś czas. A zanim podejmę jakąkolwiek decyzję, najpierw przyjdę do ciebie.

W południe spotkała się z Herr Braunem w hotelowym barze Westbury.

- Potrzebuję więcej czasu, by rozważyć pana ofertę – powiedziała.
- Ile?
- Miesiąc.

Herr Braun wyglądał na zaskoczonego, ale nie opuściły go dobre maniery.

- To długo.

- Muszę podjąć poważną decyzję, głęboko ją przemyśleć. Skonsultować się z pewnymi ludźmi.

- Dobrze – zgodził się Herr Braun. – Miesiąc. Ale jeśli do tego czasu nie podejmie pani decyzji, będziemy szukać gdzie indziej.

- Podejmę ją – odparła Emma.

Zaprosiła George'a Caseya na wczesny lunch i wyłożyła mu swoje plany. Nie wspomniała jednak o ofercie Niemców.

- Biorę sobie wolne i chciałabym prosić cię, abys poprowadził firmę, kiedy mnie nie będzie. Oczywiście, zapłacimy ci za dodatkowe obowiązki. Zgodzisz się?

- Jak długo cię nie będzie?

- Miesiąc – odpowiedziała. George zastanawiał się przez chwilę.

- Dam radę. Nawet z wielką chęcią podejmę się tych zadań.

- Nie zostaniesz całkiem sam, możesz się ze mną skontaktować w każdej chwili. Jeśli będziesz potrzebował mojej pomocy, daj mi tylko znać.

- Nie ma problemu – uśmiechnął się Casey. – Wszystko będzie dobrze.

Emma pojechała do domu i zabrała swoje walizki. Już wcześniej kupiła bilet do Malagi i zarezerwowała hotel we Fuengirolí. Samolot odlatywał o czwartej. O siódmej miała być na miejscu. Czowała, jak krew zaczyna pulsować w jej żyłach.



Jakby nagle ktoś uwolnił ją od wszystkich zmartwień i wszystkich napięć związanych ze stresującym trybem życia. Jakby zaczynała nową, wspaniałą przygodę. Miesiąc w Hiszpanii powinien pomóc w podjęciu decyzji, jak dalej pokierować własnym życiem. Zadzwoiła po taksówkę i skończyła pakowanie bagażu podręcznego. Pół godziny później pędziła po autostradzie w kierunku dublińskiego lotniska.

## Rozdział 2

Mark Chambers był wysokim, śniadym, przystojnym mężczyzną. Miał czterdzieści lat i złamane serce. Kiedyś jednak było inaczej. Kiedyś Mark uważał się za najszcześniejszego faceta w Dublinie, któremu zazdrościli koledzy i przyjaciele, został bowiem mężem pewnej cudownej kobiety, przyciągającej uwagę wszystkich mężczyzn, którzy zobaczyli ją wchodzącą do pokoju lub tylko przechodzącą ulicą. Niektórzy mówili, że to małżeństwo idealne, a Mark wiedział, że byli sobie przeznaczeni. A przecież spotkał Margot Hennessy zupełnie przypadkiem, i na początku sprawy wcale nie układały się najlepiej.

Pamiętał dobrze tamten dzień, jakby wszystko zdarzyło się wczoraj. Zimny listopadowy dzień. W radiu ogłosili, że może spaść śnieg, więc Mark owego ranka pojechał do pracy opatulony w gruby zimowy płaszcz, kapelusz, szalik i rękawice. Kiedy nadeszła pora lunchu, zamarzył o talerzu gorącej zupy minestrone w Bewley's Cafe przy Grafton Street. Jednak kiedy dojechał do kafejki, wszystkie stoliki były już zajęte. Z wyjątkiem jednego miejsca. Przy stoliku obok okna siedziała samotnie młoda kobieta. Czytała książkę. Mark podszedł bliżej i grzecznie zapytał, czy może się dosiąść. Spojrzała na niego przelotnie i obdarzyła go spojrzeniem najpiękniejszych brązowych oczu na świecie.

- Słucham?
- Pytałem, czy mogę się dosiąść.
- Oczywiście - odparła i zaczęła zbierać swoje rzeczy, aby zrobić więcej miejsca. Kiedy Mark usiadł, kobieta wróciła do przerwanej lektury.

Zamówił zupę i kiedy czekał na jej podanie, ukradkiem spoglądał na książkę trzymaną przez nieznajomą. Byli to *Mieszkańcy lasu* Thomasa Hardy'ego. Dziwnym zbiegiem okoliczności także Mark uważał tę powieść za jedną ze swoich ulubionych. Pierwszy raz przeczytał ją w szkole i tak mu się spodobała, że wrócił do biblioteki i pochłoniął wszystkie pozostałe powieści Hardy'ego, jakie tam znalazł. Margot widocznie wyczuła, że Mark się jej przygląda, bo powoli odsunęła książkę od twarzy i spojrzała przez stół. Znów mógł przyjrzeć się pięknej twarzy: szczupłej, z delikatną, długą szyją otoczoną delikatnym srebrnym łańcuszkiem; o czystej

skórze, jasnej jak porcelana. Margot miała burzę brązowych loków, a te ciemno-brązowe oczy, które tak zafascynowały Marka, teraz błyszczały zagniewane.

– I co? – odezwała się ironicznie. – Już się pan napatrzył?

Mark uśmiechnął się tak czarująco, jak tylko potrafił.

– Przepraszam. Zastanawiałem się tylko, czy podoba się pani ta książka, nic więcej.

– Jeszcze nie jestem pewna. Nie zdecydowałam, czy mi się podoba.

– Lubi pani powieści Hardy'ego?

– Właściwie to nie wiem. To pierwsza, jaką czytam. Wzięłam ją do ręki przypadkiem.

– Ile stron pani przeczytała?

Pokazała mu numer strony.

– Proszę czytać dalej – zalecił Mark. – Będzie coraz lepsza. Ale ostrzegam: niech się pani nie spodziewa szczęśliwego zakończenia.

Ciemne oczy na nowo rozbłysły irytacją.

– Teraz wszystko mi pan zepsuł!

– Nieprawda.

– Ależ tak. Kto w ogóle pytał pana o zdanie?

W tej chwili podeszła do nich kelnerka, niosąc zupę.

– Przepraszam – kajał się Mark. – Nie chciałem psuć pani lektury.

– Ale już pan to zrobił, a ja nie znoszę ludzi, którzy zdradzają zakończenia.

Zamknęła książkę i zapięła swoją ciepłą marynarkę, jakby miała zamiar wyjść. Jednak coś w sposobie jej działania ośmieliło Marka.

– Może pani zostanie? – zaproponował. – Napije się kawy?

Zawahała się przez chwilę, ale wstała od stolika.

– Nie mogę – odparła, zakładając na głowę kremową wełnianą czapkę, w której wyglądała jeszcze bardziej uroczo. – Spóźnię się do pracy.

Mark patrzył, jak Margot pewnie zmierza do wyjścia. Spódnica kołysała się wokół jej bioder z każdym krokiem. Przy samych drzwiach Margot odwróciła się, uśmiechnęła i pożegnała Marka skinieniem dłoni. Chwilę później już jej nie było.

– Kobiety – wymamrotał tylko i zabrał się do posiłku. – Nigdy ich nie zrozumie.

Miał wtedy dwadzieścia trzy lata. Rok wcześniej przyjechał z Athlone, żeby zacząć pracę jako młodszy copywriter w agencji reklamowej. Mieszkał sam w kawalerce przy Leeson Street. A tamtego wieczoru nie mógł zasnąć, wciąż rozmyślając o dziewczynie, którą poznał w Bewley's Cafe. Była najcudowniejszą istotą, jaką Mark kiedykolwiek spotkał. Okazała się zresztą nie tylko piękna, ale miała również charyzmę. Wciąż widział przed sobą błyszczące ciemne oczy, idealnie wyrzeźbioną twarz i burzę brązowych loków opadających na czoło. Margot wkroczyła w życie Marka i zniknęła – a on nie znał wtedy nawet jej imienia. Patrząc na to reali-

stycznie, jakie miał szanse, aby znów ją spotkać? Również dobrze mogła mieszkać gdzieś poza Dublinem. Może tylko kogoś odwiedzała? Ale przypomniał sobie, jak mówiła, odchodząc: „Spóźnię się do pracy”. Więc jednak mógł mieć nadzieję.

Przez następnych kilka dni Mark myślał tylko o niej. Bezustannie powtarzał sobie w pamięci krótką rozmowę, jaką odbyli. Żałował, że nie zachował się odważniej, że nie oczarował jej jakąś błyskotliwą uwagą. Zniknęła, a on nie wiedział, gdzie jej szukać. Nagle wpadł na genialny pomysł! Następnego dnia w porze lunchu poszedł do księgarni Easons przy O'Connell Street i kupił egzemplarz znanej powieści Hardy'ego *Tessa d'Urberville*. Na pierwszej stronie napisał swoje imię i nazwisko oraz służbowy numer telefonu. Przez kilka tygodni nosił ze sobą książkę w nadziei, że znów spotka uroczą nieznajomą. Każdego dnia zaglądał do Bewley's Cafe. Siadał przy tym samym stoliku i modlił się, żeby drzwi się nagle otworzyły i żeby ujrzał tamtą czarującą twarz. Ale cud się nie wydarzył.

Tygodnie przeszły w miesiące i optymizm Marka zaczął blednąć. Dublin był w końcu ogromnym miastem.

Minęły święta Bożego Narodzenia i nadszedł marzec, a dni robiły się coraz dłuższe. Wzdłuż Stephen's Green zakwitły całe rzędy jasnożółtych żonkili. Drzewa zakwitły pąkami. Wiosna wisiała w powietrzu.

Pewnego dnia na początku maja Mark wszedł do sklepu muzycznego w poszukiwaniu prezentu dla znajomego. Zapłacił i właśnie odwracał się do wyjścia, gdy nagle ujrzał coś, co sprawiło, że jego serce aż podskoczyło z radości. Nie wierzył własnym oczom! Tamta dziewczyna, jego dziewczyna, stała za ladą i obsługiwała jakiegoś klienta. Mark zaczął przepychać się przez zatłoczony sklep, ale kiedy w końcu dotarł do lady, dziewczyny już tam nie było – poszła układać jakieś kasety na stojaku. Natychmiast do niej podszedł. Sięgnął ręką i dotknął jej ramienia. Odwróciła się nagle, przestraszona.

- Przepraszam – odezwał się.
- Tak?
- Nie pamięta mnie pani? Spotkaliśmy się w Bewley's Cafe przed świętami.

Czytała pani *Mieszkańców lasu*.

Przyglądała mu się przez chwilę, aż przypomniała sobie, o czym mówi.

- Tak, pamiętam pana.
- Skończyła pani książkę?
- Och, tak.
- Podobała się pani?
- „Podobała” to niezbyt właściwe słowo. Była bardzo smutna.
- Taki jest urok Hardy'ego – rzekł Mark. – Jego powieści to ludzkie tragedie. Uprzedzałem, żeby nie oczekiwała pani szczęśliwego zakończenia.

Na ślicznej twarzy Margot zagościł nieco ironiczny uśmiech.

– Rzeczywiście. Tak pan powiedział. A pana gadatliwość prawie odebrała mi przyjemność z lektury.

Mark sięgnął do kieszeni.

– Wie pani co? Przypadkiem mam ze sobą inną powieść Hardy'ego – odezwał się, wyjmując egzemplarz *Tessy d'Urberville*, który nosił ze sobą od kilku miesięcy. – Myślę, że się pani spodoba. – Próbował wręczyć Margot książkę, ale odepchnęła od siebie jego dłoń.

– Nie mogę jej wziąć. Nawet pana nie znam.

– Nazywam się Mark Chambers. A pani?

Zwlekała z odpowiedzią.

– Margot Hennessy.

– Weź ją, Margot. Będzie mi bardzo miło.

Powoli wyciągnęła dłoń i wzięła od niego książkę.

– Naprawdę muszę iść – powiedziała. – Klienci czekają.

– Proszę, niech pani przeczyta tę książkę – odparł Mark. – Na pewno się pani spodoba.

Kiedy wracał do biura, czuł się, jakby płynął w powietrzu. Nie tylko poznał jej imię, wiedział też, gdzie pracowała. A na dodatek przyjęła od niego książkę. To się nazywa postęp! Ale Mark wiedział, że musi postępować rozważnie. Zdenerwowałby Margot, gdyby zaczął ją nachodzić i bez zapowiedzi wpadać do sklepu. Nie chciał też spłoszyć dziewczyny, dając do zrozumienia, jak mu na niej zależy. Margot miała przecież książkę, a w środku jego imię i numer telefonu. Najlepiej było poczekać na jej ruch.

To jednak nie było łatwe. Mijał dzień za dniem i Mark zaczął wątpić. Może Margot była z kimś związana? Taka piękna kobieta jak ona na pewno miała dziesiątki adoratorów. Biznesmenów ze złotymi kartami kredytowymi, którzy zabierali ją do eleganckich restauracji i kupowali drogie prezenty. Niby czemu miałyby interesować się zwykłym copywriterem? Ale przecież się uśmiechnęła, prawda? Powiedziała, jak się nazywa. I przyjęła książkę. Gdyby zupełnie nic nie czuła, po co miałyby to robić? Nastrój Marka zmieniał się co chwilę – od radości do głębokiej rozpacz i poczucia beznadziejności sytuacji. Nie mógł jednak przestać myśleć o Margot. Szedł na przykład O'Connell Street i nagle widział jej twarz w tłumie przechodniów albo wyglądającą przez okno przejeżdżającego autobusu. W nocy śnił o niej i budził się nagle, boleśnie doświadczając samotności pustego pokoju.

W końcu uznał, że nie może już dłużej czekać. Zdecydował, że następnego dnia pójdzie do sklepu muzycznego i weźmie sprawy w swoje ręce. Zaprosi Margot na kolację. W końcu co złego mogło się zdarzyć? Najwyżej odmówi. A jeśli tak się stanie, przynajmniej będzie wiedział, na czym stoi. Tego wieczoru nie mógł zasnąć, zastanawiając się, co wydarzy się następnego dnia, i wymyślając najlepsze ubranie, aby zrobić dobre wrażenie. Elegancko, ale niezobowiązująco? A może le-

piej wystroić się i pokazać, że dobrze mu się powodzi? Tak, to będzie najlepsze rozwiązanie. Rano Mark wyczyścił buty, aż zaczęły się błyszczeć. Włożył swój najlepszy, ciemnoszary garnitur i dopasowaną do niego nową jasnoniebieską koszulę. Z wielkim trudem wybrał krawat, bo wszystkie wydawały mu się albo zbyt tradycyjne, albo zbyt krzykliwe, aż w końcu zdecydował się na skromny kasztanowo-srebrny.

O jedenastej, zamiast pójść na kawę, pobiegł do najbliższego fryzjera i ostrzygł się, mimo że zrobił to zaledwie tydzień wcześniej. Nie mógł się doczekać pory lunchu, kiedy to znów miał zobaczyć Margot. Próbował zająć się pracą. W końcu o dwunastej trzydzieści wstał zza stołu i cicho wymknął się z biura. Pobiegł w kierunku sklepu muzycznego, w którym pracowała Margot. W głowie próbował sklecić zdania, które chciałby jej powiedzieć, gdy już się spotkają.

Jednak kiedy Mark dotarł do sklepu, Margot w nim nie było. Rozejrzał się nerwowo. Może miała wolne? Albo, nie daj Boże, była chora? Zaczepił inną sprzedawczynię i spytał, gdzie jest Margot.

- Nie ma jej – odparła dziewczyna.
- Wyszła na lunch?
- Nie. Odeszła. Na dobre.

Mark był zaskoczony.

- Kiedy?
- Kilka tygodni temu.
- Muszę ją znaleźć – powiedział roztrzęsiony. – To bardzo ważne. Wie pani, gdzie ona może być?

- Niestety, nie – odparła sprzedawczyni i odwróciła się, aby obsłużyć kogoś klienta.

Mark był załamany! Przeklinał sam siebie, że nie był odważniejszy, kiedy miał okazję. Dlaczego czekał tak długo? Dlaczego po prostu nie zaprosił jej na randkę tamtego dnia, kiedy spotkali się w sklepie? A teraz Margot zniknęła gdzieś w mieście pełnym milionów ludzi, i nie mógł jej już odnaleźć. Był głupcem, tchórzliwym głupcem, który pozwolił uciec cudownej dziewczynie, bo nie miał dość odwagi, żeby poprosić ją o spotkanie. Czuł się koszmarnie i jedyne, co mógł zrobić, to rzucić się w wir pracy, żeby w końcu zupełnie zapomnieć o Margot.

Kilka tygodni później, pewnego popołudnia, Mark zajmował się właśnie jakąś kampanią reklamową, którą musiał skończyć „na wczoraj”, kiedy zobaczył, jak sekretarka macha do niego, próbując coś powiedzieć.

- O co chodzi? – spytał.
- Telefon.
- Kto dzwoni?
- Jakaś kobieta. Nie podała nazwiska.

Mark złapał słuchawkę i przycisnął ją do ucha.

- Mark Chambers.
- Bardzo podobała mi się *Tessa* – powiedział głos w słuchawce. – To najpiękniejsza książka, jaką czytałam. Płakałam całą noc.

Tak zaczął się romans, który miał stać się całym życiem Marka Chambersa. Na pierwszą randkę zabrał Margot do eleganckiej restauracji przy Dame Street, a potem do klubu przy Dawson. Bawili się doskonale. Dopiero około drugiej nad ranem Mark w końcu odprowadził Margot pod drzwi domu jej rodziców w Raheny.

- To był cudowny wieczór – powiedziała.
- Może go powtórzymy?
- Z chęcią.

Zapadła niezręczna cisza, a potem Mark wziął ukochaną w ramiona. Zamknęła oczy i pochyliła się ku niemu. Mark przycisnął ciepłe usta do jej warg i poczuł, jak przechodzą go ciarki.

Zaczęli spotykać się regularnie. Margot pracowała wtedy w sklepie z markowymi ubraniami przy George Street – blisko biura Marka. Spotykali się po pracy i szli coś zjeść. W weekendy jechali do centrum lub jeździli do Dalkey, wspinali się na wzgórze Killiney i patrzyli stamtąd na miasto świateł rozpostarte przed nimi. Wkrótce zaczęli spędzać ze sobą każdą wolną chwilę. Wciąż jednak ze sobą nie sypiali. Margot nie była nawet w mieszkaniu Marka. Ten brak pośpiechu obojgu odpowiadał. Ich związek był zbyt ważny, aby się śpieszyć. W miarę jak zbliżały się wolne sierpniowe dni, Mark poprosił Margot, żeby spędzili wspólnie cały ten czas.

- Co dokładnie masz na myśli? – spytała Margot.
- Pomyślałem, że moglibyśmy gdzieś wyjechać. Zrobić sobie długi weekend.
- Gdzie na przykład?
- Nieważne. Może do Galway? Żebyśmy tylko mogli pobyć ze sobą.
- Sprawdzę, czy dostanę kilka wolnych dni.

Oddzwoniła parę minut później, by powiedzieć, że się zgadza. Mogli wyjechać w czwartkowy wieczór i wrócić w poniedziałek w nocy. Mark nie potrafił ukryć radości.

- Twój rodzice nie będą mieli nic przeciwko?
- Czemu mieliby mieć? W końcu jesteśmy dorośli, na miłość boską.

Pojechali pociągiem: taka podróż była przyjemna, i pozwoliła uniknąć pośpiesznego prowadzenia auta. Wagon był pełen ludzi, ale cudem udało się znaleźć dwa miejsca obok siebie. Mark wziął Margot za rękę, kiedy tylko pociąg wytoczył się z dworca i przyspieszył, przedzierając się przez równiny Kildare na zachód.

- Jesteś szczęśliwa? – spytał.

Kiwnęła głową.

- A ty?



- Bardzo - odparł. - Nawet gdybyśmy teraz mieli trafić prosto do piekła, byłbym szczęśliwy. Jeśli tylko mógłbym być z tobą.

Zanim dotarli do Galway, zapadł zmrok i światła wzdłuż zatoki świeciły jak gwiazdy na niebie. Margot i Mark nie zarezerwowali wcześniej hotelu, spytali więc o pokój w pensjonacie przy Eyre Square. Właścicielka zmierzyła ich wzrokiem i zakwaterowała w dwojce. Kiedy weszli do pokoju, Margot ze śmiechem padła na łóżko.

- Czy wyglądamy aż tak staro i statecznie?

- O co ci chodzi?

- Czy wyglądamy na małżeństwo?! Ta kobieta myślała, że jesteśmy mężem i żoną.

Mark objął Margot za szyję.

- Przeszkadza ci to?

- Nie, oczywiście, że nie. Miałam nadzieję, że tak pomyśli.

Spojrzał jej w oczy. Ta łobuzerska iskra, którą zobaczył, kiedy się poznali, wciąż była w spojrzeniu Margot. Zaczął rozpinać guziki jej bluzki, ale powstrzymała jego palce.

- Powiedz mi to, co chcę usłyszeć.

- Że cię kocham?

- Tak.

- Przecież wiesz, Margot.

- Ale chcę to usłyszeć.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

Zarzuciła mu ręce na szyję i pociągnęła na łóżko. Mark obsypał jej twarz, szyję i piersi namiętymi, czuлыми pocałunkami, od których w obojgu zawrzała krew.

Pobrali się w czerwcu następnego roku. Z powodu braku pieniędzy ślub był skromny, przyszła tylko rodzina i kilku bliskich przyjaciół. Na szczęście kiedy szef Marka dowiedział się o uroczystości, dał mu podwyżkę i młodzi mogli wynająć mieszkanie w Clontarf, zanim zdecydowali się na kupno domu.

Pierwsze miesiące małżeństwa upłynęły w niczym niezmaconej harmonii. Margot wydawała się całkowicie spełniać w roli świeżo upieczonej żony. W prezencie ślubnym otrzymali zestaw książek kucharskich i teraz w każdy sobotni wieczór zapraszali wraz z Markiem przyjaciół i przygotowywali na kolację nowe potrawy według kolejnych przepisów. Siadali wokół kuchennego stołu, pijąc wino i smakując przyrządzoną przez Margot polędwicę Wellingtona lub potrawkę z kurczaka. Gadali do rana i śpiewali, dopóki para staruszków z piętra wyżej nie zaczęła walić w sufit, żeby się uciszyli.



W niedzielne popołudnia jeździli po okolicy w poszukiwaniu domu. Oboje zgodzili się, że chcą mieszkać blisko morza. Mark wolał starszy dom z charakterem, w którym mógłby sam coś ulepszać – takie budynki były zresztą tańsze. Margot chciała jednak czegoś nowego – twierdziła, że w starych domach nieustannie coś się psuje. „Problemy z hydrauliką, przeciągi, kiepskie ocieplenie i drogie ogrzewanie” – mówiła. Tak więc Mark, który przede wszystkim chciał uszczęśliwić żonę, poddał się. Po miesiącach poszukiwań w końcu zdecydowali się kupić dom z trzema sypialniami – pół bliźniaka z czerwonej cegły w Malahide.

Gdy przyszło do płacenia, Mark przeżył pierwszy szok. Boom w nieruchomościach co prawda jeszcze się nie zaczął, ale dom i tak miał kosztować dziewięćdziesiąt pięć tysięcy funtów, a do tego dochodziły opłaty skarbowe i notarialne. Kiedy w końcu wynegocjowali wysokość hipoteki, Mark uświadomił sobie, że zobowiązują się spłacać miesięcznie sześćset funtów. Kolejnym zaskoczeniem okazał się koszt umeblowania: Mark nie miał pojęcia, że będą musieli wydać aż tyle. Aby zaoszczędzić, zaproponował Margot, żeby wybrali się na aukcję i kupili choć część mebli z drugiej ręki, ale żona oburzyła się na samą myśl o tym.

– Oszalałeś? Chciałbyś, żebyśmy spali w czyimś łóżku? Może jeszcze takim, w którym ktoś umarł? Co by pomyśleli moi znajomi, gdyby zobaczyli, że mamy dom umeblowany gratami, które nawet twoja babcia wywaliłaby na śmietnik?

– Cóż, akurat łóżko możemy kupić w sklepie, ale podobno na takich aukcjach wiele rzeczy to prawie nowe sztuki.

Margot nie dawała za wygraną.

– Albo kupimy nowe meble do całego domu, albo ja w nim nie zamieszkam. To moje ostatnie słowo w tej sprawie.

Mark znów musiał się poddać. Z rosnącym przerażeniem przyglądał się, jak furgonetki przywoziły nowe dywany, zasłony, stoły i krzesła oraz sprzęty kuchenne. A po odjeździe furgonetek przysły rachunki. W kilka dni popadli w gigantyczne długi – następnych piętnaście tysięcy funtów. Mark pokornie poszedł do banku i błagał o kolejny kredyt.

Oczywiście, kiedy skończyli się urządzać, dom wyglądał pięknie. Margot miała doskonały gust i Mark widział zazdrość oraz podziw na twarzach przyjaciół, którzy przychodzili ich odwiedzać. Cieszył się, widząc radość na twarzy żony. Przed domem był mały trawnik, a z tyłu spory ogród. Zgodzili się podzielić obowiązki: Margot miała zajmować się domem, a Mark – ogrodnictwem. Zgodził się z przyjemnością. Wypożyczył z biblioteki kilka specjalistycznych książek, przeczytał sporo na temat róż i kwitnących drzewek czereśniowych, a nawet grube tomy o utrzymaniu trawników. Pierwszego pogodnego wiosennego dnia Margot i Mark wybrali się do sklepu ogrodniczego, żeby zrobić zapas sadzonek i krzewów – następnych pięć weekendów pan domu spędził na sadzeniu i porządkowaniu. Przed Wielkanocą

trawnik stał się idealnie gładkim zielonym dywanem, tulipany zakwitły, a pączki na drzewach czereśniowych otwierały się jak małe gwiazdy.

Oboje byli niewyobrażalnie szczęśliwi. Mieli już swoje codzienne przyzwyczajenia: każdego poranka o siódmej dzwonił budzik w sypialni. Mark wstawał pierwszy, schodził do kuchni i przygotowywał herbatę oraz tosty. Margot w tym czasie brała prysznic. Jedli razem śniadanie i przed ósmą wyruszali do Dublina. Jeśli Mark nie miał akurat spotkania z klientem w sprawie kampanii reklamowej, spotykał się z żoną na lunchu. Często jedli tylko kanapkę w kawiarni, ale na specjalne okazje szli do restauracji, w której byli na pierwszej randce. Kiedy Margot zostawała wieczorami w pracy, żeby zrobić inwentaryzację, lub kiedy Mark miał skończyć pilną pracę dla jakiegoś klienta, to z nich, które pierwsze docierało do domu, przygotowywało kolację dla obojga. Jedli razem, potem oglądali telewizję, a czasem szli do pubu spotkać się z przyjaciółmi. Przed północą zwykle byli już w łóżkach.

Zawsze z utęsknieniem czekali na weekendy. Wstawali wtedy późno, robili wielkie angielskie śniadanie, jechali do Dun Laoghaire i chodzili po sklepach. Czasem wybierali się do Stephen's Green, karmili kaczki pływające po stawie, a potem szli do kina. Kiedy indziej spacerowali po Liberties, a potem fundowali sobie rybę z frytkami u Burdocka i jedli ją, siedząc na ławce w cieniu katedry Christ Church.

Markowi wydawało się, że jest najszczęśliwszym facetem na ziemi. Miał wszystko, o czym marzył. I był do szaleństwa zakochany w Margot. Kiedy się rozdzielali, wciąż o niej myślał i czekał, aż znów będą razem. W trakcie dnia dzwonił do niej bez powodu, byle tylko usłyszeć głos żony. Tylko ona się liczyła. Kochał ją najbardziej na świecie.

Jedyne, co wywoływało niepokój, to suma kredytów, jakie na siebie wzięli. Mark zaczął więc pracować coraz ciężiej, żeby zarobić na premię. Brał dodatkowe zlecenia, pracował do późnej nocy, aby dostać większą prowizję. Często nie wracał do domu wcześniej niż o dziewiątej czy dziesiątej wieczorem – był wtedy zmęczony, głodny i poirytowany. Margot czasem go podpuszczała:

– Wciąż zostawiasz mnie samą. Chcesz, żebym znalazła sobie jakiegoś kochanka?

– Przecież robię to dla nas. Co będzie, jeśli zajdziesz w ciążę? Będziemy mieli o jednego członka rodziny więcej i o jedną pensję mniej.

Margot śmiała się tylko i zarzucała mężowi ręce na szyję.

– Pomyślimy o tym, kiedy przyjdzie pora, panie Chambers. A na razie może trochę się rozweselisz? Nie lubię, gdy jesteś taki spięty.

Ciężka praca Marka nie poszła na marne. Dwa lata po ślubie z firmy odszedł jeden z partnerów i przeprowadzono reorganizację personelu. Mark dostał awans na kierownika projektu, a do jego obowiązków należało teraz zdobywanie nowych

zleceniodawców. Otrzymał także podwyżkę i służbowe konto, żeby mógł zajmować się ważnymi klientami.

Ucieszyli się z tych zmian. Kariera Marka cały czas się rozwijała. Udało się spłacić kredyty. Teraz, jeśli Margot zaszłaby w ciążę, nie musieliby już martwić się o finanse. Stać by ich było nawet na to, żeby Margot zrezygnowała z pracy i zajęła się maluchem.

Starania o dziecko kontynuowali przez kilka miesięcy – bez rezultatu. Zdecydowali się więc pójść do specjalisty. Lekarka zadawała sto tysięcy pytań i wykonywała kolejne testy. Pobrała próbki krwi, a od Marka także próbkę spermy. Margot nie mogła doczekać się wyników i prawie chorowała z niepokoju. Kiedy nadszedł dzień następnego badania, Mark zwolnił się z pracy i razem pojechali do szpitala.

Był ponury marcowy poranek. Wiał zimny wiatr, a niebo zasnuło się grubymi deszczowymi chmurami. Wizytę wyznaczono im na jedenastą trzydzieści, ale pani doktor spóźniała się i dopiero około południa przyjęła ich w gabinecie. Młoda, pewna siebie i zawodowo oficjalna lekarka próbowała ich uspokoić, ale wiadomości, jakie przekazała, nie budziły zbyt wielkich nadziei. Sperma Marka była normalna, a Margot okazała się całkowicie zdrowa. Nie istniały racjonalne powody, które uniemożliwiałyby zajście w ciążę.

Po wizycie poszli na lunch do pobliskiej restauracji, próbując pogodzić się z tym, co usłyszeli. Oboje nie mieli specjalnego apetytu. Mieli nadzieję, że lekarzom uda się znaleźć jedną konkretną przyczynę i jakoś jej zaradzić. Mark próbował podnieść na duchu żonę i samego siebie:

- Przecież powiedziała, że odpowiednia dieta może pomóc.
- No i wciąż odkrywają jakieś nowe metody leczenia niepłodności – z nadzieją dodała Margot.

Mark uśmiechnął się i ujął dłoń żony, wciąż jednak patrzył w talerz z niechętnym jedzeniem.

- Uda się nam – powiedział. – Zobaczysz.

Przy pierwszej nadarzającej się okazji wyjechali na wakacje. Myśleli, że ciepłe i słoneczne miejsce pomoże im zapomnieć o kiepskiej irlandzkiej pogodzie – wybrali więc Lanzarote. Co dzień odpoczywali przy basenie, pływali i spacerowali. Każdego wieczoru szli na kolację do innej restauracji. Popołudniami zostawali w pokoju i kochali się.

Stopniowo jednak przestawali cieszyć się seksem. Namiętność z pierwszych miesięcy małżeństwa gdzieś zniknęła. Margot zrobiła się humorzasta i wciąż była spięta. Teraz, kiedy zajście w ciążę okazało się takie trudne, bardziej niż kiedykolwiek przedtem zapragnęła urodzić dziecko. Z zazdrością spoglądała na młode matki noszące w ramionach wrzeszczące dzieci. Czy kiedykolwiek uda jej się urodzić własne? Czy dane jej będzie patrzeć, jak niemowlę rośnie i rozwija się? Czy

może zawsze już będzie bezdzietna? Takie myśli przynosiły tylko żal i Margot zdarzało się wybuchać płaczem w najdziwniejszych momentach – potem wstydziła się, że nie potrafiła utrzymać nerwów na wodzy.

Mark nie wiedział, co robić. Winił siebie. Zakopał się więc po uszy w pracy. Wmawiał sobie, że robi to dla Margot i ich małżeństwa.

Pewnego popołudnia zadzwonił do żony przed końcem pracy.

- Zaplanowałaś coś na wieczór?
- Nic niezwykłego. W telewizji jest dobry film, chyba obejrzę.

Mark słyszał irytację w głosie żony, zdenerwowanie, że znów spędzi samotny wieczór przed telewizorem, podczas gdy mąż do późna będzie siedział w biurze.

- Muszę ci coś powiedzieć.
- Co? – spytała.
- Nie teraz. To wymaga specjalnej oprawy. Stawiam ci kolację. Dokąd chcesz pójść?

Margot była zaintrygowana.

- Wszystko jedno. Ty znasz najlepsze miejsca.
- Lemon Tree. To nowa knajpa przy Baggot. Odbiorę cię z pracy, kiedy skończysz.

Czekał na żonę z czerwoną różą. Ofiarował ją z zamaszystym ukłonem i pochylił się, aby pocałować Margot. Poczuli jego ciepłe i miękkie wargi na swoich – jak kiedyś, kiedy dopiero zaczęli się spotykać.

- Możesz mi w końcu powiedzieć, o co chodzi? – spytała zadowolona i zaciekawiona.
- Ostatnio cię zaniedbywałem i chcę za to przeprosić. Teraz wszystko ci wynagrodzę.

Nalegał, żeby usiedli z tyłu, oddzieleni od reszty gości. Zamówił szampana. Kiedy kelner odkorkował butelkę i napełnił kieliszki, Mark podniósł swój, aby wznieść toast.

- Za przyszłość!
- Co ty właściwie planujesz? Zaraz zwariuję z niecierpliwości!

Dolał szampana do kieliszków i uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Mam ci coś ważnego do powiedzenia.
- Na miłość boską, wyduś to z siebie!
- Idę na swoje.
- Co?
- Zakładam własną firmę. Dużo o tym myślałem. Byłem w banku i moge dostać spory kredyt. A co najważniejsze, przekonałem kilku naszych głównych klientów, żeby przeszli do mnie.

Margot była naprawdę zaskoczona. Nie miała pojęcia, że mąż planuje takie zmiany.

- Czy to na pewno dobry pomysł?
  - Oczywiście, że tak.
  - Ale przecież porzucasz pewną posadę. Tak dobrze cię traktowali. Wcześniej czy później daliby ci miejsce w zarządzie.
  - A po co czekać? Nikt jeszcze nie dorobił się, pracując dla innych.
  - Tylko czy w firmie nie uznają cię za oszusta? Przecież kradniesz im klientów.
  - Ale to nie są ich klienci, tylko moi. To ja zdobyłem zlecenia na te kampanie. To ze mną chcą pracować przy tworzeniu reklamy. – Mark odstawił kieliszek i wziął żonę za rękę. – Chyba niezbyt cię cieszy ta perspektywa?
  - Ależ mój drogi! Wiesz, że będę wspierać każde twoje przedsięwzięcie. Martwię się tylko, że ryzyko jest zbyt duże. Nie chcę też, żebyś pracował jeszcze ciężiej. Już i tak prawie się nie widzimy.
  - Nie rozumiesz? Dostanę szansę, żeby w końcu zarobić normalne pieniądze. A nawet jeśli na początku będę musiał pracować ciężiej niż teraz, później odpocznę – zatrudnię odpowiednich ludzi, żeby prowadzili dla mnie firmę. Musisz mi zaufać, Margot. Wiem, co robię.
- Przysunęła się bliżej i oparła głowę na ramieniu męża.
- Wiesz, że ci ufam. Zawierzyłabym ci własne życie.
- Kiedy podniosła głowę, dostrzegła, że obok stolika stoi kelner z notesem i długopisem, gotowy przyjąć zamówienie.

Mark rzeczywiście zaczął zarabiać jeszcze lepiej. W pierwszym roku działalności firma Chambers Creative osiągnęła obroty w wysokości trzystu pięćdziesięciu tysięcy funtów. Po dwóch latach było to już dziewięćset tysięcy. Zdjęcie Marka w eleganckim garniturze, z kieliszkiem w dłoni i z Margot u boku zaczęło się regularnie pojawiać w branżowej prasie. Zaplanował świetną kampanię reklamową dla whisky Tyrone Malt, i zdobył prestiżową nagrodę, która znów zwróciła uwagę na młodą, prężną agencję. Zaczęto zapraszać go na ekskluzywne przyjęcia i promocje nowych produktów.

W niedługim czasie firma zaczęła się rozrastać. Nazwisko Chambersa pojawiło się na ustach wszystkich. Mark zatrudnił nowych pracowników: zmyślnych młodych grafików i świetnych copywriterów, którzy wymyślali chwytliwe hasła i doskonale projekty. Zdobywali kolejne nagrody. Przyciągali nowych klientów. Sukces Marka wydawał się nie mieć granic.

Wkrótce przeprowadzili się z Margot do nowego domu. Sprzedali stary i zamienili go na wolno stojący duży gmach z dwoma akrami ziemi, widokiem na morze i górę Howth. Do zajmowania się ogrodem Mark wynajął kilku ogrodników.



Dla Margot kupił małe czerwone sportowe auto, a dla siebie nowego mercedesa. Margot rzuciła pracę i zajęła się głównie integrowaniem się z grupą podobnych sobie pań, które spotykały się na lunchach i wydawały eleganckie przyjęcia. Chambersowie trzy razy do roku jeździli na wakacje: w zimie na Wyspy Kanaryjskie, wiosną do Paryża, a w sierpniu na Lazurowe Wybrzeże.

Dla postronnego obserwatora byli zatem idealną parą: bywali na teatralnych premierach, jadali w najlepszych restauracjach, przerzucali się żartami z politykami i gwiazdami telewizji, które spotykali na wyścigach. Ale było to tylko pozorne szczęście. Ukryta za uśmiechem z pierwszych stron gazet, w sercach Margot i Marka pojawiła się melancholia. Wciąż nie udało im się począć dziecka.

W kręgach towarzyskich, w których się obracali, nikt nie komentował tego, że ich rodzina wciąż liczyła jedynie dwie osoby. Wiele aktywnych kobiet odkładało zajście w ciążę tak długo, jak to było możliwe – wołały skupić się na karierze zawodowej. Nie było czymś niezwykłym, kiedy prawie czterdziestolatki dumnie ogłaszały, że będą miały dziecko. A przecież Margot miała dopiero trzydzieści pięć lat.

Rozważali z Markiem adopcję. Ale okazało się to trudniejsze, niż myśleli. Tyle papierkowej roboty, tyle przeszkód do pokonania. Poza tym uważali, że adoptowanie dziecka to otwarte przyznanie się, iż nie można mieć własnego. Żadne z nich nie było przygotowane, aby zmierzyć się z tym faktem – wciąż desperacko trzymali się myśli, że pewnego dnia wydarzy się cud i Margot zajdzie w ciążę.

To był dla obojga trudny czas. Nie obwiniali się jednak i nie oskarżali nawzajem. Wspierali się i kochali równie mocno, jak w pierwszych dniach małżeństwa.

Mark nieustannie szukał nowych leków wspomagających i cudownych zestawów witamin. Margot przechodziła najróżniejsze diety. Podczas seksu próbowali wszystkich możliwych pozycji. Kiedy zbliżały się dni płodne, przygotowywali się do nich jak do operacji wojskowej, koncentrując się na dniach, w których kalendarz i termometr zgodnie twierdziły, że poczęcie jest najbardziej prawdopodobne. Bez rezultatu.

Pewnego wieczoru Mark wrócił z pracy i zastał Margot w stanie ogromnej ekscytacji.

- Oglądałam w telewizji taki program – oznajmiła prawie bez tchu – o klinice w Londynie, w której...
- Mów – Markowi udzieliło się zdenerwowanie żony.
- To klinika leczenia bezpłodności dla bezdzietnych par. Mają świetne wyniki. Ten facet mówił, że około osiemdziesięciu procent skuteczności.

Mark odłożył teczkę na kuchenny stół.

- Podali adres albo numer telefonu?
- Tak – odparła. – Zapisałam je tutaj.

Mark wziął od niej kartkę papieru, przeczytał i spojrzał na twarz żony, która patrzyła z nadzieją, że wreszcie im się uda.

- Może w końcu trafiliśmy - powiedział. - Może ci ludzie będą mogli nam pomóc.

Skontaktowali się z kliniką, ale dowiedzieli się, że z powodu reklamy, jaką okazał się program w telewizji, liczba pacjentów przekroczyła możliwości lekarzy. Jednak kilka tygodni później odebrali telefon ze szpitala i zaproszono ich do Londynu na wstępne spotkanie. Wyznaczono datę i godzinę, więc Margot natychmiast zaczęła myśleć o biletach i noclegu. Klinika znajdowała się w odrestaurowanym budynku Regency w Knightsbridge. Mark i Margot rozmawiali ze starszym, łysiejącym lekarzem w okularach, który przedstawił się jako doktor Grant. Wysłuchał ze współczuciem historii ich niepowodzeń i robił notatki. Pod koniec spotkania doktor Grant skierował ich na serię badań, spytawszy przedtem, jak długo zamierzają zostać w Londynie.

- Trzy, cztery dni - odparł Mark. - Dobrze nam zrobi mała przerwa. Pójdziemy na zakupy, może na jakieś przedstawienie na West Endzie.

- To dobrze. Będę mógł powiedzieć państwu więcej, kiedy już otrzymam wyniki badań. Czy możecie przyjść w czwartek po południu, o drugiej trzydzieści?

- Myśli pan, że nam pomożecie? - niecierpliwie spytała Margot.

Doktor Grant uśmiechnął się.

- Jeszcze niczego nie wiem na pewno. Najpierw muszę zobaczyć wyniki. Ale proszę się nie niepokoić, pani Chambers. Jeśli będziemy mogli coś zdziałać, na pewno to zrobimy.

Margot nie mogła opanować radości. Kiedy tylko wyszli na zewnątrz, chwyciła Marka za rękę.

- Mam dobre przeczucie. Po prostu wiem, że to się uda. Och, Mark. Czy to nie cudowne?

- Nie tak szybko - odparł, śmiejąc się. - Może poczekasz, aż usłyszymy, co doktor Grant ma nam do powiedzenia?

- Ale przecież zrobił na tobie dobre wrażenie, prawda? Z pewnością wie, co robi. I mają taki duży odsetek skuteczności - mówili o tym w telewizji.

- Poczekajmy - poprosił Mark.

Następne dni spędzili na zwiedzaniu, chodzeniu do teatrów, odwiedzaniu muzeów i galerii sztuki. W czwartkowe popołudnie, dokładnie o drugiej trzydzieści, stawili się w klinice po raz drugi. Doktor Grant już czekał. Omówili wyniki badań, które pokazały, że nie ma żadnych istotnych fizjologicznych przeszkód, lekarz przedstawił więc możliwe przyczyny trudności z zajściem w ciążę.

- Pani Chambers, przepiszę pani nowy lek, klomifen. Ma bardzo dużą skuteczność udowodnioną w trakcie prób klinicznych w USA. Powinien zwiększyć pani płodność. Proszę ściśle przestrzegać ustalonych dawek i skontaktować się ze mną, jeśli pojawią się jakiegokolwiek skutki uboczne.

- To wszystko? - spytała zaskoczona Margot.



- Na razie tak.
- I zajdę w ciążę?

Doktor Grant uśmiechnął się.

- To już zależy wyłącznie od was, młodych. Chciałbym, żeby wasze życie seksualne nie zmieniało się zbyt. I nie zniechęcajcie się, jeśli lek nie zadziała natychmiast – może trzeba będzie trochę poczekać. Wróćcie za trzy miesiące.

W czasie powrotnego lotu do Dublina, tego samego dnia wieczorem, Margot była w świetnym humorze. Wizyta w klinice wyraźnie podniosła ją na duchu.

- Nazwał nas „młodymi”, słyszałeś?
- Co cię tak dziwi? – zażartował Mark. – Nie umiesz już przyjąć komplementu?
- Ale „młodzi” oznacza zwykle dwudziestolatków.
- Nieprawda. To bardzo elastyczne określenie. Możesz być młoda nawet po pięćdziesiątce. Młodość to w końcu stan umysłu. Zresztą doktor jest starszy od nas, więc wydajemy mu się młodzi.

Po powrocie do Dublina Mark wrócił do pracy, a Margot do swoich towarzyskich obowiązków. Wszyscy zauważyli jednak, że myśli o czymś zupełnie innym. Doktor Grant przepisał trzymiesięczny zapas nowego lekarstwa, które Margot zażywała teraz dokładnie według wskazówek. Znowu kochali się z Markiem regularnie, ale zapal mieli teraz jakby większy. Niestety, pod koniec pierwszego miesiąca Margot zgodnie z normalnym cyklem dostała miesiączkę. Nie potrafiła ukryć rozczarowania.

- Daj nam trochę czasu – pocieszał żonę Mark. – Doktor powiedział, że to może trochę potrwać. Uspokój się, Margot. Wszystko będzie dobrze.

Sam pracował jeszcze ciężiej niż zwykle. Co tydzień firma dostawała nowe zlecenia i ledwie nadążali za zapotrzebowaniem rynku. Wydawało się, że wszyscy w mieście chcą, żeby ich kampanie tworzyła właśnie Chambers Creative Artists. Mark postanowił zreorganizować zespół, tworząc małą grupę starszych projektantów, którzy mieli się zajmować najważniejszymi klientami.

Większa liczba zleceń oznaczała, że Marka coraz częściej nie było w domu. Miał spotkania promocyjne, prezentacje, służbowe kolacje. Nie mógł dotrzymać obietnicy złożonej Margot pierwszego dnia nowej pracy – że wycofa się z interesu, kiedy osiągnie sukces. Ale żona nigdy nie narzekała – i Mark czuł się przez to jeszcze bardziej winny. Próbował zrekompensować swoją nieobecność kupowaniem prezentów i kolacjami w drogich restauracjach. Powtarzał też sobie, że za rok, najdalej dwa, dotrzyma przyrzeczenia i zwolni tempo.

Pewnego wieczoru, kiedy jak zwykle pracował zbyt długo, żona zadzwoniła do firmy.

- O której będziesz w domu?

Mark spojrział na zegarek i zaklął pod nosem.

– Przepraszam, Margot. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest tak późno.  
– Możesz teraz przyjechać? Bo ja tylko... – zamilkła z wahaniem. – Muszę ci po prostu coś powiedzieć.

– Mów.

– Chciałam poczekać, aż wrócisz do domu.

– Nie trzymaj mnie w niepewności! O co chodzi?

– Okres mi się spóźnia.

– CO!?

– Nie chciałam nic mówić, bo to znowu może być fałszywy alarm. Ale to już cztery dni. Tak bardzo jeszcze nigdy się nie spóźniał.

– Dzięki Bogu! – wykrzyknął Mark i poderwał się z krzesła. – Już jadę do domu. Po drodze kupię szampana. To najlepsza wiadomość, jaką usłyszałem od lat!

Odłożył słuchawkę i złapał marynarkę. Młody projektant, Larry Dolan, podniósł wzrok znad papierów.

– Ktoś wygrał na loterii? Mark uśmiechnął się szeroko.

– Nie – odparł. – Dużo lepiej.

Margot kupiła test ciążowy, którego wynik był pozytywny. Wraz z Markiem ledwie mogli opanować ekscytację. Ale tym razem to Margot hamowała tę radość. Wiedziała doskonale, że wiele ciąż kończy się poronieniem w pierwszym trymestrze. Zdecydowali się więc poczekać jeszcze miesiąc, zanim pójdą do lekarza. Przez resztę tego miesiąca Mark traktował żonę jak chorego ptaka. Wziął wolne, by się nią zajmować. Obchodził się z Margot jak z jajkiem. Pilnował, żeby dobrze się odżywiała i jak najwięcej odpoczywała.

– Na miłość boską! – protestowała Margot. – Nie jestem inwalidką.

– Nie możemy ryzykować.

Okres nie pojawił się przez następne tygodnie i Chambersowie odetchnęli z ulgą. Postanowili, że Margot pójdzie najpierw do swojego lekarza, bo na wizytę u doktora Granta w Londynie trzeba było czekać dwa tygodnie. Mark znów wziął wolny dzień i do ginekologa pojechali razem. On siedział w poczekalni, a Margot poszła na badania. Długo nie wychodziła. Mark patrzył na wielki zegar wiszący na ścianie, którego wskazówki wydawały się w ogóle nie posuwać naprzód. Po upływie całej wieczności – jak mu się wydawało – drzwi znów się otworzyły i Margot wyszła z gabinetu. Mąż spojrział na jej twarz, szukając potwierdzenia, że wszystko jest w porządku. Ich spojrzenia spotkały się, a Margot się uśmiechnęła. Uniosła kciuk, pokazując, że jest dobrze. Serce Marka podskoczyło z radości!

- Kiedy powiemy innym? – spytał, kiedy tylko dotarli do domu i opadła pierwsza fala podniecenia.

- Jeszcze nie teraz – nalegała Margot. – Jeszcze przez jakiś czas trzymajmy ciążę w tajemnicy.

- Ale wszyscy zastanawiają się, co się dzieje. Na pewno ludzie o nas gadają.

- No i co z tego? Po prostu kiedy w końcu powiemy im o wszystkim, będą jeszcze bardziej zaskoczeni.

Ale Margot sama nie umiała zastosować się do własnej rady. Przez następne dwa tygodnie zamawiała katalogi z ubrankami dla dzieci i jeździła do miasta, żeby oglądać wózki dla maluchów. Zaczęli z Markiem rozmawiać o wyborze imienia. On chciał bardziej tradycyjne, Margot – współczesne.

- Niektóre tradycyjne imiona są teraz bardzo modne – upierał się Mark. – Na przykład Adam to według „Irish Timesa” jedno z najpopularniejszych imion męskich nadawanych dzieciom w zeszłym roku.

Po kilku tygodniach rozmów wypracowali w końcu listę sześciu imion dla chłopca i sześciu dla dziewczynki.

- To się może zmienić – ostrzegała Margot. – Te imiona to tylko przymiarka. Zastrzegam sobie prawo do zmiany zdania.

Kupowała kolejne książki o wychowaniu i spędzała godziny na przyswajaniu różnych teorii rodzicielstwa. Postanowiła, że ze swoim dzieckiem nawiąże relację, która będzie oparta bardziej na przyjaźni niż na surowym podziale rodzic – dziecko.

- Będę dorastać razem z maluchem – oznajmiła zdumionemu Markowi któregoś dnia przy kolacji. – Mam zamiar odkryć na nowo własne dzieciństwo.

- Już nie mogę się tego doczekać – powiedział.

Co miesiąc Margot chodziła na wizyty u swojego ginekologa, który pilnował przestrzegania diety, mierzył ciśnienie krwi i uspokajał, że wszystko jest w porządku, zgodnie z terminem normalnej, zdrowej ciąży. Margot zaczęła tyć. Już nie można było dłużej ukrywać brzucha przed znajomymi. Postanowili więc z Markiem, że urządzą małe przyjęcie, aby ogłosić nowinę przyjaciołom. Najpierw jednak musieli powiedzieć rodzicom. Margot uważała, że tak wypada i że powinni dowiedzieć się przed wszystkimi. Nie można dopuścić do sytuacji, w której ktoś dowiaduje się, że zostanie babcią lub dziadkiem od kolegi spotkanego w supermarkecie.

Kiedy już powiedzieli o ciąży przyszłym dziadkom, urządzili niedzielne przyjęcie dla znajomych. Był ciepły lipcowy dzień, ale od morza wiała chłodna bryza. Mark rozpalił grilla na trawniku, przyjaciele popijali wino lub piwo, zajadali się hamburgerami i chwalili tak cudownie oryginalny pomysł, jakim było urządzenie przyjęcia, aby ogłosić wiadomość o ciąży. No, ale w końcu to Mark i Margot – oni zawsze mieli świetne pomysły.

Kilka koleżanek Margot próbowało namówić ją na lunch w następnym tygodniu, bo od jakiegoś czasu skutecznie unikała życia towarzyskiego. Teraz także nie chciała się udzielać, bo przecież była dopiero w piątym miesiącu, ale przyjaciółki nalegały: chciały trochę poplotkować i wymienić rady dotyczące wychowania dzieci. Margot, choć niechętnie, w końcu się zgodziła. Umówiły się na spotkanie w środę, w nowym bistrze w Malahide, które miało ostatnio świetne recenzje. Margot wyjaśniła Markowi, że nie znalazła sposobu, by odmówić koleżankom, a on – co było dziwne – zgodził się nie z żoną, lecz z nimi.

– Ostatnio tylko siedziałas w domu. Dobrze ci zrobi takie wyjście. Zadzwoń do mnie później, czy wszystko w porządku.

Sam wyjechał do pracy jak zwykle, o ósmej. Od kiedy wrócili z Londynu, Mark harował równie ciężko, jak przedtem. Ale teraz miał szczerzy zamiar stworzyć nowy zespół menedżerów i stopniowo wycofać się z prowadzenia firmy, zaraz po urodzeniu dziecka. Najpierw jednak musiał umocnić pozycję Chambers Creative Artists jako największej agencji reklamowej w Irlandii.

Rano pracował nad różnymi projektami, potem zjadł lunch z młodym adiustantem, którego bardzo chciał zatrudnić. Gdy tylko wrócił do biura, znów miał masę roboty, i dopiero około czwartej zorientował się, że Margot przez cały dzień nie zadzwoniła. „Pewnie świetnie się bawi” – pomyślał. Wiedział dobrze, jak to jest, kiedy baby spotykają się w grupie. Pewnie niejeden znajomy miał dzisiaj czerwone uszy. Mark nie chciał dzwonić na komórkę Margot, wolał poczekać, aż wróci z lunchu do domu.

Nie zdążył zadzwonić. Dziesięć po piątej do biura weszła blada jak ściana sekretarka.

– Dzwoni policjant z Malahide – powiedziała. Mark odebrał. Jeszcze zanim usłyszał pierwsze słowa,

wiedział, że stało się coś złego.

– Panie Chambers, zdarzył się wypadek.

Mark poczuł, jak strach przeszywa go od czubka głowy aż po palce.

– Gdzie ona jest? – spytał głośno.

– W szpitalu Beaumont.

– Już jadę!

Ostatnie słowa policjanta miał pamiętać do końca życia.

– Panie Chambers, musi się pan przygotować na najgorsze.

Dopiero później dowiedział się, co się stało. Lunch rzeczywiście się udał i Margot została z koleżankami dłużej, niż planowała. O trzeciej trzydziści postanowiła wracać do domu. Wsiadła do swojego czerwonego sportowego wozu i ruszyła wzdłuż wybrzeża. Oczywiście, była trzeźwa, podczas posiłku piła tylko wodę mineralną. Na wąskiej Baldoyle Road dostrzegła zaparkowany wóz dostawczy. Zwolni-

ła, włączyła kierunkowskaz i zmieniła pas. Ale kiedy skręcała, wielka ciężarówka wyjechała z naprzeciwka i mimo że kierowca, dostrzegłszy Margot, natychmiast wcisnął hamulec, było za późno. Małe auto zostało całkowicie zmiażdżone.

Na pogrzeb przyszło mnóstwo ludzi. Gazety i telewizja pełne były zdjęć i relacji. Mark i Margot byli w mieście dobrze znani, a tragiczna śmierć przyszłej matki jak zwykle okazała się doskonałym newsem. Mark był zrozpaczony. Wydawało mu się, że jego życie dobiegło końca. Czuł tylko w środku bolącą pustkę, nie wyobrażał sobie, jak ma przeżyć kolejny dzień. Po pogrzebie wrócił do pracy, ale nie potrafił się skupić na zleceniach. Schudł, nie mógł spać, stracił zainteresowanie wszystkim. Dom wyglądał dokładnie tak, jak w dzień śmierci Margot. Jej ubrania wciąż wisiały w szafie, perfumy i kosmetyki stały na półce w łazience. Nawet książka o wychowaniu dzieci, którą właśnie czytała, leżała na stoliku przy łóżku. Co tydzień Mark jeździł na cmentarz i kładł na grobie świeże kwiaty.

Przez wiele miesięcy nie potrafił otrząsnąć się z żałoby. Zima przeszła w wiosnę, wiosna – w lato. Pewnego czerwcowego dnia jakiś znajomy powiedział Markowi o księdzu, który mieszkał w dublińskim opactwie Mount Argus. Ów znajomy zaproponował, żeby Mark pojechał do duchownego i porozmawiał z nim. Ojciec Michael miał bowiem opinię świetnego psychologa i pomagał radzić sobie ze smutkiem po śmierci bliskich. Mark pojechał do klasztoru. Ojciec Michael był starszym mężczyzną o jasnym spojrzeniu i dobrej, współczującej twarzy. Długo rozmawiali o Margot i o tym, co się stało. Duchowny nie potrafił jednak wyjaśnić, dlaczego Bóg pozwolił, aby umarła w tak tragiczny sposób.

- Jak myślisz, co chciałaby, żebyś teraz zrobił? – spytał Marka ksiądz.
- Nie wiem.
- Chciałaby, żebyś był szczęśliwy. Kochała cię, przecież wiesz, prawda?
- Tak.
- Musisz więc przestać rozpaczać. Musisz znów zacząć żyć. Tego chciałaby Margot. Musisz zostawić przeszłość za sobą i spojrzeć w przyszłość.
- Nie potrafię, ojcze. Nie interesuje mnie ani życie, ani praca, a wszystko tylko przypomina mi o żonie.
- Więc odpuść na trochę. Wyjedź w jakieś nowe miejsce, całkiem nowe. Odpocznij, zrelaksuj się, daj sobie czas, aby wydobrzc – duchowny uśmiechnął się – najlepiej w jakimś ciepłym kraju.

Pomysł wydał się Markowi całkiem sensowny. Chciał się gdzieś wyrwać, może zmiana klimatu choć na chwilę zajęłaby jego uwagę. Zadzwonił do pobliskiego biura podróży i spytał o wolne miejsca.

- O tej porze roku proponujemy Costa del Sol. Słońce, dobre restauracje, golf, jeśli pan gra.
- Jakie konkretnie miejsce? – spytał.



- Na przykład Carvajal, na morzu, blisko Fuengirolí. Najbliższe lotnisko w Maladze.
- Dobrze – zgodził się Mark. – Proszę coś dla mnie zarezerwować.

## Rozdział 3

Claire Greene wpatrywała się w reklamę, która właśnie przykuła jej uwagę, niemalże wyskakując ze strony „Irish Independent”. Claire siedziała przy małym stole w tylnej części biura, delektując się poranną filiżanką herbaty, kiedy dostrzegła ogłoszenie.

*Zrób sobie przerwę! Wyjedź na beztrudne wakacje do słonecznej Fuengirolí!*

Natychmiast przerwała lekturę. Jej wyobraźnia wypełniła się cudownymi obrazami: bezkresne błękitne niebo, lśniąca tafla morza, gorący piasek, nocne życie, muzyka, zabawa, radość. Byłoby bosko. Koniec z deszczem, koniec z chmurami, koniec nudnych, monottonnych dni. Claire wciąż pamiętała o radosnych chwilach, jakie spędziła na Costa del Sol cztery lata wcześniej, zaraz po skończeniu wydziału prawa Trinity College. To był najszczęśliwszy czas w jej życiu. Była młoda, wolna, bez zobowiązań, a przeszłość rozciągała się przed nią niczym szeroka, jasna aleja.

Chwilę później wakacyjne wspomnienie zostało przysłonięte przez inne. Claire odłożyła gazetę. Było coś jeszcze, coś mniej godnego zapamiętania. Na Costa del Sol zdarzyło się coś, co rzuciło cień na całe późniejsze życie Claire. Zamknęła oczy i pozwoliła myślom cofnąć się do tamtego czasu.

Jesienią 2001 roku Claire miała dwadzieścia dwa lata. Dawniej zaniedbana chłopczyca w dżinsowych spodniach i kurtce była już wysoką, atrakcyjną młodą kobietą o długich czarnych włosach i ciemnych, inteligentnych oczach. Przy wzroście prawie metra osiemdziesięciu Claire przerosła wszystkich swoich znajomych, a dzięki półrocznej ciężkiej pracy w drugim semestrze udało jej się ukończyć college z bardzo dobrym wynikiem i wyróżnieniem. Wyróżnionych absolwentów było tego roku zaledwie pięciu, w tym najlepsza studentka – Patricia Smyth – która każdą minutę swojej egzystencji spędzała z głową zatopioną w książkach i dlatego w ogóle nie miała życia towarzyskiego.

- Biedna Patricia! - wzdychali, sącząc truskawkowe daiquiri w barze Banana Joe, gdzie spotkali się, żeby świętować wyniki końcowych egzaminów. Czy było warto tak się szarpać jak ona? Poświęcić cztery lata życia dla pierwszego miejsca na roku? Nie chodzić na tańce ani na akcje charytatywne, ani na bale Trinity? Nigdy nie całować się z chłopakiem? Ani z dziewczyną? (To ostatnie dodał Philip O'Neill z drużyny rugby przy wtórze wrzasków swych kolegów).



Wszyscy zgodzili się, że nie było warto. Studia to coś więcej niż tylko nauka – w czasie studiów się dorasta, zdobywa nowe doświadczenia, odkrywa samego siebie. A jak można to zrobić, jeśli cały czas spędza się na wkuwaniu? Musieli jednak przyznać, że Patricia najpewniej prosto z uczelni powędruje do pracy w jakiejś renomowanej firmie prawniczej. Za niedługi czas będzie zarabiała spore pieniądze – to z pewnością była korzyść ze zdobycia najlepszego dyplomu na kierunku prawa w Trinity College.

Claire natomiast miała problem – nie wiedziała, co zrobić ze swoim dyplomem, i martwiło ją to od kilku tygodni. Jeszcze bardziej martwiło to jej matkę. Pani Greene należała do upierdliwych, kontrolujących wszystkich wokół siebie kobiet, które wierzyły, że ich jedyną życiową misją, realizowaną za pomocą wszelkich dostępnych środków, jest wprowadzenie trojga własnych dzieci na ścieżkę zawodowej kariery oraz korzystnego małżeństwa.

Pani Greene udało się tego dokonać z dwójką pociech. Thomas, najstarszy, trzydziestodwulatek, był teraz zastępcą szefa działu ubezpieczeń na życie w jednej z największych firm ubezpieczeniowych w kraju. Ożenił się z Paulą – znerwicowaną, wiecznie jakby nieobecną kobietą, której rodzice byli producentami nabiału w Tipperary, a dorobili się majątku głównie dzięki rządowemu projektowi powszechnej polityki rolniczej. Pani Greene z dumą opowiadała swoim przyjaciołom i znajomym o pięknym domu Pauli i Thomasa w Dalkey, usytuowanym blisko morza w sąsiedztwie posiadłości jakiejś drugorzędnej gwiazdy rocka.

Orla, siostra Claire, była zastępczynią dyrektora szkoły publicznej w zachodnim Dublinie. Wyszła za mąż za Johna, właściciela dobrze prosperującej księgarni w Blackrock. Oboje postanowili odłożyć na później powiększenie rodziny, dopóki Orla nie zostanie dyrektorką, co miało nastąpić wkrótce – pan Breen, obecny dyrektor, był już bowiem zbyt zmęczony, aby pracować. Pani Greene także tej parze przepowiadała piękną przyszłość.

Zostawała Claire – najmłodsza i najbardziej krnąbrna z rodzeństwa. Pani Greene przyznawała, że jej córka jest inteligentna, ale niestety odziedziczyła po kimś nieograniczoną niezależność. Na pewno nie był to spadek po panu Greene, który był ważnym urzędnikiem w Departamencie Rybołówstwa i Żywności, i nie odgrywał w wychowaniu swoich dzieci żadnej roli. Dawno temu zaakceptował to, że jego żona pełniła funkcję opiekuna za nich dwoje, większość czasu spędzał więc w salonie, gdzie rozwiązywał krzyżówki i słuchał kwartetów Brahmsa, wszystkie najważniejsze decyzje pozostawiając swej drugiej połowie.

Kiedy zbliżały się egzaminy maturalne, pani Greene zdecydowała, że Claire powinna zdawać na prawo.

– Prawo to doskonały wybór – mówiła do córki. – To jak licencja na zbijanie kokosów. Niektórzy radcy prawni zarabiają tysiąc funtów dziennie. Jeśli jesteś

prawnikiem, to jakbyś był właścicielem kopalni złota. I na pewno spotkasz na studiach jakiegoś miłego chłopca z dobrej rodziny.

Pani Greene wybrała dla Claire Trinity College. Sama należała do pokolenia, któremu zabroniono uczęszczać do Trinity nakazem katolickiego arcybiskupa Dublina, dlatego ta uczelnia była dla niej wymarzonym miejscem kształcenia. Pani Greene nigdy by się do tego nie przyznała publicznie, ale uważała, że protestanci mają więcej klasy i lepsze maniery, i ogólnie są bardziej godni zaufania niż katolicy. Zresztą obecnie niewielu protestantów zostało w Trinity – uczelnię prowadzili w większości katolicy. Wciąż jednak matka Claire była przekonana, że dyplom wydziału prawa Trinity był dużo cenniejszy niż podobny dokument każdego innego uniwersytetu.

Claire godziła się na wszystkie plany matki z prostego powodu – sama nie miała lepszych pomysłów. Ale okazała się dla pani Greene ogromnym rozczarowaniem: nie udało się jej bowiem poderwać i uwieść żadnego młodego, ambitnego, prawniczego geniusza, na co tak liczyła matka. Tyle że według pani Greene najlepszy sposób, aby zdobyć męskie serce, to być absolutnie posłuszną oraz zadbaną, ładną i przyjemną w obyciu.

– Nikt nie chce kobiecej wersji Einsteina – mówiła z przekonaniem. – Mężczyźni szukają kobiet, które pobudzą ich pewność siebie i będą sprawiać dobre wrażenie w obecności znajomych. Wszystko inne to sprawy drugorzędne, najpierw musisz założyć na palec obrączkę.

Niestety, matczyne plany udaremniła niezależność Claire. Nie rozumiała, czemu ma się podporządkowywać jakiemuś durniowi tylko dlatego, że przypadkiem jest on mężczyzną. I nie potrafiła zmusić się do uśmiechu, słysząc bzdury, jakie wygadywali niektórzy z tych „idealnych” facetów, ani znosić ich dziecinnego zachowania, jak konkurs picia piwa, podczas którego upijali się do nieprzytomności i rzygali dalej, niż widzieli.

Tacy mężczyźni budzili w Claire tylko smutek i politowanie. Zresztą nie miała zamiaru wychodzić za mąż tak szybko jak jej brat i siostra. Była pewna, że kiedy ten właściwy „on” pojawi się na horyzoncie, pewność przyjdzie sama. W trakcie studiów przeżyła więc tylko kilka przelotnych miłości, które w pani Greene wywoływały frustrację i kolejne komentarze na temat prawdopodobnego staropaniństwa najmłodszej córki.

Jednak narzekania matki Claire okazały się niczym w porównaniu z histerią, w jaką wpadła pani Greene, kiedy ogłoszono wyniki dyplomów: była rozczarowana, że córka nie zdobyła pierwszego miejsca, i z wahaniem zgodziła się, że drugi wynik może wcale nie jest taki najgorszy. W końcu Claire uzyskała go w Trinity. Teraz młoda panna Greene musiała wziąć się do roboty i znaleźć dobrą posadę. Niestety, mijały tygodnie, a Claire nie wybrała się nawet na jedną rozmowę, i matka naprawdę zaczęła się martwić.

- Na co ty czekasz? - zapytała córkę któregoś dnia. - Nie możesz tak sobie siedzieć i czekać, aż ktoś zapuka do drzwi i zaproponuje ci pracę. Musisz wyjść z domu i się sprzedać.

- Potrzebuję trochę czasu, żeby pomyśleć - odpowiedziała ze znużeniem Claire.

- A o czym tu myśleć? Będziesz startować na aplikację adwokacką czy radcowską? Zdecyduj.

- Jeszcze nie wiem - zirytowała się Claire. - Nie wiem nawet, czy w ogóle chcę dalej zajmować się prawem.

Pani Greene uważała, że liczba przyzwoitych stanowisk pracy (tak jak liczba przyzwoitych i wolnych mężczyzn) jest ograniczona. Była także przekonana, że wszystkie posady będą wkrótce zajęte, gdy tymczasem jej córka siedziała w domu i pozwalała sobie na dumanie. Nie wytrzymała więc i wybuchła:

- Pozwalasz, żeby czas przeciekał ci przez palce! Chcesz skończyć jako pakowaczka zakupów w Tesco?

Claire nie miałyby nic przeciwko, żeby przez jakiś czas pakować zakupy w supermarkecie - to dałoby jej czas, żeby zdecydować, co chce robić później. Wiedziała oczywiście, że jej matka umarłaby ze wstydu na samą myśl o takim rozwiązaniu. Jednak sama Claire bardzo nie chciała dać się wrobić w coś, czego później mogła żałować. Jak dotąd postępowała zgodnie z życzeniami matki, ale teraz musiała dokonać istotnego wyboru i chciała go najpierw dobrze przemyśleć.

I wtedy wtrącił się los. Pewnego ranka Claire odebrała telefon od swojej koleżanki Róisín Murphy, która chciała się umówić na kawę i podzielić jakimiś wspaniałymi nowinami. Claire aż podskoczyła na samą myśl o wyjściu. Atmosfera w domu robiła się nie do wytrzymania, zwłaszcza od kiedy pani Greene zaczęła wycinać ogłoszenia o pracy z „Irish Timesa” i każdego ranka kłaść je na kuchennym stole razem z płatkami kukurydzianymi dla Claire.

Spotkały się z Róisín w małej kawiarni na Grafton. Koleżanka wyglądała na niezmiernie uradowaną. „Tylko nie mów, że dostałaś jakąś intratną posadę - pomyślała ponuro Claire. - Mama nigdy by mi tego nie darowała”. Róisín poczekała, aż Claire usiądzie i zamówi caffè latte, po czym ogłosiła dumnie:

- Wyjeżdżam do Hiszpanii.

Claire zamrugała oczami ze zdziwienia. I co z tego? Mnóstwo ludzi jeździ do Hiszpanii.

- Na wakacje?

- Coś w tym rodzaju. Trochę dłuższe wakacje. Zamierzam tam pracować.

- A nie starasz się o pracę tutaj jak reszta naszych kolegów? - spytała Claire.

Róisín, która w trakcie studiów zaciekle broniła zdania, że nauka wzbogaca życiowe doświadczenie, uśmiechnęła się tajemniczo.

– Biorę sobie rok wolnego. Po co śpieszyć się do czegoś, co przywiąże mnie do jednego miejsca na resztę życia? Widzę to tak: mam już dyplom. Teraz pora trochę się zabawić i zobaczyć kawałek świata. Praca będzie tu czekać, kiedy wrócę.

Nagle Claire rozjaśniło się w głowie. Oczywiście! Róisín ma rację. Przecież przez kilka tygodni rynek pracy nagle się nie zawali. W końcu spędziła cztery lata na uczelni, aby zdobyć dyplom, a przedtem czternaście lat w szkole. Właściwie odkąd nauczyła się chodzić, cały czas musiała się czegoś uczyć. Czy nie była to idealna pora, żeby trochę zwolnić tempo?

- Kiedy wyjeżdżasz?
- W przyszłym tygodniu.

W ułamku sekundy Claire zdecydowała:

- Jadę z tobą.

Dziewczyny spędziły parę godzin, omawiając dalsze plany. W końcu uzgodniły, że popłyną promem do Francji, potem dotrą do Paryża, a później pojedą na południe, do Marsylii, zanim przekroczą granicę z Hiszpanią. Nie będą brać dużo rzeczy, zamierzały spać w tanich hotelach i nigdzie się nie śpieszyć. Było lato, pogoda na pewno będzie piękna. Róisín twierdziła, że mogą nawet spać pod gołym niebem i zjadać gruszki z dzikich sadów. Kiedy tak planowały największą przygodę w życiu, Claire czuła się coraz lepiej. Miały przecież tyle czasu! Mogły zatrzymać się w tych wszystkich ślicznych małych miasteczkach po drodze. Zbliżał się sezon, a one mówiły po angielsku, więc z powodzeniem mogły też szukać pracy w barach i restauracjach.

– A co zrobimy z kasą? – spytała Claire. – Trochę pieniędzy musimy wziąć, a ja jestem spłukana.

– Weźmiemy kredyt studencki, to nie problem. Banki będą zadowolone, że mogą pożyczyć nam trochę gotówki. Szczególnie teraz, kiedy mamy już dyplom.

Plan został sfinalizowany. Miały wyjechać za tydzień. W ten sposób Claire miała czas, żeby wziąć pożyczkę, załatwić paszport i bilety na prom. Czekало ją jeszcze najtrudniejsze zadanie: rozmowa z matką.

Pani Greene wpadła w szal, gdy usłyszała wiadomość o wyjeździe. Denerwowała się i krzyczała. Twierdziła, że to najgłupsza rzecz, o jakiej słyszała – wyjeżdżać i zostawiać te wszystkie intratne posady ludziom z gorszymi kwalifikacjami i podrzędnym wykształceniem. I jak bardzo będzie się musiała wstydzić ona sama! Co powie ludziom, kiedy będą pytali o Claire? Jak wyjaśni znajomym, że jej córka z dyplomem renomowanej uczelni zbiera winogrona z andaluzyjskimi wieśniakami na jakimś zakurczonym hiszpańskim wzgórzu, podczas gdy dzieci innych przyjaciół sadzają swoje grube tyłki w wygodnych kancelaryjnych fotelach? Pani Greene wciągnęła nawet w całą sprawę swego znudzonego męża, sugerując, że ich córka widocznie przechodzi załamanie nerwowe i potrzebuje pilnej pomocy psychiatry.

Ale Claire nie dała za wygraną. Wręcz przeciwnie – nerwowa reakcja matki tylko utwierdziła ją w przekonaniu, że powinna uciekać z Dublinu tak szybko, jak to możliwe. W końcu nawet pani Greene musiała zaakceptować fakt, że córka nie zmieni zdania. Zamilkła więc i tylko chodziła nerwowo po całym domu, mamrocząc pod nosem coś o niewdzięcznym dziecku i o tym, że Róisín Murphy ma na Claire zły wpływ, a pani Greene wiedziała o tym od pierwszego dnia, kiedy ją poznała.

W dzień odjazdu Claire matka ze łzami w oczach odciągnęła ją na bok i zafundowała mały wykład.

– Wiesz, że całkowicie nie zgadzam się z twoją decyzją, ale skoro już jedziesz, to na miłość boską, uważaj na tych zagranicznych mężczyzn, zwłaszcza na Włochów.

– Nie będziemy jechać przez Włochy, mamo – rzekła Claire.

– Oni wszyscy są tacy sami – upierała się pani Greene. – Chcą tylko jednego i nie muszę ci mówić, co mam na myśli. Uwielbiają wykorzystywać niewinne irlandzkie dziewczyny takie jak ty.

– Mam dwadzieścia dwa lata, mamo. Nie jestem tak niewinna, jak ci się wydaje.

– Nieważne. Ci południowcy nie potrafią kontrolować swoich popędów jak Irlandczycy. I, na Boga, nie pozwalaj sobie stawiać drinków, pod żadnym pozorem! Wsypują do nich narkotyki i potem budzisz się rano bez ubrania. Kiedyś czytałam o tym artykuł w jakiejś gazecie.

Claire stłumiła śmiech.

– Będę pamiętać.

– I nie noś obcisłych spodni. To ich podnieca.

Ojciec tylko pocałował Claire, uściskał ją i wręczył kopertę wypchaną banknotami o nominale pięćdziesięciu euro.

– Powodzenia – powiedział. – Odzywaj się do nas. Możesz zawsze dzwonić na nasz koszt, pamiętaj.

– Dzięki, tato – rzekła Claire, zakładając plecak na plecy, i wyszła na podjazd, gdzie czekała na nią taksówka.

Kiedy odjeżdżała spod domu, poczuła nowo odkrytą wolność. Wiedziała, że rodzice ją kochają. I wiedziała, że matka troszczy się o nią z całego serca. Ale musiała uciec. Atmosfera w domu była coraz gęściejsza, czuła się jak w szklarni, a chciała wreszcie odrobinę odetchnąć. Chciała pożyć. Chciała sama podejmować decyzje. A jeśli popełni błąd, trudno. Przynajmniej będzie to jej własny błąd.

Jednak tego słonecznego sierpniowego poranka, kiedy jechała na stację, gdzie miała spotkać się z Róisín, Claire Greene myślała o wszystkim, tylko nie o ewentualnych błędnych decyzjach.



Od chwili, kiedy wsiadła do pociągu, który miał zabrać je do Rosslare, Claire czuła się jak podróżnik, który wyrusza, by odkrywać nowe światy. To miał być najdłuższy okres spędzony poza domem od czasu, kiedy pojechała do Connemara Gaeltacht w wieku czternastu lat. Teraz miało jej nie być cały rok! Ta wyprawa to ogromna szansa: Claire chciała robić nowe rzeczy, poznawać nowych ludzi. Czuła dreszczyk podniecenia, sadowiąc się wygodnie i patrząc na uciekający krajobraz.

Przed siódmą znalazły się już w Cherbourgu. Było zbyt późno, aby jechać dalej, a jako że Róisin odkryła mały, tani hotel niedaleko dworca, zostawiły tam swój bagaż i poszły coś zjeść. Co prawda, obiecały sobie, że

będą rozważnie wydawać pieniądze, ale nie mogły się powstrzymać, bo udało im się zjeść pyszną kolację z małżami, sałatką, świeżym chlebem i karafką czerwonego wina, płacąc kwotę, za którą w domu mogłyby co najwyżej kupić hamburgera. Po kolacji pozwoliły sobie jeszcze na kieliszek cointreau i kawę. Claire w końcu poczuła się spokojnie. Świat, który opuściły zaledwie dwanaście godzin wcześniej, wydawał się odległy o miliony kilometrów. Rozsiadła się w wygodnym wiklinowym fotelu i wdychała morskie powietrze.

- Czujesz? – spytała przyjaciółkę.
- Co?
- Wolność.

Róisin roześmiała się.

- Wiem, o czym mówisz. Cudowne, prawda? Żadnych więcej wykładów! Żadnych egzaminów. Możemy robić, co chcemy; jechać, gdzie nam się podoba.

- Nie wiem, czemu wcześniej na to nie wpadłam.
- Bo twój mózg był ustawiony na robienie kariery. Zmuszano cię, żebyś wierzyła, że to jedyny właściwy kierunek, w jakim możesz podążać.
- Masz absolutną rację.
- Dałaś się złapać na wyścig szczurów.
- Raczej szarych myszek!

Odrzuciły głowy do tyłu i roześmiały się głośno. Pulchna właścicielka restauracji uśmiechnęła się do nich zza baru. Znała te objawy. Dziewczyny przyjechały do Francji i ich nastroje natychmiast się zmieniły wraz z pogodą. Dobrze było widzieć, że klienci są zadowoleni.

Następnego ranka wstały wcześniej – zamierzały jechać bezpośrednim pociągiem do Paryża, tam spędzić tydzień, a potem ruszyć dalej na południe. Na śniadanie zjadły świeże rogaliki, wypiły kakao, zapłaciły rachunek i wyruszyły na dworzec. Około południa pociąg wjechał na Gare du Nord.

Niedaleko dworca było wiele tanich hoteli – dziewczynom udało się znaleźć miejsce, które wyglądało na czyste, a ceny były w miarę rozsądne. Róisin nieźle mówiła po francusku, udało się więc wynegocjować korzystną zniżkę. Po Cherbourgu Paryż wydawał im się zatłoczony i hałaśliwy, a upał nie do zniesienia, ale nie



miały zamiaru się tym przejmować. Obie po raz pierwszy były w stolicy Francji i chciały czerpać z tego czasu tak wiele przyjemności, jak to było możliwe.

Następnych siedem dni spędziły, spacerując po ulicach, wzdłuż brzegów Sekwany, zatrzymując się w małych kafejkach, kiedy były głodne, i odpoczywając w parkach, w których tryskały fontanny i stały wielkie rzeźby. Na dobranoc wypijały drinka w jednym z wielu barów, które ciągnęły się wzdłuż ulicy niedaleko hotelu.

Zachowywały się jak prawdziwe turystki: odwiedziły Notre Dame i Luwr, pojechały do Ogrodów Luksemburskich, odbyły pociągiem podróż do Wersalu, żeby zobaczyć wspaniały pałac Króla Słońce. Zanim się spostrzegły, cudowny tydzień w Paryżu dobiegł końca i nadszedł czas, by ruszać dalej.

Tego poranka, kiedy odjeżdżały, zaczął padać deszcz. Dojechały metrem do Porte de Vincennes, założyły plecaki i wyszły w kapryśną mżawkę, aby stanąć przy zmoczonej deszczem autostradzie. Czekwały, aż jakiś uprzejmy kierowca raczy się zatrzymać. Najwyraźniej pomogła brzydka pogoda, bo po dwudziestu minutach pewien miłosierny kierowca tira zlitował się nad dwiema przemoczonymi dziewczynami, i chwilę później siedziały już w ciepłej szoferce, jadąc na południe, w stronę Dijon.

Zanim dotarły do Marsylii, minął kolejny tydzień, ale w końcu nigdzie im się nie śpieszyło. Gdyby dotarły do miasta tak, jak planowały, miały już zarezerwowany pokój w hotelu; w innym wypadku – postanowiły przespacerować się tam, gdzie znajdują miejsce. Im dalej posuwały się na południe, tym pogoda stawała się ładniejsza – mogły rozłożyć śpiwory w jakiejś stodole albo pod krzakiem i zdrzemnąć się pod gwiazdami. Rankiem, kiedy budził je śpiew ptaków, szły do najbliższego miasteczka na śniadanie – świeżą kawę i ciepłe bagietki z szynką albo miękkimi plasterkami camemberta. Claire uwielbiała te dni, które stały się częścią jej wielkiej przygody. Czasem miały ochotę ominąć kolejne miasto, żeby tylko przespacerować się na świeżym powietrzu.

Marsylia okazała się duża, zatłoczona i hałaśliwa – jak mniejsza wersja Paryża, tyle że blisko było morze, a w powietrzu czuło się śródziemnomorski klimat. Dziewczyny spędziły noc w głośnym hoteliku, w którym ludzie przez całą noc wchodzili i wychodzili, tak że nie można było się wyspać. Rano ze śmiechem odkryły, że pokoje wynajmowano tam raczej na godziny, a nie dni. Szybko spakowały plecaki i wyruszyły wzdłuż wybrzeża w stronę Perpignan. Dwa dni później dotarły do Barcelony.

Claire dużo czytała o stolicy Katalonii, ale miasto i tak zaparło jej dech w piersiach. Nie mogła nadziwić się swobodnemu stylowi bycia mieszkańców, kosmopolitycznej atmosferze, otwartym placom, kafejkom na chodnikach, niesamowitej Rambli pokrytej dywanami kwiatów; bazarom. Podziwiała tętniący życiem port, który zaskakiwał każdego gościa docierającego na dół wzgórza.

Chciałyby zostać dłużej w Barcelonie, Róisín wolała jednak jak najszybciej jechać dalej na południe, na Costa del Sol. Zasoby finansowe zaczęły już topnieć, a przyjaciółka uważała, że łatwiej będzie znaleźć pracę właśnie na wybrzeżu, gdzie jest jeszcze więcej turystów. Dlatego cztery dni później Claire niechętnie spakowała plecak i ruszyły dalej.

Dotarły do Fuengirolí w połowie września. Róisín chciała jechać jeszcze dalej, do Marbelli, ale szybkie rozeznanie w kwestii lokalowej przekonało ją, by zostać. Marbella była droższa i bardziej snobistyczna, znalezienie taniego noclegu mogło okazać się niemożliwe. Lepiej było zostać we Fuengirolí. Sezon wakacyjny zbliżał się ku końcowi, ruch był coraz mniejszy. Dziewczęta postanowiły, że spędzą zimę na miejscu, a na wiosnę wymyślą, co robić dalej.

Zostawiły plecaki w przechowalni bagażu na dworcu autobusowym i zaczęły szukać miejsca do spania. I znów zadziałał los: kiedy minęły dziesiątki agencji nieruchomości usytuowanych wzdłuż brzegu, w jednej z bocznych uliczek starego miasta trafiły na małe biuro. Mężczyzna, który wyszedł, by porozmawiać z dziewczynami, miał jakieś trzydzieści lat, był wysoki, ciemnowłosy, niebieskooki, opalony i ubrany w elegancki granatowy prążkowany garnitur, koszulę i krawat. Mówił żywo z londyńskim akcentem. Przypominał Claire idealnie przystojny manekin z wystawy drogiego sklepu – tyle że się poruszał. Bardzo żwawo się poruszał.

Tak, ma lokal do wynajęcia. Tak, cichy i czysty. Jak długo zamierzają zostać?

– Trzy... – zaczęła Róisín. Claire przerwała jej zdecydowanie.

– Sześć miesięcy.

– Cóż, to nieco zmienia postać rzeczy. Jeśli chcecie zostać na pół roku, mogę wam dać zniżkę.

– To ile? – spytała Claire.

– Czteryście euro miesięcznie.

– Trzysta.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

– Nie chcecie najpierw obejrzeć mieszkania?

– Oczywiście. Ale zanim je zobaczymy, chcę się upewnić, że możemy się dogadać. Bez sensu, żebyśmy tracili czas.

Zawiózł je do mieszkania oddalonego tylko o kilka ulic od agencji. Usytuowane było w nowym bloku, miało dwie sypialnie, przyzwoitej wielkości salonik, łazienkę, kuchnię i balkon z widokiem na ulicę. Wynajmujący wyjaśnił, że mieszkanie należy do pewnej Francuzki, której mąż zachorował, nie mogła więc przyjeżdżać do Hiszpanii. Miejsce wydawało się idealne dla Claire i Róisín.

– Co jest zawarte w czynszu? – dopytywała się Claire. Mężczyzna wyglądał na rozbawionego.

– Mieszkanie, oczywiście.

– A co z opłatami?

Roześmiał się głośno.

– Mój Boże, trudno się z wami targuje!

– Sezon się kończy – wyjaśniła Claire – i mieszkanie pewnie będzie stało puste całą zimę. A w ten sposób jakaś część kosztów się zwróci.

Dogadali się w końcu, że w czynszu zawarte będą opłaty za wodę, gaz i prąd, ale dziewczyny musiały zapłacić za miesiąc z góry.

Gdy wychodzili z mieszkania, mężczyzna spytał:

– Co, moje panie, zamierzacie robić we Fuengirolí?

– Pracować – odparła Claire.

Mężczyzna podniósł z zaciekawieniem brew.

– A umiałybyście sprzedawać nieruchomości?

– Co konkretnie miałybyśmy robić? – Claire odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Przyjdźcie rano do mojego biura. Wypiszę umowę najmu i wtedy wszystko wam wyjaśnię. – Położył na stole wizytówkę. *Matthew Baker. Dyrektor Sprzedaży. Gateway Properties Ltd.*

Nadszedł wieczór. W miłej kafejce na placu przy kościele dziewczyny zjadły paellę z sałatką i ciepłym chlebem.

– Dobrze zrobiłaś, mówiąc mu, że zostaniemy tu na sześć miesięcy – odezwała się Róisín.

– Domyśliłam się, że możemy dostać lepszą cenę. A zresztą, kto wie. Może zostaniemy tu na pół roku.

Stuknęły się kieliszkami i popatrzyły na rozciągający się przed nimi plac. Właśnie włączały się latarnie i pojawiali się kolejni przechodnie – całe rodziny ciągnące ze sobą dziadków i dzieci. Wokół przebranego za klauna artysty zgromadził się tłum gapiów. Claire poczuła, jak przyjemny spokój rozchodzi się po jej ciele. Podobało się jej tutaj. Czowała to w kościach. Wszystko zaczynało się układać. Miały ładne mieszkanie, jutro być może dostaną pracę. Opróżniła kieliszek i westchnęła z zadowoleniem.

Następnego ranka o dziesiątej dziewczyny stawily się w agencji nieruchomości. Na dworze było już ciepło i zapowiadał się upalny dzień. Gdy weszły do środka, młoda kobieta wyglądająca, jakby właśnie zeszła ze stron „Vogue'a”, z olśniewającym uśmiechem spytała, czego sobie życzą. Kiedy wyjaśniły, po co przyszły, uśmiechnęła się jeszcze szerzej i dystyngowanym, opanowanym głosem oświadczyła:

– Pan Baker czeka na panie.

Poprowadziła je na tył biura i otworzyła drzwi wejściowe.

Matthew Baker rozmawiał właśnie przez telefon. Ubrany był w srebrnoszarą koszulę tak świeżą, że wyglądała, jakby dopiero wyciągnięto ją z opakowania. Wy-

glądał równie perfekcyjnie, jak poprzedniego dnia. „Jak on to, do diaska, robi? – pomyślała Claire. – Może mają tu gdzieś wbudowaną wewnętrzną klimatyzację, która utrzymuje niską temperaturę?”. Ona sama czuła już, jak strużka potu zaczyna spływać jej na czoło.

Matthew odłożył słuchawkę i poprosił, by usiadły. Położył na biurku dwa egzemplarze umowy najmu do podpisania. Potem sam podpisał oba, jeden zachowując dla siebie.

– Czy podpisy nie powinny być potwierdzone przez osoby trzecie? – spytała Claire.

Uśmiechnął się i lekceważąco machnął ręką.

– Tutaj wszyscy jesteśmy przyjaciółmi. – Przyjrzał się uważnie dziewczynom i dodał: – Przynajmniej tak mi się zdaje.

Jego urok podziałał także na Claire. Odwzajemniła uśmiech i odparła:

– Mówił pan, że może mieć dla nas pracę.

– Tak, to możliwe. Już wykazała się pani niezłymi umiejętnościami w dziedzinie negocjacji, panno... – spojrzał na umowę.

– Greene – podpowiedziała Claire. – Co miałybyśmy robić?

– Już mówiłem, sprzedawać nieruchomości.

– Jak?

– Zatrzymując ludzi na ulicy.

Róisín wybuchnęła śmiechem.

– Pan oczywiście żartuje.

– Bynajmniej.

– Ale nie tak sprzedaje się nieruchomości.

– Niby dlaczego nie? To kwestia innej kultury. Hiszpanie mają bardziej agresywne podejście do handlu. Widziały panie, jak działają choćby na lokalnym rynku? Zresztą tak naprawdę nie będziecie musiały niczego sprzedawać. Ja będę to robić. Waszym zadaniem byłoby przekonywanie klientów, żeby trafili właśnie do naszego biura. Resztę zostawiacie mnie.

Przez następny kwadrans wyjaśniał, jak działa całe przedsięwzięcie. Róisín i Claire miały dostać broszury ze zdjęciami nowego apartamentowca budowanego na przedmieściach miasta. Powinny zaczepiać ludzi na ulicy i zachęcać ich lub przekonywać, żeby skierowali się do biura, w którym już miał czekać Matthew Baker.

Dziewczyny spojrzały na siebie.

– Czy to jest legalne? – spytała Róisín. – Nie chcemy, żeby nas aresztowano.

– To całkowicie legalne. Chyba nie myślicie, że hiszpańskie władze pozwoliłyby mi na otwarcie i prowadzenie tego biura choćby przez pięć minut, gdybym wszystkiego nie załatwił jak trzeba. Oczywiście, istnieją pewne zasady. Możecie

zaczepiać tylko pary. Nie chcemy, żeby jeden partner zgodził się na kupno, a potem drugi przyszedł następnego dnia i wycofał zgodę. No i w wypadku par mamy jeszcze zapewniony okres „rozważania” zakupu, co pozwala im zawsze zmienić zdanie i do nas wrócić.

Matthew wstał zza biurka i rozłożył na podłodze dużą sztalugę. Był to plan zagospodarowania terenu, na górze widniał jaskrawy napis *Apartamentos Vista del Mar*.

– To są rysunki nieruchomości. Wyjaśnię wam teraz wszystko, co musicie wiedzieć o ich zaletach.

Kiedy skończył, Claire zapytała wprost:

– Ile zamierza pan nam płacić?

– Sto euro tygodniowo, plus sto, jeśli przyprowadzicie poważnego klienta.

Jeśli sprzedamy – dodatkowa premia.

Claire szybko podliczyła kwoty. Podstawowa pensja była bardzo marna – w Irlandii więcej wynosił zasiłek dla bezrobotnych – ale wystarczyłaby na opłacenie czynszu, a gdyby udało się przyciągnąć klientów, stawka wzrastała do całkiem przyzwoitej. Claire spojrzała na Róisín, która niepewnie skinęła głową.

– Dobrze, spróbujemy.

Matthew Baker klasnął w dłonie.

– Doskonale! – Otworzył szufladę i wyjął z niej dwa telefony komórkowe. – Dzwoncie do mnie natychmiast, gdy tylko znajdziecie kogoś zainteresowanego. I przywieźcie go tu taksówką, to robi lepsze wrażenie. Nie spuszczać go z oczu i nie wdawajcie się w żadne dyskusje o cenach, dopóki nie dowiedziecie go tutaj. No dobrze, to kiedy możecie zacząć?

– Dziś po południu? – zaproponowała Claire.

– Świetnie! W takim razie bądźcie o drugiej. – Matthew zmierzył dziewczyny wzrokiem od stóp do głów i dodał: – I jeszcze jedno, drogie panie. Nie obrażcie się, ale czy mogłybyście trochę się odświeżyć? Założyć coś bardziej eleganckiego? Pierwsze wrażenie jest najważniejsze.

Claire nie wiedziała, czy powinna się zaśmiać czy obrazić, ale zauważyła już, że praca w Gateway Properties opiera się także na wyglądzie zewnętrznym. Matthew i jego sekretarka wyglądali jak James Bond i jego dziewczyna.

Resztę przedpołudnia spędziły w pobliskim supermarkecie, uzupełniając zapasy, a potem zjadły lunch w małej restauracji. Nie miały pojęcia, kiedy znajdą czas na kolejny posiłek.

– I co o tym myślisz? – spytała przyjaciółkę Róisín, zajadając się grilowanymi sardynkami.

Claire odrzuciła do tyłu burzę ciemnych włosów.

– Wygląda na to, że będzie ciężko. Ale przynajmniej mamy pracę. Staniemy na nogi, a jeśli nam się nie spodoba, to przecież nie musimy zostawać.

– Nigdy w życiu niczego nie sprzedawałam – ponuro odparła Róisín.

Claire dostrzegła, że przyjaciółka ma poważne wątpliwości.

– Ja też nie. Ale zawsze musi być ten pierwszy raz.

Przez chwilę pomyślała o matce. Wpadłaby w furję, gdyby dowiedziała się, że jej córka stoi na ulicznym rogu i próbuje sprzedać mieszkania zupełnie obcym ludziom. To byłby kolejny argument na to, że Claire całkiem postradała zmysły.

Słońce weszło już wysoko i ulice skapane były w złotej poświacie. Claire delikatnie poklepała Róisín po ramieniu.

– Uśmiechnij się. Sprawdziałam rano w Internecie pogodę dla Dublina. Pada deszcz.

Matthew Baker podwiózł Claire i Róisín w okolice nadmorskiej promenady i wysadził koło boiska doskonale usytuowanego tuż przy postoju taksówek. Każda dostała własny stosik błyszczących broszurek reklamujących apartamenty od niezmiennie spokojnego, acz energicznego nowego pracodawcy.

– No, dobrze, moje panie. Jesteście zdane na siebie. Tylko pamiętajcie – musicie dawać do zrozumienia tym ludziom, że to wy robicie im przysługę, nie odwrotnie. A gdy tylko połkną przynętę, wsadzacie ich do taksówki i wieziecie do biura. Bułka z masłem!

Claire przypominała sobie to ostatnie zdanie wiele razy w ciągu kilku następnych godzin. W tym, co miały robić, nie było nic łatwego. Tak naprawdę żadna z rzeczy, które do tej pory przeżyły, nie przygotowała ich na to, czego miały wkrótce doświadczyć.

Matthew kazał im się szeroko uśmiechnąć, rozpocząć rozmowę pytaniem, skąd potencjalni klienci przyjechali i jak się bawią na wakacjach. Niestety, już po krótkiej chwili mięśnie policzków tak zaczęły boleć od ciągłego napinania, że Claire nie mogła wymówić nawet tego pierwszego zdania. Ludzie, do których podchodziła, natychmiast się denerwowali, machali ręką, żeby ją odpędzić albo spławiali niegrzecznie, jakby była żebraczką. Claire zaczęła martwić się kolejnymi negatywnymi reakcjami przechodniów. Słońce świeciło coraz mocniej i jaśniej, godziny mijały, nogi zaczęły boleć ją z bólu, a opalona skóra piekła. Przeklinała samą siebie, że w pośpiechu zapomniała posmarować się kremem z filtrem.

Róisín wcale nie szło lepiej: sztuczny uśmiech na jej twarzy już dawno zbladł i zmienił się w dziwny grymas. To była piekielna praca. Nic dziwnego, że Matthew Baker tak bardzo chciał je zatrudnić, mimo że nie miały doświadczenia ani referencji, i ominął formalności, których Claire oczekiwała podczas spotkania w sprawie pracy. Do tej pory po prostu nie znalazł nikogo tak naiwnego, kto przyjąłby tę pracę. To był powód.



I właśnie wtedy, kiedy Claire nabrała ochoty, aby spakować się i wrzucić wszystkie broszury do najbliższego kosza na śmieci, niedaleko zatrzymała się para w średnim wieku.

- Dzień dobry - odezwała się Claire, w panice próbując sobie przypomnieć wszystkie rady Matthew. - Skąd państwo przyjechali?

- Z Liverpoolu - odparł mężczyzna.

- A, Liverpool! Nieoficjalna stolica Irlandii.

Mężczyzna zaśmiał się.

- Moja matka była Irlandką. Panie, świeć nad jej duszą.

- Czyż to nie dziwny zbieg okoliczności? - paplała dalej Claire. To już była najdłuższa rozmowa, jaką udało się jej przeprowadzić w ciągu ostatnich trzech godzin. - Dobrze się państwu odpoczywa?

- Jak dotąd tak - odparła żona mężczyzny - drobna, krucha kobietka z jasnymi włosami.

- Proszę mi nie mówić, że tęsknią państwo za tą okropną angielską pogodą? - szybko pytała Claire, zastanawiając się, skąd u niej ta nagła inspiracja. Nigdy w życiu do nikogo tak nie mówiła. Ale ci państwo wydawali się zadowoleni, bo tym razem oboje się roześmiali.

A teraz miał nastąpić nokautujący cios.

- Interesują państwa może nieruchomości w tej okolicy?

Para spojrzała na siebie. Chwila ciszy wydawała się trwać w nieskończoność.

- Być może - odrzekł w końcu mężczyzna. Jego żona przytaknęła skinieniem głowy.

- Za kilka miesięcy John przechodzi na wcześniejszą emeryturę. Chcieliśmy się rozejrzeć za jakimś miłym mieszkankiem. Tylko niezbyt drogim, oczywiście.

Claire próbowała powstrzymać emocje.

- W takim razie być może mam coś dla państwa - powiedziała zachęcająco, wyciągając jedną z broszur.

Pięć minut później siedziała już z angielską parą w taksówce. Podała kierowcy adres i nie przestawała mówić. Matthew ostrzegał ją, by nie spuszczała klientów z oka, dopóki nie dotrą do biura Gateway Properties, gdzie on miał dokonać ewentualnej transakcji.

I udało mu się! Godzinę później bardzo zadowoleni John i Emily Mortonowie wyszli z pokoju Matthew po wpłaceniu zaliczki i podpisaniu umowy na zakup dwupokojowego apartamentu w Vista del Mar. Claire była przeszczęśliwa. Pomogła sprzedać mieszkanie, ale równie ważne było to, że Mortonowie byli usatysfakcjonowani. Do tej pory obawiała się nieco, że będzie musiała wciskać ludziom coś, czego oni wcale nie będą potrzebowali. Ale tym razem było odwrotnie. Małżonkowie wydawali się naprawdę zadowoleni z transakcji.

Tego samego wieczoru, kiedy dziewczyny dotarły do mieszkania, wzięły prysznic i przebrały się, Matthew zabrał je obie na uroczystą kolację do ślicznej małej restauracji na starym mieście.

– To chyba zasługa irlandzkiego kamienia z Blarney, który podobno daje dar elokwencji – powiedział, napełniając kieliszki czerwoną rioją. – Nigdy tak szybko nie zawarłem umowy kupna.

Claire się zaczerwieniła. Była z siebie dumna.

– To raczej zasługa mojej przyjacielskiej natury.

– Nieważne, co to było, ważne, że podziałało. – Matthew wyjął z kieszeni kalkulator i szybko coś podliczył.

– Właśnie zarobiłaś premię w wysokości pięciuset euro.

Claire nie mogła być szczęśliwsza. Spojrzała na Matthew. W wieczornym świetle wyglądał jeszcze przystojniej niż zwykle: ciemne włosy i biała koszula odznaczały się na tle czekoladowej opalenizny. Jego błękitne oczy zaiskrzyły się, a na twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Myślisz, że jutro uda ci się drugi raz? – zapytał.

– Na pewno spróbuję – odparła.

Nie udało się. Claire stała cały dzień na gorącym chodniku i nie dała rady zainteresować ani jednej osoby. Czuła, jak jej pewność siebie gdzieś znika, wracając zniechęcenie i przygnębienie. Na szczęście następnego dnia Claire przyprowadziła do biura dwie pary i jedna z nich kupiła apartament. Pod koniec tygodnia zarobki panny Greene wyniosły łącznie tysiąc trzysta euro, co było bardzo przyzwoitą sumą, gdziekolwiek by pracowała. Zaczęła myśleć, że może jednak ma smykałkę do handlu.

Niestety Róisín szło znacznie gorzej. Udało jej się jedynie nakłonić dwoje ludzi, żeby wsiedli do taksówki. Niestety, nagle zmienili zdanie i zrezygnowali. Ta porażka całkowicie pozbawiła Róisín chęci do działania. Pod koniec drugiego tygodnia zdecydowała, że rezygnuje i poszuka czegoś łatwiejszego, na przykład pracy w barze.

– Przynajmniej w barze nie musisz wystawać na ulicy i wciskać ludziom szklanek z piwem do ręki. Kiedy wchodzi do pubu, to wiadomo, że chcą się napić.

– To prawda – przyznała Claire.

Próbowała pocieszyć przyjaciółkę.

– Słuchaj, nie bierz tego do siebie. Ja po prostu miałam szczęście, i tyle.

– Nie – Róisín pokręciła głową – ty masz prawdziwy talent do handlu. Ludzie ci ufają. Ja mogłabym stać na tym rogu cały rok i nikt nie kupiłby ode mnie mieszkania.

Matthew nie był specjalnie rozczarowany decyzją Róisín. Najwyraźniej interesowali go wyłącznie ludzie, którzy umieli coś sprzedać, a ktoś, kto był nieszczęśliwy w tej pracy, nie mógł być dobrym sprzedawcą – nie miało więc sensu płacić mu pensji. Poza tym miał Claire i dwie młode Szkotki, które niedawno zatrudniły się w firmie. Wkrótce Claire organizowała tygodniowo około sześciu spotkań i finalizowała dwie transakcje: zarabiała całkiem przyzwoicie. A ponieważ w Hiszpanii wszystko było dużo tańsze niż w domu, pierwszy raz w życiu była spokojna o swoje finanse.

Praca była jednak ciężka. Przez sześć dni w tygodniu Claire stała w jednym miejscu z uśmiechem przyklejonym do twarzy. Udało jej się nawet wymyślić kilka własnych technik sprzedaży, choć głównie polegała na ogólnej sympatii do Irlandczyków, której nie wahała się wykorzystywać. Jednak najszcześniejsza była wtedy, kiedy wreszcie przychodziła niedziela, a ona mogła po prostu poleżeć na plaży i pogłębiać swoją opaleniznę.

W tym czasie Róisín znalazła pracę w barze przy plaży U Pedra, w którym podawano jedzenie i drinki. Przyjaciółka wyraźnie cieszyła się, że poznaje coraz to nowych ludzi. Kiedy Claire kończyła swoją wachtę, szła plażą w stronę baru, by napić się piwa, zjeść kanapkę i poplotkować trochę z Róisín. Poznała też stałych bywalców baru: Marię, starszą panią, Hiszpankę, która prowadziła bar i zawsze chodziła w czerni, ponieważ była wdową, a także hiszpańskich ratowników oraz emerytowanego angielskiego pułkownika, który uwielbiał opowiadać Claire o swoich przygodach, trzymając jej dłoń, wpatrując się głęboko w oczy i podkreślając wąsa.

Dziewczyny były szczęśliwe. Wraz z nadejściem zimy dni zrobiły się nieco zimniejsze, ale i tak było tu dużo cieplej niż w Irlandii. Wciąż można było wieczorami jeść w kawiarnianych ogródkach i prawie codziennie kąpać się w morzu. Niebo zawsze było bezchmurne, a słońce nie przestawało świecić. Claire napisała do matki długi list, opisując, jak dobrze żyje jej się w Hiszpanii. Dołączyła też małą wizytówkę, którą kazał wydrukować Matthew. Złotymi literami było tam napisane: *Claire Greene, negocjator nieruchomości*. Wiedziała, że nie jest to może osiągnięcie, które spodobałoby się matce, ale przynajmniej będzie mogła pokazywać wizytówkę swoim znajomym na dowód, że jej córka nie żebrze na ulicy.

Wraz z upływem tygodni Claire coraz więcej czasu spędzała z Matthew i dowiadywała się o nim nowych rzeczy. Pochodził z Fulham w zachodnim Londynie, miał dwadzieścia dziewięć lat, a na wybrzeżu mieszkał już od czterech. Wkręcił się w handel nieruchomościami tak samo jak Claire – zaczepiając ludzi na ulicy. Potem dostał awans i został menedżerem firmy, której właścicielem był niejaki Sid Robbins – na stałe mieszkał on w Londynie i przyjeżdżał do Fuengirolí tylko dwa razy do roku.

Czas mijał, a Matthew coraz bardziej zaczynał polegać na Claire. Najpierw poprosił ją, by szkoliła nowych pracowników – młodych, chętnych do pracy naiwniaków, którzy każdego dnia byli wysyłani na ulicę ze stosami broszurek i marzeniami o wielkiej prowizji. Od czasu do czasu, kiedy musiał wziąć wolny dzień, prosił, by Claire zastępowała go w biurze. Dzielił się z nią problemami i pytał o radę.

W końcu zostali kochankami. Dla Claire nie było to nic niespodziewanego. Pewnej księżycowej nocy oboje byli nieco wstawieni po pysznej kolacji i... stało się. Wino oczywiście nie było tu żadną wymówką. Już od jakiegoś czasu wiedziała, że „to” się stanie. Czekala tylko na właściwy moment. Kiedy rano obudziła się w łóżku Matthew, a słońce zaglądało do środka przez ogromne balkonowe okna, Claire niczego nie żałowała. I nie dziwiła się niczemu.

Matthew chciał, żeby zamieszkali razem, ale Claire odmówiła. Nie była gotowa aż tak się zaangażować, no i musiała myśleć o Róisín, której nie wiodło się dobrze – ledwie przedła na kiepskiej barowej pensji i napiwkach. Gdyby Claire się wyprowadziła, przyjaciółka musiałaby znaleźć kogoś na jej miejsce, a to mogło być trudne. Matthew musiał zrozumieć, że przyjaciółki nie można zostawić na lodzie.

Ale i tak większość wolnego czasu spędzała z Matthew, a kilka nocy w tygodniu spała w jego mieszkaniu. Taka sytuacja zupełnie jej odpowiadała. Miała swoją niezależność, ale była w stałym związku. Co prawda, kilka osób ostrzegało Claire, aby nie angażowała się zbyt mocno w związek z szefem, ale ona nie uważała Matthew za zwykłego szefa: był jej przyjacielem, a teraz – kochankiem.

Jednak nic nie zapowiadało niespodzianki, jaka spotkała Claire pewnego wieczoru zaraz po Wielkanocy. Pogoda znów się poprawiła i turyści zaczęli pojawiać się w coraz większej liczbie. To oznaczało więcej pracy dla Gateway Properties po marnym zimowym okresie. Claire i Matthew byli na koncercie w Marbelli, a potem zjedli kolację w jednej z przepięknych restauracji na Orange Square. Claire jadła na przystawkę krewetki z awokado, kiedy Matthew wypalił nagle:

– Chciałabyś pojechać ze mną do Londynu?

Claire wydawało się, że z powodu głośnych rozmów przy sąsiednich stolikach coś jej się przesłyszało.

– Jedziesz odwiedzić rodzinę?

– Też. Ale nie jest to najważniejszy powód mojego wyjazdu.

Zaciekawiał ją. Odłożyła sztućce i poprosiła:

– Na miłość boską, Matthew, przestań mówić zagadkami!

Uśmiechnął się tajemniczo.

– Przeprowadzam się do Londynu.

Claire zupełnie zamurowało.

– Na stałe?

– Tak.

Nie miała pojęcia, co powiedzieć. Ale przecież wiedziała, że pewnego dnia sielskie życie we Fuengirolí musi się skończyć.

– Ale dlaczego?

– Bo Sid mnie tam potrzebuje. Uważa, że hiszpański rynek nieruchomości czeka teraz bessa. Budują tu zbyt wiele mieszkań i coraz trudniej znaleźć na nie kupców. Sid się wycofuje.

– Nie rozumiem.

– Chce, żebym poprowadził jego biuro w Chelsea. Dla ciebie też mają pracę.

– Jaką?

– Asystentki kierownika. Dobrze płaca.

– Od kiedy?

– Za kilka tygodni. Już wypowiedzieliśmy umowę najmu biura.

Claire westchnęła, a Matthew delikatnie ujął jej dłoń.

– Bardzo bym chciał, żebyś pojechała ze mną. Sprzedaż nieruchomości wszędzie na świecie odbywa się tak samo. Tyle że w Londynie trzeba być nieco bardziej wyrafinowanym. Ale spodoba ci się tam, Claire. A Chelsea to doskonała lokalizacja, mnóstwo ciekawych postaci.

Claire rozejrzała się po niewielkim skwerku. Ludzie siedzieli pod gwiazdami, jedząc kolację. Fuksje i bugenwille zaczynały kwitnąć, wypełniając powietrze swoim ciężkim zapachem. Jacyś uliczni muzycy chodzili wokół stołów, umilając posiłek smutnymi, miłosnymi hiszpańskimi piosenkami. Miałyby to wszystko zostawić? I co z Róisín? Co by się z nią stało?

– Muszę to przemyśleć – odpowiedziała.

Róisín była tak samo zaskoczona.

– Chcesz wyjechać?

– Nie, chciałabym tak żyć wiecznie. Kocham to miejsce.

– Ale chcesz być z Matthew?

Claire pokiwała głową.

– Chyba go kocham, Róisín.

– Więc idź za głosem serca.

– A co ty zrobisz?

– Zostanę tu do końca sezonu. Znajdę jakąś współlokatorkę. Nie martw się o mnie.

– Jesteś pewna? Czuję się paskudnie, że cię tutaj zostawiam.

Róisín uściskała przyjaciółkę.

– Dam sobie radę. Odzywaj się do mnie. A ja będę dzwonić i pisać e-maile z wiadomościami. Może przyjedziesz mnie odwiedzić?

– Pewnie, że przyjadę.

Matthew w końcu zwołał naradę personelu i oznajmił, że zamykają biuro. Podziękował wszystkim za ciężką pracę dla Gateway Properties i wręczył specjalne premie. Potem zabrał ich na suto zakrapianą kolację. Ale to akurat była katastrofa. Młode Szkotki wypily za dużo wina, zaczęły płakać i wszyscy popadli w melancholię, ciesząc się, kiedy kolacja dobiegła końca.

Musieli jeszcze załatwić papierkową robotę i przekazać umowy najmu radcy prawnemu firmy, ale wkrótce byli już gotowi do wyjazdu. Claire musiała kupić walizkę, żeby zapakować wszystkie rzeczy, które sprawiła sobie w ciągu sześciu miesięcy spędzonych w Hiszpanii. W końcu mogli odjeżdżać. Róisin pojechała z nimi na lotnisko, ucałowała na do widzenia i machała, dopóki nie przeszli do hali odlotów. Poranek był cudownie słoneczny, a niebo zupełnie bezchmurne. Claire poczuła ukłucie w sercu. Nie chciała wyjeżdżać. Dwie godziny później wylądowali na lotnisku Gatwick.

Następnych kilka tygodni minęło w zawrotnym tempie. Claire i Matthew musieli znaleźć dla siebie jakieś mieszkanie, a potem zorganizować nowe biuro. Sid Robbins wynajął lokal przy Vere Street, w samym sercu Chelsea, z wielką szklaną witryną, która – jak mówił – jest najważniejszym elementem biura sprzedaży nieruchomości. Trzeba wystawiać wabiki. To przyciągnie klientów. Sid okazał się tęgim mężczyzną ze słabością do jaskrawych krawatów i grubych, śmierdzących cygar. Przypominał Claire hollywoodzkiego producenta filmowego z lat pięćdziesiątych. Wyraźnie ją polubił i oświadczył, że skoro coraz więcej kobiet zaczyna kupować nieruchomości, przyda im się w firmie element kobiecy.

Wreszcie biuro było gotowe. Zorganizowali wielkie otwarcie z szampanem i zaprosili urzędników miejskich, których zdjęcia trafiły do gazet. Sidowi udało się nawet ściągnąć kilku podstarzałych aktorów, żeby dodać blasku uroczystości, i mogli rozpocząć pracę. Tymczasem Matthew i Claire znaleźli ładne mieszkanie w Battersea, kilkanaście minut autem od biura.

Matthew miał rację. Sprzedawanie nieruchomości w Londynie to nie to samo, co sprzedawanie apartamentów na Costa del Sol. Tutaj nie stawało się na ulicy ze stosami broszurek, namawiając ludzi do zakupu. Zamiast tego czekało się, aż klienci przyjdą do firmy. A kiedy już przychodzili, trzeba było odbyć dziesiątki wizyt i pokazów, po których następowały tygodnie targów, zanim w końcu udawało się uzgodnić cenę. Ale też zyski były dużo większe.

Claire była zaskoczona, jak wysokie ceny osiągają całkiem przeciętne nieruchomości. Ponad pół miliona funtów za mieszkanie z dwiema sypialniami wynajęte na dwadzieścia lat nie było wcale horrendalną sumą. Nawet porównując londyńskie ceny z dublińskimi, te tutaj były iście astronomiczne. A Gateway zapewniało zawsze dwa procent prowizji.

Claire szybko się zaaklimatyzowała i przyzwyczaiła do życia w wielkim mieście. Zamieniła koszulki i szorty na eleganckie garnitury i białe koszule, a jej



szczupła figura i długie ciemne włosy robiły oszałamiające wrażenie. Nauczyła się, jak wskazywać największe zalety nieruchomości, opowiadać o ogrodach, słonecznych przestrzeniach, jasnych kuchniach, i ukrywać defekty, na przykład zagraco-ny garaż i próchniejące podłogi.

Ludzie uwielbiali Claire. Mówili, że ma urok osobisty, cierpliwość i zawsze radosny nastrój. Chociaż wciąż była zajęta, często spędzała wiele godzin, po raz trzeci czy czwarty pokazując nieruchomość niezdecydowanemu klientowi. Jeśli chodzi o ustalanie ceny – nigdy nie naciskała swoich klientów, w przeciwieństwie do innych agentów, którzy chcieli jak najszybciej zdobyć podpis na kontrakcie. Claire odnosiła kolejne sukcesy. Sprzedawała mieszkania i domy, zarabiając sporo na samej prowizji. Po niedługim czasie klienci chcieli negocjować wyłącznie z wysoką, atrakcyjną, młodą Irlandką, bo „jakiś znajomy ją polecał”.

Zycie w Londynie także było zupełnie inne od tego na hiszpańskim wybrzeżu. Kręciło się wyłącznie wokół interesów. Claire co chwila musiała uczestniczyć w eleganckich wieczornych przyjęciach, na które trzeba było się wystroić, i w mniej formalnych, na których jedynie popijało się drinki, a deweloperzy z zapalem promowali swoje nowe projekty. Była też dobra strona: koncerty, wernisaże, modne restauracje i małe parki, po których spacerowali z Matthew w niedzielne popołudnia po obejrzeniu najnowszego filmu w którymś z kin na West Endzie.

Ale Claire często myślała o Fuengirolí, zwłaszcza gdy jesień przeszła w szarą zimę, zrobiło się chłodno, a londyńskie niebo przykryły ciemne chmury.

Róisín w końcu rzuciła pracę w barze i wróciła do Dublina. Znalazła posadę w dobrej państwowej agencji public relations i ostatnio mówiła jedynie o rynkach docelowych i kolejnych terminach. Claire czuła, że przyjaciółka w końcu dała się zapędzić do wyścigu szczurów.

Sama Claire zaangażowała się w związek z Matthew. Była już pewna, że go kocha, ale często zastanawiała się, co by odpowiedziała, gdyby kiedyś poprosił ją o rękę. Miała prawie dwadzieścia cztery lata. Niektóre z koleżanek z Trinity już się zaręczyły, kilka wyszło za mąż. Jedna nawet urodziła bliźniaki. Ale Claire nie była przekonana, czy chce już zakładać rodzinę. Jeszcze nie. Cieszyła się życiem, którym żyła. Może pomyśli o małżeństwie, ale dopiero za jakiś czas.

Tuż przed Wielkanocą Sid Robbins wysłał Claire na konferencję do Bournemouth. Zaczynała się w piątkowy wieczór, a kończyła w niedzielę. Claire zamierzała pisać do Matthew e-maile i SMS-y, a wieczorem po skończonej konferencji zadzwonić i dłużej pogadać, ale w sobotę rano zorientowała się, że zostawiła w domu swoje notatki. Postanowiła zadzwonić wcześniej i poprosić, aby Matthew przefaksował je do Bournemouth. Jednak kiedy zadzwoniła do domu, telefon odebrała jakaś młoda kobieta. Claire nie wiedziała, co myśleć. Może pomyliła numer? Sprawdziła cyfry na ekranie komórki, wszystko było w porządku.

– Kogo pani szuka? – spytała nieznajoma.

Zanim zdążyła się zastanowić, Claire wydukała:

– Matthew Bakera.

– Bierze prysznic – poinformował głos w słuchawce.

Claire poczuła, jak przeszywa ją zimny dreszcz.

– Chce pani zostawić wiadomość? – pytała dalej kobieta, uprzejmie proponując pomoc. – Mam mu powiedzieć, że kto dzwonił?

– Nikt – odparła Claire i rozłączyła się.

Usiadła na łóżku. Dłonie trzęsły się jej z nerwów. Nie mogła się pomylić: w ich wspólnym mieszkaniu znajdowała się jakaś obca młoda kobieta. Claire spojrzała na zegarek. Była ósma trzydzieści rano! W głowie natychmiast pojawiły się tysiące pytań i wątpliwości.

Może to nic takiego, może było jakieś proste wyjaśnienie? Jednak bez względu na to, jak bardzo się starała, sytuacja nie wyglądała najlepiej. Właściwie wyglądała fatalnie. Claire poczuła się zraniona i koszmarnie upokorzona.

Sekundę później zadzwonił jej telefon. To był Matthew.

– Szukałaś mnie?

– Kto to był? – ostro zapytała Claire.

– Kto?

– Kobieta, która przed chwilą odebrała telefon. Kim ona jest? I co robi w naszym mieszkaniu o wpół do dziewiątej rano?

– Uspokój się – odparł. – Mogę ci to wyjaśnić.

– Postaraj się.

– To tylko Angie z biura. Wczoraj wieczorem byliśmy na imprezie, i ona kompletnie się urżnęła, więc nie pozwoliłem jej jechać taksówką, tylko kazałem się przespać u nas na kanapie.

– Miała bardzo radosny i zdrowy głos jak na kogoś mocno skacowanego.

Matthew westchnął zniecierpliwiony.

– Na miłość boską, Claire! Bądź rozsądna. Przecież nic się nie stało. Chciałem jej tylko pomóc.

– A czemu nie pomógł jej ktoś inny?

– Bo jestem jej szefem i czuję się za nią odpowiedzialny.

Brzmiał całkiem wiarygodnie. Claire tak bardzo chciała mu wierzyć.

– Chcesz z nią porozmawiać? – spytał Matthew.

– Oczywiście, że nie.

– Słuchaj, przepraszam, jeśli cię zdenerwowałem. A tak właściwie, to czemu mnie szukałaś?

Claire odetchnęła głęboko.

– Zostawiłam w domu notatki. Są w teczce w salonie. Chciałam, żebyś mi je przefaksował.

- Jasne, nie ma problemu. Jak konferencja?
- Zwracał się do niej tak ciepło, że Claire poczuła, jak złość gdzieś wyparowuje.
- Jak dotąd wszystko dobrze. Zadzwoń do ciebie wieczorem.
- Powiem Sidowi, że dzwoniłaś.
- Dobrze.
- Claire?
- Tak?
- Wiesz, że cię kocham.

Kiedy wróciła do Londynu, Matthew był jeszcze bardziej kochany niż przedtem. Wychodził z siebie, żeby sprawić Claire przyjemność. Postanowiła zapomnieć o tamtej sytuacji i trwać w związku, jakby nic się nie stało. Ale nie potrafiła zapomnieć. Nie ufała już Matthew tak bezgranicznie jak kiedyś. Cały czar gdzieś prysnął. Teraz Claire była ostrożniejsza, dużo mniej naiwna. Z czasem zaczęła zauważać wiele drobnych, niewyjaśnionych zachowań Matthew, które jeszcze bardziej zakłócały jej spokój. Bała się jednak, że nadinterpretuje fakty, dlatego otwarcie o nic go nie oskarżyła. Zamiast tego kilka razy prosiła o wyjaśnienie danej sytuacji i słuchała wymówek, jakie jej przedstawiał.

Czas mijał szybko, wiosna zmieniała się w lato, potem nadeszła jesień. Agencja miała już stabilną pozycję na rynku i interesy szły świetnie. Sid Robbins zaczął wspominać o otwarciu filii w South Kensington, w której szefem miała być Claire. Wydawało się, że ten awans będzie dużym krokiem naprzód w zawodowym życiu Claire: nowa praca oznaczałaby sporą podwyżkę i dodatki służbowe, na przykład samochód i konto reprezentacyjne. Było to duże wyzwanie, ale Claire była gotowa je podjąć.

Jednak pewnego dnia wydarzyło się coś, co zmieniło wszystko. Weszła do garderoby w poszukiwaniu wizytówki, którą klient wręczył im podczas kolacji kilka dni wcześniej. Claire była pewna, że Matthew włożył wizytówkę do którejś ze swoich kieszeni, ponieważ często tak robił. Kiedy przeszukiwała jedną z nich, natknęła się na coś dziwnego: wyciągnęła dłoń i ze zdziwieniem spostrzegła, że trzyma w ręku kobiece stringi. Zupełnie ją zamurowało. Tępo wpatrywała się w figi: były fioletowe ozdobione cekinami. Nie należały do niej. Do kogo więc? I czemu Matthew trzymał je w kieszeni? Serce Claire waliło jak młotem. Jak on to wyjaśni? Jaką wymówkę zafunduje jej tym razem? Decyzję podjęła w kilka sekund. Nie miała siły, żeby stawić czoła sytuacji. Nie chciała już słuchać kolejnych kłamstw. Nie chciała nawet widzieć Matthew.

Wyjęła walizki i spakowała do nich tyle rzeczy, ile tylko mogła upchnąć. Musiała zostawić część rzeczy w mieszkaniu: książki, płyty, buty. Trudno. Teraz musiała stąd uciec. Chciała wyjechać jak najdalej od Matthew Bakera. Zadzwoiła do Sida Robbinsa i powiedziała mu, że pilnie wezwano ją do Dublina. Półtorej godziny później była już na lotnisku.

Matka ucieszyła się na widok Claire. Spytała, czy jej przyjazd oznacza, że porzuciła wszystkie głupie pomysły i wróciła, żeby się w końcu ustatkować.

– Być może – odparła Claire, zaciskając zęby.

Najpierw jednak musiała znieść kolejne błagalne telefony od Matthew, który w końcu przyjechał do Dublina, gdy Claire niechętnie zgodziła się z nim spotkać w hotelu Westbury. Prosił, żeby wróciła. Wcisnął jej idiotyczne kłamstwo o stringach – że kolega, którego Claire nigdy nie poznała, wsadził mu je do kieszeni, chcąc zażartować, ale potem wyjechał do Glasgow, a on nie miał jego numeru telefonu, bo gdyby miał, to zadzwoniłby do niego i powiedział, co myśli o takich żartach. Claire wiedziała od razu, że kłamie w żywe oczy. Tylko potwierdził wszystkie podejrzenia i wątpliwości.

Aby Matthew dał jej spokój, powiedziała na razie, że musi wszystko przemyśleć. Ale wiedziała już, że nigdy do niego nie wróci. Po kilku tygodniach zadzwoniła do Sida i zrezygnowała z pracy. Nie prosił, żeby przemyślała swoją decyzję. Robbins był starym wyjadaczem, pewnie wiedział, co się działo. Ale wystawił jej świetne referencje. I Claire znów musiała zdecydować, co robić dalej ze swoim życiem.

Nie mogła zostać w domu. Matka natychmiast zaczęła doprowadzać ją do furii, codziennie przypominając, jaka świetlana kariera może czekać córkę w świecie prawników. Pracy dla radców pojawiało się coraz więcej i pensje także rosły. Mając tak dobry dyplom z Trinity, można było przebierać w propozycjach i szkoda było wyjeżdżać.

Dzięki pracy w Londynie Claire miała spore oszczędności. Wpłaciła zaliczkę na kawalerkę w Sandymount i znalazła pracę w małej lokalnej agencji nieruchomości. Wymazała Matthew Bakera z pamięci i próbowała żyć dalej. Odnowiła przyjaźń z Róisin, która awansowała już na stanowisko pracownika odpowiedzialnego za klientów swojej agencji i przychodziła na lunchy ubrana w superdrogie kostiumy. Jeśli chodzi o mężczyzn, przeżyła jedynie kilka przelotnych romansów.

Czas mijał i niezauważenie jeden rok przeszedł w następny.

Claire czasem pytała samą siebie, czy jest szczęśliwa. Miała dwadzieścia sześć lat. Lubiła swoją pracę, niezależność i swobodę działania. Miała pieniądze, samochód i własne mieszkanie. Kiedy odwiedzała rodziców, matka i tak okazywała swoje niezadowolenie, ale ona czułaby się usatysfakcjonowana dopiero wtedy, gdyby Claire została przewodniczącym Sądu Najwyższego albo kimś o podobnej randze.

A jednak wciąż czegoś brakowało. Od czasu do czasu Claire pozwalała sobie w marzeniach wracać do tych cudownych miesięcy, które spędziła we Fuengirolí, do okresu tuż po ukończeniu studiów, kiedy wszystko wydawało się możliwe, nowe,

ekscytujące. Byłoby cudownie, gdyby znów mogła poczuć się jak wtedy; usiąść w małej restauracji pod gwiazdami i wdychać zapach mimozy w upalny wieczór.

A potem nadszedł dzień, w którym znalazła ogłoszenie w „Irish Independent”. Miała zaległy urlop, mogła więc wyjechać nawet na cztery tygodnie. Była taka zmęczona! Pracowała zbyt ciężko i zasłużyła na odpoczynek. „Do diaska – pomyślała. – Pojadę. Stać mnie. Ciekawe, jak teraz wyglądają tamte miejsca. Jak bardzo się zmieniły?”.

Usiadła przy komputerze i zaczęła sprawdzać rozkład lotów.

## *Rozdział 4*

Kevin Joyce energicznie odrzucił kołdrę i wyskoczył z łóżka. Obudziło go jasne słońce, które teraz wdzierało się do pokoju, oblewając go ciepłym żółtym światłem. Z balkonu swojego mieszkania Kevin widział plażę i fale delikatnie uderzające o piasek. Już zaczęto rozkładać parasole i wystawiać leżaki. Kilka rannych ptaszków kąpało się w morzu. Kevin spojrzał na zegarek. Ósma trzydzieści, piękny letni poranek. Na jego przystojnej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. „Jasna cholera – powiedział do siebie. – Kolejny piekielny dzień w raj!”.

Kevin miał prawie trzydzieści lat. Jeszcze niedawno po chłopięcemu ładny, teraz był dojrzałym, wysokim, przystojnym mężczyzną z burzą ciemnych kręconych włosów i z głębokim spojrzeniem równie ciemnych oczu, w których często gościły uwodzicielskie iskierki. Kobiety szalały za tym spojrzeniem.

Czasem Kevinowi trudno było uwierzyć, że czas płynie tak szybko. Mieszkał we Fuengirolí już dwa lata: przyjechał tu, kiedy jego ojciec mieszkający w Galway nagle zmarł, i życie przewróciło się do góry nogami. Kevin nigdy nie dogadywał się zbyt dobrze z ojcem. Tego najbardziej w życiu żałował. Ale mimo to bardzo go zabolało, kiedy okazało się, że pan Joyce całkowicie wykreślił syna ze swego testamentu. Historia kiepskich relacji Kevina z ojcem była długa i nikt nie pamiętał dokładnie, kiedy się zaczęła. Od pokoleń rodzina Joyce'ów prowadziła mały sklep z odzieżą usytuowany w bocznej uliczce przy Eyre Square. Zaopatrywali mężczyzn, kobiety i dzieci. Mimo że nie był to najmodniejszy sklep w mieście, zarabiał na siebie, obsługując bardziej konserwatywnych klientów, którzy przyjeżdżali z pobliskich miasteczek i wsi. Sprzedawali wszystko: od butów po sukienki do pierwszej komunii. Zawsze dobrze szły męskie garnitury – nie te modne, lekkie ubranka, które ledwie przeżyłyby pranie, ale tradycyjne, szyte z ciężkich materiałów, które każdy farmer mógł nosić pięć lub sześć lat na każdą niedzielą poranną mszę. Sprzedawali również grube damskie płaszcze, które w chłodny poranek ogrzałyby każdego, nawet na zimnych wzgórzach Connemara. Handlowali zwy-



czajną bielizną – nie tymi frywolnymi gatkami, które wypełniały półki w galeriach handlowych. Mieli za to grube wełniane skarpety, porządne buty i ciepłe bawełniane kamizelki. Ogólnie biorąc, przyzwoite, dobrej jakości ubrania dla praktycznych, rozsądnych klientów.

Sklep założył jeszcze dziadek Kevina w czasie trudnego 1934 roku, inwestując pieniądze ze sprzedaży małej farmy, którą odziedziczył. Pracował ciężko, aby rozwinąć interes, który od tamtej pory zawsze należał do rodziny. Matka Kevina prowadziła dział kobiecy do czasu, kiedy urodziła dzieci i musiała zatrudnić pewną damę w średnim wieku – Miss Broderick – która od tamtej pory zajmowała się stosami sukienek, płaszczy oraz artykułami intymnymi, takimi jak gorsety i pończochy. Przez te wszystkie lata sklep prawie się nie zmienił. Joyce'owie znali swoich klientów i nieustannie zapewniali im dobry towar.

Kevin urodził się pierwszy z trójki dzieci. Jego brat, Cormac, był o rok młodszy, a następna była siostra, Nora, która w tej chwili pewnie schodziła z nocnego dyżuru w szpitalu Mater w Dublinie, gdzie pracowała jako pielęgniarka. Kevinowi, odkąd nauczył się chodzić, dawano do zrozumienia, że kiedyś przejmie rodzinny sklep. Choć nikt nie mówił o tym głośno. Tak po prostu miało być, że kiedy ojciec, Sean, odejdzie na emeryturę, przekaże firmę Kevinowi, a ten będzie stał za ladą i z uśmiechem witał farmerów, którzy przyjdą tam w poszukiwaniu jakiejś niezniszczalnej marynarki albo pary porządnych spodni.

I tu właśnie zaczynał się problem. Zapewne wiele dzieci ucieszyłoby się z tego, że odziedziczą dobrze prosperującą firmę, która zapewni porządne życie. Kevin jednak był przekonany, że to ostatnia rzecz, jakiej pragnie dla siebie. Od kiedy skończył dziesięć lat, a rodzice zaczęli przyprowadzać go do sklepu, żeby pomagał w przyjęciu towaru czy robieniu wystawy, zawsze protestował. Nie interesowały go katalogi, które kazał studiować mu ojciec, ani subtelne negocjacje z dostawcami, w których musiał uczestniczyć podczas swojej handlowej praktyki. Kevin nie chciał tego robić. Nie podobało mu się, że wyznaczono mu życiową rolę, nigdy nie pytając, co chce robić.

Niestety, jeszcze gorsze było to, że Kevin właściwie nie wiedział, co chce robić. Gdy miał dwanaście lat, rodzice wysłali go do szkoły katolickiej prowadzonej przez Braci Chrześcijańskich. Bracia byli surowi, ale uważano ich za doskonałych nauczycieli. Ojciec Kevina, który ukończył tę samą szkołę, ufał jej bezgranicznie. Krzywił się, że inni handlowcy w mieście wysyłają swoich synów do snobistycznych szkół z internatem, takich jak Clongowes Wood, prowadzonych przez jezuitów czy cystersów. Uważał, że to grzech tak marnować ciężko zarobione pieniądze. Nie było niczego u jezuitów, czego bracia nie mogliby nauczyć Kevina.

Jednego na pewno się tam nauczył: miłości do sportów. Gdy trafił do braci, był już wysokim młodzieńcem o szerokich ramionach, szybko więc wybrano go do szkolnej drużyny irlandzkiego futbolu. I tu podobało się Kevinowi najbardziej:



uwielbiał treningi, przyjacielską atmosferę, wspólne żarty i mecze, kiedy walczyli przeciwko innym drużynom, aby przynieść chwałę swojej szkole. Uwielbiał okrzyki sympatii ze strony widzów i cudowne uczucie dumy, kiedy udawało mu się minąć przeciwnika i zdobyć punkt.

Zanim skończył szesnaście lat, miał już prawie metr osiemdziesiąt wzrostu. Stał się młodym, silnym mężczyzną z burzą kręconych czarnych włosów i dobrym uśmiechem, którym zdobywał sympatię wszystkich. Ludzie uwielbiali Kevina. Koledzy ze szkoły wzorowali się na nim. Dziewczyny z pobliskiej szkoły prowadzonej przez zakonnice zgodnie się w nim podkochiwały i konkurowały ze sobą o to, która może poplirtować z młodym Joyce'em, kiedy czekali po lekcjach na autobus, by wrócić do miasta. Kevin był szanowany i podziwiany wszędzie, tylko nie we własnym domu, gdzie atmosfera stawała się coraz bardziej napięta.

W wieku siedemnastu lat zdał końcowe egzaminy, ale zamiast rozpocząć pracę w sklepie, przyłączył się do kapeli rockowej o nazwie Bang. Kevin grał tam na gitarze elektrycznej, którą udało mu się kupić za pieniądze zaoszczędzone z kieszonkowego. Zespół występował w pubach w okolicach Galway i w pobliskich miastach. W otoczeniu szalejącej publiczności Kevin był w swoim żywiole. Uwielbiał oklaski i admirację, jaką okazywali mu fani, dawało mu to nawet większą satysfakcję niż zdobywanie punktów na boisku.

Ale ojciec był coraz bardziej zły na syna.

– Kiedy w końcu się usatkuje i przejmiesz sklep? – zapytał pewnego niedzielnego popołudnia po skończonym obiedzie.

Matka, która nie znosiła, gdy w rodzinie ktoś się kłócił, patrzyła tylko błagalnie na Kevina. Cormac oraz Nora spuścili głowy i milczeli.

– Kiedyś – odparł Kevin, próbując uniknąć ostrzejszej konfrontacji.

– A co to niby znaczy? – irytował się ojciec.

– To znaczy, że nie jestem jeszcze na to gotów. Chcę spędzić więcej czasu z zespołem.

– Ależ to dziecinada!

– Nie, wcale nie! – gorąco zaprotestował Kevin. Wiedział, że ojciec nie rozumie ich muzyki, ale obraziło go, gdy nazwał ich grę dziecinadą.

– Jesteś po prostu egoistą. Mam się zarzynać za ladą, aż umrę z przepracowania? Mam pięćdziesiąt pięć lat, nie będę żył wiecznie.

– Nie mógłbyś chociaż pomagać ojcu w soboty? – odezwała się w końcu matka, próbując załagodzić sytuację.

Kevin spojrzał na nią.

– W soboty mamy próby.

– Wydałem mnóstwo pieniędzy na twoją edukację, a ty robisz z siebie durnia przed tłumem pijanych baranów.

- Nie wiesz, o czym mówisz! - ze złością sprzeciwił się Kevin. - Nigdy nie chciało ci się przyjść na żadną naszą akcję.

- Akcję? Co to za język, którym mówisz? Jestem pewien, że nie nauczyłeś się go od Braci Chrześcijańskich.

Kevin rzucił nóż i widelec na stół, po czym wybiegł z pokoju. Matka wyszła zaraz za nim i złapała go w holu.

- Czemu się z nim nie pogodzisz? - spytała. - Wiesz, że ma rację. Nie jest już młody, czas, żebyś zaczął pomagać w sklepie.

Kevin, który w głębi duszy zaczynał odczuwać wyrzuty sumienia, tylko patrzył na matkę.

- Nie mogę, mamó. Zwariowałbym, gdybym musiał stać za tą ladą cały dzień, czekając, aż jakiś farmer przyjdzie kupić kalosze.

Ojciec przestał się odzywać do Kevina i zaczęli się nawzajem unikać. Taka sytuacja była trudna dla wszystkich członków rodziny. Kevin chciałby, żeby ojciec spróbował zrozumieć także inny punkt widzenia: świat jest ogromny i oferuje tyle różnych możliwości... Ludzie nie muszą robić tego, czego nie lubią. Nie muszą spędzać życia w sklepie z odzieżą, jeśli po prostu tego nie chcą.

Ale ktoś musiał pomagać ojcu i skoro Kevin nie zamierzał pracować w sklepie, musiał to robić Cormac. W każdą sobotę, kiedy przychodziło najwięcej klientów, Kevin ćwiczył z zespołem, a jego brat zajmował się pakowaniem zakupów albo mierzeniem ramion kogoś, kto chciał zamówić nowy garnitur. Rok później Cormac rzucił szkołę i zatrudnił się w sklepie na pełny etat.

W tym czasie zespół Kevina zaczął osiągać sukcesy. Pewna firma płytowa wzięła chłopaków pod swoje skrzydła i zaprosiła do Dublina, gdzie przez dwa tygodnie nagrywali album w profesjonalnym studiu. To było jak spełnienie marzeń: wszyscy wierzyli, że teraz staną się naprawdę znani. Kiedy album znajdzie się już na listach przebojów, ich sława rozniesie się na cały kraj i zdobędą kolejnych fanów. A to sprawi, że będą organizowali lepsze koncerty, także w telewizji. Staną się gwiazdami.

Jednak z powodu jakiegoś marketingowego sporu płyta nigdy nie została wydana. Kevin był ogromnie rozczarowany, choć bardziej doświadczeni muzycy twierdzili, że nie powinien się martwić. Przemysł muzyczny to basen z rekinami. Niejednemu zespołowi przydarzyła się taka porażka. Pocięszali się, że może następnym razem będą mieli więcej szczęścia.

Przez cały ten czas sytuacja w domu się pogarszała. Aby uniknąć kłótni, Kevin i jego ojciec osobno jadalili posiłki. Wszyscy chodzili po domu podenerwowani. Najbardziej cierpiała matka, rozdarta między mężem i synem. W końcu Kevin zdecydował się wyprowadzić i przeniósł się do mieszkania, które dzielił z innym członkiem zespołu, Snuffym Walshe'em. Teraz mógł robić, co chciał, i nie musiał wysłuchiwać wiecznych narzekań.

Wyprowadzka okazała się sporym przeżyciem. Całkiem odciął więzy, które trzymały go w rodzinnym domu. Było to bolesne szczególnie ze względu na okoliczności, ale Kevin starał się pozostawać w kontakcie ze wszystkimi oprócz ojca. Raz w tygodniu dzwonił do matki, meldując, że wszystko jest w porządku, że odżywia się dobrze, że dba o siebie i że robi wszystkie te rzeczy, które matki uważają za niezbędne do życia. Kontaktował się również z Cormakiem, a pewnego wieczoru ze zdziwieniem zauważył brata na widowni pubu Slattery, gdzie akurat występowali. Wypili piwo, pogadali, a Cormac przyznał się, że lubi pracę w sklepie i nie jest zły, że musi ją wykonywać. Nora wyrosła na śliczną młodą kobietkę. Była bardzo dumna z brata, który – jak mówili wszyscy jej przyjaciele – pewnego dnia na pewno zostanie gwiazdą rocka. W szkole miała świetne wyniki, a w przyszłości zamierzała zostać pielęgniarką. Któregoś dnia wpadła w odwiedziny do Kevina i opowiedziała mu, jak bardzo matka jest zrozpaczona, że syn pokłócił się z ojcem. Pani Joyce narzekała też na bóle żołądka i skierowano ją na badania do szpitala w Dublinie.

Kevin miał na głowie coraz więcej spraw. Mieszkający w Londynie przyjaciel Snuffy'ego Walshe'a obiecał załatwić zespołowi jakieś zlecenia, twierdząc, że to tam powinni występować, jeśli wciąż mają nadzieję na sukces. Snuffy chciał jechać, Kevin także, ale dwaj pozostali członkowie grupy nie byli zdecydowani – mieli pracę w Galway i bali się ją zostawić. W końcu spotkali się i przedyskutowali sprawę. Kevin twierdził, że Galway jest za małe, aby kiedykolwiek mogli się wybić. Za to Londyn jest ogromny i oferuje więcej możliwości. Ostatecznie wszyscy zdecydowali się pojechać.

Żaden z nich nie był przedtem w Londynie, więc miasto wydawało im się rzeczywiście imponujące i niesamowicie ciekawe. Znajomy Snuffy'ego załatwił im mieszkanie w Kilburn, gdzie mieszkało wielu imigrantów z Irlandii; znalazł im również pracę w pobliskim pubie, gdzie mogli występować. Wszystko zapowiadało się świetnie.

Kevin wsiąknął w Londyn jak woda w gąbkę. Było tu tak wiele do zobaczenia, tak wielu nowych ludzi, tak wiele nowych doświadczeń. Wkrótce zespół miał już pięć występów tygodniowo. Znaleźli menedżera, który załatwiał sprawy finansowe, negocjował honoraria, a także zamówił fotografa do zdjęć reklamowych. Obiecywał, że załatwi umowę z firmą fonograficzną i otworzy im drogę do sławy.

Ciężko pracowali, ale Kevin był zadowolony. W ciągu dnia próbowali nowy materiał, a wieczorami grali. Czasem koncerty kończyły się dopiero około pierwszej w nocy, a wtedy wszyscy ładowali się do furgonetki i jechali na imprezę. Obok zawsze znajdowały się dziewczyny, które lgnęły do muzyków jak ćmy do światła. Nie brakowało alkoholu i prochów.

Kevin już wcześniej eksperymentował z narkotykami. Palił trawkę i próbował ekstazy. W końcu tak żyli muzycy. Ale w Londynie brało się zupełnie co innego:

widział ludzi wciągających kokainę i – co najmniej kilka razy – takich, którzy w łazience czy w sypialni wstrzykiwali sobie heroinę. Przerazało go to. Narkotyki były wszędzie i niemal wszyscy je brali. Zaczynało się z kimś rozmawiać i od razu widać było, że jest na haju. I wszyscy uważali to za normalną sytuację.

Zespół miał coraz więcej zleceń i zarabiał także coraz więcej. Zaczęli grywać na koncertach jako supporty sławnych gwiazd i korzystali z życia. Ale w Londynie było nie tylko więcej możliwości – było także więcej chętnych do sławy. Co chwila powstawały nowe zespoły, a muzyczne trendy wciąż się zmieniały. Gdy tylko opanowali jakąś dużą część materiału, zmieniała się moda i ludzie zaczęli słuchać czegoś innego – trudno było nadażyć za gustami fanów. Na dodatek menedżerowi zespołu, mimo złożonych obietnic, wciąż nie udało się załatwić kontraktu płyto-  
wego.

Nikt jednak nie narzekał. Nie należy się śpieszyć, sława to tylko kwestia czasu. A na razie dobrze się bawili. Życie w Londynie tak bardzo różniło się od życia w Galway: więcej tu było szaleństwa, więcej energii. I wszystko robiło się na sto procent. Nigdy w życiu nie mieli tyle pieniędzy i nigdy tak szybko nie wydawali ich na nowe ubrania, samochody i kolejne zachcianki.

Pewnego dnia, jakieś półtora roku po przyjeździe do Londynu, Kevin w trakcie próby odebrał telefon od Nory. Siostra miała złe wiadomości: u matki wykryto raka żołądka i nie zostało jej wiele życia. Kevin był zdruzgotany: bawił się tak dobrze, że rzadko kiedy myślał o rodzinie w Galway.

- Ile jej zostało? – zapytał siostrę.
- Może kilka tygodni.
- O Boże, Noro, to jakiś koszmar!
- My też jesteśmy zrozpaczeni. Tato zupełnie się rozsypał.
- Lepiej będzie, jak natychmiast przyjadę do domu.
- Przyjedź – poprosiła Nora, szlochając. – Mama wciąż o ciebie pyta.

Powiedział kolegom, dlaczego nagle musi wyjechać. Na ich twarzach dostrzegł zdziwienie. Zorientowali się, że będą musieli odwołać koncertowe zobowiązania.

- Kiedy jedziesz? – spytał Kevina Snuffy Walshe.
- W weekend.
- Ale przecież wtedy mamy koncert na Wembley! – wykrzyknął Jimmy O'Driscoll. – Jezu, przecież nie możemy tego odwołać, to by nas zabiło. Nigdy więcej nie pozwoliliby nam tam zagrać.

Kevin zupełnie zapomniał o tym koncercie.

- To co niby mam zrobić? – zapytał zrezygowany.
- Nie możesz przełożyć wyjazdu o tydzień?
- Moja matka umiera.

– Wiem – rzekł Snuffy. – Ale mamy zaplanowanych tyle występów. Gdybyś chociaż poczekał do poniedziałku, załatwilibyśmy Wembley, a potem może znaleźćlibyśmy kogoś na zastępstwo za ciebie.

Kevin w końcu się zgodził, nie chciał zawieść kolegów ani siebie samego. Tak długo czekali na możliwość zagrania na Wembley!

Na stadionie odnieśli wielki sukces. Grali dla dwudziestu tysięcy ludzi jako support zespołu w światowej trasie. Nigdy przedtem nie mieli tak ogromnej widowni, menedżer szalał z radości. Wciąż powtarzał, że ten dzień to może być przełom, na który czekali. Załatwił nawet artykuły o zespole w prasie branżowej i mi-gawki w telewizji.

Po koncercie pojechali na imprezę. Każdy chciał zrobić zdjęcie zespołowi. Do rana upijali się szampanem i brandy. Kiedy Kevin wrócił do mieszkania, był zupełnie wyczerpany. Na automatycznej sekretarce nagrała się wiadomość od Nory:

*Mama zmarła dzisiaj wieczorem, o dziesiątej.*

Pogrzeb był wielkim wydarzeniem. Joyce'owie mieli wielu stałych klientów i w mieście bardzo ich szanowano. Ksiądz, który prowadził nabożeństwo, mówił o Bridget Joyce jako o oddanej żonie i matce, która swoim skromnym życiem dała świadectwo nieskończonej dobroci. Chorobę znosiła z prawdziwie chrześcijańską cierpliwością. Opłakiwać ją będzie wielu przyjaciół i znajomych.

Kevin pomagał nieść trumnę z kościoła na pobliski cmentarz. Rzucił łopatę ziemi do grobu i słuchał, jak uderza o wieko. Od chwili, kiedy dostał wiadomość od Nory, żył w stanie dziwnego marazmu. Dopiero teraz zaczął czuć wyrzuty sumienia i smutek. Przysporzył matce tyle żartów, a nie był przy niej nawet w chwili śmierci. Umarła, nie pożegnawszy się ze swoim najstarszym synem.

Po pogrzebie w domu rodzinnym odbyła się stypa dla bliskich. Ojciec nie zamierzał rozmawiać z Kevinem, który nie potrafił się z tym pogodzić. Chciał prosić o przebaczenie, wyjaśnić, co się stało, i dlaczego nie mógł dotrzeć do domu wcześniej. Ale jak miał cokolwiek wytłumaczyć, by nie wywołać sceny?

Noc po pogrzebie spędził w mieszkaniu Nory.

– Bardzo cierpiała? – spytał siostrę.

Nora pokręciła głową.

– Nie. Przez ostatnich kilka tygodni dawali jej morfinę.

– Ale wiedziała, że umiera?

– Tak. Wiedziała to już od dłuższego czasu. Szkoda, że nie spotkałeś się z nią, zanim umarła. Chciałaby tego.

– Miałem zamiar przyjechać do domu zaraz po twoim pierwszym telefonie. Ale mieliśmy zaplanowany wielki koncert i koledzy przekonali mnie, żebym został w Londynie.

Oczy Kevina wypełniły się łzami. Nora ujęła delikatnie jego dłoń.



- Nie obwiniaj się.
- Nie potrafię. I co mam zrobić z tatą? Wciąż się do mnie nie odzywa.
- Tato bardzo źle zniósł to, że nie przyjechałeś – odparła Nora. – Wydaje mi się, że nigdy ci tego nie wybaczy...

Po kilku dniach Kevin miał dość Galway. Zmęczyli go ludzie, którzy podchodzili do niego na ulicy, aby złożyć kondolencje po śmierci matki. Wiedział, że wiele osób po cichu krytykuje go za to, że nie przyjechał się z nią zobaczyć. Wrócił więc do Londynu i do grania z zespołem. Ale coś się zmieniło. To właśnie z powodu zespołu nie był z matką w chwili, gdy umierała. A teraz musiał żyć z myślą, że głupią kapełę przedkładał nad nią. Czuł, że zaczyna oddalać się od kolegów i dystansować od życia, jakie prowadzili: całkowicie egoistycznego życia. Zaczął dostrzegać, że ludzie, z którymi się spotyka, są płytki i niegodni zaufania. Bezustannie składali wielkie obietnice, o których dwa dni później zapominali. Kevin wiedział też, że nie mają szans na nagranie płyty. A nawet, gdyby się to udało – jakie miałyoby znaczenie? Album nic by nie zmienił, wciąż goniliby tylko bez tchu za pieniędzmi i sukcesami. Zresztą zaczynał się martwić zachowaniem niektórych kolegów z zespołu. Snuffy Walshe zaczął brać twarde narkotyki – ile trzeba czasu, zanim całkiem się od nich uzależni?

Kevin podjął decyzję: pora się wycofać.

Kilka tygodni później, kiedy odpoczywali po koncercie, powiedział o tym pozostałym członkom zespołu. Nie mogli uwierzyć.

- Czemu chcesz odejść? – chciał wiedzieć Jimmy O'Driscoll. – Przecież wszystko idzie doskonale.

- No i za kilka miesięcy mamy podpisać kontrakt – dodał Snuffy Walshe. – Wtedy dopiero wejdziemy na rynek.

- Mam już dość – odparł Kevin. – Jestem po prostu zmęczony.

- Jesteś przygnębiony po śmierci matki – orzekł Snuffy. – To zrozumiałe.

Po prostu potrzebujesz trochę czasu.

- Chodzi o coś więcej. To wszystko... jest jak porywanie się z motyką na słońce. Dokąd nas to doprowadzi?

- Na jakąś budowę w Salthill, gdzie będziemy łopata przetrzucać cement – odparł Jimmy niczym mędrzec i zamówił kolejne piwo.

W końcu umówili się, że pograją razem jeszcze przez kilka tygodni, zanim nie znajdą zastępstwa dla Kevina. Jeszcze kilka razy próbowali go przekonać, żeby został, ale nie dał się złamać. Kiedy odszedł, miał trochę zaoszczędzonych pieniędzy, ale sprzedał też gitarę, której już nie potrzebował.

Imał się różnych zajęć, jednak nie wiedział, co tak naprawdę chce robić. Próbował porozumieć się z ojcem – dzwonił do domu kilkanaście razy, ale kiedy Sean słyszał głos syna, zawsze odkładał słuchawkę. W końcu Kevin napisał długi list, w którym wyjaśniał, co się stało, i przeproszał za popsucie wzajemnych relacji. Pró-



bował wytłumaczyć, dlaczego nie przyjechał do matki wcześniej. List wrócił, nieotwarty. Kevinowi było bardzo ciężko, ale ani przez chwilę nie wątpił, że postąpił właściwie, rezygnując z prowadzenia rodzinnego sklepu. Gdyby postąpił zgodnie z życzeniem ojca, interes popadłby w ruinę. Kevin był kiepskim biznesmenem, a do tego taka praca kompletnie by go unieszczęśliwiła. Żałował jedynie, że nie postąpił delikatniej, że zbyt pośpiesznie chciał załatwić tę sprawę i że nie znalazł czasu, aby wytłumaczyć wszystko ojcu. A teraz było za późno.

W końcu Kevin przyjął posadę barmana w jednym z pubów, w którym kiedyś grywali z zespołem. Praca była wyczerpująca, przez cały dzień trzeba było stać i obsługiwać gości, ale szybko ją polubił. Cieszył się ze spotkań z ludźmi i z pogaduszek ze stałymi bywalcami. Śledził również poczynania swojej kapeli: znaleźli zastępstwo, ale wciąż nie doczekali się kontraktu płytowego.

Pewnego popołudnia do pubu przyszedł Snuffy Walshe i prawie się przewracając, usiadł przy barze. Kevin od razu zorientował się, że kumpel jest naćpany do nieprzytomności. Snuffy chełpił się, że wkrótce nastąpi przełom w karierze zespołu, a Kevin popełnił duży błąd, odchodząc, bo wkrótce się odbija. Gadał bez ładu i składu, a potem zasnął. Kevin zamówił mu taksówkę i odesłał do domu.

W tym czasie Kevin spotykał się z wieloma kobietami. Był w końcu młodym, przystojnym mężczyzną i nie stracił nic ze swego chłopięcego uroku. Kobiety ustawiały się do niego w kolejce. Ale chociaż wiele ich przeszło przez próg jego sypialni, żadna nie została na dłużej. Kevin się nie zakochał. Nie spotkał kobiety, której chciałby całkowicie i do końca się poświęcić.

Pewnego popołudnia odebrał telefon od Nory. Dzwoniła z wiadomością, że umarł ich ojciec. Doznał poważnego ataku serca po powrocie z porannego spaceru, choć dotąd nie było żadnych objawów, że jest chory. Kevin spakował torbę i po raz kolejny wrócił do Galway. Smutny to był widok, kiedy rodzina zebrała się w domu na czuwaniu. Przygotowaniami do pogrzebu zajmował się Cormac. Bardzo się zmienił, odkąd Kevin widział go ostatni raz: wyglądał poważniej, masywniej, jakby dźwigał na barkach jakiś ciężar. No i ożenił się. Przedstawił Kevinowi swoją żonę, dziewczynę z miasteczka, którą znali z czasów szkolnych. Była w ciąży. Z Dublina przyjechała też Nora, będąca już na ostatnim roku szkoły dla pielęgniarek.

Ludzie podchodzili, żeby złożyć młodym Joyce'om zwyczajowe kondolencje. Mówili, jak przyzwoitym, ciężko pracującym człowiekiem był ich ojciec, którego wszyscy będą pamiętać jako dobrego i hojnego mężczyznę. Wspominali jeszcze o jednym: jakie to niezwykle, że Sean Joyce umarł tak niedługo po śmierci ukochanej żony. Rodzinę dotknęła następna tragedia w tak krótkim czasie.

Kolejni goście podchodzili do Kevina, ściskali mu dłoń i cieszyli się, że mimo tak smutnej okazji znajdują go w dobrej formie. Jedna czy dwie osoby spytały o zespół, o to, jak sobie radzili w Londynie, i kiedy będzie można zobaczyć ich w te-

lewizji. Kevin wymigiwał się od odpowiedzi. Mówił tylko, że zespół jakoś sobie radzi, ale przemysł muzyczny to trudny rynek i nie od razu zostaje się gwiazdą.

Dzień po pogrzebie Kevin odebrał telefon od adwokata, który prosił o spotkanie na osobności. Prawnik był człowiekiem starszym od ich ojca, ubranym w świetnie skrojony garnitur, z którego kieszeni wystawał róg idealnie wykrochmalonej białej chusteczki. Tego ubrania na pewno nie kupił w sklepie Joyce'ów. Kevin przyjął kolejne kondolencje i przeszli do sedna sprawy. Adwokat wyjaśnił, że nie obowiązuje już dawna tradycja odczytywania testamentu w obecności wszystkich zainteresowanych. Teraz to właśnie kancelaria miała obowiązek skontaktować się z każdym beneficjentem osobno. Starszy pan odchrząknął i mówił dalej.

– W tym wypadku pomyślałem, że najlepiej będzie porozmawiać z panem w zaufaniu, jako że znalazłem się w dość niezręcznym położeniu.

Kevin nie wiedział, co ma myśleć, milczał więc i czekał.

– Cóż, pański ojciec nie zostawił panu nic w testamencie.

Kevin zapadł się w fotel, zaskoczony. Spodziewał się oczywiście, że sklep i dom będą przepisane na Cormaca, który przejął całą firmę. Ale trudno było uwierzyć, że ojciec nic nie zostawił najstarszemu synowi.

– Nic?

– Niestety, nie – potwierdził prawnik. – Wyraźnie wykluczył pana z dysponowania majątkiem.

Kevin zrobił się czerwony ze wstydu. Poczł się tak, jakby ktoś go publicznie upokorzył. Zebrał się w sobie i wstał.

– Dziękuję, że zadał pan sobie trud i mnie powiadomił.

– Przykro mi, ale takie było życzenie pańskiego ojca. Był bardzo stanowczy w tym względzie.

– W porządku – powiedział Kevin. – Rozumiem.

Czuł się zraniony. Nawet nie tym, że ojciec nie zostawił mu żadnych pieniędzy, ale bardziej tym, że tak wyraźnie zaznaczył w ostatniej woli, iż nie chce, by syn otrzymał cokolwiek. Do tej pory Kevin nie zdawał sobie sprawy, jak głęboką urazę żywił do niego własny ojciec!

Rodzeństwo dowiedziało się o wszystkim od prawnika. Następnego dnia Nora przyszła porozmawiać z bratem.

– Możesz podważyć ten testament – powiedziała.

– Niby po co? – spytał Kevin. – To były jego pieniądze. Mógł z nimi zrobić, co chciał.

– Ale wydaje mi się, że sprawiedliwe byłoby, gdybyś dostał choć część. Nawet jeśli byliście skłóceni, to przecież nie jest w porządku, że tak po prostu wykreślił cię z testamentu.

Kevin próbował zachować spokój.

– Nigdy w niczym nie pomogłem ojcu. To Cormac pracował w sklepie i to on powinien dostać spadek, zasłużył na niego.

– Ja nie pracowałam w sklepie, a otrzymałam swoją część – stanowczo powiedziała Nora. Wydawała się odczuwać niesprawiedliwość ojca wobec Kevina bardziej niż on sam.

– Słuchaj, Noro. Chciałbym zapomnieć o całej tej historii. Dla nas wszystkich to wstydliva sprawa i nie chcę przysparzać wam jeszcze więcej kłopotu, ciągnąc ją dalej.

Kevin wrócił z siostrą do Dublina i przenocował w jej mieszkaniu.

– Co zamierzasz teraz robić, skoro odszedłeś z zespołu? – spytała Nora.

– Nie wiem. Mam pracę w barze, na czynsz wystarcza.

– Zamierzasz zostać w Londynie?

– Raczej tak.

– Jeśli zdecydujesz się wrócić do Irlandii, zawsze możesz mieszkać u mnie.

– Będę o tym pamiętać.

– Myślisz, że ta kapela to był dobry pomysł?

Kevin zastanowił się przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Wtedy chyba tak. Ale wszyscy się zmieniamy, Noro. Na lepsze albo na gorsze.

Kilka tygodni po powrocie do Londynu Kevin otrzymał list od Cormaca z załączonym czekiem na pięćdziesiąt tysięcy euro. Brat pisał, że razem z Norą ustalili, iż testament ojca był niesprawiedliwy. Zdecydowali, że Kevin powinien dostać część pieniędzy, która mu się należała. W pierwszym odruchu Kevin chciał odeśłać czek bratu, jednak po jakimś czasie zmienił zdanie i ulokował pieniądze na koncie w banku. Może jednak Cormac miał rację, może wszystkim trojgu należała się część spadku? Zresztą taka suma mogła się kiedyś przydać. Kevin napisał do brata długi list, dziękując mu za hojność i życząc wszystkiego najlepszego na przyszłość.

Kevin miał dwadzieścia osiem lat. Oboje rodzice nie żyli i rodzina właściwie się rozpadła. Cormac i Nora zdecydowali, co chcą robić, i wydawali się zadowoleni ze swoich wyborów. A co miał robić on? Postanowił najpierw pojechać na wakacje, żeby wszystko przemyśleć. Zdał sobie sprawę, że przez te lata, które spędził z zespołem, nigdy nie wziął ani jednego wolnego dnia. W pobliskim biurze podróży zaproponowano mu wyjazd na Costa del Sol. Kevin zdecydował się pojechać.

Od chwili gdy koła samolotu dotknęły pasa startowego lotniska w Maladze, Kevin czuł, że odpoczywa. Świeciło słońce, dokoła kwitły kwiaty, a niebo wydawało się rozciągać w nieskończoność i nie było na nim ani śladu chmur. Hotel, w którym zamieszkał Kevin, znajdował się przy plaży we Fuengirolí i każdego dnia przed śniadaniem można było wyjść popływać. Kevin spędzał całe dnie, wylegując

się na słońcu. Wieczorami chodził do barów i restauracji na starym mieście i jadł posiłki przy wtórze muzyki gitarowej, wypełniającej parne noce. Życie tutaj było zupełnie inne od tego w Londynie: nie było ani śladu zgiełku, hałaśliwych samochodów, nieustannego szumu i wszechobecnego pośpiechu. Czas we Fuengirolí wydawał się płynąć wolniej i po raz pierwszy w życiu Kevin czuł, że jest w zgodzie z samym sobą.

Na deptaku znalazł mały bar, który często odwiedzał w ciągu dnia. U Pedra podawano przekąski i napoje ludziom zmierzającym na plażę i wracającym stamtąd. Kevin lubił siadywać na wysokim stołku w cieniu parasola i saczyć zimne piwo, rozmawiając z barmanami i stałymi bywalcami baru, którzy akurat wpadli na drinka. Bar prowadziła starsza Hiszpanka – Maria – ale Kevin szybko dowiedział się, że właścicielem był Irlandczyk mieszkający w Dublinie, który jednak wciąż miał tyle zajęć, że przyjeżdżał na Costa tylko kilka razy do roku.

Kevin bardzo polubił bar U Pedra. Codziennie zjadał tam lunch, gawędził z Marią, kiedy mieszała paellę w wielkiej patelni albo kroїła szynkę do chrupiących kanapek, czyli bocadillo – ulubionego dania wszystkich klientów. Pewnego dnia dowiedział się, że w lokalu potrzebny jest barman.

– Znasz kogoś? – spytała Maria z błyskiem w oku. – Mężczyznę, który nie boi się ciężkiej pracy?

– Może znam – odparł Kevin.

– Musi dobrze mówić po angielsku.

– A jaka jest pensja?

– Bardzo dobra. I dobre napiwki. I jedzenie. Jeśli się tutaj pracuje, nie trzeba wydawać pieniędzy na jedzenie.

Tego samego wieczoru, gdy jadł kolację w małej restauracji w Paseo Maritimo, Kevin przemyślał raz jeszcze rozmowę z Marią. Mógłby zatrudnić się w barze. Miał spore doświadczenie, a pensję co prawda miałby mniejszą niż ta, którą dostawał w Londynie, ale koszty utrzymania we Fuengirolí też były niższe, bo wszystko tutaj okazało się tańsze. Im więcej o tym myślał, tym bardziej się przekonywał do swojej decyzji. Byłoby świetnie, gdyby co dzień mógł budzić się w tym pięknym słońcu.

Następnego dnia w rozmowie z Marią wrócił do tematu.

– Kiedy by pani chciała, żeby ten nowy barman zaczął pracować?

– Jak najszybciej – odparła. – Mamy dużo pracy.

– Za dwa tygodnie?

Zmarszczyła brwi.

– To trochę za długo, ale jeśli będzie wart czekania, to może...

– Mogę tu pracować – zdecydowanie oświadczył Kevin.

Omówili warunki: Kevin miał pracować pięć dni w tygodniu, a podstawowa pensja wynosiła mniej więcej połowę tego, co zarabiał w Londynie. Ale Maria ofe-

rowała dodatkowe zyski i nie powinien mieć problemu z utrzymaniem się. W najgorszym razie miał jeszcze pieniądze od Cormaca. W nagłej potrzebie mógł po nie sięgnąć. Teraz musiał znaleźć mieszkanie i zarejestrować się w hiszpańskim urzędzie pracy. A jeszcze przedtem – wrócić do Londynu i uporządkować swoje sprawy.

Wyjechał do Anglii w następny weekend. Najpierw jednak otworzył konto bankowe w hiszpańskim banku i przelał na nie swoje pieniądze. Wynajął kawalerkę z widokiem na plażę, oddaloną tylko dziesięć minut drogi od baru, i zapłacił zaliczkę za dwa tygodnie. Kevin zaczął czuć ekscytację, której nie zaznał od długiego czasu. Był absolutnie przekonany, że podjął słuszną decyzję. Dwa tygodnie później po raz kolejny wysiadł z samolotu na lotnisku w Maladze. A następnego dnia rozpoczął pracę w barze U Pedra.

To wszystko zdarzyło się dwa lata temu i Kevin nie żałował ani chwili z tego czasu. Uwielbiał życie we Fuengirolí. Lubił swoją pracę i cudownych ludzi, których spotykał. Jedzenie mu smakowało, a atmosfera i pogoda na Costa del Sol były idealne. Odkąd zaczął pracować w barze, odczuwał tylko spokój i zadowolenie z życia.

Włożył kąpielówki i sięgnął po ręcznik z łazienki. Przed śniadaniem miał zamiar popływać, a potem zebrać się i wyjść do pracy. Dzisiaj miała przyjechać nowa właścicielka, żeby obejrzeć bar: Emma Dunne. Kevin nie mógł się spóźnić i powinien porządnie się ubrać – musiał zrobić dobre wrażenie.

## Rozdział 5

Emma poprawiła okulary przeciwsłoneczne, odrzuciła do tyłu blond włosy i pewnie wyszła z lotniska wprost na oślepiające słońce popołudnia w Maladze. Jako jedna z pierwszych wysiadła z samolotu. Mimo że planowała zostać tu miesiąc, nie miała zbyt wiele bagażu. Przywiozła tylko małą walizkę z rzeczami, których mogła potrzebować przez następnych kilka dni. A wakacje miała zamiar wykorzystać, aby nadrobić zaległości w zakupach. Po co wozić ciężki bagaż, skoro mogła tutaj zaopatrzyć się w nową garderobę i nowe walizki, by ją w nich umieścić – wystarczyła karta kredytowa.

Przed lotniskiem stał sznur błyszczących białych taksówek. Emma zdecydowanie podeszła do pierwszej, z której wysiadł młody, opalony chłopak z czarnymi jak smoła włosami i otworzył tylne drzwi. Emma wślizgnęła się na chłodne siedzenie, a kierowca usiadł za kierownicą.

– Dokąd się pani wybiera, *señorita*? – Uśmiechnął się olśniewająco.



Emmy nikt nie nazwał „panienką”, odkąd skończyła szkołę, ale nie przeszkadzał jej taki komplement, zwłaszcza że wyszedł z ust przystojnego młodego chłopaka, który siedział teraz przed nią i kiedy tylko włączył klimatyzację, znów spojrzął jej namiętnie w oczy.

– Do Fuengirolí. Hotel Alhambra.

Słyszac nazwę ekskluzywnego hotelu, kierowca natychmiast zaczął zwracać się do Emmy z większym szacunkiem.

– Tak jest, *senorita* – uśmiechnął się znów, ukazując lśniące białe zęby. – W mgnieniu oczu, jak mawiają Anglicy.

– Oka – poprawiła go Emma.

Skinął grzecznie głową i odpalił silnik.

– W mgnieniu oka – muszę zapamiętać.

Emma cicho zachichotała. Była na hiszpańskiej ziemi zaledwie od pięciu minut, a już dawała lekcje angielskiego czarującemu taksówkarzowi.

– Angielski to trudny język, prawda? – spytał.

– Czasem nawet dla tych, którzy nim mówią – odparła Emma z wymuszonym uśmiechem.

Kierowca zaśmiał się i wyprowadził samochód z lotniska na wąską drogę. Kilka minut później byli już na autostradzie, kierując się wzdłuż wybrzeża w stronę Fuengirolí.

Emma siedziała w chłodnym klimatyzowanym aucie i przyglądała się krajobrazowi hiszpańskiej wsi. Z okna widziała ciemne, tajemnicze zbocza wzgórz usianych małymi, białymi domami. Przed sobą dostrzegła sylwetki wysoko wznoszących się hoteli rozrzuconych wzdłuż linii brzegowej. Po lewej stronie słońce rzucało blask na bezkresne morze. Oparła głowę o zagłówek i zamknęła oczy. Już czuła się spokojniej. Troski ostatnich kilku dni gdzieś zniknęły. Wiedziała, że te wakacje jej się spodobają, ale zamierzała robić coś więcej niż tylko opalać się i chodzić na zakupy: w ciągu tego miesiąca musiała podjąć decyzje, które mogły zmienić jej życie.

Kierowca nie przestawał gadać swoją łamaną angielszczyzną, pokazując Emmie ciekawe miejsca, które mijali. Był uprzejmy, ale ona ledwie go słuchała. Myślała o hotelu Alhambra – agent w biurze podróży zapewniał ją, że to jeden z najlepszych hoteli na Costa, obsługujący tylko najbogatszą klientelę i zapewniający wszelkie wygody. Emma miała nadzieję, że to prawda – płaciła w końcu tysiąc dwieście euro za tydzień. Planowała, że gdy tylko dotrą na miejsce, weźmie długą, gorącą kąpiel, ubierze się w coś lżejszego i pójdzie na spacer, aby rozejrzeć się po okolicy.

W przewodniku o Fuengirolí znalazła same zachwyty. Miasto miało bogatą historię i dużo zabytków: zamek Maurów, kilkanaście starych kościołów, rynek, bazyliki i kilometry piaszczystych plaż. Było tam także mnóstwo restauracji i barów



zdolnych zaspokoić każdy gust. Emma pomyślała, że najpierw przejdzie się po starówce i znajdzie jakąś przytulną małą winiarnię, gdzie napije się wina i zje tapas. Tego wieczoru pójdzie spać wcześniej, a jutro zajrzy do baru, który kupiła od Conora Delaney. Conor już dzwonił do pani prowadzącej bar – Marii – żeby uprzedzić ją o przyjeździe Emmy.

Kwestię baru też musiała jakoś rozwiązać. Jeszcze nie zdecydowała, co z nim zrobi, bo cała sprawa z kupnem wyszła zupełnie niespodziewanie, a teraz odrywała uwagę Emmy od najważniejszego problemu: propozycji Herr Brauna, który chciał kupić rodzinną drukarnię. O tym raczej powinna myśleć w ciągu kilku najbliższych tygodni. Jak bardzo jej życie zmieniło się w ciągu ostatnich dni... Może to był jakiś znak? Może los mówił jej, że powinna zmienić swój świat? Emma uśmiechnęła się do siebie. Zaczynała filozofować jak ludzie uzależnieni od horoskopów, którzy nie mogli się nawet zdecydować, jakie buty włożyć, dopóki najpierw nie poradzili się gwiazd.

Taksówka wjechała już na przedmieścia Fuengirolí. Z okna Emma widziała ludzi siedzących w barach i restauracjach, rozmawiających z przyjaciółmi i cieszących się popołudniowym słońcem. W końcu zjechali z drogi na doskonale utrzymany teren hotelu. Dokoła widać było trawniki, drzewa palmowe i lśniący błękit basenu. Taksówkarz zatrzymał się przed imponującym wejściem i otworzył drzwi Emmie, zanim portier w liberii choćby zdążył podejść – musiał zrezygnować i wycofać się.

- Ile płacę? – spytała, wysiadając z samochodu.
- Osiemnaście euro.

Wyjęła portfel i podała kierowcy dwadzieścia euro.

- Proszę zatrzymać resztę.

Uśmiechnął się i skłonił.

- *Muchas gracias, señorita.*

- *De nada* – odparła Emma, dumna, że udało jej się zapamiętać coś z rozmówek angielsko-hispańskich.

Portier stał przy wejściu jak strażnik, i tylko lekko uniósł czapkę, kiedy Emma lekkim krokiem wchodziła do hotelu.

Miejsce było niezwykle. W samym środku lobby znajdowała się fontanna w kształcie dwóch nachylonych ku sobie syren, z których ust wytryskiwały strumienie wody. Wokół rozstawiono wielkie wazony i donice z kwiatami. Stylizowane na antyczne posągi spoglądały na gości z cokołów. Słychać było fortepian grający gdzieś w tle. Emma przez chwilę stała jak zaczarowana, podziwiając przepiękny wystrój, a potem energicznie podeszła do recepcji.

- Nazywam się Emma Dunne. Mam rezerwację.

- *Si, señorita Dunne.* - Uśmiechnięty recepcjonista uderzył w klawiaturę i podniósł brwi. - *Si,* apartament numer 80. Bardzo dobry apartament, z widokiem na morze.

„Mam nadzieję, w końcu za coś płacę tyle pieniędzy” - pomyślała Emma.

Podpisała księgę gości, a mężczyzna poprosił ją o paszport i położył klucz na marmurowym blacie.

- Zatrzymamy pani paszport na jeden dzień, takie są przepisy. Jutro może go pani odebrać.

- *Gracias.*

Boy hotelowy pojawił się obok Emmy i podniósł jej walizkę. Recepcjonista powiedział parę słów i chłopak skierował się w stronę wind. Emma podążyła za nim. Dwie minuty później stali już przed jej pokojem. Boy włożył klucz, otworzył drzwi i postawił torbę na małym stojaku. Emma dała mu kilka monet, boy podziękował i zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Rozejrzała się po apartamencie, który rzeczywiście był przepiękny. Wygodna sofa, wielki telewizor, stolik, na nim bukiet kwiatów i misa owoców. Mały sekretaryk i krzesło stały obok dużego okna, z którego widać było błękit wody.

Emma otworzyła balkon i wyszła na zewnątrz. Powietrze było ciepłe i aksamitne. Widziała ogromne pomarańczowe słońce wciąż wiszące nad wodą. Wciągnęła powietrze w płuca i poczuła słodki zapach kwiatów, który dobiegał z hotelowych ogrodów. „Jak cudownie - pomyślała. - Czuję się jak królowa”. Stała na tarasie jeszcze chwilę, po czym wróciła do pokoju i szybko rozpakowała małą walizkę, z której wyciągnęła sporo pogniecionych ubrań - widać czekało ją spotkanie z hotelowym żelazkiem. Część rzeczy powiesiła w szafie, a resztę wrzuciła do szuflad. Potem podeszła do minibaru, odkorkowała małą butelkę schłodzonego białego wina i puściła wodę do wanny. Pięć minut później wylegiwała się już w kąpieli.

Leżała w pianie, sącząc wino, i czuła, jak z jej ciała odpływa całe napięcie. Mijający dzień był ciężki - przed wylotem miała jeszcze do załatwienia mnóstwo spraw. Spotkała się z Conorem, z ojcem, z Herr Braunem i z George'em Caseyem - wszystko w ciągu czterech godzin. Po takim dniu zapewne szybko zaśnie, ale najpierw musi zobaczyć chociaż kawałek Fuengirolí. Wyciągnęła więc korek z wanny, aby woda zaczęła spływać. Emma wyszła z wanny i sięgnęła po ręcznik.

Wróciła do pokoju, wysuszyła włosy i zastanowiła się, w co się ubrać. Nie miała zbyt dużego wyboru. Przywiozła jedną koktajlową sukienkę i lekki garnitur, gdyby musiała zawierać jakieś biznesowe transakcje i chciała zrobić wrażenie. Reszta ubrań to były raczej nieformalne letnie ciuszki. Mimo że nadszedł już wieczór, na zewnątrz wciąż było ciepło, więc marynarka okazała się niepotrzebna. Emma wybrała czekoladowo-brązową spódnicę i jasnoróżową koszulkę - obie rzeczy nieco wygniecione po podróży. Włożyła sandały i przejrzała się w ogromnym lustrze. Blond włosy ułożyły się wygodnie wokół karku, a błękitne oczy lśniły.

Emma wyglądała na spokojną i zrelaksowaną – tak też się czuła. A kogo obchodziły zagniecenia? Tylko ją samą, w końcu nikogo innego we Fuengirolí nie знаła. Na szczęście nie wybierała się na obiad w hotelu Four Seasons w Ballsbridge. Nałożyła szminke i tusz do rzęs, bardziej nie musiała się stroić. Zadowolona z siebie, zamknęła drzwi i pobiegła korytarzem do windy.

Ulice były pełne ludzi, a sklepy otwierały się po skończonej sjeście. Emma szła w stronę morza, zatrzymując się to tu, to tam, jakby coś przykuwało jej uwagę. Najpierw zaciekał ją park zabaw dla dzieci, z karuzelą, migającymi światłami i wariacką muzyką. Za nim mieściła się duża rybna restauracja, w której ludzie siedzieli przy długich stołach, jedząc, rozmawiając i śmiejąc się.

Miasto tętniło życiem i różnymi dźwiękami, ale były to inne hałasy niż te, do których Emma przywykła w Dublinie. Tutaj słychać było ludzi cieszących się życiem, a nie znerwicowanych i wiecznie się gdzieś śpieszących. Emma miała miesiąc, by pożyć tak, jak się jej podobało. To uczucie było niezwykle wyzwalające. Nie pamiętała, kiedy ostatnio zachowywała się tak swobodnie.

Do jej nozdrzy dobiegł zachęcający zapach jedzenia z restauracji, i zdała sobie sprawę, że nie jadła nic od lunchu. W końcu znalazła mały bar, w którym podawano owoce morza. Szyld głosił: *Bodega* – winiarnia. Wszystkie stoliki na zewnątrz były zajęte, Emma weszła więc do środka. Kelner pojawił się natychmiast i wskazał stolik niedaleko baru. Zamówiła kalmary i półlitrową butelkę białego wina. Kalmary były idealnie ugotowane, podsmażone na oliwie i czosnku, podane z sałatką i pieczonymi ziemniakami.

Emma jadła i rozglądała się po sali. Restauracja była mała i wypełniona ludźmi po brzegi. Część z nich zebrała się wokół baru, popijając tam drinki. Uwagę Emmy zwrócił nagle jakiś głos dochodzący właśnie z tej grupy osób: mówił wysoki, młody mężczyzna z ciemnymi kręconymi włosami. W ożywiony sposób gawędził z przyjaciółmi. Emma spróbowała rozpoznać akcent, który pochodził gdzieś z zachodniej Irlandii, być może z Galway. Gdy tak przyglądała się mężczyźnie, ten nagle odwrócił się w jej stronę i uśmiechnął. Podświadomie odwzajemniła uśmiech. Facet był całkiem przystojny. Emma poczuła lekki dreszcz podniecenia. A gdyby się do niej odezwał? Co by zrobiła? Miło byłoby nawiązać niezobowiązujący flirt z przystojnym mężczyzną już pierwszego wieczoru. Było w tym coś romantycznego, jak historia miłosna z jakiejś powieści.

„Chyba wino uderzyło mi do głowy – pomyślała Emma. – Jestem szanowaną bizneswoman, a nie jakąś pokręconą nastolatką szukającą wakacyjnego romanсу”. Zamiast więc zachęcić nieznanego, odwróciła głowę i wlepiła wzrok w tancerz. To tylko jakiś obcy. We Fuengirolí pełno było takich facetów. W końcu miała tu zostać przez miesiąc – to dużo czasu, żeby przeżyć coś interesującego.

## Rozdział 6

Niestety, Mark nie miał na lotnisku tyle szczęścia, co Emma. Ona mądrze zrobiła, zabierając jedynie podręczny bagaż, on natomiast wziął wielką walizkę i zestaw kijów golfowych, co oznaczało, że po przejściu przez kontrolę paszportową musiał czekać przy taśmie na swój bagaż. Jakby tego mało, jego waliza przyjechała na końcu i Mark wychodził z lotniska z ostatnimi już pasażerami. A na dodatek przed terminalem nie było żadnej taksówki.

Stał więc w cieniu budynku i próbował się pozbierać. W końcu jakaś taksówka musiała przyjechać! Przecież do Malagi co chwila przylatywały samoloty z całej Europy. A może powinien pojechać autobusem? Jednak agent biura podróży mówił, że hotel, w którym miał mieszkać, był położony nieco na uboczu, więc autobus pewnie tam nie dojeżdżał. Mark zdecydował, że poczeka na taksówkę.

Rozejrzał się dokoła. Mimo że dochodziła siódma wieczorem, wciąż było tu ciepło. Obok wejścia na lotnisko dostrzegł dużą elektroniczną tablicę, na której wyświetlały się data, godzina i temperatura: dwadzieścia sześć stopni. Czy w Dublinie kiedykolwiek było tak gorąco? „Ciekawe, jak to jest w południe na Costa” – zaniepokoił się Mark. Bez względu na pogodę, będzie to przyjemna odmiana. A nad morzem z pewnością wieje miły wietrzyk.

Do tej chwili wszystko szło gładko. W Dublinie samolot nie złapał opóźnienia i odlecieli o czasie. Podróż trwała zaledwie dwie godziny. A firma została w dobrych rękach. Podczas wyjazdu szefa Chambers Creative Artists miała być prowadzona przez Teda Cunninghama, prężnego, trzydziestodwuletniego menedżera, który z chęcią przejął wszystkie obowiązki. „Na pewno opanuje sytuację – myślał Mark – i będzie mógł udowodnić, jak bardzo jest dobry w tej pracy”. Zresztą w hotelu miały być stałe łącze internetowe i faks, więc mogli stale być w kontakcie. Gdyby pojawił się jakiś problem, wiedzieli, gdzie znaleźć szefa.

Mark wiedział, że podróż do Hiszpanii będzie dla niego swoistą próbą sił. Po raz pierwszy wyjeżdżał na wakacje bez Margot. Ale już postanowił, że będzie się nimi cieszył, przestanie się smucić i dręczyć żalobą. Przypomniał sobie słowa ojca Michaela: „Margot chciałaby, żebyś był szczęśliwy”.

Mark planował spędzić tych kilka tygodni na wypoczynku. Chciał pograć trochę w golfa i może ponurkować – już w czasie studiów interesował go ten drugi sport, a tutaj było dużo dobrych miejsc, żeby odnowić dawne pasje. Miał też zamiar znaleźć jakieś dobre restauracje. W czasie lotu czytał z zapalem kupiony na lotnisku przewodnik, delektując się opowieściami o kulinarnych rozkoszach: doskonałych winach, szynkach, serach, wieprzowinie, świeżych warzywach i owocach oraz doskonałych *frutti di mare*. Według przewodnika hiszpańskie owoce mo-

rza wymagały osobnego opracowania. Gdyby tylko Margot była tutaj razem z nim... jakże by się bawili!

Potrząsnął głową, odganiając tę myśl, bo na horyzoncie pojawiła się taksówka, która podjechała pod lotnisko. Kierowca wyskoczył, żeby otworzyć bagażnik, do którego włożył walizkę Marka i jego kije golfowe. Mark wskoczył na tylne siedzenie.

- Dokąd, *señor*?
- Do hotelu Sevilla. To w Caravajal.
- *Si, señor.*

Kierowca zapalił silnik i wrzucił wsteczny bieg, by odjechać. W tej samej chwili z lotniska wprost w oślepiające słońce wybiegła wysoka, ciemnowłosa kobieta. Tak jak Mark dźwigała wielką, ciężką walizkę. Rozejrzała się zdezorientowana, dostrzegła taksówkę i zaczęła machać ręką, by ją wezwać. Mark nachylił się w stronę kierowcy i popukał go w ramię:

- Możemy poczekać na tę panią, *señor*.

Kierowca zdziwił się, ale zrobił, jak mu kazano. Kobieta podbiegła, zajrzała do taksówki i ujrawszy Marka na tylnym siedzeniu, jęła przeproszać:

- Bardzo przepraszam, nie wiedziałam, że ta taksówka jest już zajęta.

Natychmiast rozpoznał akcent: Dublin. Dziewczyna miała ciemnobrązowe oczy i ładne rysy. Wydała się Markowi bardzo atrakcyjna.

- Nie ma sprawy – powiedział. – Dokąd pani jedzie?
- Do Fuengirolí.
- To chyba jedziemy w tę samą stronę. Proszę wsiadać.

Dziewczyna zawahała się.

- Na następną może pani czekać dłuższą chwilę – nalegał Mark.

To pomogło jej się zdecydować. Otworzyła drzwi i usiadła obok Marka, a kierowca wziął drugą walizkę i upchnął ją w bagażniku.

- Bardzo miło z pana strony – powiedziała, zapinając pas.
- Nie ma sprawy. Sam też czekałem na taksówkę. Skąd pani przyjechała?
- Z Dublina.

Uśmiechnął się.

- Jednak dobrze rozpoznałem akcent. Lecieliśmy razem, prawda?
- Tak, ale ja musiałam czekać na swój bagaż.
- Ja również. Zauważyłem, że co zmyślniejsi pasażerowie biorą ze sobą tylko bagaż podręczny. Przechodzili koło taśmy z zadartymi nosami, a my, sieroty, musieliśmy czekać. Też tak zrobię następnym razem.

Dziewczyna zaśmiała się, a Mark wyciągnął do niej dłoń.

- Mark Chambers.
- Claire Greene.
- Przyjechałaś na wakacje, Claire?

- Tak, chcę sobie zrobić parę tygodni przerwy.
- Byłaś tu już kiedyś?
- Ja tu kiedyś mieszkałam.
- Naprawdę? – zainteresował się Mark. – Musiało być cudownie.

Oczy Claire zaszkliły się od wspomnień.

- To było cztery lata temu. Skończyłam college i przyjechałam tu z moją przyjaciółką na „pracujące wakacje”.

- I jak udało wam się przetrwać?
- Sprzedawałyśmy na ulicy nieruchomości.

Mark spojrział na nią zdziwiony.

- To chyba ciężka praca. Udawało ci się coś sprzedać?

- Całkiem sporo. Ale trzeba mieć niezły tupet, żeby zatrzymać ludzi, których nigdy przedtem się nie widziało, i przekonywać ich, żeby kupili mieszkanie w Hiszpanii.

- Ty wyraźnie go masz. A co teraz robisz?
- Sprzedaję nieruchomości w Dublinie – uśmiechnęła się.
- Więc jednak czegoś się nauczyłaś.

Roześmiali się zgodnie.

- A ty, gdzie pracujesz? – spytała Claire.

- W reklamie – odparł Mark.

- No, to dopiero musi być interesujące zajęcie.

- Różnie bywa. Nie zawsze jest z górki. Stres, ciśnienie i terminy to norma, ale ja lubię taką pracę. I uwielbiam projektować kampanie reklamowe, zwłaszcza gdy okazują się skuteczne.

Rozmawiali dalej, a taksówka pędziła autostradą, mijając Torremolinos i Benalmadene.

- Pewnie masz wiele dobrych wspomnień z tego miejsca? – spytał Mark.

Claire odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

- Tak, rzeczywiście. Wtedy byłam młodsza, wszystko wydawało się takie świeże i nowe.

- A potem dorosłaś.
- Właśnie.
- I teraz chcesz odnaleźć tamten stracony czas?
- Tak.
- Wiem dobrze, co czujesz.

Kierowca skręcił z autostrady na wybrzeże.

- Gdzie się zatrzymasz? – spytała Claire.

- W hotelu Sevilla – odparł Mark.

- To miłe, ciche miejsce, spodoba ci się. Lepiej będzie, jeśli najpierw tam pojedziemy.



Taksówka podjechała przed hotel i kierowca wysiadł, żeby wyjąć z bagażnika walizkę Marka.

- Dzięki za miłe towarzystwo – odezwał się Mark. – Dobrze mi się z tobą rozmawiało, podróż tak szybko minęła.

- To ja ci dziękuję – za podwiezienie.

Mark zapłacił kierowcy i nagle wpadła mu do głowy pewna myśl. Zwrócił się ponownie do Claire.

- Znasz dobrze okolicę. Polecisz mi jakąś dobrą rybną restaurację?

- Jest ich mnóstwo.

- A najlepsza?

- Hm, U Felipe jest doskonałą – mieści się w porcie.

Mark zamilkł, rozważając kolejny szalony pomysł.

Claire mogłaby mu pomóc w rozpoznaniu okolicy i dać parę wskazówek. W końcu kiedyś tutaj mieszkała. Zapytał więc:

- Mogłabyś mi wyświadczyć pewną przysługę?

- Jaka?

- Poszłabyś tam ze mną?

Później Mark dziwił się swojej odwadze. Dziwnie było prosić kogoś, kogo dopiero co się poznało, by zjadł z tobą kolację. Nie zdziwiłby się, gdyby Claire natchmiast go spławiła. Ale ona się zgodziła, i teraz, kiedy rozpakowywał swoje torby, cieszył się na to spotkanie. Wziął szybki prysznic, ogolił się i przygotował do wyjścia – umówili się na dziewiątą.

Nie wiedział zupełnie, czego oczekiwać – jak Claire się ubierze i jak bardzo elegancka będzie restauracja, o której mówiła. Powinien był o to zapytać, w końcu przyjechał tu po raz pierwszy. Nie wiedział, czy włożyć kąpielówki czy garnitur! W końcu wybrał bojówki i ciemnozieloną koszulę – zestaw w miarę przyzwoity (gdyby Claire się wystroiła), ale gdyby trzeba wyglądać swobodniej, mógł podwinąć rękawy i zdjąć krawat. Na plecy zarzucił niebieski sweter, gdyby później zrobiło się chłodniej.

„Tak to jest, kiedy przyjeżdża się do nowego kraju” – rozmyślał, ubierając się. W domu zupełnie nie myśli się o sprawach, które tutaj stają się istotne. Ale za tydzień na pewno zdaży oswoić się z tym miejscem. Kiedyś zawsze miał Margot – to ona radziła mu, co włożyć. Znów oddalił od siebie smutną myśl, wziął klucze i portfel, po czym wyszedł z pokoju.

Spotkali się z Claire przy wejściu do budynku. Miała na sobie czerwoną sukienkę z głębokim dekoltem, uszytą z jakiegoś cienkiego materiału, który owijał się wokół łydek, oraz lekki czarny szal z czegoś, co nazywało się chyba paszminą. Mark uznał, że dziewczyna wygląda świetnie i raczej jak Hiszpanka, biorąc pod uwagę jej ciemną cerę. Ucieszył się, że nie ubrał się zbyt swobodnie.

- Czy do tej restauracji przychodzą tłumy ludzi? Jesteś pewna, że znajdziemy stolik? – spytał, kiedy sadowili się na tylnym siedzeniu taksówki.

- Znam szefa kuchni – odparła.

- Cóż, to na pewno pomoże.

- Miejmy tylko nadzieję, że pracuje dziś wieczorem.

Okazało się, że pracował. Carlos – szef kuchni – wyszedł, żeby przywitać się z Claire jak ze starą przyjaciółką – nastąpił wysyp buziaków, pocałunków i uścisków dłoni. Marka i Claire posadzono przy jednym z najlepszych stolików na sali, skąd mogli spoglądać na morze i słuchać, jak fale delikatnie uderzają o brzeg.

- Jestem pod wrażeniem – odezwał się Mark, kiedy już usiedli. – Traktują cię tu jak gwiazdę.

Claire wzruszyła ramionami i odrzuciła do tyłu długie czarne włosy.

- Carlos jest moim starym przyjacielem. I jednym z najlepszych kucharzy w tej branży, co zrozumiesz, kiedy podadzą nam jedzenie.

Mark rozejrzał się wokół. Restauracja w mgnieniu oka wypełniła się klientami, co na pewno było dobrym znakiem. Ale sam wystrój był prosty i niewyszukany: tylko kilka palm w doniczkach i drewniane stoły przykryte śnieżnobiałymi obrusami. Cokolwiek przyciągało tu te tłumy, z pewnością nie był to wystrój, a jedzenie. Spojrzał z powrotem na Claire.

- Powiedz mi, jak ci się tutaj mieszkało.

Zamglone spojrzenie, które zauważył już wcześniej, powróciło na jej twarz.

- Było cudownie. Co rano widziałam czyste błękitne niebo. Dni właściwie się nie kończyły, a noce... – westchnęła. – Noce były prawdziwie magiczne – gwiazdy, muzyka... Mam tyle szczęśliwych wspomnień. A ty jesteś tu pierwszy raz?

- Tak. Zdecydowałem się na przyjazd w ostatniej chwili.

- Spodoba ci się. Jak większości ludzi. Fuengirola tętni życiem – trzeba być sztywniakiem, żeby tego nie lubić.

Podano kolację: Mark poszedł za radą Claire i zamówił dorsza, ona sama – solę. Do popicia wybrali butelkę schłodzonego białego wina.

- Mmmm – odezwał się Mark, wkładając do ust kawałek ryby. – Przepyszne. Twój przyjaciel rzeczywiście doskonale gotuje.

- Powiem mu to. Ucieszy się, bo kucharze są jak aktorzy – żyją z komplementów.

- Za twoje wakacje! – Mark uniósł kieliszek.

- I za twoje! Jak długo zostaniesz?

- Cztery tygodnie. To cały urlop, jaki mogłem wykorzystać – potrzebuje naprawdę długiej przerwy.

- Zamierzasz wynająć samochód? – spytała Claire.

- Chyba tak.

- Będziesz go potrzebował, jeśli chcesz dobrze wykorzystać czas spędzony tutaj. Ale wynajem aut jest tani. Powinieneś pojechać do Marbelli i do Mijas – to urocza mała wioska u podnóża gór. No i Malaga warta jest odwiedzin. Wiesz, że tam się urodził Picasso?

- Nie wiedziałem – przyznał Mark.

- Tutaj jest tyle do obejrzenia. Możesz pojechać autokarem do Sewilli i Grenady, odwiedzić Kordowe i Rondę.

- Nie wiem, co bym zrobił, gdybym cię nie spotkał – zastanawiał się Mark.

- Byłbym zupełnie zagubiony.

Claire uśmiechnęła się, a jej oczy zabłysły radośnie.

- Nie, poradziłbyś sobie doskonale. Taki przystojny mężczyzna na pewno spotkałby jakąś pomocną kobietę.

Mark nie odpowiedział, a Claire dostrzegła smutek, który pojawił się na jego twarzy.

Było już po północy, kiedy Mark wrócił do hotelu, wysadziwszy najpierw Claire pod jej mieszkaniem. Teraz stał na balkonie i wpatrywał się w ciemne morze, myśląc o Margot i marząc, by mogła teraz być obok.

Nie mógł jednak zaprzeczyć, że pierwszy dzień wakacji w Hiszpanii niezmiernie się udał. Cieszył się, że tu przyjechał. Zjadł właśnie przepyszną kolację z piękną kobietą. Ogromnie polubił jej towarzystwo i jutro znów umówili się na drinka. Mark wyjął z kieszeni kartkę papieru, na której Claire zapisała mu wskazówki. Bar U Pedra znajdował się gdzieś na plaży. Na pewno łatwo go znaleźć.

Kiedy poczuł się zmęczony, Mark zamknął drzwi tarasu i przygotował się do spania. Na pewno będzie miał dobre sny.

## *Rozdział 7*

Kevin wynurzył się z morza, podniósł z piasku ręcznik i osuszył się. Była dopiero dziewiąta rano, ale słońce już stało wysoko na niebie i robiło się coraz cieplej.

Do południa będzie zapewne około trzydziestu stopni. Kevin uwielbiał te swoje poranki: nie było niczego lepszego, żeby dobrze zacząć dzień, niż pół godziny pluśnięcia się w morzu. Słona woda dodawała mu energii. Teraz, jak co dzień, miał zamiar się ubrać, wypić filiżankę herbaty i ruszyć do pracy. Zwykle szedł piechotą, ale dziś postanowił pojechać rowerem, co oszczędzi parę minut – tego dnia musiał zjawić się punktualnie. Przyjeżdżała nowa właścicielka i chciał, żeby wszystko było doskonale przygotowane.

Zastanawiał się, jaka będzie. Maria powiedziała mu tylko, że zadzwonił do niej Conor Delaney, by przekazać, że bar został sprzedany i nowa właścicielka przyjedzie go obejrzeć. Conor był idealnym pracodawcą, bo dawał im święty spokój. Sam Kevin spotkał go tylko dwa razy i spędzili ten czas na picciu piwa oraz podziwianiu dziewczyn w bikini wylegających się na plaży. Conora nie interesowały krociowe zyski – całą swoją energię wkładał w biuro podróży. Był zadowolony, dopóki bar nie przynosił strat.

Kevin miał nadzieję, że nowa właścicielka nie będzie chciała przewracać wszystkiego do góry nogami. Bar U Pedra działał już od ponad dwudziestu lat – na początku była to tylko plażowa chatka, w której sprzedawano turystom napoje i kanapki. Pedro, który założył bar, wynajmował także leżaki i parasole, więc wiódł bardzo przyzwoite życie i sporo zarabiał. To syn Pedra, Antonio, wpadł na pomysł, aby rozkręcić interes: szybko zorientował się, że plażowicze nie lubią co chwila maszerować przez całe Paseo Maritimo, żeby kupić sobie piwo. Postarał się więc o licencję na alkohol i do menu wpisał nie tylko kanapki, ale także ciepłe dania.

Teraz w barze podawano piwo, wina i inne alkohole oraz przygotowywane na miejscu posiłki: paellę, steki, hamburgery i frytki. Antonio w końcu sprzedał bar U Pedra Conorowi Delaneyowi i z uzyskanych pieniędzy kupił restaurację, lecz nie zerwał więzów z tym miejscem. Matka Antonia, Maria, wciąż obsługiwała tu gości.

Bar był jak magnes – przyciągał turystów i miłośników słońca, którzy potrafili spędzić cały dzień na plaży, pogłębiając opaleniznę. Tutaj mogli zjeść lunch albo tylko kupić zimne piwo, kiedy poczuli się spragnieni. Wiele osób umawiało się tutaj na pogawędki przy kawie. Interes szedł całkiem przyzwoicie, zwłaszcza w letnich miesiącach. Przydałoby się malowanie i odświeżenie, ale gdyby zamiast U Pedra miał tu stanąć jakiś fast food, Kevin by tego nie zniósł.

Jechał wzdłuż brzegu, a myślami wracał do poprzedniego wieczoru i do młodej kobiety, którą dostrzegł, gdy jadła kolację w bodedze. To było jedno z ulubionych miejsc Kevina i często chodził tam na drinka przed powrotem do domu. Zwykle siedzieli ze znajomymi przy barze, rozmawiając i wymieniając plotki. Błada skóra dziewczyny od razu zdradzała, że jest turystką. Niespodziewanie łatwo można było rozpoznać przyjezdnych. Ale ona była sama, co nie zdarzało się często. Zwykle turyści przyjeżdżali w grupach albo z mężami czy żonami, i rzadko można było ich spotkać w hiszpańskiej knajpie. Woleli chodzić do angielskich pubów, w których sprzedawano porządne angielskie żarcie, takie jak rostbef, stek, placek z cynaderekami czy rolada z dżemem.

Było w niej jeszcze coś niezwykłego. Kevin ocenił dziewczynę na trzydzieści lat, ale wydała mu się dojrzała, bardziej doświadczona, niż świadczyłby o tym wiek. Nie była zdenerwowana, jak wielu turystów, którzy boją się, że zamówią niewłaściwe danie. I nie da się ukryć, że olśniewała urodą: burzą kręconych jasnych loków i szczupłą figurą. Z takim wyglądem spokojnie mogłaby zostać supermodelką.

Może na wybieg była nieco za niska, ale taką twarz chciałoby się oglądać choćby w reklamie perfum.

Kevin żałował, że nie podszedł do nieznajomej i nie zaczepił jej. Chciał wiedzieć, co robiła we Fuengirolí i czemu była tu sama. Dzięki pracy U Pedra nauczył się już, że turyści lubili, gdy wciągało się ich w rozmowę – czuli się wtedy bardziej swobodnie i u siebie. Może mógłby jakoś pomóc tej dziewczynie? Udzielić jej kilku rad i wskazówek, co warto zobaczyć i czego szukać. Zwlekał jednak zbyt długo i stracił okazję. Nieznajoma skończyła kolację, zapłaciła rachunek i zniknęła w ciemności, wychodząc z wysoko uniesioną głową. Ze swojego miejsca przy barze Kevin odprowadzał ją wzrokiem i podziwiał, jak kołysze biodrami, powoli przechodząc przez drzwi i umykając z jego życia.

Na horyzoncie ukazał się bar U Pedra. Kevin zwolnił i zeskoczył z roweru, zatrzymując go. Pulchna matrona w czarnej sukience siekała właśnie warzywa i kroїła bułki, przygotowując bocadillos.

– *Hola, Maria!* – krzyknął Kevin, parkując rower z tyłu baru i przywiązując go do ściany. – Jak się masz?

– Zajęta jestem – odparła, nie przestając nerwowo siekać. – Ty też powinienś. Nowa *senora* dzisiaj przyjeżdża.

– Wiem o tym. O której się jej spodziewasz?

– Koło południa przyjdzie. Musimy być gotowi.

– Południe? – zdziwił się Kevin. – To przecież pora lunchu. Kto jej powiedział, żeby przyszła w najgorszym możliwym czasie?

Maria wzruszyła ramionami, wcisnęła Kevinowi do ręki miotłę, po czym wskazała na podłogę i na otaczający bar drewniany deptak. Kevin wziął się do zamiatania, a kiedy skończył, powyjmował krzesła oraz stoły zza lady i zaczął ustawiać je na piasku. Maria wręczyła mu jeszcze miskę wody z mydlinami i poprosiła, żeby do czysta wyszorował bar i blaty. Kevin widział już, że czeka go dużo pracy, a przecież była dopiero dziewiąta trzydzieści.

Robił po kolei wszystko, co było trzeba: kiedy skończył ze stolikami, zaczął po kolei wyjmować butelki ze stojaka i każdą z nich wypolerował, aż zaczęły się błyszczeć. To samo zrobił z kieliszkami. Słońce weszło już wysoko, a plaża zaczynała się zapełniać. Kilka osób pojawiło się w barze na poranną kawę. Maria obsłużyła gości, ale tego ranka nie miała nastroju do zwyczajowych pogaduszek. Stała się konkretna i zdecydowana, odbierała zapłatę i zaczynała następne zadanie.

Kevin skończył wyznaczone prace i wrócił za bar, żeby pomóc w przygotowaniu potraw. Każdego dnia robili wielką patelnię z paella, która była ulubionym daniem klientów, zwłaszcza w porze lunchu. Wypełnił naczynie siekaną cebulą, papryką i czosnkiem, dodał oliwę i kawałki kurczaka, a potem owoce morza, które czyniły potrawę tak wyjątkową. Wrzucił kilka garści krewetek i małży oraz kawał-



ki ryby. Kiedy wszystko zaczęło się dusić, dodał ryż. Wokół rozniósł się zachęcający aromat i kłęb pary. Paella miała teraz dusić się na małym ogniu, aż będzie gotowa do podania.

– Wiesz może, jak wygląda *señora* Dunne? – spytał Kevin Marię, która znów tylko wzruszyła ramionami w odpowiedzi. Widział, że zbliżająca się wizyta nowej właścicielki zaniepokoiła ją. Maria ciężko pracowała, ale nie lubiła zmian. Wszystko, co zaburzało jej rytm dnia, wywoływało nerwowość. Kevin wiedział też, że starsza pani potrzebuje pieniędzy, które zarabia w barze. Pewnie martwiła się, że nowa właścicielka przeprowadzi zmiany i zatrudni nowy personel.

Kevin uśmiechnął się i połaskotał Marię w pulchny podbródek.

– Nie martw się, Mario. Emma Dunne na pewno będzie podobna do Conora Delaneya. Wypije piwo, rozejrzy się tu trochę i nie zobaczysz jej aż do następnego roku.

Maria skrzywiła się – nie przekonał jej ani trochę.

– A jeśli się okaże taka jak *senora* Thatcher i będzie się tu zarządzać?

– Rządzić, Mario. Będzie się tu rządzić.

– Właśnie. I co wtedy?

– Uspokój się. Na pewno nie będzie taka jak pani Thatcher. A zresztą ona jest już na emeryturze, nie straszy ludzi.

– A skąd wiesz, jaka jest ta nowa *senora*? Przecież jej nie znasz.

– Po prostu wiem, Mario. Musisz mi zaufać. Pracuj jak zwykle, wszystko będzie dobrze.

Jednak pesymizm Marii był zaraźliwy. Co jeśli miała rację i nowa właścicielka naprawdę okaże się tyranem i uczyni z ich pracy piekło? Wygodne życie, którym cieszył się U Pedra mogło dobiec końca. Kevin już zaczął sobie wyobrażać surową damę w średnim wieku, która postawi im niebotycznie wysokie wymagania, będzie wtrącać się we wszystko i przeszkadzać. Kevin nie był pewny, czy chciałby pracować dla kogoś takiego.

Było już prawie południe, ale Emma Dunne wciąż się nie pojawiła. Do baru zleciał się za to jak szarańcza tłum nastolatków, żądających hamburgerów, frytek i coli. Kevin wstawił bułki do tosterów, włączył patelnię i zaczął smażyć mięso na blasze. Maria już przygotowała miskę z siekaną cebulą i pomidorami. Kiedy dzieciaki skończyły jeść, przy barze usiadło czterech wytatuowanych młodzieńców w szortach i zamówiło piwo.

Przydałaby się jakaś muzyka. Kevin wybrał taśmę U2 i wsadził ją do odtwarzacza. Po chwili dźwięk rozległ się po plaży, a piwni klienci bębnilo palcami do rytmu. Kilka minut później obok usiadło kilka dziewczyn, które zamówiły po kieliszku wina. Po chwili wszyscy młodzi śmiali się i żartowali. Kevin także uśmiechnął się ze zrozumieniem. Przyzwyczylił się. Jak wiele miejsc na Costa, bar U Pedra był nieformalną agencją matrymonialną. Spojrzał na zegarek: wkrótce nadejdzie



pora lunchu i tłum będzie naprawdę koszmarny. Zastanawiał się, kto poradził Emmie Dunne, aby odwiedziła bar właśnie teraz – gorzej być nie mogło.

Wszedł za bar i nalał sobie piwo. Maria wciąż jak szalona kręciła się po kuchni, powtarzając czynności, które już raz wykonała.

– Może odsapniesz i usiądziesz przy stoliku? – zaproponował Kevin. – Przyniosę ci kawę. Całe rano tak ciężko pracowałaś, zrób sobie przerwę.

Maria spojrzała na niego niepewnie, ale pozwoliła się zaprowadzić do ustawionego na piasku krzesła. Kevin poprawił parasol, żeby przesunąć cień.

– To co ci podać? Cafe leche czy cortado? Może łyżeczek brandy?

Maria machnęła ręką.

– Nie, tylko posiedzę chwilę i odpocznę.

Zamknęła oczy i wyciągnęła nogi. Na niebie słońce właśnie stawało się gigantyczną kulą ognia. Zapowiadał się piekielnie gorący dzień. Kevin wrócił do baru i dostrzegł nowych klientów, którzy na szczęście zamawiali tylko piwo. Ustawił szklanki i odkręcił kurek. Potem szybko rzucił na bar podstawki i przyniósł miseczki z orzechami. Odebrał należność, nabił wszystko na kasę i wydal resztę. Kątem oka dostrzegł młodą kobietę w ciemnych okularach i białym podkoszulku siadającą z wdziękiem na jednym ze stoików. Wytarł blat wilgotną ściereczką i spojrzał na nowo przybyłą. Była bardzo atrakcyjna i dziwnie znajoma. Kiedy zdjęła okulary i potrząsnęła blond lokami, rozpoznał ją natychmiast. Patrzył w twarz dziewczyny, którą poprzedniego wieczoru zauważył w bodedze.

– *Buenos dias* – odezwał się, błyskając uśmiechem. – Co pani podać, *señorita!*

– Nazywam się Emma Dunne – odparła. – Jestem nową właścicielką. A pan?

## Rozdział 8

To Conor Delaney zasugerował, że Emma powinna odwiedzić bar U Pedra właśnie w południe. Oczywiście, gdyby wiedział cokolwiek o prowadzeniu baru, nigdy w życiu nie kazałby przyjeżdżać tam w najgorętszej porze lunchu. Niestety, przez te wszystkie lata, kiedy był właścicielem, Conor odwiedził to miejsce zaledwie kilkanaście razy, był więc najmniej kompetentną osobą, aby udzielać komuś rad. Co gorsza, Emma i tak przez cały dzień się nieco spóźniała.

Pierwszej nocy spało jej się świetnie. Gdy tylko wślizgnęła się pod chłodną, białą pościel, zapadła w głęboki sen i obudziła się dopiero wtedy, kiedy gorące słońce zaczęło zaglądać do okien sypialni. Emma usiadła na łóżku i zorientowała się, że wieczorem zapomniała zaciągnąć zasłony, ale też nie zamówiła w recepcji

budzenia. Gdy otrzeźwiała, było wpół do dziesiątej – najwyższy czas, by wstać i zabrać się do rzeczy.

Na chwilę położyła się jeszcze na stosie poduszek. Spała przez dziewięć godzin, co było swoistym rekordem. Zwykle zupełnie wystarczało jej sześć godzin snu. Jeśli mogła sobie na to pozwolić – siedem. Ale dziewięć? To był tylko dowód na to, jak bardzo czuła się zmęczona. Ostatnio rzeczywiście pracowała zbyt wiele. Dopiero tutaj cały stres zaczął gdzieś zniknąć.

Emma rozejrzała się po pokoju. W jasnym świetle dnia widać było, jak bardzo jest elegancki: jasne pastele na ścianach, kryształowy żyrandol na suficie, lampka z chińskiej porcelany na stoliku, w pozłacanych ramach gustowne obrazy przedstawiające sceny z hiszpańskiego wiejskiego życia, miękkie dywany na podłogach. Nie można było narzekać na wystrój czy standard pokoju. Wczoraj, kiedy przyjechała, obsługa także okazała się doskonała: portierzy i odźwierni przepychali się, by pomóc Emmie. No, ale za tysiąc dwieście euro za tydzień można było tego oczekiwać.

Emma wstała z łóżka, włożyła miękki, biały hotelowy szlafrok i wyszła na wykafelkowany taras. Na jego dwóch krańcach stały dwie wielkie gliniane donice z czerwonymi pelargoniami oraz mały stolik z giętego żelaza i dwa krzesła. Wieczorami można było tu siedzieć i sączyć chłodne wino. A widok z tarasu był niezwykły: przed Emmą rozpościerał się bezkres błękitnego morza oświetlonego jasnym słońcem, na gładkim niebie nie widać było śladu chmur, a na prawo, w pewnej odległości, ciągnął się łańcuch szarobrazowych gór.

Emma odetchnęła głęboko, wciągając do płuc czyste powietrze. Było cudownie, jakby każda komórka jej ciała zaczynała odżywać. Na morzu dostrzec można było jachty wyglądające jak dziecięce łódeczki i zgrabny żagłowiec kierujący się na południe, w stronę Marbelli. „To miejsce muszę odwiedzić przy najbliższej okazji” – postanowiła Emma, i wróciła do pokoju. Podobno w Marbelli można było zrobić świetne zakupy.

Pomyślała przez chwilę, czy zamawiać śniadanie do pokoju, czy zejść na dół, do restauracji. Ale miała przecież dwie i pół godziny, zanim pójdzie do baru, został więc czas, by obejrzeć rekreacyjną część hotelu. W ulotce była wzmianka o saunie, siłowni i basenie: mogłaby zacząć od kilku chwil w saunie, a potem popływać. Wyciągnęła z szuflady strój kąpielowy, włożyła go, opatulila się szlafrokiem i weszła do windy, aby zjechać na sam dół, do piwnicy, gdzie znajdowało się centrum spa. Kiedy wysiadała, drzwi zamknęły się bezszelestnie i Emma dostrzegła siłownię – rzędy ławek i sprzętu, który okupowało kilku zapaleńców. Recepcjonista w śnieżnobiałym fartuchu uśmiechnął się i spytał:

– Numer pokoju?

Emma pokazała mu klucz. Mężczyzna zapisał numer i poprosił o podpis w rejestrze.

- Czy ma pani jakieś cenne przedmioty, które chciałaby pani zostawić w sejfie?

Jedyną cenną rzeczą, jaką Emma w ogóle miała w swoim posiadaniu, był zegarek, który rodzice kupili jej na trzydzieste urodziny. Już wcześniej zdjęła go i włożyła do sejfu w pokoju razem z kartami kredytowymi. Wyjeżdżała tak nagle, że nie pomyślała nawet, by wziąć ze sobą aparat. Potrząsnęła głową.

- Którędy idzie się do sauny?

Recepcjonista wskazał jakieś drzwi.

- Czy wie pani, jak z niej korzystać?

- Tak.

- Proszę nie wylewać zbyt wiele wody na węgle, bo uniesie się za dużo pary. I będzie bardzo gorąco. - Uśmiechnął się grzecznie.

- *Gracias* - odparła Emma, zaskoczona po raz kolejny, jak dobrym angielskim mówi cały hotelowy personel. Pewnie jest to wymóg, kiedy przyjmują ludzi do pracy.

„Muszę się nauczyć trochę więcej po hiszpańsku” - pomyślała, kierując się w stronę sauny. Dobre wychowanie wymaga, aby choć odrobinę mówić w języku kraju, w którym się przebywa.

W saunie nie było nikogo, miała więc całe pomieszczenie dla siebie. Zdjęła szlafrok, powiesiła go na kołku, po czym nabrała chochlę wody z drewnianego wiadra i wylała ją na rozżarzone węgle. Wielki obłok pary uniósł się i wypełnił małe pomieszczenie. Emma usiadła na ławce i czuła, jak pot występuje jej na czoło. Chwilę później ściekał już ze wszystkich porów. Oparła się wygodnie i zamknęła oczy. Było jej tak dobrze... Wyobrażała sobie, jak z jej ciała uciekają wszystkie toksyny, nieczystości, a skóra robi się świeższa. Jednak po dziesięciu minutach miała dość. Wyszła z sauny i podeszła do basenu. Był mały, ale głęboki, wypełniony lodowato zimną wodą. Emma chwyciła za szczeble stalowej drabinki i zeszła niżej. Potem zwolniła uchwyt i zanurzyła się w mroźnych głębinach. To dopiero było niesamowite uczucie! Czuła, jak zimna woda przepływa przez cały jej organizm. Kiedy się wynurzyła, cała aż drżała. Osuszyła się szybko i włożyła szlafrok, wreszcie obudzona, pełna energii i gotowa na wszystko, co miał przynieść nowy dzień.

Na razie przyszedł czas na śniadanie. Emma zdecydowała, że zje na tarasie. Zadzwoiła do obsługi i zamówiła sok owocowy, płatki, szynkę, bułki i kawę. Kilka minut później usłyszała delikatne pukanie do drzwi, a następnie do pokoju wszedł kelner w białych rękawczkach, niosąc srebrną tacę. Wskazała mężczyźnie taras, a on postawił tacę na małym stoliku, skłonił się i wyszedł z pokoju. Emma usiadła i wypuściła z siebie głośne westchnienie zadowolenia.

Jakim sposobem udawało jej się pracować przez trzynaście długich lat, nie biorąc w tym czasie żadnego porządnego urlopu? Najdłuższa przerwa, na którą

sobie pozwoliła (oprócz krótkich weekendowych wypadów), to dziesięć dni w Toskanii trzy lata temu. Była po prostu zbyt zajęta sprawami drukarni, aby znaleźć czas na wyjazdy. „Przecież to wariactwo” – myślała. Dopiero teraz widziała, że udane wakacje to inwestycja: można było naładować baterie, zrelaksować się, przemyśleć różne sprawy i poczynić plany. Odpoczynek po prostu zwiększał ludzką wydajność. Doszła do wniosku, że porządne wakacje powinny być obowiązkowe. Co roku trzeba by sobie na takie pozwalać. I teraz, kiedy posmakowała luksusów hotelu Alhambra, wiedziała już, że tu wróci.

Przez następnych kilka tygodni musiała poważnie przemyśleć propozycję Herr Brauna. Nie miała zamiaru się śpieszyć, ale za to rozważyć wszystkie za i przeciw. Wiedziała, że postąpiła dobrze, prosząc go o czas do zastanowienia. Zresztą to, że Herr Braun zgodził się poczekać, oznaczało, że bardzo zależy mu na transakcji. Stworzenie rodzinnej drukarni zajęło tak wiele czasu, że Emma nie mogła oddać firmy po zaledwie kilku chwilach zastanowienia.

Najpierw musiała jednak załatwić pilniejszą sprawę: zdecydować, co zrobi z barem U Pedra. Pierwszym pomysłem było – pozbyć się: znaleźć jakiegoś porządnego agenta nieruchomości i wystawić bar na sprzedaż. Przecież nie chciała brać na swoje barki kolejnego obowiązku – prowadzenia interesu oddalonego o setki mil od domu. A gdyby zdecydowała się zatrzymać to miejsce, zaczęłoby ono pochłaniać czas i uwagę. Jednak zanim cokolwiek zdecyduje, musi chociaż zobaczyć to miejsce. Conor Delaney powiedział Emmie, że południe to najlepsza pora na małą inspekcję. Dał jej także wskazówki, jak dotrzeć na plażę.

Emma dokończyła śniadanie i spojrzała na zegarek. Była jedenasta piętnaście, najwyższy czas, by wyjść z hotelu. Słońce stało już wysoko na niebie i pomimo lekkiego wiatru wiejącego znad morza, robiło się gorąco. Miała ochotę włożyć krótkie spodenki, ale wiedziała, że jako nowa właścicielka powinna wyglądać bardziej formalnie. Jednak – przecież szła na plażę! W końcu wybrała białą dopasowaną koszulkę i bawełnianą kopertową spódnicę w różnych odcieniach błękitu. Chwilę później była już gotowa: zamknęła drzwi i windą zjechała do recepcji. Zostawiła klucz i wyszła wprost na oślepiające słońce.

Szła powoli przez Paseo Maritimo, kierując się w stronę portu. Conor mówił, że bar jest gdzieś tutaj, a Emma była pewna, że bez trudu go znajdzie. Ulice były już wypełnione dziesiątkami przechodniów, restauracje szykowały się do lunchu, a na plaży pojawiało się coraz więcej ludzi. Na tafli morza co chwila pojawiały się nowe łódki, słysząc było dźwięk motorówki ciągnącej kogoś na nartach wodnych. Gdzieś dalej na niebie Emma dostrzegła lotniarza.

Dochodziła dwunasta trzydzieści, kiedy bar w końcu pojawił się w zasięgu wzroku. Emma nie znosiła się spóźniać, ale dopadł ją już wakacyjny spokój. Na pierwszy rzut oka nic tu nie wyglądało specjalnie ciekawie: kwadratowa drewniana budka z markizą oraz lada z wysokimi stołkami. Dokoła na piasku stało kilka-

naście małych krzeseł i stolików nakrytych kraciastymi obrusami, przymocowanymi do blatów plastikowymi spinaczami. Emma zauważyła, że przy barze zebrało się już dużo ludzi – najwidoczniej interes się kręcił. Ciekawe, ile wynosił dzienny utarg.

Zachciało się jej pić – zimne piwo byłoby idealnym rozwiązaniem. Emma usiadła na pierwszym z brzegu wolnym stoiku i poczekała, aż barman skończy obsługiwać innych klientów. Chwilę później odwrócił się w jej kierunku i natychmiast rozpoznała, kim jest ten chłopak: młodym Irlandczykiem, którego widziała zeszłego wieczoru w bodega. On także ją rozpoznał i zdziwił się równie mocno.

– *Buenos dias* – odezwał się z uśmiechem. – Co pani podać, *señorita!*

– Nazywam się Emma Dunne – odparła. – Jestem nową właścicielką. A pan?

Chłopaka na chwilę zamurowało, ale szybko się zreflektował, miło przywitał Emmę i zaczął się nią zajmować. Okazało się, że nazywa się Kevin Joyce i pochodzi z Galway. Emma przyjrzała mu się uważnie i zauważyła, że poprzedniego wieczoru właściwie go oceniła. Był niesamowicie przystojny, miał jasnoblękitne oczy i burzę niepokornych czarnych włosów. Nalał jej piwa i przyniósł do stolika, gdzie siedziała już Maria.

– To jest szefowa baru U Pedra – przedstawił ją. – *Senora Maria Rodriguez de Hernandez*. – Kevin uklonił się żartobliwie i uśmiechnął.

Maria natychmiast zawstydzila się i próbowała wstać.

– Nie, proszę usiąść – powstrzymała ją Emma. – Nie muszą państwo sobie przeszkadzać. Wpadłam tylko na chwilę. – Spojrzała na tłum klientów, którzy teraz niczym rój os kłębili się wokół baru. – Z tego, co widzę, to nie jest najlepsza pora na odwiedzinę. Macie tu duży ruch.

– To pora lunchu – wyjaśnił Kevin.

– Bardzo miło mi panią poznać, *señorita* – Maria w końcu zdołała wydusić z siebie składne zdanie. Złapała dłoń Emmy i potrząsnęła nią energicznie. – Czekaliśmy na panią.

Emma widziała, że starsza pani się denerwuje. Próbowała ją jakoś uspokoić.

– Mnie także miło panią poznać, Mario.

– Chciałaby pani coś zjeść? – Maria bardzo chciała być miła.

– Dopiero co zjadłam śniadanie – odparła Emma.

Kevin niecierpliwie zerkał na ludzi czekających przy barze.

– Może panie się lepiej poznają, a ja wrócę do baru. Mario, zostań tu i porozmawiaj z *senorita* Dunne.

Kevin odszedł, zostawiając coraz bardziej zdenerwowaną Hiszpankę.

– Od kiedy jest pani kierowniczką tego baru? – ciepłym głosem zwróciła się do niej Emma.



Maria wzruszyła ramionami.

– Trzynaście lat – odpowiedziała. – Bardzo długo, *señorita*.

Emma delikatnie pogładziła dłoń starszej pani.

– Proszę mówić do mnie po imieniu. Jestem Emma – zaproponowała.

– Emma? To ładne imię.

– Cieszę się, że się pani podoba.

Przez następną godzinę kobiety rozmawiały w cieniu parasola, a Kevin jak wół harował za barem, podając przekąski i nalewając piwo napływającym klientom. Ale był zadowolony. Co jakiś czas, podrzucając hamburgery lub nalewając piwo, machał wesoło w stronę Emmy.

Maria opowiedziała Emmie historię baru: jak jej mąż Pedro rozbudował go ze zwykłej chatki na plaży, a potem umarł na raka w młodym wieku – miał tylko pięćdziesiąt siedem lat. Ich syn, Antonio, przejął interes, rozwinął go i sprzedał Conorowi Delaneyowi. Teraz Maria utrzymywała się z prowadzenia baru U Pedra.

Podczas rozmowy Emma odniosła wrażenie, że stosunki między Marią i jej synem, który obecnie prowadził świetną restaurację (kupioną za pieniądze ze sprzedaży baru), nie układają się najlepiej. Starsza pani bardzo uważała, żeby nie powiedzieć wprost niczego złego o Antoniu, ale właśnie to, czego nie powiedziała, dawało wiele do myślenia. W jej głosie brakowało ciepła i dumy – a tego można by oczekiwać, kiedy rodzic opowiada o swoim dziecku, któremu się powiodło.

Emma uważniej przyjrzała się Marii. Musiała mieć przynajmniej siedemdziesiąt lat – w tym wieku powinna być na emeryturze, bawić wnuki, tymczasem ciężko pracowała w takim upale, prowadząc bar. Wyglądało na to, że sprawa sprzedaży tego miejsca nie będzie wcale łatwa. Emma nie mogła przecież wyrzucić Marii na ulicę. Zdała sobie sprawę, że choć przyjechała do Fuengirolí, aby rozwiązać jeden problem, będzie musiała poradzić sobie z kolejnym.

Maria chyba czytała jej w myślach. Spojrzała na Emmę błagalnym wzrokiem.

– Co zamierza pani zrobić z tym miejscem? – spytała.

– Na razie nic – odparła Emma. – Przede wszystkim muszę spojrzeć do ksiąg rachunkowych. Może to pani załatwić?

Maria wydawała się jeszcze bardziej zdenerwowana.

– Rachunki?

– Tak, przecież prowadzicie księgi rachunkowe, prawda? Dokumenty, w których wyliczone jest, ile zarabiacie i wydajecie.

Starsza pani, wciąż zaniepokojona, nagle doznała olśnienia. Wskazała palcem na Kevina, który w końcu obsłużył wszystkich klientów i wycierał teraz bar.

– Poproszę go, żeby to załatwił.

– Dobrze. – Emma wstała z krzesła. – Pójdę do Kevina i mu o tym powiem.

Zamieniła kilka słów z Kevinem, który wydawał się zadowolony, że może pomóc.



- Może spotkamy się w jakimś cichym miejscu, gdzie mogłabyś przejrzeć te rachunki? – zaproponował.

- Z chęcią – odparła Emma. – Masz na myśli jakieś konkretne miejsce?

- Pozwolisz, że zaproszę cię na kolację do bodegi? – zasugerował z błyskiem w oku.

- Mam lepszy pomysł – odpowiedziała, odgarniając jasny kosmyk z twarzy – może lepiej ja postawię ci kolację? W końcu jestem teraz twoją szefową.

- Świetnie – zgodził się Kevin. – Może być jutro?

- Tak.

Umówili się na spotkanie w bodedze następnego wieczoru. Kiedy Emma zbierała się do wyjścia, zauważyła wysokiego mężczyznę, który usiadł na stołku obok niej i zamówił piwo. Jego twarz wydawała się jej znajoma, ale nie była pewna, gdzie mogła go przedtem spotkać. Odwrócił się w stronę Emmy i uśmiechnął, ale zanim zdążył się odezwać, dołączyła do niego ładna młoda kobieta z długimi ciemnymi włosami.

- Hej, fajnie wyglądasz – powiedział mężczyzna do swojej znajomej.

- Ty też nieźle.

- Może to ta pogoda... Czego się napijesz?

- Poproszę piwo.

Oboje mówili z irlandzkim akcentem. Chwilę później Kevin podawał im napoje. Emma słyszała, jak pyta:

- Państwo z Irlandii?

- Tak. Skąd pan wiedział?

- To raczej nie jest australijski akcent – odparł Kevin i wszyscy troje roześmiali się.

Emma znów spojrzała na mężczyznę – była pewna, że gdzieś już widziała tę twarz.

- Kiedyś mieszkałam tutaj, we Fuengirola – odezwała się ciemnowłosa dziewczyna. – Moja przyjaciółka pracowała w tym barze.

- Naprawdę? Niesamowite – odparł Kevin.

Wyglądało na to, że zbiera im się na dłuższą pogawędkę. Emma nie chciała podsłuchiwać, a poza tym miała ochotę obejrzeć miasto. Odwróciła się więc i szybko odeszła.

## *Rozdział 9*

Za swój luksusowy apartament w hotelu Alhambra Emma płaciła tysiąc dwieście euro tygodniowo. Claire udało się znaleźć kawalerkę, za którą zapłaciła dwie-

ście pięćdziesiąt euro – za miesiąc, tyle bowiem zamierzała zostać we Fuengirolí. Była z siebie bardzo dumna, bo taki czynsz był niższy nawet od tego, który płaciła, kiedy przyjechała tu z Róisín cztery lata wcześniej. Ale też obecnie miała zdecydowanie większy talent do targowania się. Kiedy już zdecydowała się na przyjazd, Claire od razu zadzwoniła do Johnny'ego Parkinsona – agenta nieruchomości i przyjaciela, którego poznała, jeszcze mieszkając w Hiszpanii.

– Cześć, Johnny – powiedziała. – Tu Claire Greene. Pamiętasz mnie?

– Czy cię pamiętam? – odparł ironicznie Johnny. – Jak ktokolwiek mógłby o tobie zapomnieć? Chyba policja wydała nakaz twojego aresztowania.

– Bardzo śmieszne. Jak tam sprawy w słonecznej Fuengirolí? – spytała Claire.

– Ciągłe słoneczne, dzięki Bogu. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Przyjeżdżam do was na miesiąc i szukam jakiegoś mieszkania. Taniego.

– Przyjeżdżasz na miesiąc? Myślisz, że cię tu wpuszczą?

– Ho, ho, strasznie zabawne – zaśmiała się Claire.

– Ile możesz zapłacić?

– Nie tak szybko, Johnny. Wiesz, że nie tak załatwiamy interesy. Co możesz mi zaproponować?

Usłyszała, że kolega zanosi się śmiechem.

– Ani trochę się nie zmieniłaś, prawda? – spytał.

– Zestarzałam się i mam nadzieję, że zmadrzałam.

– Dam ci ładną kawalerkę za czterysta euro. Cisza. Mili sąsiedzi. Żadnych ostrych imprez.

– To chyba gdzieś na strasznym uboczu. Może na jakiejś górze, co? – zdziwiła się Claire.

– W drugiej linii zabudowy. Pięć minut od plaży.

– Dam ci dwie stówy – zaproponowała.

– Wcale się nie zmieniłaś. Tylko dlatego, że mam do ciebie słabość, mogę ci je oddać za trzy.

– Dwieście pięćdziesiąt.

– Łamiesz mi serce – wygłupiał się Johnny.

Mieszkanie mieściło się w osmiopiętrowym bloku z widokiem wyłącznie na ulicę poniżej. Dla Claire było idealne. Miała tu sypialnię, łazienkę, salon i kuchnię.

Po drugiej stronie korytarza mieszkała gadatliwa Angielka o imieniu Maggie, która rano, zaraz po przyjeździe Claire, przyszła, żeby się przedstawić i przywitać nową „przyjaciółkę”. Maggie miała jakieś trzydzieści lat, średniej długości brązowe włosy i jasne orzechowe oczy.

– Pewnie szukasz pracy, co? – spytała, moszcząc się na sofie w salonie.

– Nie, przyjechałam tylko odpocząć.

- Och, jak to miło. – Maggie rozejrzała się po pokoju. – Jesteś sama, co?
- Tak – odparła Claire, czesząc swoje długie czarne włosy.
- Tak jest dużo lepiej, zawsze to powtarzam. Tylko siebie musisz zadowolić.

Ale gdybyś czuła się samotna, mieszkam po drugiej stronie korytarza. Zawsze możesz wpaść na filiżankę herbaty.

- To bardzo miło z twojej strony – grzecznie podziękowała Claire z nadzieją, że Maggie w końcu wyjdzie i pozwoli się jej w spokoju rozpakować.

Maggie opisała swoje zajęcia jako „pracę w rozrywce”, co było oględnym określeniem udawanych występów Tiny Turner, które odstawiała w brytyjskich knajpach we Fuengirolu. Claire, delikatnie mówiąc, nieco się zdziwiła, jako że Maggie była mała i przysadzista – ani trochę nie przypominała Tiny Turner. Oznajmiła jeszcze, że mieszka we Fuengirolu od pięciu lat.

- Też tu kiedyś mieszkałam – odparła Claire. – Cztery lata temu. Dziwne, że nigdy na siebie nie wpadłyśmy.

- Nic w tym dziwnego – obronnym tonem wyjaśniła Maggie. – Wtedy przechodziłam fazę Dolly Parton. Jako Tina Turner występuję dopiero od półtora roku. Pokazać ci kawałek występu? Potrzebuję tylko kilku minut, żeby założyć perukę.

- Nie teraz – szybko zaprotestowała Claire. – Muszę wyjść, mam parę spotkań.

Maggie wyglądała na rozczarowaną.

- To może jutro – powiedziała. – Spodoba ci się. Co piątek w Rum Pot Inn powalam wszystkich na kolana.

- Będę miała na co czekać – uprzejmie odparła Claire.

- A jeśli kiedyś będziesz potrzebowała pracy, na pewno uda mi się coś dla ciebie załatwić. Z taką figurą i tymi pięknymi czarnymi włosami od razu cię przyjmą na tancerkę kabaretową.

- Zapamiętam.

„Dobre sobie, tancerka kabaretowa – pomyślała Claire. – Matka z pewnością by się ucieszyła!”. Ale teraz naprawdę miała kilka spotkań. Chciała przejść się wzdłuż wybrzeża do La Cali, żeby odwiedzić przyjaciół, ale najpierw musiała zajrzeć do baru U Pedra, gdzie o wpół do drugiej umówiła się z Markiem na piwo. Ciekawe, czy coś się tam zmieniło, i czy Maria wciąż pracuje.

Przez głowę Claire przeszła myśl o Marku. Naprawdę dobrze się bawiła w jego towarzystwie wczorajszego wieczoru. Był energiczny, zabawny i potrafił nawiązać inteligentną rozmowę, ale od czasu do czasu ponury grymas przemykał przez jego twarz. W tym mężczyźnie było coś, co intrygowało kobiety. Claire zauważyła, że ma na palcu obrączkę, a jednak ani razu nie wspomniał o żonie. A skoro był żonaty – czemu przyjechał tu sam? O tym także nie mówił. „A zresztą – pomyślała. – To sprawa Marka, a skoro nie chce poruszać tego tematu, trudno”.

Kiedy w końcu pozbyła się Maggie, wzięła prysznic i włożyła jabłkowitzelony top z krótką džinsową spódnicą, uśmiechając się na myśl, że w Dublinie w tej chwili byłaby w biurze albo oprowadzała nadętych klientów po mieszkaniach, ubrana w formalny kostiumik. Tak, w końcu wróciła dawna Claire!

Nałożyła na usta błyszczący i posmarowała się kremem z filtrem. Była nie spać w pierwszy dzień pobytu. Związała włosy w długi kucyk, wzięła ze sobą okulary przeciwsłoneczne, czapkę bejsbolową i torbę, po czym wyszła z mieszkania.

Ruszyła w stronę morza, mijając sklepy i restauracje pełne klientów. Towarzyszyło jej niezwykle uczucie – jakby czas stanął w miejscu. Niewiele się tu zmieniło przez cztery lata. Kilka barów miało inne nazwy, a zamiast małego warzywniaka pojawiła się piekarnia, ale w zasadzie Fuengirola wyglądała dokładnie tak, jak zapamiętała ją Claire. Wszystko było takie samo, także kilka młodych osób stojących przy wejściu do portu, które próbowały zainteresować przechodniów mieszkaniem do wynajęcia. Claire uśmiechnęła się, przypominając sobie własne początki. Praca była ciężka, ale życie szczęśliwe – jeszcze zanim zakochała się w Matthew Bakerze i wszystko zmieniło się na dobre.

Kiedy dotarła do portu, skręciła w lewo, idąc przez Paseo Maritimo. Tutaj mieścił się bar U Pedra. Claire także z tego miejsca wyniosła miłe wspomnienia cudownych spotkań, kiedy przychodziła do Róisin po pracy, popijały piwo i flirtowały z ratownikami, a stary pułkownik trzymał ją za rękę i opowiadał o wojnie. Ciekawe, czy jeszcze żyje, czy może się wyprowadził.

Podeszła bliżej i dostrzegła, że Mark już dotarł na miejsce i siedzi na wysokim stołku przy barze. Samo miejsce także nie zmieniło się ani trochę. Przydałoby się je odmalować, ale to wszystko. Pracował za to nowy barman – wysoki przystojniak z ciemnymi kręconymi włosami. Rozmawiał właśnie z jakąś atrakcyjną blondynką. Maria też krzątała się dokoła w swoim pasiastym fartuchu, zmywając naczynia i szklanki w wielkim zlewie.

- Hej! – przywitał ją Mark. – Świetnie wyglądasz.
- Ty też nieźle – powiedziała.
- Może to ta pogoda... – Uśmiechnął się. – Czego się napijesz?
- Poproszę piwo.

Spojrzała na ciemnowłosego barmana, który uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Państwo z Irlandii? – spytał, przygotowując napoje.
- Tak – odpowiedział Mark. – Skąd pan wiedział?
- To raczej nie jest australijski akcent – odparł chłopak z wyraźnie irlandzkim zaśpiewem i wszyscy troje się roześmiali.
- Kiedyś mieszkałam tutaj, we Fuengirola – odezwała się ciemnowłosa dziewczyna. – Moja przyjaciółka pracowała w tym barze.
- Naprawdę? Niesamowite – zdziwił się barman.

Kątem oka Claire dostrzegła, że blondynka w białej koszulce zeskakuje ze stołka i oddala się w stronę plaży.

– *Hola, Maria!* – zawołała Claire.

Starsza pani przerwała pracę i zdziwiona spojrzała, kto ją woła.

– Pamiętasz mnie? Claire. I Róisin? Pamiętasz Róisin?

Na twarzy Marii zaświtało zrozumienie. Wytarła ręce w fartuch i wyszła z baru, by mocno uściskać Claire.

– Oczywiście, że pamiętam. Jak się miewasz?

– Dobrze.

– A Róisin?

– Jest znowu w Dublinie. Pracuje w agencji public relations. Przesyła pozdrowienia.

– Była mądra, ta dziewczyna. Wiedziałam, że któregoś dnia znajdzie dobrą pracę i zarobi dużo pieniędzy. A ty co robisz?

– Wciąż sprzedaję nieruchomości.

– Wyszłaś za męża?

– Jeszcze nie – zaśmiała się Claire.

– Kiedyś wyjdiesz. Taka ładna dziewczyna jak ty nie może długo być sama.

W trakcie tej krótkiej wymiany zdań Claire przyjrzała się dokładnie Marii. Wyglądała starzej i wyraźnie była zmęczona, a gdzieś za pozorną wesołością skrywał się smutek.

– Jak długo zostaniesz? – spytał Kevin.

– Cztery tygodnie. Pomyślałam, że przyjadę i zobaczę, czy coś się tu zmieniło.

– A zmieniło?

– Raczej nie.

Maria odeszła, aby posprzątać stoliki, i Claire wykorzystała okazję, żeby odciągnąć Kevina na bok i spytać, czy starsza pani ma jakieś zmartwienie.

– Jest trochę niespokojna – odparł.

– Dlaczego?

– Mamy nową właścicielkę. Była tu, kiedy przyszliście – to ta blondynka. Też z Dublina.

– Serio? – zdziwiła się Claire. – Jak się nazywa?

– Emma Dunne. Maria boi się, że będzie chciała wszystko tutaj pozmienić albo w ogóle zamknąć interes.

– Przecież nie może tego zrobić!

Kevin wzruszył ramionami.

– A kto to wie? Maria jest tutaj od początku. Jej mąż założył ten bar. To normalne, że się niepokoi.



Claire i Mark dopili piwo i zbrali się do odejścia.

– Musicie do nas wrócić – pożegnał ich Kevin. – Będzie nam miło was gościć.

Kiedy wracali w stronę Paseo Maritimo, Mark położył rękę na ramieniu Claire.

– Wróciły wspomnienia?

– Niektóre – przyznała Claire. – Ale tak już jest ze wspomnieniami. Oczekujesz, że rzeczy będą wyglądały zawsze tak samo – ale tak nie jest. Zmieniają się: czasem powoli i niezauważalnie, a czasem dość dramatycznie. Na przykład Maria boi się, że nowa właścicielka może zamknąć bar. A to byłby prawdziwy szok.

– Na pewno się myli – odparł Mark. – To miejsce wygląda na bardzo popularne i na pewno przynosi niezłe zyski. A tak przy okazji – dzięki za miły wieczór. Dobrze spotkać kogoś, kto był już tutaj i wie, co robić.

– *De nada* – Claire machnęła ręką.

– Co to znaczy?

Uśmiechnęła się.

– „Nie ma za co”.

– Cóż, jak dla mnie, jest za co. Naprawdę to doceniam, zwłaszcza że przyjechałem sam.

Przez chwilę myślała, że Mark rozwinie ten temat, ale tak się nie stało.

– Nie tylko ty powinieneś być wdzięczny – powiedziała. – Postawiłeś mi pyszną kolację, a ja znów spotkałam się ze starym przyjacielem, Carlosem.

– Jedziesz dzisiaj po południu do La Cali? – spytał Mark.

– Zgadza się.

– A może cię podrzucę? Rano wynająłem samochód.

– Myślałam, że zamierzasz grać w golfa.

– To mogę zrobić później.

Mark zaparkował auto niedaleko portu. Claire usiadła z przodu i chwilę później jechali już wzdłuż wybrzeża.

– Jeździłeś kiedyś europejskim samochodem? – spytała Claire.

– Nigdy.

– Ale świetnie sobie radzisz.

– Tak myślisz? – zdziwił się Mark. – Szczerze mówiąc, nawet się nad tym nie zastanowiłem.

Dziesięć minut później wysadził Claire tam, gdzie go o to poprosiła.

– Jak będziesz wracała?

– Wezmę taksówkę. Prawdopodobnie zjem kolację ze znajomymi.

– Baw się dobrze! – pożegnał się Mark i odjechał.

Claire patrzyła, jak się oddala. Wciąż nie potrafiła go rozgryźć. Intuicja podpowiadała jej, że mimo pozornej swobody coś gnębi tego mężczyznę. Założyła okulary przeciwsłoneczne i spojrzała w niebo. Słońce świeciło jak oszalałe. Panowała

prawie zupełna cisza, tylko na pobliskim drzewie śpiewał jakiś ptak. Ten dźwięk poprawił jej humor. Pomyślała o Marii i o jej zmartwieniach. I o Marku. „Dlaczego wszyscy nie mogą być tak szczęśliwi jak ja teraz?” – pomyślała, idąc w stronę małego placzyku, gdzie umówiła się z przyjaciółmi.

## Rozdział 10

Claire miała rację co do Marka. Rzeczywiście coś go gnębiło. To uczucie pojawiło się znowu, gdy siedział u Pedra. Pomyślał o Margot i nastrój natychmiast gdzieś uleciał. Chciał uciec, побыć sam na sam ze swoimi myślami. Chciał z nią porozmawiać.

To ojciec Michael zaproponował Markowi, by rozmawiał z żoną.

– Opowiadaj jej o tym, co się dzieje, o wszystkim, co chcesz – radził duchowny. – Mów o swoich zmartwieniach i troskach. Margot nie żyje, ale nie przestała istnieć: żyje w twoich myślach i w pamięci. Może spróbujesz?

I tak Mark zaczął rozmawiać ze swoją zmarłą żoną. Opowiadał jej o tym, co dzieje się w biurze, zwierzał ze swoich problemów – tak, jakby wciąż była obok niego.

Jednak dzisiaj, kiedy rozmawiał z Claire i Kevinem w barze u Pedra, nagle poczuł się winny, że tak dobrze bawi się bez Niej. To wydawało się niewłaściwe, jakby zdradzał Margot, jakby opuścił ją i zapomniał w tak krótkim czasie. Próbował wyrzucić te myśli z głowy: rozumiał, że są zupełnie irracjonalne. Wiedział dobrze, że Margot chciałaby, żeby odpoczął, zawarł nowe przyjaźnie i żył dalej. Przerabiał to już tyle razy, ale nie mógł przestać. Po prostu chciał, aby Margot znalazła się tu razem z nim, aby wspólnie cieszyli się wakacjami.

Zamiast, tak jak zaplanował, grać w golfa, Mark postanowił pójść na spacer. Chciał znaleźć jakieś ciche miejsce, gdzie mógłby porozmawiać z Margot. A kiedy to zrobi, wszystko znów będzie dobrze. Wysadził więc Claire w La Cali, pojechał kawałek dalej wzdłuż wybrzeża i zaparkował samochód na wyludnionej plaży. Słońce nie świeciło już tak mocno, ale wciąż było gorąco. Na szczęście z nad morza wiał lekki wiaterek i bardzo przyjemnie spacerowało się nad brzegiem. Mark usiadł na kamieniu, zdjął buty, a potem także i koszulę.

– Tak bardzo za tobą tęsknię – powiedział w przestrzeń, idąc powoli w stronę odległej wieży. W rękę niósł związane za sznurowadła buty, a koszulę zawinął wokół szyi. Dokoła panowała cisza, słychać było tylko delikatne uderzenia fal o piasek i wrzaski mew. – Wczoraj wieczorem zjadłem kolację z kobietą, którą poznałem na lotnisku. Ma na imię Claire. Jest bardzo miła i udzieliła mi naprawdę przydatnych wskazówek. I dzisiaj znowu się spotkaliśmy na drinku w takim ma-

łym barze, który poleciła. Nazywa się U Pedra, a prowadzi go pewna starsza pani, Maria. Spodobałoby ci się tam. – Mark szedł dalej, mówiąc. – Poczułem się paskudnie, że cię ze mną nie było. Nie mogłem przestać o tym myśleć. Miałem wyrzuty sumienia, że dobrze się bawię, a ciebie nie ma obok.

Mark rozmyślał o tym, o czym opowiadał Margot. Gdyby była z nim w Hiszpanii, to byłyby idealne wakacje. Myślał kiedyś, że wszystko w życiu będą robić razem – Margot spodobałoby się we Fuengirolí. Słońce, morze i dobra energia. Ale tak nie mogło się stać. Mark musiał żyć dalej, patrzeć w przyszłość. Tego chciała by Margot. Ona zawsze była dobra i hojna. Wolałaby na pewno, żeby nie użalał się nad sobą i nie narzekał.

– Dobrze robisz? – rzucił w przestrzeń pytanie. – Jak myślisz?

Przez chwilę nic się nie działo. Ale chwilę później, kiedy Mark spojrział na przestwór morza rozciągający się, jak okiem sięgnąć, poczuł, że ogarnia go wyjątkowy spokój. Na twarzy pojawił się uśmiech, a z ramion spadł niewidoczny ciężar. Szedł dalej plażą – zupełnie sam na wyludnionym pasku ziemi. Kiedy doszedł do wieży, zawrócił do miejsca, w którym zostawił auto. Wszystko było w porządku. Serce przestało się smucić. Mark popatrzył w puste niebo. Słońce paliło niczym kula ognia.

– Dziękuję, Margot – powiedział cicho. – Zawsze dajesz mi dobre rady.

Claire umówiła się z przyjaciółmi – byłym bankowcem Patem Ryanem i jego żoną Anne. Oboje mieli około pięćdziesiątki, byli bezdzietni i mieszkali w La Cali od prawie dziesięciu lat – od kiedy Pat otrzymał od firmy korzystny pakiet emerytalny i zdecydował się rzucić pracę w finansach i zająć się malowaniem. Czekali na Claire w kawiarnianym ogródku. Na stole stała otwarta butelka wina rioja, miseczka oliwek i pusty kieliszek dla gościa. Gdy tylko zobaczyli, że się zbliża, natychmiast zerwali się z miejsc. Anne objęła Claire ramionami i mocno ją uściskała.

– O mój Boże! Tak dobrze znów cię zobaczyć po tylu latach. Niech no spojrzę, pokaż się. – Odsunęła Claire na długość ramienia i czule spojrzała jej w oczy. – Wciąż masz diabła w oczach, tego samego, który przywiódł cię autostopem do Hiszpanii, podczas gdy twoja biedna matka chciała, byś ustatkowała się przy boku jakiegoś miłego prawnika!

Zaśmiali się zgodnie. Claire często opowiadała Ryanom historię swojego przyjazdu do Fuengirolí.

– No i jestem z powrotem – powiedziała.

– Chyba ani trochę się nie zmieniłaś.

– Zmieniła się, zmieniła – wtrącił się Pat. – Wygląda lepiej i atrakcyjniej niż kiedykolwiek przedtem.

– Muszę się z nim zgodzić – przytaknęła Anne.

Claire uśmiechnęła się i ucałowała oboje przyjaciół.

To w Ryanach lubiła najbardziej: zawsze byli radośni i zadowoleni, a dobrym humorem zarażali wszystkich dokoła. Wyjęła z torby paczuszkę: małą akwarelę mostu H'Tenny w Dublinie, którą kupiła na jakiejś plenerowej wystawie. Wręczyła obrazek Anne.

- To dla was. Żeby wam przypomnieć, co zostawiliście za sobą.

Anne otworzyła prezent i westchnęła z zachwytem:

- Jak to miło z twojej strony, Claire. Jest taki piękny. Tylko spójrz, Pat!

Podowała obrazek mężowi, który zdjął okulary przeciwsłoneczne, żeby bliżej przyjrzeć się akwareli.

- Rzeczywiście, bardzo ładny. Dokładnie tak zapamiętałem ten stary most. Co to za malarz? - Spróbował odczytać podpis na dole obrazka.

- Nikt sławny, niestety. Amator. Ale spodobał mi się i miałam nadzieję, że wam też się spodoba.

- My, biedni artyści, musimy trzymać się razem - oznajmił Pat. - Powieszę go sobie nad biurkiem w gabinecie. A teraz w końcu usiądź i napij się z nami wina.

Opowiedz o tych wszystkich cudownych rzeczach, które się wydarzyły, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni.

- Tak - przytaknęła Anne, nalewając wina do pustego kieliszka. - Ile serc złamałaś, odkąd wróciłaś do Dublina?

- Żadnego - odparła Claire z uśmiechem. - Nie spotkałam nikogo dość głupiego, żeby mnie chciał.

- Bzdura - oznajmił Pat, napełniając swój kieliszek. - Taka ślicznotka jak ty? Z figurą, za którą większość kobiet dałaby się pokroić? I z tą grzywą atramentowych włosów? Jaki facet przy zdrowych zmysłach mógłby ci się oprzeć?

Claire zarumieniła się, zawstydzona, ale doceniała te komplementy. Ryanowie zaśmiali się, widząc jej zażenowanie.

- A co z tym Matthew, który ciągle za tobą łąził? - pytał dalej Pat. - Co się z nim stało?

Twarz Claire na chwilę posmutniała.

- To już skończone.

Anne zauważyła minę przyjaciółki i delikatnie pogłaskała ją po ramieniu.

- Nie powinniśmy cię tak przesłuchiwać. Wybacz nam, Claire.

Claire napiła się wina.

- Możecie pytać, ale będę musiała was rozczarować. Odkąd wróciłam do Irlandii, moje życie jest raczej nudne. W końcu sprzedaję nieruchomości.

- I jestem pewna, że robisz to z powodzeniem - odparła Anne. - Kiedy pracowałaś tutaj, byłaś świetna.

- Słyszałem, że ceny w Dublinie idą w górę jak szalone - dodał Pat.

- To prawda. Ktoś ostatnio zapłacił pięćdziesiąt tysięcy euro za miejsce parkingowe. Wyobrażacie sobie?

- Może powinniśmy byli wstrzymać się ze sprzedażą naszego domu? - Pat zwrócił się do Anne. - Pomyśl, ile dzisiaj moglibyśmy za niego dostać.

- Bzdura - odparła żona. - Oszalałbyś, gdybyś musiał spędzić w tym cholernym banku choćby jeden dzień więcej.

- A co u was słyhać? - spytała Claire, popijając wino.

- Przykro to mówić, ale też raczej nudno. Rano maluję, potem mamy przerwę na lunch. Popołudniami chodzimy popływać albo czytamy. Wieczorami gramy w brydża z innymi napływowymi, których poznaliśmy - opowiadał z uśmiechem Pat. - Ty byś tego nie wytrzymała, Claire.

- Chcesz się założyć?

- Dlaczego właściwie wróciłaś? - dopytywała się Anne.

Claire zamilkła na chwilę.

- Chyba chciałam przypomnieć sobie tamten szczęśliwy czas, kiedy po raz pierwszy przyjechałam tu z Róisín. Było tak cudownie. Miałam nadzieję, że może znów się tak poczuje.

Pat kiwał głową ze zrozumieniem.

- I co, jest tak samo? - spytała Anne.

- Nie jestem pewna - odparła Claire.

Na kolację Ryanowie zabrali Claire do pięknej restauracji usytuowanej na nadmorskiej skale. Claire przestraszyła się, że nie jest właściwie ubrana - miała na sobie tylko skąpą koszulkę i dżinsową spódnicę - ale szybko została uspokojona.

- Jesteś idealnie ubrana - oznajmiła Anne. - Zresztą tutaj i tak nikt się tym nie przejmuje. Chyba że w tych snobistycznych knajpach w Marbelli, gdzie trzeba się stroić, ale u nas masz przede wszystkim dobrze się bawić.

- To co zjesz? - przerwał im Pat, wkładając kartę menu do ręki Claire.

W karcie były głównie owoce morza. Od kiedy weszli do restauracji, poczuli cudowny zapach grillowanej ryby. Claire uważnie przestudiowała menu i wybrała małże w białym winie. Wokół restauracji, nad klifami, krążyły morskie ptaki, a złote słońce powoli zachodziło nad lazurowym morzem.

- Jak tu pięknie - odezwała się. - Czy ktokolwiek mógłby znudzić się takimi zachodami słońca?

- Masz szansę to sprawdzić - odparł Pat, nalewając wszystkim po kieliszku schłodzonego wina.

Kelner przyjął zamówienie i wkrótce podano kolację. Wszyscy troje zamówili dania rybne: grillowane kalmary dla Anne, okonia dla Pata. Do dań podano sałatę i ziemniaki pieczone w czosnku. Claire zdała sobie sprawę, jak bardzo jest głodna.

Od śniadania nic nie jadła. Wyjęła małża z muszli i czuła, jak rozplywa się na języku.

- Gdzie mieszkasz? – spytała Anne chwilę później.

- Udało mi się wynająć mieszkanie po bardzo niskiej cenie, od pewnego agenta nieruchomości, którego kiedyś znałam.

- Mogłaś przecież zamieszkać z nami. Mamy wolne łóżko.

- To bardzo miło z waszej strony, ale nie chciałabym się narzucać – w końcu będę tu cały miesiąc.

- Nonsens. Zawsze się cieszymy, że cię widzimy – odparł Pat. – A teraz, skoro już tu jesteś, mamy nadzieję widywać cię dużo częściej. Chcę ci pokazać moje prace.

- Całkiem nieźle mu idzie – wyjaśniła Anne. – W zeszłym miesiącu miał dużą wystawę w Maladze.

- Przesadza, jak zwykle – przerwał żonie Pat.

- Nie przesadzam. Sprzedałeś obrazy za dwadzieścia tysięcy euro.

- Ślepy traf.

- Cóż, jeśli to ślepy traf, to ja poproszę o następny.

Claire słuchała, jak Ryanowie udają, że się kłóca. Słońce już całkiem zaszło i na niebie rozbłysły setki gwiazd. Rozmowy, które toczono przy sąsiednich stolikach, zlały się w jeden cichy szum. Słysząc było morze rozbijające się o skały na dole. „Istna sielanka – pomyślała Claire. – Prowadzić takie życie to prawdziwe błogosławieństwo”. Poczowała ukłucie zazdrości – przyjaciele porzucili stresujący Dublin, żeby mieszkać tu i robić tylko to, co chcieli.

Kiedy taksówkarz wysadził Claire przed jej domem, była prawie pierwsza w nocy. Wchodząc po schodach, zauważyła, że w pokoju Maggie wciąż pali się światło. Wkładając klucz do zamka, usłyszała, jak otwierają się drzwi mieszkania sąsiadki.

- A więc wróciłaś? – odezwała się Maggie.

Claire poczuła irytację. Była zbyt zmęczona, by wdawać się w przydługie rozmowy. Chciała tylko wejść do łóżka i się wyspać.

- Miły dzień, co?

- Bardzo miły, dzięki – odparła Claire. – Odwiedzałam przyjaciół w La Cali.

- O, to rzeczywiście cudownie.

- Tak.

- Kiedy cię nie było, dzwonił właściciel.

- Johnny Parkinson? – zdziwiła się Claire.

- Tak. Mówił, że ktoś cię szuka.



## Rozdział 11

– Od jak dawna tu mieszkasz? – spytała Emma, odgarniając dłonią blond loki, które opadły jej na twarz.

– Dwa lata – odparł Kevin.

– Pewnie jesteś szczęśliwy.

– Bardzo. Mógłbym tu zostać na zawsze.

Emma napiła się wina.

– To miejsce z pewnością jest magiczne. Ale musi mieć jakieś minusy. Coś, czego jeszcze nie odkryłam. Nic nie jest idealne.

– Zależy, czego szukasz. Jak chciałem tylko znaleźć ciepłe i miłe miejsce, do którego mógłbym uciec. Tutaj żyje się wolniej, pogoda przez większość roku jest doskonała, a utrzymanie niedrogie. – Kevin wzruszył ramionami i uśmiechnął się tajemniczo. Emma złapała się na tym, że ten uwodzicielski uśmiech zaczyna na nią działać. – No i jestem – dokończył.

– Odwalasz dobrą robotę, tak promując Fuengirolę. Powinni dać ci etat w informacji turystycznej – zażartowała Emma.

– Niezły pomysł – odparł Kevin i oboje roześmiali się szczerze.

Siedzieli przy stoliku na zewnątrz bodegi. Właśnie skończyli jeść kolację. Była ósma trzydzieści, ale restauracja była prawie zupełnie pusta. Kevin już wcześniej wyjaśnił Emmie, że Hiszpanie mają zwyczaj dużo później siadać do wieczornego posiłku – co zresztą bardzo jej odpowiadało. Chciała rzucić okiem na księgi rachunkowe baru, aby uspokoić się, że wszystko jest w porządku. O dziesiątej w hotelu rozpoczynał się pokaz mody i Emma miała ochotę go zobaczyć. Kolacja była bardzo miła, ale nadeszła pora, żeby przejść do interesów.

– Jak trafiłeś do Pedra? – spytała Kevina.

– Przypadek sprawił, że akurat byłem wolny.

– A więc to takie miejsce?

– Jeśli chodzi ci o to, że jest niezobowiązujące i spokojne, to tak, zgadza się – odparł. – Ale to wcale nie znaczy, że tego baru nie prowadzi się jak prawdziwej firmy. Z pozoru wszystko wygląda na luzackie, ale Maria trzyma interes twardą ręką. Zresztą sama zobaczysz, gdy tylko zajrzysz do papierów.

Wskazał gestem stos kartek przewiązanych wstążką, które leżały na stoliku. Kiedy przed kolacją wręczył je Emmie, była co najmniej zdziwiona: spodziewała się tradycyjnych ksiąg rachunkowych.

– Opowiedz mi o Marii.

Kevin rozlał wino do kieliszków i spytał:

– Co chcesz wiedzieć?

– Może najpierw to, ile ma lat.

Spojrzał na Emmę z zaskoczeniem.

– Czy ty zawsze zaczynasz od najtrudniejszych pytań? Wiek Marii jest jedną z największych tajemnic ludzkości. Jak trzecia tajemnica fatimska. Możesz zgadywać, ale wiem tyle, co i ty.

– Powiedziałabym, że ma przynajmniej siedemdziesiąt.

– Ale równie dobrze może mieć osiemdziesiąt.

– Nie, nie wydaje mi się. Kobieta w tym wieku chyba nie miałaby aż tyle energii.

– Żartujesz sobie? – znów zdziwił się Kevin. – Niektóre hiszpańskie damy mają zdumiewające jej pokłady. Są twarde jak zdarte buty. Czasem żyją ponad sto lat.

– Maria mówiła mi, że jej mąż, Pedro, zmarł w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat. A to było trzynaście lat temu.

– A skąd wiesz, że mówi prawdę? – spytał Kevin. – Nie wiesz, że Maria ma powód, aby w twoich oczach wyglądać na młodszą, niż jest naprawdę?

– Tak?

Zmarszczył brwi.

– Oczywiście. Jest przerażona, że możesz zamknąć bar.

– A czemu to by było takie przerażające?

– Po pierwsze, Maria straciłaby pracę. Ja też. Tyle że ja z łatwością znalazłbym następną, a ona – nie.

– Ilekolwiek ma lat, na pewno jest starszą panią – zauważyła Emma. – Nie wydaje ci się, że zamiast co dzień pracować w pełnym słońcu, powinna być w domu z rodziną? Ja bym tak zrobiła.

Kevin powoli odstawił kieliszek.

– Wiesz coś o jej rodzinie?

– Oczywiście, że nie. W ogóle nic o niej nie wiem. Dlatego pytam ciebie.

– W takim razie opowiem ci. Maria ma tylko dwoje żyjących krewnych: siostrę Rosario i syna Antonia. Jakichś dziesięć lat temu, krótko po śmierci Pedra, Rosario miała wypadek – teraz jest inwalidką przykutą do wózka. Mieszka z Marią, która się nią opiekuje.

– A Antonio?

Kevin westchnął.

– Antonio, niestety, nie jest odpowiedzialnym synem. Pedro chciał zostawić bar Marii jako formę zabezpieczenia, emeryturę. Ale Antonio przekonał ojca, by zmienił zdanie. Twierdził, że ma wielkie plany i rozwinie interes tak, aby przynosił zyski im wszystkim. Przekonywał, że Pedro nie musi martwić się o Marię, bo syn zatroszczy się o matkę. W końcu Antonio rzeczywiście rozkręcił firmę – z dużą pomocą Marii. Zdobył licencję na alkohol, a ona zajęła się gotowaniem, i wkrótce bar zaczął przynosić zyski. Ale Antonio miał własne plany, o których nikt nie wie-

dział. Gdy tylko zaczął zarabiać, sprzedał wszystko Conorowi Delaneyowi, a Marię zostawił na pastwę losu. Bardzo się o to pokłócili i sytuacja zrobiła się paskudna. Maria nie dostała ani centa ze sprzedaży i tylko dzięki uprzejmości Conora udało jej się zachować pracę i zarabiać na życie.

– Antonio jest teraz właścicielem jakiejś restauracji?

– Tak, świetnie mu idzie. Miejsce nazywa się El Molino Blanco – Biały Młyn i obsługuje tylko najbogatszych klientów. Trzeba przyznać, że Antonio zna się na interesach. Ta restauracja to żyła złota, ale Maria nie otrzymuje ani grosza z zysków. A co gorsza – i to dopiero budzi w niej rozpacz – syn nie pozwala jej spotykać się z wnukami.

Emma wyglądała na zaszokowaną.

– To okropne. Nie miałam pojęcia...

– Cóż, teraz rozumiesz, dlaczego bar na plaży jest dla Marii tak ważny i dlaczego była tak zdenerwowana twoją wizytą. Ważą się jej losy.

Emma spuściła wzrok.

– Zdecydowałaś już, co zrobisz? – ciągnął Kevin.

Pokręciła głową.

– Zanim podejmę jakąś decyzję, muszę przejrzeć te papiery. – Wskazała ręką na plik kartek. – Wiesz, spodziewałam się raczej prawdziwych ksiąg rachunkowych, jakie ma każda firma.

Kevin tylko wzruszył bezradnie ramionami.

– Tylko tyle mi dała.

– Powiedz mi coś jeszcze: czy Maria zatrudnia księgowego?

– Nie wydaje mi się – nerwowo odparł Kevin. – Chyba te sprawy zostawiała Conorowi.

– Ale wszystkie opłaty i podatki są uregulowane? Bar nie ma żadnych długów?

Zwlekał z odpowiedzią.

– Obawiam się, że nie mogę tego potwierdzić, bo nic na ten temat nie wiem.

Emma poczuła ukłucie w żołądku. Co tak naprawdę wzięła na siebie, przejmując bar U Pedra? Próbowwała nie okazywać zdenerwowania.

– W takim razie tego też muszę się dowiedzieć. Możesz przekazać Marii, że rano przyjdę z nią porozmawiać? Wspomnij, że chcę się dowiedzieć dokładnie, jaka jest sytuacja podatkowa i ubezpieczeniowa firmy, i czy ma ona jakieś zadłużenie. Nie mogę podjąć żadnej sensownej decyzji, dopóki nie będę wiedzieć wszystkiego. Tymczasem wezmę te papiery i przejrzę je.

– Mogę o coś zapytać? – ostrożnie zaczął Kevin. – Jak to się stało, że kupiłaś bar, nawet go nie oglądając?

– Nie kupiłam go – odparła Emma.

Kevin spojrzał na nią zdziwiony.

- Ale jesteś właścicielką?
- Można powiedzieć, że go nabyłam. Nic nie wiem o prowadzeniu baru.

Zajmuję się poligrafia – mam firmę w Dublinie.

- To znaczy, że nie masz żadnego doświadczenia?
- Ani trochę. Jestem zupełnie zielona.

Znowu dostrzegła zaskoczenie w jego oczach.

- To dość skomplikowane. – Emma podniosła stos papierów ze stołu i poprosiła o rachunek.

- Wracasz do hotelu? – spytał Kevin.
- Wezmę taksówkę.

Przez chwilę stali w niezręcznym milczeniu, po czym Emma wyciągnęła dłoń.

- Dzięki, że znalazłeś czas, by się ze mną spotkać i poinformować o wszystkim.

- Sama przyjemność. Dziękuję za pyszną kolację.

Uroczy uśmiech powrócił na twarz Kevina. W innej sytuacji Emma skusiłaby się, żeby iść z nim jeszcze do jakiegoś baru na drinka, ale nie tego wieczoru. Dziś miała do załatwienia sprawy służbowe.

- Powiedz Marii, że wpadnę rano – powiedziała, odwracając się i idąc w kierunku sznura taksówek.

W hotelu Emma uznała, że daruje sobie pokaz mody. Poszła od razu do pokoju i zadzwoniła do Conora Delaneya. Nie odpowiadał, zostawiła więc wiadomość, żeby jak najszybciej oddzwonił. Potem zamówiła dzbanek kawy, usiadła przy małym biurku i zaczęła przeglądać papiery. I zdenerwowała się jeszcze bardziej. Bez względu na specyfikę hiszpańskich władz Emma wiedziała na pewno, że żaden z tych dokumentów nie mógł być zaakceptowany przez urząd skarbowy w Dublinie. Po chwili zaczęła orientować się w leżących przed nią świstkach. Rachunki i faktury układały się w całość, a Emma z ulgą stwierdziła, że bar zarabia na sobie i przynosi stałe zyski. Wciąż jeszcze nie wiedziała, czy ma jakieś obciążenia i zadłużenia. W tym, co czytała, nie było wzmianki o takich problemach.

Nagle zadzwonił telefon. Emma podniosła słuchawkę i usłyszała głos Conora.

- Szukałaś mnie? – powiedział niewyraźnym głosem. Od razu domyśliła się, że pił.

- Dzięki, że oddzwoniłeś. Jak się miewasz?

- Odjazdowo – odparł. – Dokładnie tak, jak przewidziałem, te sępy zabrały się za obgryzanie moich kości. Jeszcze chwila, a nie będę miał nawet nocnika, żeby się odlać.

- Nie dramatyzuj, na pewno wszystko się jakoś ułoży.
- Nie stawiałbym na to. Ale co mogę dla ciebie zrobić?
- Jestem we Fuengirolí.

- A więc trafiłaś tam jakoś? Szkoda, że nie mogę być z tobą. Pozdrów wszystkich ode mnie. Jak się miewa stara Maria?

- Dobrze. Właśnie dlatego dzwonię. Próbuję zorientować się jakoś w rachunkach. Możesz mi powiedzieć, czy jakiś zawodowy księgowy zajmuje się sprawami finansowymi baru?

Odpowiedź Conora sprawiła, że Emmę przeszył lodowaty dreszcz.

- Nigdy mnie to nie obchodziło. Wszystko zostawiałem Marii. Przyjeżdżałem tam kilka razy w roku i odbierałem czek z wypłatą zysków. Dopóki bar się kręcił, dawałem jej spokój.

- Ale ja muszę wiedzieć, czy te wyliczenia są aktualne. Nie chcę dostać wezwania do zapłaty gigantycznego podatku.

Conor, dusząc się czkawką, zdołał jakoś odpowiedzieć:

- Posłuchaj mojej rady i daj sobie z tym spokój. W Hiszpanii wszystko jest inne. Może po prostu przyjmiesz mój system działania? Wpadaj po kasę kilka razy w roku, a resztę zostaw Marii.

Emma czuła, że nie ma sensu dyskutować.

- Cóż, dzięki za telefon, Conorze. I powodzenia!

- Nie zapomnij im powiedzieć, że o nich pytałem.

- Nie zapomnę.

Odłożyła słuchawkę. Przyjęcie systemu działania Conora oznaczałoby zupełną katastrofę! Właśnie ten „system” doprowadził go do obecnego stanu, a Emma nie miała zamiaru ładować się w takie samo bagno. Poszła do sypialni, nałała sobie kieliszek brandy i usiadła na tarasie. Gwiazdy świeciły jasno, ale nie przyniosły pocieszenia. Zamiast tego Emma czuła tylko, że ogarnia ją strach. Jakby sprawdzały się najgorsze koszmary. Mały bar na plaży mógł okazać się kamieniem u szyi. Musiała szybko porozmawiać z Marią, z samego rana, kiedy tylko otworzą bar dla klientów.

## *Rozdział 12*

Pierwsza reakcja Claire na słowa Maggie była jeszcze umiarkowana.

- Johnny Parkinson mówił, że ktoś mnie szuka, tak?

- Tak.

- A mówił kto?

Maggie pokręciła głową.

- Zostawił numer telefonu?

- Niestety, nie. Po prostu zadzwonił, spytał, czy jesteś, a kiedy powiedziałam, że cię nie ma, poprosił, abym ci przekazała, że ktoś cię szuka.

- Ale chyba miał na myśli telefon? A może ktoś rzeczywiście przyszedł do agencji?

- Szczerze mówiąc, nie wiem.

- Nie znoszę takich wiadomości! - Claire z irytacją potrząsnęła czarnymi lokami.

- O rany, przepraszam.

- Nie, to nie twoja wina. Po prostu chciałabym, żeby ludzie byli bardziej konkretni.

- Bardzo to tajemnicze, prawda?

- Raczej bardzo denerwujące - odparła Claire. Po wycieczce do La Cali była bardzo zmęczona, chciała tylko pójść do łóżka. - Nic to, Maggie. Dziękuję. Do zobaczenia rano.

Weszła do mieszkania i zdecydowanie zamknęła drzwi. Kto mógł jej tu szukać? Tylko ktoś stąd, z Hiszpanii, kto znał ją kiedyś i słyszał, że wróciła. Rodzice i przyjaciele w Irlandii mieli numer komórki, ale - biorąc pod uwagę koszty rozmów - nikt raczej nie dzwoniłby, żeby tylko pogadać. Wszyscy mieli jej adres e-mailowy i w ten sposób zamierzała utrzymywać kontakt ze światem. Na końcu ulicy widziała kafejkę internetową - jutro pójdzie tam i sprawdzi pocztę. Przypomniała sobie, że od wyjazdu z Dublina nie dzwoniła do matki. To także powinna zrobić jutro i zameldować się, zanim matka wezwie Interpol i oświadczy, że jej córkę porwali kosmici.

Claire rozebrała się, wzięła prysznic i wślizgnęła się do łóżka. To był długi dzień. Fajnie było znowu spotkać Ryanów i zobaczyć, jak bardzo są szczęśliwi. Ale teraz była taka zmęczona... Może zbyt obcesowo potraktowała Maggie, ale naprawdę nie była w nastroju na pogawędkę o Tinie Turner. Może jutro. Kiedy zamknęła oczy, do głowy wpadła jej pewna myśl. Czemu ta osoba zadzwoniła do właściciela mieszkania? Prawie nikt nie wiedział, że udało jej się załatwić kawalerkę dzięki dawnemu znajomemu z agencji - chyba że Kevin Joyce rozpowszechnił tę informację. Sprawa rzeczywiście była bardzo tajemnicza, Maggie miała rację. „A zresztą - pomyślała Claire, moszcząc się wygodnie w ciepłym łóżku - jeśli to naprawdę ważne, ten ktoś skontaktuje się znowu”.

Spała do dziesiątej. Obudziła ją Maggie, waląc do drzwi wejściowych. Gdy Claire otworzyła, zobaczyła sąsiadkę stojącą w korytarzu z nożem do pieczywa w dłoni. „Mój Boże - pomyślała - musiałam ją wczoraj naprawdę obrazić”.

- Więc wstałaś? - spytała Maggie.

- Już tak - odparła Claire, nerwowo spoglądając na mordercze narzędzie.

- Robię naleśniki na śniadanie i pomyślałam, że może się przyłączysz.

Claire potarła zaspane oczy.



- Cudownie, Maggie, uwielbiam naleśniki. Daj mi tylko parę minut. Zbiore się i przyjde.

Wróciła do pokoju, wzięła szybki prysznic, a potem włożyła koszulkę, spódnice i sandały. Dołączyła do Maggie, już od progu czując boski zapach świeżo parzonej kawy i ciasta naleśnikowego.

- To miło z twojej strony, Maggie.

- Wiesz, pomyślałam, że możesz być trochę samotna, skoro dopiero przyjechałaś, i w ogóle. - Sąsiadka postawiła przed Claire wielki talerz naleśników i słoik syropu klonowego. - Dowiedziałaś się, kto cię szuka?

- Jeszcze nie.

- Myślałam sobie, że to może dzwonił ten szalony morderca z siekierą, który lata dokoła i zabija ludzi. W zeszłym tygodniu w Marbelli zamordował dwie kobiety.

- Nie wydaje mi się, żeby to był on.

- Nie?

- Chyba nie dzwoniłby, żeby powiedzieć, że nadchodzi.

- No tak, racja. Ale może tylko cię sprawdzał? Podobno lubi takie brunetki jak ty.

- A skąd wie, że tutaj jestem?

- Może cię śledził? Jak myślisz, powinniśmy wezwać policję?

- Jeszcze nie - odparła Claire i zabrała się do pałaszowania naleśników. - Najpierw zadzwonię do właściciela i zapytam, czy wie, kto mnie szuka.

- Dobry pomysł. Ale nie powinnaś ryzykować. Lepiej zamykaj na noc drzwi.

- I tak to robię. - Claire nalała sobie dużą filiżankę parującej kawy.

Przez następne pół godziny słuchała, jak Maggie rozważa ewentualne korzyści z zamiany Tiny Turner na Madonnę.

- Madonna ma więcej fanów - mówiła. - Tina Turner to raczej klimaty dla starszych ludzi, nie sądzisz?

- Nie znam się na tym.

- No i nie jestem dość wysoka. Gdybym była twojego wzrostu, to co innego. Jesteś ładna i wysoka. Faceci chyba wolą wysokie kobiety.

- Nie jestem przekonana - odpowiedziała Claire, zjadając kolejny naleśnik.

- Jestem pewna, że świetnie odgrywasz Tinę Turner. A ona ma mnóstwo fanów.

- Serio? Bez problemu mogłabym zmienić się w Madonnę. Może czas na jakąś zmianę?

- A umiesz tak śpiewać jak ona? - zdziwiła się Claire.

- To nie ma żadnego znaczenia.

- Przecież masz udawać, że jesteś nią.

- Ale ja nie śpiewam, tylko ruszam ustami do playbacku.

– Rozumiem. – Claire uświadomiła sobie nagle, że nie wie zbyt wiele o przemyśle rozrywkowym. – W takim razie może powinnaś spróbować.

W końcu Claire udało się uciec z mieszkania Maggie, ale najpierw musiała obiecać, że przyjdzie znów wieczorem, aby zobaczyć oba występy – Tiny Turner i Madonny – i pomóc sąsiadce zdecydować, który wizerunek bardziej do niej pasuje.

Kafejkę internetową prowadził pewien miły Egipcjanin, który zaprowadził Claire do komputera z tyłu sali i uparł się, aby na krzesło położyć wygodną poduszkę.

– Wie pani, jak go obsługiwać?

– Tak – odparła Claire.

– Skąd pani pochodzi?

– Z Irlandii.

– O, to mój ulubiony kraj.

– Naprawdę?

– Tak, kocham Irlandię. Kocham Bono. Czy w Irlandii są kafejki internetowe?

– Oczywiście, mnóstwo – potwierdziła Claire.

– Może przyjadę do Irlandii i otworzę jeszcze jedną?

– To z pewnością dobry pomysł.

– Myśli pani, że spotkam Boba Geldofa?

– Raczej wątpię.

Mężczyzna wyglądał na rozczarowanego.

– A czemu nie?

– Bo mieszka w Londynie – odparła Claire, wpisując hasło i logując się do swojej poczty.

W skrzynce było sześć wiadomości od przyjaciół i znajomych z Dublina. Wystarczyło dwadzieścia minut, by przeczytała wszystkie i odpowiedziała, zapewniając bliskich, że świetnie się bawi, pogoda jest doskonała, jedzenie pyszne, a sama Claire zadowolona. W temacie wpisała: *Wiadomość ze słonecznej Fuengirolí*, ale najpierw sprawdziła prognozę pogody, by upewnić się, że w Dublinie jest teraz pochmurno i chłodno.

Nadeszła pora, żeby zadzwonić do matki. Claire odkładała to na ostatnią chwilę, bo wiedziała, że nie będzie to łatwa rozmowa. Wzdłuż ściany w kafejce ustawiony był rząd kabin, do których wstawiono drewniane blaty, krzesło, licznik i telefon. Claire weszła do pierwszej z brzegu kabiny i zamknęła drzwi. Zdjęła słuchawkę ze ściany, wzięła głęboki oddech i wykręciła numer. Słuchała, jak w domu oddalonym o tysiące mil lądowych i morskich dzwoni telefon. Po chwili usłyszała kliknięcie i uprzejmy kobiecy głos, który zaanonsował:

- Rezydencja Greene'ów. Z kim mam przyjemność?
  - To ja, mam, Claire. Dzwonię tylko, aby ci powiedzieć, że dojechałam bezpiecznie na miejsce i wszystko jest w porządku.
  - Och, dzięki Bogu! – wydusiła z siebie matka. – Prawie straciłam zmysły, tak się o ciebie martwiłam!
  - Dlaczego w takim razie nie zadzwoniłaś do mnie na komórkę, mam, skoro aż tak się martwiłaś?
  - Przecież twoja komórka nie działa w Hiszpanii, prawda?
  - Oczywiście, że działa!
  - Nieważne. Wszystko u ciebie w porządku? Jesteś bezpieczna? Jaką masz pogodę?
  - Trzydzieści dwa stopnie, mam. Jest tak gorąco, że śpię przy otwartym oknie.
  - Boże święty! Chcesz mnie przestraszyć? Natychmiast zamknij to okno. Co jeśli jakiś zboczony maniak seksualny włamie się i zaatakuje cię we własnym łóżku?
  - Mieszkam na szóstym piętrze. Maniak musiałby być Batmanem.
  - Nie mogę nawet myśleć o tym wszystkim. Po co tam wracałaś? I czemu wyjechałaś aż na cztery tygodnie? Zostawiasz drzwi do kariery szeroko otwarte dla twoich konkurentów. A co będzie, jeśli zwolni się jakaś dobra posada, a ciebie tu nie będzie i się nie zgłosisz? Ty, z twoim dyplomem z prawa z Trinity College?
- Claire ugryzła się w język.
- Spróbuj się uspokoić, mam. Jestem pewna, że jeśli coś takiego się zdarzy, będę o tym wiedziała. Jestem zupełnie bezpieczna i mam tu cudowne, odrestaurowane wakacje. Nie masz o co się martwić.
  - Łamiesz mi serce. – Pani Greene nie dawała za wygraną. – Dlaczego nie możesz być jak twoja siostra, Orla – ma ładny dom i szczęśliwe małżeństwo. Mówiłam ci już, że dostanie posadę dyrektorki w swojej szkole?
  - Nie.
  - No więc dostanie.
  - A co się stało z panem Breenem?
  - Popadł w załamanie nerwowe. Twierdził, że jest ścigany przez Marsjan, którzy chcą odebrać mu pracę.
  - Biedny człowiek. A to była tylko Orla, przez cały ten czas... Ucałuj ode mnie tatę. Zadzwonię znowu w przyszłym tygodniu. Pa!

Claire odłożyła słuchawkę i wydała z siebie przeciągłe westchnienie ulgi. Dzięki Bogu, już po wszystkim. Bez wątplenia z matką było coraz gorzej. Świetnie dogadałyby się z Maggie w kwestii maniaków seksualnych i chorych psychicznie morderców z siekierami. Ale matka już się nie zmieni. Nie będzie szczęśliwa, dopóki Claire nie włoży peruki i togi sędziowskiej, nie wyjdzie za jakiegoś prawnicze-

go geniusza albo chociaż za zwykłego, porządnego prawnika. Oby tylko zarabiał duże pieniądze.

Claire zapłaciła miłemu Egipcjaninowi i wyszła na ulicę wprost w oślepiające słońce. Musiała się napić. Niedaleko była plaża, postanowiła więc, że przejdzie się do baru U Pedra i napije się piwa. Może będzie Kevin i uda im się trochę pogadać? Jednak kiedy dotarła do baru, Kevina tam nie było. Maria natomiast okazała się wciąż pogrążona w depresji i nie miała nastroju na rozmowę. Claire usiadła przy barze i zamówiła. Szalona pora lunchu dobiegała końca, ale kilku opalonych plażowiczów zostało na miejscu, popijając miejscowe piwo i dyskutując o futbolu. Claire poczekała, aż Maria skończy pracę i spytała:

- Gdzie jest Kevin, Mario?
- Ma przerwę. Później będzie.
- Mieliście pracowity dzień?

Starsza pani wzruszyła ramionami.

- W barze U Pedra każdy dzień jest pracowity.
- Ale to dobrze. To znaczy, że ludzie lubią to miejsce. Gdyby nie było klientów, wtedy mogłabyś narzekać.

Maria znów wzruszyła ramionami, ale nie odpowiedziała. Claire zrobiło się jej szkoda. Praca w takim słońcu, w tym wieku, to nie przelewki.

- Uśmiechnij się, Mario.

Maria tylko parsknęła.

- Uśmiechnij się! Jak mam się uśmiechnąć skoro nowa *señorita* pewnie zamknie bar? I co ja wtedy zrobię?

Claire wyciągnęła dłoń i dotknęła ramienia starszej pani.

- Nie myśl w ten sposób. Pomyśl o wszystkich dobrych chwilach, które tu przeżyłaś. O tym jak się razem śmialiśmy.

Na krótką chwilę na pomarszczonej twarzy Marii zagościł uśmiech.

- Tak - przyznała. - Masz rację. To były dobre czasy. Może jeszcze wróca?

Było już po czwartej, kiedy Claire wyszła z baru. Nie miała żadnych planów na wieczór, chciała tylko znaleźć jakieś miłe miejsce na kolację, a potem wrócić do mieszkania i zasiąść na kanapie z dobrą książką. Maggie nie będzie jej przeszkadzać, już wcześniej oznajmiła, że wieczorem ma jakieś spotkania w pubach w różnych częściach miasta. Najpierw jednak Claire musiała zajrzeć do agencji nieruchomości i dowiedzieć się, kto jej szukał. Biuro mieściło się niedaleko portu. Kiedy tam dotarła, właśnie je zamykano.

- Dzień dobry - odezwała się wesoło do młodej asystentki. - Czy Johnny jest w biurze?
- A kto pyta?
- Claire Greene.

Recepcjonistka wstała od biurka i zniknęła w małym biurze na tyłach. Chwilę później wyszła stamtąd a za nią Johnny Parkinson, jak zwykle opalony.

- A, Claire! Dobrze cię widzieć. Jak tam mieszkanie?
- Dobrze, dziękuję.
- Jesteś zadowolona?
- Nie narzekam.
- Mam dla ciebie ładną willę w Puerto Banus za milion euro. Zainteresowana?
- Nigdy nie przestajesz pracować, co? – spytała z uśmiechem Claire.
- Znasz tę branżę. Wczoraj sprzedałem penthouse facetowi, z którym grywam w golfa. Dogadaliśmy umowę przy dziewiętnastym dołku. A w czym tobie mogę pomóc?
- Sąsiadka powiedziała mi, że dzwoniłeś. Podobno ktoś mnie szuka. Ironiczny uśmiech przemknął przez twarz Johnny'ego.
- Zgadza się. Twój stary przyjaciel. Rozmawiałem z nim przez telefon i wspomniałem przypadkiem, że jesteś we Fuengirolí. Kazał cię pozdrowić i przekazać, że w przyszłym tygodniu sam przyjedzie tu w interesach i cię znajdzie.
- O kim mówisz? – spytała Claire z nadzieją, że nie usłyszy nazwiska, którego tak bardzo się obawiała.
- Matthew Baker.

## Rozdział 13

Mark energicznie maszerował wzdłuż brzegu w kierunku portu. Było dopiero po dziewiątej, a on nie czuł się równie dobrze od wielu miesięcy. Po „rozmowie”, jaką przeprowadził z Margot na plaży, wrócił mu dawny humor. Czuł, że ona jest szczęśliwa, a i on sam zaczął odzyskiwać dawną radość z życia – jakby to Margot za pośrednictwem męża cieszyła się pięknym śródziemnomorskim krajobrazem.

Wczoraj wyjął w końcu kije golfowe i zagrał osiemnaście dołków na przepięknym polu położonym na wzgórzu nad miastem. Potem przyłączył się do grupy irlandzkich golfiarzy w barze, gdzie wzbudzali zainteresowanie swoim oryginalnym wykonaniem *The Fields of Athenry* i *Dacey Reilly*. Dopiero około pierwszej Mark poszedł do łóżka. Spał jednak dobrze i następnego ranka miał już mnóstwo energii.

Poranek był pogodny, jasne słońce świeciło na bezchmurnym niebie. Mark, ubrany w szorty, koszulkę i adidas, szedł wzdłuż małych restauracji i kawiarni, których stoliki wystawione były na zewnątrz, i wciągał w nozdrza zapach świeżo palonej kawy. Miasto od rana tętniło życiem. Widział biegaczy uprawiających jog-

ging, leżaki wystawione na piasku i plażowiczów pluskających się w morskich fałach. Postanowił, że wpadnie do baru U Pedra, wypije tam poranną kawę i wróci do hotelu. Może znów wpadnie na Claire? Naprawdę dobrze bawił się podczas kolacji w restauracji U Felipe. Może dałaby się namówić na następne spotkanie?

Jednak kiedy Mark dotarł do baru, czekała go niespodzianka. Wszystko było zamknięte, żaluzje zasunięte, stoliki i krzesła poustawiane jedno na drugim przy tylnej ścianie. Żadnego śladu życia – poza samotną postacią kobiety, czekającej przy ladzie na otwarcie. Mark podszedł bliżej i rozpoznał młodą blondynkę, którą widział tu ostatnim razem rozmawiającą z Kevinem.

- Dzień dobry – powiedział wesoło. – Bar zamknięty?
- Niestety, na to wygląda – odparła kobieta.
- A o której otwierają?
- Nie mam pojęcia. Miałam nadzieję, że może pan będzie wiedział.
- Przykro mi, ale nie wiem. – Mark zerknął na zegarek. – Jest dziewięta

trzydzieści, czas na poranną kawę, moim zdaniem.

- Moim też. Ale tutaj nie ma śladu życia.
- Jeśli ma pani ochotę na kawę, po drugiej stronie ulicy jest kawiarnia.

Wskazał palcem na kawiarnię przy Paseo Maritimo, która była otwarta i miała już sporo klientów. Nieznajoma spojrzała w tę stronę.

- Ma pan rację – powiedziała. – Konkurencja nie traci czasu.
- Rzeczywiście. Pedro musi wziąć się do roboty.

Kobieta się uśmiechnęła.

- Jestem nową właścicielką baru U Pedra.
- Och, proszę się nie gniewać!
- Nie ma sprawy – odparła rozbawiona. – Przyszłam porozmawiać z kierowniczką, ale niestety nie wiem nawet, w jakich godzinach bar jest otwarty.

- Pewnie pani nie pamięta, ale spotkaliśmy się tutaj kilka dni temu. Siedziała pani przy barze, kiedy przyszedłem. Rozmawiała pani z barmanem.

- Pamiętam. Pan był z wysoką, ciemnowłosą kobietą, prawda?
- Tak – przytaknął Mark.

- Bardzo piękna, jeśli wolno mi zauważyć. To pańska żona?

- Nie. – Zwlekał przez chwilę, ale mówił dalej. – Ma na imię Claire. Kiedyś tu mieszkała, a jej przyjaciółka pracowała w barze. Chciała przywitać się z Marią.

Mark wyciągnął dłoń.

- Tak przy okazji, nazywam się Mark Chambers.
- Emma Dunne.
- A więc jesteś nową właścicielką?

- Tak – znów się uśmiechnęła. – I nie mogę nawet wypić filiżanki kawy we własnym barze.



- Słuchaj – odezwał się Mark. – Wyszedłem sobie na spacer i też miałem wielką ochotę na kawę. Może przyłączysz się do mnie i pójdziemy do konkurencji? Stamtąd będziesz miała oko na swój bar, a kiedy Maria się pojawi, od razu ją zauważysz.

- Dobry pomysł – zgodziła się Emma. – Upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu: sprawdzę przy okazji, jak spisuje się mój przeciwnik.

- Bar U Pedra jest chyba bardzo popularny wśród plażowiczów – zauważył Mark, kiedy już usiedli w kawiarnianym ogródku i energiczny młody kelner w białym fartuchu przyjął ich zamówienie. – Wtedy, gdy ja tam zajrzałem, rzeczywiście mieli niezły utarg. Kiedy przejęłaś firmę?

- Dopiero kilka dni temu. Przyjechałam od razu tutaj, żeby sprawdzić, w co się wpakowałam.

- Ale chyba widziałaś bar już przedtem?

- Nie, nigdy tutaj nie byłam.

- Serio? – Mark nie dowierzał. Nie chciał wydać się wścibski, ale taki sposób robienia interesów wydawał mu się raczej dziwny – kupować kota w worku?

- Pewnie uważasz, że oszalałam – ciągnęła Emma.

- Czemu miałbym tak myśleć?

- Po pierwsze, nie wiem nic o prowadzeniu baru. A jeszcze mniej – o prowadzeniu baru w Hiszpanii.

- Czemu więc zdecydowałaś się zainwestować?

- W ogóle się nie zdecydowałam, w tym sęk. Można powiedzieć, że przejęłam go od poprzedniego właściciela jako spłatę długu. Zobaczyłam bar U Pedra dopiero kilka dni temu.

- Cóż, jeśli nie chcesz go prowadzić, czemu go nie odsprzedasz? Jestem pewien, że mogłabyś zgarnąć niezłą sumkę.

Emma zaśmiała się głośno.

- Chciałabym, żeby to było takie proste! Ale są pewne problemy.

- Jakie?

Machnęła lekceważąco ręką.

- Na pewno nie chcesz tego słuchać – to nudne sprawy.

- Skąd! – zaprzeczył Mark. – Mnie interesują.

- Pierwsze pytanie to: co zrobić z personelem? Nie mogę po prostu wyrzucić ich na ulicę. Szczególnie Marii. Zarządzanie barem to jej jedyne źródło dochodów, a ma siostrę, która jest inwalidką i którą trzeba utrzymywać.

- Hm – zamyślił się Mark. – To rzeczywiście niełatwe. Ale może jeśli sprzedasz bar, następny właściciel zdecyduje się zatrzymać personel.

- To możliwe, ale niepewne. Nowy właściciel może równie dobrze chcieć zatrudnić swoją załogę.

Przy stoliku pojawił się kelner, niosąc kawę. Mark skorzystał z przerwy w rozmowie, aby uważniej przyjrzeć się Emmie. Była bardzo piękna z tą burzą jasnych loków opadających na ramiona, ciepłymi błękitnymi oczami i figurą modelki. Ale zauważył coś jeszcze: za ładną buzią kryła się także pewność siebie, może nawet bezwzględność. Był pewien, że Emma Dunne to bardzo zdecydowana młoda dama.

Zamieszała kawę i upiła łyk.

– Mmmm – pyszna. Muszę spróbować kawy w barze U Pedra i porównać. – Mając cierpliwą publiczność w osobie Marka, Emma wydawała się bardziej skora do rozmowy. – Wracając do tematu, drugi problem jest potencjalnie dużo poważniejszy.

– Tak? – zachęcił ją.

– Mówiłam ci, że nie mam żadnego doświadczenia w prowadzeniu kawiarni w Hiszpanii, ale to, co do tej pory widziałam, nie napawa mnie optymizmem. Sprawy baru są prowadzone od przypadku do przypadku. Kiedy poprosiłam o księgi rachunkowe, otrzymałam jedynie plik rachunków i faktur. U nas nikt nie zaakceptowałby czegoś takiego.

– A co właściwie robisz w Irlandii? – spytał Mark.

– Prowadzę drukarnię Hi-Speed Printing w Dublinie. Słyszałeś o nas?

Potrząsnął głową.

– Jesteśmy firmą średniej wielkości, ale nieźle nam idzie. Rozumiesz więc, że jestem przyzwyczajona do użerania się z księgowymi, pilnowania ksiąg rachunkowych, płacenia podatków, utarczek z urzędem skarbowym i innych podobnych spraw. Szczerze mówiąc, obawiam się, że przez ostatnie lata nie płacono podatków za bar i teraz na jego koncie są tylko wielkie długi.

– Ale Maria na pewno będzie mogła cię uspokoić.

– Mam wielką nadzieję, że tak. Dlatego chciałam tu przyjść z samego rana i z nią porozmawiać. Tylko że jej angielski nie jest najlepszy.

– Na pewno wszystko jakoś się ułoży – zapewniał ją Mark. – Myślę, że martwisz się na zapas.

– Obyś miał rację. W tej chwili naprawdę nie potrzebuję kolejnego problemu.

Emma dopiła kawę. Do tej chwili Mark nawet nie tknął swojej, bo cały czas zajęty był rozmową. Teraz podniósł filiżankę i upił nieco czarnego płynu.

– Chcesz jeszcze jedną? – spytał Emmę.

– Broń Boże! Za dużo kawy i mam drżączkę.

Mark zobaczył, że nowa znajoma uważnie mu się przygląda.

– Wiesz, jestem pewna, że już cię gdzieś widziałam – powiedziała.

– Parę dni temu widziałas mnie w barze.

– Nie, gdzieś indziej. Gdzie pracujesz?

- W reklamie.

Nagle Emma coś sobie przypomniała.

- Oczywiście! – wykrzyknęła, śmiejąc się. – Teraz cię poznaję! Chambers Creative Artists, prawda?

- Zgadza się – Mark przytaknął.

- Musicie mieć ogromnie dużo zleceń. Za każdym razem, kiedy otwieram gazetę, widzę jakąś wzmiankę o twojej firmie. Właściwie... – Emma zasłoniła usta dłonią. – O Boże, tak mi przykro. – Popatrzyła na Marka ze strachem.

- Moja żona niedawno zginęła – odparł. – Nie musisz czuć się zażenowana. Powoli przyzwyczajam się do tej myśli. Dlatego tu przyjechałem.

- Tak mi przykro. Musisz bardzo cierpieć.

- Nie będę udawał, że jest inaczej – potwierdził Mark. – To dla mnie koszmar. Bardzo ją kochałem, a ten wypadek zdarzył się tak nagle. Na dodatek oczekiwaliśmy pierwszego dziecka.

Emma delikatnie położyła dłoń na ramieniu Marka.

- Nawet nie umiem sobie wyobrazić, przez co teraz przechodzisz. Ja tu paplam o swoich głupich problemach, gdy ty przeżywasz taki koszmar! Przepraszam, wybacz mi.

Mark szybko sprostował.

- Nie ma czego wybaczać, naprawdę. Dobrze mi się z tobą rozmawia. – Wyjął z kieszeni długopis i napisał coś na serwetce, po czym wręczył ją Emmie. – Masz, to numer telefonu w moim hotelu. Zadzwoń, jeśli uznasz, że mogę ci się jakoś przydać w sprawie baru. Co dwie głowy to nie jedna, a ja mam nieco doświadczenia w prowadzeniu interesów. Właściwie to zadzwoń i tak, postawię ci drinka, a ty opowiesz mi, jak się skończyła cała sprawa.

W tej chwili Emma dostrzegła wysiadającą z taksówki pulchną postać Marii, która szła już plażą w stronę baru.

- Jest twoja ofiara – powiedział Mark. – Może złapiesz ją, zanim otworzy?

Emma zerwała się na nogi.

- Dzięki za kawę i za to, że wysłuchałeś moich narzekań. Będziemy w kontakcie.

Przebiegła przez drogę i zaczęła wołać Marię i machać ręką, by zwrócić jej uwagę.

Mark patrzył w swoją filiżankę. Kawa wystygła. Zawołał kelnera, aby zapłacić rachunek. Emma i tak będzie zajęta przez dłuższą chwilę, więc nie było sensu tu zostawać. Postanowił pójść w stronę portu, może nawet ponurkować. Tak, pójdzie i sprawdzi, jakie są możliwości nurkowania.

## Rozdział 14

Słyszając, że ktoś woła jej imię, Maria zatrzymała się i rozejrzała dokoła. Na jej twarzy pojawił się grymas. To ta irlandzka *senorita*. Kevin dzwonił wcześniej i mówił, że przyjdzie, a Maria czuła, że to oznacza kłopoty. Kiedy Emma podeszła bliżej, starsza pani zmusiła się do uśmiechu.

– *Hola, Maria!* – zawołała Emma.

– *Hola, Emma!*

– Jak się dzisiaj miewasz?

– Jestem spóźniona do pracy. Moja siostra, Rosario, chorowała dzisiaj rano i musiałam się nią zająć.

– Przykro mi to słyszeć. Ale już czuje się lepiej? – Maria wzruszyła ramionami. – Zapomnij na chwilę o barze, Mario. Muszę z tobą porozmawiać. Może usiadziemy tu na ławce?

Na twarz Hiszpanki powróciła troska, ale Emma szybko zapewniła:

– Nie musisz się martwić, chcę ci tylko zadać kilka pytań.

Emma poprowadziła Marię do ławki stojącej przy deptaku. Nie było to idealne miejsce, ale zapewniało choć odrobinę prywatności, a przecież musiały gdzieś porozmawiać.

Maria usiadła i Emma zaczęła mówić:

– Wczoraj wieczorem rozmawiałam z Kevinem, który przyniósł mi rachunki. Miałam czas, żeby je przejrzeć i bardzo się cieszę, bo bar U Pedra doskonale zarabia. To świetnie, Mario.

Na twarzy starszej pani pojawił się przelotny uśmiech.

– Interes dobrze idzie i zyski są spore – mówiła dalej Emma – ale muszę zapytać o kilka innych spraw.

– Tak?

– Powiedz mi, czy płacicie jakiegokolwiek podatki?

Maria wyraźnie nie wiedziała, o czym mówi Emma.

– Nie rozumiem.

– Każda firma musi płacić podatki. Rząd zawsze szuka pieniędzy – wyjaśniła cierpliwie Emma.

– Nie wiem nic o podatkach – odparła Maria. – Ja tylko kupuję jedzenie, płacę rachunki za piwo i wino, a potem wypłacam pensje. Papiery, które dał Kevin, to wszystko, co mam.

Emma poczuła, że jej serce przestaje bić. Było dokładnie tak, jak się obawiała. Próbowała nie zdradzać swoich uczuć, żeby nie denerwować Marii.

– To bardzo ważne, Mario. Czy macie księgowego?

Maria wyglądała na zdezorientowaną.

Emma próbowała przypomnieć sobie słowo, które znalazła rano w słowniku hiszpańskim pożyczonym od recepcjonisty w hotelu.

- *Contable.*
- *Ah, contable?*
- *Tak, Mario. Czy macie contable?*
- *Si! Señor Martinez Sanchez.*

Starsza pani przez chwilę wyglądała na tak szczęśliwą, że Emma myślała, iż zechce ją zaraz mocno uściskać.

- *On jest contable?* - Maria udała, że coś pisze, aby pokazać Emmie, iż rozumiała, o co chodzi.

- *Doskonale, Mario. To właśnie chciałam wiedzieć. A teraz muszę z nim porozmawiać. Czy możesz dać mi adres i numer telefonu?*

- *Oczywiście.*

Maria poprowadziła Emmę z powrotem do baru. Wyjęła pęk kluczy z kieszeni sukienki, otworzyła klapę i zaczęła szukać czegoś w środku. Nagle żaluzje podniosły się z łoskotem i Maria pojawiła się po drugiej stronie lady.

- *Un inomento!* - zawołała, otwierając szufladę. Wyciągnęła stamtąd mały czerwony notes i przekartkowała strony, aż znalazła to, czego szukała. Zapisała informacje na kartce papieru i dała ją Emmie. - *Miguel Martinez Sanchez.*

Emma spojrzała na kartkę: był tam adres i numer telefonu. Rozpoznała ulicę - znajdowała się niedaleko starego miasta.

- *Dziękuję, Mario. Właśnie to było mi potrzebne - schowała kartkę do torebki. - Do zobaczenia, Mario.*

- *Buenos dias, Emma.*

Emma odwróciła się, ale przystanęła na chwilę.

- *Mario, chcę, żebyś wiedziała, iż doskonale wykonujesz swoją pracę i jestem bardzo zadowolona, że tu jesteś.*

Twarz starszej pani rozjaśniła się.

- *Gracias, señorita.*
- *Buenos dias, Maria.*

W pierwszej chwili Emma chciała pójść prosto do księgowego i od razu z nim porozmawiać. Mogła dotrzeć do jego biura w ciągu kwadransa. Ale kiedy szła przez Paseo Maritimo, zmieniła zdanie. Lepiej będzie skontaktować się z nim bardziej oficjalnie. Już i tak wszystko wydawało się zbyt poufałe. Zadzwoń więc ze swojego hotelu i umówi się na spotkanie. Udało się jej dodzwonić za pierwszym razem. Sądząc po głosie, księgowy był mocno zdziwiony, ale szybko oprzytomniał. Wyjaśnił, że rano ma jakąś sprawę do załatwienia, ale chętnie spotka się z Emmą o drugiej po południu. Była prawie jedenasta, więc Emma postanowiła spędzić

resztę przedpołudnia, opalając się przy basenie. Była tu od trzech dni i wciąż nie miała na to czasu.

Basen mieścił się w ogrodach hotelowych, był oddzielony od drogi wysoką ścianą. Leżaki stały ustawione w równe rzędy i sporo ludzi już się opalało. Emma znalazła miejsce blisko ściany, zdjęła sarong i nałożyła na ciało dużą porcję kremu z filtrem. Jako że była blondynką i miała jasną skórę, zdawała sobie sprawę, jak niebezpieczne może być słońce. Przypomniała sobie koszmarną historię, którą ktoś jej kiedyś opowiedział: o kobiecie, która zasnęła w mocnym słońcu i obudziła się cała pokryta pęcherzami. Biedna ofiara musiała spędzić resztę wakacji na oddziale oparzeń miejscowego szpitala. „Cóż, mnie się to nie zdarzy, jeśli będę się pilnować” – mówiła do siebie, upychając włosy pod czapką bejsbolową. Założyła okulary przeciwsłoneczne i położyła się, wzdychając z zadowoleniem.

Jak dotąd było nieźle. Dowiedziała się, że bar rzeczywiście zatrudniał jakiegoś księgowego – to dobrze. Może z nim ustalić, czy wszystko jest w porządku, i poprosić go, aby uporządkował prymitywny system „księgowania”. Oczywiście, faktury i rachunki dokumentowały wydatki, ale w żaden sposób nie mogły zastąpić porządných ksiąg rachunkowych. Jeśli Maria nie mogła tego pilnować, powinna poprosić Kevina, aby zajął się ich prowadzeniem. Kiedy tylko ten problem zostanie rozwiązany, Emmie łatwiej będzie podjąć decyzję, co zrobić z barem.

Słońce świeciło prosto w twarz. „Jak to miło – myślała Emma – gdy przez chwilę można sobie tak po prostu poleżeć”. Większość ludzi wylegujących się dookoła basenu pewnie nie miała zmartwień większych niż wybór odpowiedniego wina do obiadu. Ale Emma znów myślała o tym, jak ostatnio jej życie przewróciło się do góry nogami: najpierw oferta Herr Brauna, a potem niespodziewanie przejście baru. Przecież jeszcze tydzień temu omawiała zamówienia poligraficzne z klientami, a teraz leżała na słońcu w Fuengirolí, zmuszona podjąć dwie ważne decyzje.

Emma na zmianę pływała i opalała się, więc poranek zleciał w mgnieniu oka i zbliżała się pora spotkania. Upchnęła ręcznik i kosmetyki w torbie, po czym wróciła do apartamentu. Wzięła szybki prysznic, ubrała się w kremowy lniany garnitur i nałożyła makijaż. Ponieważ miało to być pierwsze spotkanie z księgowym, Emma chciała zrobić dobre wrażenie. Na stopy wsunęła kremowe sandały na szpilce i przejrzała się w lustrze. Wyglądała na wyważoną i elegancką, a nieco opalona już skóra wyraźnie odznaczała się pod jasnym garniturem. Emma założyła jeszcze małe złote kolczyki i prosty złoty łańcuszek. Zadowolona ze swojego wyglądu wyszła i zjechała windą na dół, do holu. Przed hotelem stał rząd taksówek. Emma wsiadła na tylne siedzenie pierwszej z nich i podała adres.

Dziesięć minut później wysiadła w wąskiej uliczce przy bocznym placu. Jeszcze raz sprawdziła numer: odrapane wejście przy małym warzywniaku. Emma się zdziwiła: spodziewała się czegoś dużo bardziej reprezentacyjnego. Otworzyła drzwi i dostrzegła klatkę schodową oraz rozklekotane schody. Ręcznie malowana ta-



bliczka ze strzałką wskazywała na górę: *M. Martinez Sanchez*. Napisu „księgowy” na niej nie było. Z rosnącym niepokojem Emma wdrapała się na górę, aż znalazła oszklone drzwi z tym samym imieniem i nazwiskiem. Zapukała i weszła. Przy komputerze siedziała kobieta w średnim wieku, która podniosła wzrok, kiedy Emma wkroczyła do biura.

- Nazywam się Emma Dunne. Jestem umówiona z *señorem* Martinezem Sanchezem.

Kobieta wskazała na kolejne drzwi, dając Emmie do zrozumienia, żeby weszła. Gdy Emma przekroczyła próg, załamała się zupełnie. Gruby facet w tanim garniturze wstał zza biurka, by ją przywitać. Miał ulizane czarne włosy i obwisłe policzki. Wyciągnął dłoń i uśmiechnął się, pokazując rząd złotych zębów.

- *Señorita* Dunne - odezwał się. - Miło panią poznać.

Od pierwszej chwili Emma znieubiła tego człowieka.

Mark już kiedyś nurkował i sprawiało mu to ogromną przyjemność. W porcie znalazł budkę, w której można było wykupić wycieczki i wypożyczyć cały potrzebny sprzęt. Szczęśliwie okazało się, że za dwadzieścia minut odpływa następna łódź. Mark zdecydował, że nie będzie wracał do hotelu, tylko zapłacił za bilet, przebrał się w piankę, wsadził ubrania do szafki i razem z innymi nurkami wsiadł do łódki. Pół godziny później byli już na otwartym morzu, gotowi, by wskoczyć do wody. Razem było ich sześciu: trzech Niemców, Duńczyk i niski, opalony Francuz. Instruktor udzielił im wskazówek dotyczących bezpieczeństwa, nakazał trzymać się razem, a potem jeden po drugim nurkowie zakładali maski i butle, po czym wyskakiwali przez burtę do wody.

Przeżycie było niesamowite. Instruktor zabrał ich w miejsce, gdzie pod powierzchnią leżało mnóstwo skał, i kiedy Mark zanurkował w zimne wody, zafascynowało go to, co zobaczył: przepiękne podwodne rośliny, ławice jasnokolorowych ryb, kraby, homary, rozgwiazdy i wielką ośmiornicę, która przepłynęła obok, nie zwracając na człowieka najmniejszej uwagi. Mógłby tak pływać bez końca, badając morskie głębiny, ale po półtorej godziny instruktor dał im sygnał, że pora wracać na powierzchnię. Gdy Mark dotarł na łódź, byli tam już wszyscy oprócz Francuza. Dopiero kilka minut później wynurzył się on nieco dalej, ale szybko i bez wysiłku przyplłynął z powrotem.

Po dotarciu do portu Mark zdjął piankę, wziął gorący prysznic i ubrał się. Była już prawie czwarta i zaczynał mu doskwierać głód. Trochę wysiłku fizycznego wzmagало apetyt. Postanowił raz jeszcze zajrzeć do baru U Pedra. Jeśli znajdzie tam Claire, zaprosi ją na kolację. Może nawet wybiorą się wieczorem do klubu? Wieczór spędzony w miłym towarzystwie byłby dobrym zakończeniem tego dnia. Wyszedł z portu i szedł plażą w kierunku baru. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że

ma szczęście: Claire siedziała na wysokim stołku i żywo dyskutowała o czymś z Kevinem.

– Cześć! – zawołał Mark, siadając obok niej.

Claire spojrzała na niego. Od razu dostrzegł zmartwioną minę dziewczyny.

– O, cześć, Marku – powiedziała bez entuzjazmu.

Wyczuł, że coś ją gnębi, ale nie chciał dociekać, o co chodzi.

Za to Kevin był w świetnym nastroju. Natychmiast postawił przed Markiem szklanekę, którą właśnie wycierał, uśmiechnął i spytał:

– Piwo?

– Dzięki – odparł Mark.

– Robiłeś dzisiaj coś ciekawego?

– Ponurkowałem trochę.

– Super. Sam od dawna zbieram się, żeby to zrobić, ale ciągle jakoś się nie składa.

– W porcie jest jeden facet, który organizuje wyjazdy, i nie liczy sobie specjalnie dużo. Zapewnia cały sprzęt.

Kevin postawił pełną szklanekę przed Markiem.

– Będę musiał tam zajrzeć.

Mark podał barmanowi pięć euro i odezwał się do Claire:

– A ty? Napijesz się jeszcze czegoś?

Powoli pokręciła głową.

– Dzięki, ale nie.

– Jesteś pewna?

– Tak, nie zostanę długo. Przyszłam tylko pogadać chwilę z Kevinem.

– A gdzie Maria? – spytał Mark.

– Poszła do domu. Jej siostra nie czuje się najlepiej – odparł Kevin i wydał resztę.

– To chyba nic poważnego?

Kevin wzruszył ramionami.

– Kto wie? Maria nie lubi rozmawiać o tych sprawach.

Mark upił duży łyk i po chwili odezwał się znowu:

– Spokojnie tutaj.

– Na razie – zaśmiał się Kevin. – O tej porze po południu zawsze jest spokojniej. I dobrze, bo wszyscy pomarliibyśmy ze zmęczenia.

Rozmowa się urwała. Mark spoglądał na plażę: wciąż było tam sporo opalających się ludzi, dzieci bawiących się w słońcu i wielbicieli morskich fal. Zorientował się, że wyraźnie przeszkodził Claire i Kevinowi w jakiejś rozmowie. Atmosfera zdecydowanie steżała. Podniósł szklanekę i dokończył piwo. Nie miało sensu, żeby siedział tu, skoro go nie chcieli.

– Lepiej już pójdę – powiedział z uśmiechem. – Do zobaczenia.

– Na razie – pożegnał go Kevin i zabrał pustą szklanke.

Claire zmusiła się do uśmiechu:

– Cześć.

Poszedł w stronę Paseo Maritimo. Nici z planów, żeby zabrać Claire na kolację. Wyraźnie nie była w nastroju, a Mark nie miał zamiaru do niczego jej nakłaniać. Jednak wracając do hotelu, czuł rozczarowanie. Lubił towarzystwo tej dziewczyny i miał nadzieję, że ona czuła to samo. Ale wyglądało na to, że tego wieczoru kolację zje sam.

Gdy dotarł do hotelu, podszedł do recepcji i poprosił o klucz. Uśmiechnięta recepcjonistka podeszła do rzędu przegródek, wyjęła klucz, a razem z nim kremową kopertę, na której widniał emblemat hotelu Alhambra. „Ciekawe, od kogo” – myślał Mark, rozdzierając kopertę. W środku była ręcznie napisana notka.

*Proszę, odezwij się do mnie, gdy tylko będziesz mógł. Potrzebuję twojej rady.*

Niżej był numer telefonu i prosty podpis: *Emma*.

– Kiedy to dostarczono? – spytał Mark.

– Jakaś godzinę temu, *señor*. Wiadomość przyniósł kurier.

„Szykują się kłopoty” – pomyślał Mark. Włożył kopertę do kieszeni i poszedł do pokoju.

## Rozdział 15

Claire czuła się fatalnie. Informacja, że Matthew Baker przyjeżdża do Fuengirolí, zaskoczyła ją i przestraszyła. Minęły dwa lata, odkąd ostatnio rozmawiali, a nieco więcej, od kiedy się widzieli. W tym czasie starała się o nim nie myśleć, choć oczywiście nigdy nie zapomniała byłego narzeczonego. Był jedynym mężczyzną, którego Claire kiedykolwiek kochała, i zmienił jej życie całkowicie. Przeżyli razem cudowne chwile, ale w końcu Matthew ją zdradził. A w przyszłym tygodniu miał zamiar tu przyjechać i się z nią spotkać. Co powinna zrobić?

Zastanawiała się, czy historyjka, którą opowiedział Johnny, była prawdziwa. Czy to rzeczywiście tylko zbieg okoliczności, że Matthew przyjeżdża, czy może dowiedział się, że Claire mieszka we Fuengirolí? Czy to tylko podróż w interesach, czy zjawia się specjalnie po to, by się z nią spotkać? Dała mu przecież jasno do zrozumienia, że nie chce mieć z nim nic wspólnego. Ale Matthew był uparty, wiedziała, że łatwo się nie podda. Dzięki tej cesze stał się tak świetnym biznesmenem.

Cały dzień zszedł jej na rozmyślaniu o dawnej miłości. Nie przestawała myśleć o Matthew nawet teraz, kiedy szła przez Paseo Maritimo w jasnym, prawie wieczornym słońcu. Znowu przypominała sobie radosne chwile, które przeżyli wspólnie

tu, we Fuengirolí, cztery lata temu. Może to tylko pamięć płatała figle, ale może rzeczywiście wtedy Claire czuła się szczęśliwsza niż teraz? Oczywiście – była młodsza, wszystko było nowe i ekscytujące. Skończyła studia, uciekła przed ekspansywną matką, która namawiała córkę, by jak najszybciej znalazła pracę i dobrego męża. Życie wydawało się wielką przygodą. Ale czy tamte radości stały się faktem dzięki obecności Matthew Bakera?

Niestety tak, musiała przyznać Claire. Matthew tak wiele ją nauczył: to dzięki niemu poznała podstawy handlu nieruchomościami. A potem, kiedy się w nim zakochała i wprowadziła do wspólnego mieszkania, życie całkowicie się odmieniło. Claire pamiętała uroki budzenia się w ramionach ukochanego mężczyzny, kiedy słońce wpadało przez okna sypialni, aby triumfalnie obwieścić nadejście nowego dnia. Pamiętała wspólne śniadania na tarasie z widokiem na morze, róże, które przysyłał Matthew, prezenty, komplementy, noce spędzone pod gwiazdami w czasie kolacji w przytulnych restauracjach, wiszący w powietrzu zapach mimozy i cygańskiego muzyka grającego na gitarze serenady.

Matthew był uroczy, inteligentny, hojny i szarmancki, a także oszałamiająco przystojny. I był świetnym kochankiem. Nic dziwnego, że zwał kobiety z nóg. Ale zdradził Claire – w ich wspólnym łóżku spał z inną kobietą. To Matthew zniszczył wspaniały sen. Nie wolno było o tym zapominać. To Matthew zawiódł zaufanie, a Claire zrobiła jedyną właściwą w tamtej chwili rzecz, dzięki której nie straciła szacunku do samej siebie: opuściła go. A teraz on wracał, żeby znów się spotkać.

Claire skręciła w prawo i znalazła się w labiryncie wąskich uliczek, które tworzyły starówkę. Winiarnia, o której wspomniał Kevin, musiała być gdzieś tutaj. Dobrze, że udało się jej zajrzeć do baru U Pedra dziś po południu. Rozmowa z Kevinem poprawiła humor Claire, choć oczywiście nie powiedziała mu, co jest przyczyną jej złego nastroju. Wspomniała tylko, że znalazła się w małym dołku, a Kevin chciał zrobić wszystko, by poprawić jej humor, i w końcu zmusił Claire do uśmiechu. Kiedy zbierała się do wyjścia, zaprosił ją na ósmą wieczorem na drinka do bodegi, do której teraz zmierzała.

Żałowała jednego: w trakcie rozmowy z Kevinem pojawił się Mark, którego potraktowała dość chłodno. Jednak będąc w kiepskim nastroju, nie miała ochoty na dłuższą pogawędkę. Mark szybko zrozumiał i wyszedł, a Claire poczuła wyrzuty sumienia. Był w końcu bardzo miłym facetem. Powinna się trochę wysilić i być bardziej uprzejma. Zamiast tego zachowała się po prostu niegrzecznie. Postanowiła, że następnym razem, kiedy się spotkają, postara mu się to wynagrodzić.

Kilka minut później znalazła bodegę. Na zewnątrz restauracji stało kilka stolików nakrytych do kolacji, ale nie było jeszcze żadnych gości. Claire przeszła przez drzwi i weszła do nieco mrocznego wnętrza. Od razu usłyszała, że ktoś woła jej imię. Zamrugała oczami, aby przyzwyczaić się do przyciemnionego światła i wyło-

wiła wzrokiem figurę samotnie siedzącą przy barze. Gdy Claire podeszła bliżej, Kevin objął ją ramieniem i delikatnie pocałował w policzek na przywitanie.

- *Buenas noches, senorita.*
- *Buenas noches, senor* – odparła.
- **Czego się napijesz?**

Zamówiła kieliszek wina.

- **Jakie to miłe i przytulne miejsce** – powiedziała po chwili, rozglądając się dokoła i spoglądając na stare rondle i czajniki powieszzone na bielonych ścianach.

- **To moja sekretna kryjówka** – zwierzył się Kevin. – **Kiedy zamykamy U Pedra, często tu przychodzę.**

- **Dziwne, że nie znalazłam wcześniej tego miejsca.** Myślałam, że znam już wszystkie tajemnice Fuengirolí.

Kevin posłał jej swój czarujący uśmiech, który Claire uważała za jego największą zaletę.

- **Można tu spędzić życie i nie poznać ich wszystkich.**
  - **Nie powiedziałaś mi jeszcze, dlaczego w ogóle przyjechałeś do Fuengirolí?**
- **spytała Claire, sącząc wino, które postawił przed nią barman.**

- **Żeby uciec z domu. Zacząć nowe życie.**
- **Tak?**
- **A czy nie dlatego przyjeżdża tu większość ludzi?**
- **Myślałam, że wracają tu, bo zakochują się w tym miejscu.**
- **To też. Ja na pewno się w nim zakochałem. Ale potrzebowałem innego powodu, żeby w ogóle się tu pojawić.**

Opowiedział Claire o kłótni z ojcem i o latach, które spędził z zespołem.

- **Gra w kapeli musi być bardzo ekscytująca** – rzekła Claire.
- **Przez krótką chwilę rzeczywiście była. Ale w końcu dałem spokój. Błądziłem w kółko, wciąż marząc, że nastąpi jakiś przełom, który przyniesie nam wielki sukces. Wreszcie zapytałem sam siebie, co ja z tego mam.**

- **A co miałeś?**
- **Goniłem za marzeniem. Zdałem sobie jednak sprawę, że nigdy mnie ono nie uszczęśliwi. Miałem dość i postanowiłem się wycofać.**

- **O co chodziło twojemu ojcu?**

Kevin westchnął i mówił dalej:

- **Moja rodzina miała sklep z odzieżą w Galway. Ojciec chciał, żebym zastąpił go w firmie, a ja odmówiłem. Nie chciałem, aby ktoś inny decydował o moim życiu, nawet jeśli to miał być mój ojciec.**

- **Wiem dobrze, co czułeś** – odparła Claire.

Spojrzał na nią i spytał:

- **Naprawdę?**

- Tak. Moja matka próbuje organizować mi życie, odkąd zaczęłam chodzić do szkoły. Wiem, że chce dla mnie jak najlepiej, ale muszę podejmować własne decyzje. Nawet jeśli popełniam błędy.

- A popełniasz? To znaczy, popełniłaś?

Claire odrzuciła ciemne włosy do tyłu i Kevin dostrzegł w jej oczach marzycielski wyraz.

- Popełniłam jeden. Chociaż nie jestem całkowicie pewna, że to był błąd. Zakochałam się w mężczyźnie, który mnie zawiódł.

- To przykre.

Claire wzruszyła ramionami.

- Zdarza się.

Zamilkli, każde myślało o swojej przeszłości.

- Nie żałuję, że nie zacząłem pracy w sklepie – powiedział po chwili Kevin. – Ale mogłem oczywiście lepiej rozwiązać całą tę sytuację. Byłem arogancki i zraniłem mojego staruszka. Jednak innej rzeczy żałuję bardziej: z powodu występu zespołu nie mogłem być przy śmierci mojej matki. Ojciec nigdy mi tego nie wybaczył. Ja także sobie nie wybaczyłem.

Claire sięgnęła, aby ująć dłoń Kevina.

- Musisz sobie wybaczyć. Przecież nie zrobiłeś tego specjalnie.

- Ale zrobiłem i już. A teraz muszę żyć z konsekwencjami.

Było po dziewiątej, kiedy skończyli drinki. Bar zaczął zapełniać się gośćmi.

- Masz jakieś plany na wieczór? – zapytał Kevin.

- Chciałam obejrzeć występ mojej sąsiadki. Pracuje „w rozrywce”, jak to określa. Dzisiaj występuje w pubie King's Arms.

- Znam to miejsce, jest całkiem blisko.

- Obiecałam, że obiektywnie ją ocenię.

- To może oboje tam pójdziemy? – zaproponował Kevin z uśmiechem. – Wystawimy dwie obiektywne oceny.

- Świetny pomysł! – zgodziła się Claire.

Wieczór był ciepły, a ulice tętniły życiem. Pub był oddalony o dziesięć minut. Angielski bar w starym stylu serwował dobre brytyjskie jedzenie i brytyjskie piwo, stał się więc bardzo popularny wśród turystów. Kiedy Claire i Kevin przybyli na miejsce, Maggie właśnie zaczynała występ. W pubie siedziało około pięćdziesięciu stłoczonych gości, usadowionych przy stolikach wokół małej podwyższonej sceny. Kevin kupił dwa piwa i właśnie siadał, kiedy na scenę wszedł mistrz ceremonii.

- Panie i panowie, wydarzenie, na które wszyscy czekaliście, główna atrakcja wieczoru! Nakładem wielkich środków, prosto z hotelu Sands w Las Vegas, przywozłem państwu Tinę Turner!

W tej chwili z dwóch wielkich głośników po obu stronach sceny rozległy się dźwięki perkusji. Mała kurtyna rozdzieliła się i na scenie nagle pojawiła się Mag-



gie z mikrofonem w ręce. Zaczęła tańczyć, pokazując całkiem niezłe nogi, kręcąc mikrofonem i śpiewając *Simply the Best*. Tyle że naprawdę wcale nie śpiewała. Claire dobrze wiedziała, że sąsiadka tylko naśladuje piosenkarkę w rytm playbacku. Jednak wychodziło jej to tak dobrze, że nieświadomy widz mógł uwierzyć, że słowa naprawdę wychodziły z ust Maggie.

Claire była pod wrażeniem. Mimo że Maggie była niższa i tęższa niż prawdziwa Tina Turner, ruchy sceniczne dopracowała do perfekcji i show był w istocie bardzo wiarygodny. Kiedy po półgodzinie zeszła ze sceny, towarzyszyły jej gorące oklaski publiczności. Dziesięć minut później dołączyła do Claire i Kevina, ubrana już w „cywilne” ciuchy.

Za nią snuł się jakiś wysoki, chudy facet z ogoloną głową. Miał na sobie czarną koszulkę z wampirem i tatuaż smoka na prawym ramieniu. Maggie przedstawiła znajomego:

– Ricky Blaine. Mój kumpel. Jest muzykiem. Gra na gitarze w kapeli Czarne Kurzyślady.

Ricky nonszalancko wzruszył ramionami i wyciągnął rękę. Kevin już chciał powiedzieć, że także grał w zespole, ale zanim rozmowa zdążyła się zacząć, wtrąciła się Maggie.

– I jak wam się podobał mój show?

– Byłaś absolutnie doskonała – odparła Claire. – Bardzo profesjonalna. Zresztą słyszałaś te oklaski po występie.

– Zgadza się – przytaknął Kevin. – Gdyby Claire nie powiedziała mi prawdy, pomyślałbym, że oglądam Tinę Turner z krwi i kości.

Maggie zachichotała z zadowolenia.

– Mój program w Rum Pot jest jeszcze lepszy. No, ale oni mają większą scenę, więc mogę potańczyć, w ogóle więcej się ruszać.

– Byłaś świetna – zapewniła Claire. – Podbiłaś całą publiczność.

– Wiesz, może jednak zostanę przy Tinie Turner i dam sobie spokój z Madonną – oświadczyła Maggie.

– Robisz też za Madonnę? – spytał zdziwiony Kevin.

– Jeszcze nie – odpowiedziała Maggie. – Ale mam wypracowany program. Kiedyś udawałam Dolly Parton i to dopiero był przebój! Zwłaszcza wśród facetów. – Mrugnęła do Kevina.

– Jestem pod wrażeniem – skomentował. – I mieszkasz w tym samym bloku, co Claire? Musisz przyjść i odwiedzić nas U Pedra. Postawię ci drinka na koszt firmy.

– Och, z chęcią przyjdę – Maggie spojrzała na zegarek. – Wpół do jedenastej. Lepiej już pójść, bo za pół godziny mam występ w Mucky Duck, a tamtejsza publiczność bardzo nie lubi czekać. To na razie!

Złapała Ricky'ego za rękę i wymaszerowała z pubu z torbą z kostiumami przewieszoną przez ramię.

- Ta to ma charakterek - odezwał się Kevin, kiedy Maggie zniknęła im z oczu.

- Tak - zgodziła się Claire. - Jest bardzo sympatyczna, chociaż czasem ta serdeczność może męczyć.

- Masz szczęście, bądź pewna. Mogłaś trafić na gorszych sąsiadów. Na przykład na takich, którzy nie śpią, tylko przez całą noc słuchają heavy metalu.

Po wyjściu przed pub Kevin i Claire rozstali się.

- Wpadnij jutro - powiedział Kevin, odchodząc. - Poprawiasz mi humor.

- Chyba jest zupełnie odwrotnie - odparła Claire - ale miło, że tak mówisz.

Pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Dobranoc, Claire.

Claire dotarła do mieszkania krótko po jedenastej. Wzięła prysznic, włożyła szlafrok i usiadła na tarasie z książką w rękę. Noc była piękna, powietrze chłodne, a niebo upstrzone gwiazdami. Jutro zapowiadał się kolejny pogodny dzień. „Tak się cieszę, że tu wróciłam - pomyślała. - To był świetny pomysł”. Przed północą zaczął ją morzyć sen. Pora spać. Kiedy układała się w miękkiej pościeli, doznała olśnienia: przez cały wieczór ani razu nie pomyślała o Matthew Bakerze!

## Rozdział 16

Gdy tylko Mark wszedł do swojego pokoju, tuż po odebraniu listu od Emmy, usiadł na łóżku i zadzwonił Pod numer podany na kartce. Już po pierwszym sygnale ktoś po drugiej stronie podniósł słuchawkę.

- Emma? To ja, Mark. Dostałem twoją wiadomość.

- Wychodziłeś gdzieś?

- Byłem ponurkować, właśnie wróciłem.

- To brzmi groźnie. Żadnych rekinów w pobliżu?

Mark uśmiechnął się do siebie.

- Jedyne rekiny, jakie znam, mieszkają na suchym lądzie.

Usłyszał, jak Emma śmieje się do słuchawki.

- Nurkowanie z butlą jest zupełnie bezpieczne i bardzo przyjemne. Musisz kiedyś spróbować - dodał.

- Może skorzystam z twojej rady.

- Pomyślałem, że wpadłaś w jakieś kłopoty.

- Cóż, to jeszcze nie kłopoty - Emma mówiła poważniejszym tonem - ale przydałaby mi się twoja rada.

- To pilne?
- Ujmę to tak: im szybciej z tobą pogadam, tym lepiej.
- To jednak pilne. Zróbmy tak: chciałem właśnie wyjść i coś zjeść. Może się do mnie przyłączysz?
- Z chęcią, jeśli nie będę ci przeszkadzać.
- Ależ skąd, wcale. Tylko najpierw muszę zarezerwować stolik. Zaraz do ciebie zadzwonię.

Od poprzedniej wizyty w restauracji U Felipe Mark cały czas marzył, by tam wrócić. Zadzwoił do lokalu i udało mu się porozmawiać z szefem, Carlosem. Zapytał, czy mimo późnej pory uda się zarezerwować stolik dla dwojga.

- Na którą godzinę, *señor*?

Mark zerknął na zegarek.

- Może na ósmą trzydzieści?
- Oczywiście. Do zobaczenia, *señor* Chambers.

Mark odłożył słuchawkę, a po chwili zadzwonił do Emmy.

- Zarezerwowałem stolik U Felipe na wpół do dziewiątej. To restauracja w porcie, mogę po ciebie podjechać, jeśli chcesz.
- Będzie łatwiej, jeśli wezmę taksówkę. Przed hotelem zawsze dużo ich stoi.
- Dobrze – odparł Mark. – Do zobaczenia na miejscu.

Było dziesięć po siódmej, czas szykować się do wyjścia. Mark poszedł do łazienki, wziął prysznic i dziesięć minut później patrzył już w zaparowane lustro i zaczynał golenie. Dzień był interesujący, a na dodatek jeszcze się nie skończył. Zastanawiał się, o czym Emma chce z nim porozmawiać. Pewnie to coś związanego z barem U Pedra, widocznie miała jakiś problem z Marią i księgowością. Cóż, Mark nie był ekspertem od hiszpańskiego prawa, ale może będzie mógł jakoś pomóc. Z doświadczenia wiedział, że każdy problem można rozwiązać, jeśli wiadomo, gdzie szukać rozwiązania.

Skończył się golić, obmył twarz gorącą wodą i wrócił do pokoju, aby się ubrać. Tym razem nie zastanawiał się zbyt długo. Niebieskie spodnie, czarna koszula rozpięta pod szyją i sweter na później. Mark spojrzął w lustro i uśmiechnął się zadowolony.

O ósmej wyszedł z hotelu. Temperatura nieco spadła i wieczór wydawał się chłodniejszy. Audi, które wynajął, stało niedaleko na parkingu. Mark wsiadł, zapalił silnik i piętnaście minut później parkował już pod lokalem U Felipe.

Restauracja wypełniała się gośćmi. Ludzie popijali drinki i gawędzili przy barze. Markowi szybko wskazano stolik w stojącej na podwyższeniu niszy, skąd można było patrzeć na wybrzeże. W dodatku miejsce było nieco oddzielone od reszty sali. Mogli z Emmą rozmawiać bez obawy, że ktoś ich usłyszy. Mark zamówił gin z tonikiem i zabrał się do studiowania menu.

O ósmej trzydzieści dostrzegł szczupłą blondynkę wchodzącą do restauracji. Emma zauważyła go i podeszła, uśmiechając się. Miała na sobie lekką letnią sukienkę w ciemnomiodowe i złote wzory na jasnożółtym tle oraz mały złoty sweterrek podobny do bolerka, które były ostatnio bardzo modne wśród młodych kobiet. Lekko opalona skóra dodawała blasku całej jej postaci.

- Napijesz się czegoś? – spytał Mark, wstając, aby się przywitać.
- Gin z tonikiem, jak ty. Albo nie, w końcu jestem w Hiszpanii – poproszę

jasne wytrawne sherry.

Mark zamówił napoje, podczas gdy Emma otworzyła kartę.

- Wyglądasz przepięknie – powiedział.
- Dziękuję – odparła z uśmiechem. – Ty też. – Rozejrzała się po restauracji.

- Ładne miejsce.

- Podają najlepsze dania rybne w mieście. Byłem tutaj kilka dni temu i zjadłem doskonałą kolację.

- A jak je znalazłeś?
- Ktoś mnie tu przyprowadził – enigmatycznie odpowiedział Mark.

Emma spojrzała pytająco.

- Pamiętasz Claire? Tę dziewczynę, z którą byłem w barze U Pedra?

- Oczywiście. Śliczna, ciemnowłosa.

- Właśnie ta. Poznałem ją na lotnisku, jechaliśmy razem taksówką. Zaprosiłem ją na kolację, żeby opowiedziała mi o okolicy. Kiedyś tu mieszkała.

Emma otworzyła oczy ze zdziwienia.

- Umawiasz się na kolację ze wszystkimi dziewczynami, które spotykasz?

Żeby opowiadały ci o okolicy?

- Tylko z tymi ładnymi.

Zaśmiała się i wróciła do czytania menu.

- Co mi polecisz? – spytała.

- Ja spróbuję soli.

- W takim razie ja też.

Kiedy kelner wrócił z drinkiem dla Emmy, Mark zamówił dania główne.

- Miałaś ciężki dzień? – spytał.

- Można tak powiedzieć. Przyjechałam do Fuengirolí, żeby odpocząć, ale odkąd się tu pojawiłam, gonię w piętę i czuję się coraz bardziej sfrustrowana.

- Naprawdę? Rozumiem, że twoja pogawędka z Marią nie poszła zbyt gładko?

- Poszła dość gładko, ale potem pojawił się problem. – Emma zamilkła i spojrzała uważnie na Marka. – Naprawdę chcesz słuchać tego wszystkiego? W końcu jesteś tu na wakacjach.

- Mów, z chęcią posłucham.

- Rozmawiałam z Marią, która podała mi nazwisko księgowego – Miguel Martinez Sanchez – a ja natychmiast umówiłam się z nim na spotkanie. Różnił się nieco od wszystkich księgowych, których kiedykolwiek poznałam. Szczerze mówiąc, wyglądał, jakby żywcem wyjęto go z *Ojca chrzestnego*. Tani garnitur, przylizane włosy i złote zęby.

- Rany boskie!

- Poprosiłam o księgi rachunkowe baru, a on oznajmił, że nie są jeszcze gotowe. Kiedy zaczęłam nalegać, próbował mnie zagadać, a kiedy to nie wyszło, uśmiechał się tylko i kiwał głową jak marionetka. Twierdził, że wszystko jest w porządku i nie muszę kłopotać swojej ślicznej główki. Miałam ochotę go udusić. Wyobrażasz sobie? Bar należy do mnie. a ten gruby flejtuch ma czelność mnie pouczać. A na dodatek pewnie to ja mu za to płacę.

- I co dalej? – ciekawił się Mark.

- Powiedziałam mu, że proszę o dowody na to, że wszystkie podatki są płacone w terminie i że bar nie ma żadnych długów. A on tylko się uśmiechał i opowiadał, że inspektor podatkowy to jego serdeczny przyjaciel i wszystko będzie dobrze. Powinnam wrócić do Irlandii i o nic się nie martwić. Ta wizyta to była kompletna strata czasu. W końcu po prostu wstałam i wyszłam.

Emma znowu spojrzała na Marka.

- Mam ochotę zamordować Conora Delaneya. Wszystko to jego wina, bo w ogóle nie interesował się sprawami baru.

- Dowiedziałas się, od jak dawna ten facet zajmuje się udawaniem księgowego?

- Tak, od kiedy syn Marii, Antonio Hernandez Rodriguez, przejął bar. A gdy odkupił go Conor, nic się nie zmieniło. Jestem pewna, że to oszust.

- Nie denerwuj się tak – uspokajał Mark. – Musisz wszystko spokojnie przemyśleć. Mówisz, że Conor Delaney kupił bar od syna Marii, tak?

- Zgadza się. Ale w ogóle się nim nie interesował. Najważniejsze było dla niego biuro podróży. Tutaj przyjeżdżał tylko kilka razy w roku, żeby odebrać procent z zysków. Sprawy prowadzenia baru zostawił Marii. A ona papierkową robotę przekazała temu księgowemu.

- Conor Delaney przekazał ci akt własności jako spłatę długu?

- Tak, a razem z nim przekazał mi same problemy. – Emma westchnęła. – Przepraszam – pewnie nie powinnam zaglądać w zęby darowanemu koniowi, ale wydaje mi się, że na tym interesie prędzej stracę, niż zyskam.

- Rzeczywiście, to wszystko brzmi bardzo dziwnie – podsumował Mark. – Nie spodziewałbym się, że można w ten sposób prowadzić jakąkolwiek firmę.

- Ale co ja mam teraz zrobić? Nigdy nie byłam w podobnej sytuacji, nie wiem, od czego zacząć. Chodzę tylko w kółko i zaczynam żałować, że kiedykolwiek w ogóle usłyszałam o barze U Pedra.

Podano kolację i butelkę wina, którą zamówił Mark.

– No dobrze – powiedział, kiedy kelner odszedł. – Pierwsze, co powinnaś zrobić, to spokojnie zjeść kolację. Na pewno jest jakieś rozwiązanie i razem je znajdziemy. A tymczasem zapomnij o wszystkim i zabieraj się do jedzenia ryby. Dobrze? – Mark pochylił się i uśmiechnął, patrząc Emmie w oczy, aż i ona zmusiła się do uśmiechu.

– Dobrze – odparła.

Przez resztę posiłku rozmawiali tylko o wspólnych znajomych, których mieli w Dublinie. Mark znał mnóstwo zabawnych anegdot i pikantnych szczegółów. Emma była zadziwiona liczbą plotek, jakie jej opowiadał – a tak niewinnie wyglądał...

– Skąd ty to wszystko wiesz? – zapytała, kiedy skończył opowiadać kolejną bardzo skandalizującą historię.

– Słyszę różne rzeczy – odparł. – Jestem doskonałym słuchaczem.

– Twierdzisz, że ten facet zdradzał żonę z trzema kobietami jednocześnie?

– I z młodym projektantem wewnątrz, którego żona wynajęła, żeby zaprojektował nowy wystrój domu.

Emma z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Zmyślasz to wszystko.

– Nie zmyślam. Mam niezawodną pamięć.

– Cóż, dobrze, że mi o tym mówisz. Będę teraz uważać, o czym z tobą rozmawiam.

– Ty akurat nie musisz się martwić – powiedział z uśmiechem. – Twoje sekrety są u mnie bezpieczne.

– Przypomnij mi tylko, żebyś żadnego ci nie zdradzała.

Kiedy skończyli kolację i zamówili po kieliszku likieru, humor Emmy znacznie się poprawił. Zabawne opowieści Marka i opowiadane przez niego dowcipy podniosły ją na duchu. Popijali brandy i podziwiali nabrzeże, gdzie gwiazdy odbijały się na powierzchni wody.

– Tutaj jest tak spokojnie – odezwała się Emma. – Wyobrażasz sobie, że można by spędzić w takim miejscu całe życie?

– A nie znudziłoby ci się? – spytał Mark.

– Nie wiem. Na pewno znalazłabym tu mnóstwo rzeczy do zrobienia.

– Przez całe życie ciężko pracowałem – mówił Mark. – Chciałbym trochę zwolnić, ale będę potrzebował czegoś, co zajmie moją uwagę.

– Grasz w golfa, prawda?

– Nie codziennie, żeby gra nie stała się obowiązkiem.

– I nurkujesz?

– Chcesz mi coś sprzedać, czy co?

Emma pogładziła dłoń Marka.

– Trudno cię zadowolić.



Na jego ustach pojawił się uśmiech.

– Nieprawda. Zwykle wiem, czego chcę. Czasem tylko trudno mi to znaleźć.

Kiedy Mark płacił rachunek, z kuchni wyszedł Carlos, żeby spytać, czy gościom smakował posiłek.

– Był doskonały! – przytaknął Mark i przedstawił Emmę.

Carlos szarmancko pocałował jej palce i dopiero po wielu uściskach dłoni i komplementach udało im się wyjść z restauracji.

– Na dodatek znasz szefa kuchni? – spytała Emma, gdy szli do samochodu Marka. – Jestem pod wrażeniem.

– Spotkałem go tylko raz – przyznał Mark. – Kiedy byłem tu ostatnio z Claire. Ale podobno jest jednym z najlepszych kucharzy w mieście.

Niebo nad nimi rozświetliły tysiące gwiazd, ale powietrze było chłodne. Niedaleko słyhać było delikatne uderzenia fal o nabrzeże.

– Dziękuję za uroczy wieczór – powiedziała Emma. – I za poprawienie mi humoru. Bardzo potrzebowałam kogoś cierpliwego, komu mogłabym się wyżalić.

Mark spojrzał na zegarek. Była dopiero jedenasta.

– Mam propozycję – powiedział. – Już od dawna chciałem coś zrobić.

– Co?

– Pójdziesz ze mną do jakiegoś klubu? Mam ochotę się rozerwać.

Emma nie zwlekała ani chwili.

– Świetny pomysł! Chętnie z tobą pójdę.

## Rozdział 17

W barze U Pedra poranek był koszmar. O ósmej trzydzieści do Kevina pilnie zadzwoniła Maria, aby powiedzieć, że jej siostra Rosario ma kolejny atak choroby, więc Maria nie będzie mogła przyjść i otworzyć baru. Czy Kevin mógłby pójść na plażę i to zrobić? Obiecała, że przyjedzie, gdy tylko siostra poczuje się lepiej.

Oczywiście, Kevin się zgodził. Wskoczył na rower i pojechał drogą wzdłuż brzegu. Zaczynał martwić się o Rosario. To już drugi dzień, kiedy czuła się bardzo źle. I szkoda mu było Marii. Miała za dużo na głowie – opiekowała się siostrą i próbowała zarządzać barem. Emma miała rację: starsza pani powinna siedzieć w domu i cieszyć się tym, co jej w życiu pozostało. Gdyby tylko ten wyrodny syn, Antonio, trochę jej pomagał! Ale to wydawało się żądaniem niemożliwego.

Kevin dotarł do pracy nieco po dziewiątej i w pośpiechu otworzył bar, posprzątał pobieżnie, a potem wystawił stoły i krzesła. Ledwie skończył, kiedy pojawił się Pablo, piekarz, z codzienną dostawą pieczywa.

– *Hola, Kevin* – przywitał się. – Jesteś sam?

– Tak – odparł Kevin. – Siostra Marii źle się czuje.

Pablo ze smutkiem pokręcił głową.

– Ta biedna kobieta powinna leżeć w szpitalu.

Zostawił torbę świeżutkich bułek, z których robiło się bocadillos, i szybko odjechał do następnego klienta. Kevin otworzył wielką lodówkę, w której trzymano zapasy, wyjął stamtąd jarzyny i z energią zaczął je siekać. Tego ranka będzie musiał zrezygnować z przyrządzania paelli. Przygotowanie zajęłoby zbyt dużo czasu i jedna osoba nie zdoła sobie z tym poradzić. Paella była ulubionym daniem klientów i na pewno będą rozczarowani, ale Kevin zdecydował, że lepiej skoncentrować się na podstawowych daniach i napojach.

Zerknął w stronę plaży: kilka osób rozłożyło już słomkowe maty, czekając na codzienną porcję słońca. Niedługo zapewne pojawią się w barze, aby wypić piwo czy kawę i coś zjeść. Lepiej wykorzystać chwilowy spokój i przygotować się do obsługi. Kevin włożył szklanki do zlewu i szybko je umył, a potem wytarł ścierką. Dobrze, że zmywania nie było zbyt wiele. Większość szkła i sztućce umyli poprzedniego wieczoru przed zamknięciem. Rozkroił bułki na pół, by łatwo można było do nich włożyć nadzienie, gdy klienci złożą zamówienie, posiekał wielką miskę cebuli i pomidorów do hamburgerów, na które zawsze był popyt, a potem sprawdził, czy w zamrażarce jest wystarczająco dużo mrożonych frytek. Włączył frytkownicę, aby olej był gorący, jeśli trzeba będzie go użyć.

Spojrzał na zegarek: był kwadrans po dziesiątej, a słońce świeciło coraz mocniej na czystym, błękitnym niebie. W każdej chwili powinni zacząć napływać klienci. Kevin miał nadzieję, że Maria wkrótce dotrze do pracy, bo nie uśmiechało mu się prowadzenie baru samodzielnie w koszmarnej porze lunchu. I wtedy dostrzegł samotną postać idącą powoli wzdłuż plaży w kierunku baru. Mężczyzna miał na sobie wyblakłe dżinsy, koszulę w kratę, a na plecach niósł spory plecak. Kiedy zbliżył się nieco, Kevin aż zastygł w oczekiwaniu. Skądś znał tego człowieka.

Mężczyzna podszedł do lady, położył plecak na ziemi i usiadł na wysokim stołku.

– Mogę prosić o kawę?

Kevin podszedł do ekspresu i zaczął przygotowywać filiżankę kawy.

– Co ty tutaj robisz? – spytał.

– Dziwisz się, że mnie widzisz?

– Pewnie, że tak. Wyglądasz jak zjawa.

Mężczyzna przejechał dłonią po nieogolonej brodzie.

– Właśnie wyszedłem z odwyku – powiedział.

– Jak mnie znalazłeś?

– Twoja siostra Nora dała mi adres.

Kevin postawił kawę na barze, a mężczyzna wyciągnął pięć euro z kieszeni dżinsów.

- To na koszt firmy – powstrzymał go Kevin. – Jadłeś coś?

Snuffy Walshe powoli pokręcił głową.

- Jeszcze nie.

Kevin wziął jedną z dużych bułek, które rozkroił wcześniej, napełnił ją szynką, serem i pomidorami, a potem położył na talerzu.

- Masz, zjadaj.

Snuffy natychmiast pochłoniął kanapkę.

- Co się stało z kapelą? – spytał Kevin.

- Rozpadła się. Chłopaki wrócili do Galway. Jimmy O'Driscoll pracuje na budowie w Athenry.

- A ty?

Snuffy Walshe przełknął kęs i odgryzł następny.

- W końcu mnie dopadło, przegiąłem. To było nieuniknione. Byłem w takim stanie, że bez działki nie potrafiłem wygrzebać się rano z łóżka.

Kevin ponuro pokiwał głową.

- Spodziewałem się, że to się zdarzy.

- Potem spotkałem pewnego psychologa, który powiedział, że załatwi mi odwyk, jeśli rzeczywiście chcę przestać brać. Byłem już w takim dołku, że właściwie nie funkcjonowałem. Myślałem tylko o tym, żeby coś wziąć. Więc zgodziłem się na ten program. Wyszedłem dziesięć dni temu i postanowiłem zacząć nowe życie. Gdybym został w Londynie, nie miałbym na to żadnych szans. I pomyślałem o tobie.

- Masz jakieś pieniądze?

- Trochę. Ale muszę znaleźć pracę. Myślałem, że może pomożesz mi stanąć na nogi.

Kevin myślał przez chwilę. Snuffy Walshe był ostatnią osobą, którą spodziewał się zobaczyć we Fuengirolí, ale kumpel miał kłopoty i trzeba mu było pomóc.

- Będziesz umiał nalewać piwo?

- Jasne. Mogę robić cokolwiek.

Kevin wyjął z kieszeni pęk kluczy.

- Wyglądasz koszmarnie. Tu masz klucze do mojego mieszkania, to jakieś pół mili stąd. – Narysował wskazówki na kartce. – Idź tam i doprowadź się do porządku. Możesz wziąć jakieś moje ciuchy, jeśli będą pasować. Potem wracaj tutaj jak najszybciej. Będę miał dla ciebie robotę. O szczegółach pogadamy później.

Snuffy wziął klucze i założył plecak.

- Jestem ci naprawdę wdzięczny – powiedział. – Nie dam plamy.

- Dasz plamę i wylatujesz. Wracaj szybko – za godzinę będę miał tu tabuny klientów.

Kevin patrzył, jak Snuffy oddalał się żwawo, idąc brzegiem. „Ciekawe, czy dobrze robie” – myślał. Ale rozważania szybko przerwał mu Manuel, sprzedawca gazet, który przyszedł na swoje poranne cortado.

Claire obudziła się za kwadrans ósma. Słyszała, jak ptaki skaczą na dachu budynku obok. Postanowiła zajrzeć do piekarni na rogu ulicy, aby kupić ciepłe bułeczki i rogaliki na śniadanie. Kiedy wróciła, na drzwiach wejściowych znalazła kartkę od Maggie: *Chodźmy dzisiaj na plażę* – pisała sąsiadka.

Claire zapukała do drzwi naprzeciwko i chwilę później zza progu wyjrzała twarz Maggie.

- Wczesnie wstałaś – przywitała się Claire.
- Zawsze wstaję o tej porze.
- Nawet kiedy pracujesz? O której skończyłaś występ wczoraj wieczorem?
- O północy. Byłam w łóżku za kwadrans pierwsza. Dostałaś mój liścik?
- Tak.
- I co myślisz?
- Że to świetny pomysł. Właśnie kupiłam pieczywo, może przyjdiesz do mnie i zjemy razem śniadanie?

Claire otworzyła drzwi do swojego mieszkania i poszła prosto do kuchni. Na stawiła ekspres, wyjęła patelnię i wbiła tam trzy jajka. Dodała soli, pieprzu, łyżkę masła i trochę ziół. Chwilę później kuchnia wypełniła się zapachami świeżo parzonej kawy i jajecznicy.

- Jeju, ale pachnie! – zachwyciła się Maggie, wchodząc do kuchni.
- Siadaj i częstuj się – nakazała Claire. – Chyba wyłożyłam wszystko, czego nam potrzeba. Jeśli czegoś zabraknie, to mów.

Maggie nalała sobie filiżankę kawy i posmarowała bułeczkę masłem, a Claire postawiła przed nią talerz z jajecznicą.

- Jak poszedł twój wczorajszy występ w Mucky Duck? – spytała Claire.
- Świetnie. Tam zawsze jest super, bo mają młodszą publiczność. Dlatego też myślałam, żeby się przerwucić na Madonnę.
- Ale w końcu zmieniłaś zdanie.
- Na razie. I tak chciałabym, żebyś obejrzała mój drugi występ. Opinie publiczności są najważniejsze.

- A co myśli o tym Ricky?

Maggie wzruszyła ramionami.

- Ricky'ego to nie obchodzi. To taki kulturalny snob. Patrzy z góry na moje występy, woli grać.

- Jak długo go znasz?
- Kilka lat.
- To stały związek?

Maggie uśmiechnęła się.

– A kto to wie? Dobrze jest mieć go w pobliżu. Ale zapomnij o Rickym. Ten Kevin jest całkiem fajny, prawda?

– Uhm – przytaknęła Claire, wgrzyzając się w kanapkę.

– Jest twoim facetem?

Claire prawie zakrztusiła się bułką.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Tak sobie tylko pomyślałam. Z pewnością nie wyrzuciłabym go z łóżka. A ja mam rację. Znam się na tym.

– Poznałam go dopiero kilka dni temu. Jest barmanem w barze U Pedra.

– Nieźle ciacho. Te ciemne oczęta. Głębokie studnie namiętności, rozpalone ogniem pożądania...

– Ogniem – poprawiła sąsiadkę Maggie.

– Nieważne. Koleś jest uroczy. I bosko przystojny, pozwolę sobie powiedzieć.

Claire niespodziewanie dla siebie zarumieniła się.

– O której chcesz iść na plażę? – spytała, zmieniając temat.

– Jak tylko się zbierzesz.

– Może o jedenastej? Muszę zrobić małe zakupy i wyprać parę rzeczy. A o tej porze słońce będzie już mocno grzało.

– Dobra – zgodziła się Maggie, dopijając kawę. – Będę gotowa.

Kiedy wyszła, Claire szybko pozmywała naczynia i postawiła je na suszarce. Potem weszła do supermarketu, oddalonego tylko o kilka ulic. Nie kupowała wiele: wodę, świeże owoce, puszkę tuńczyka i paprykę. Ale nie znosiła zostawiać zakupów na ostatnią chwilę. Gdyby lista zrobiła się dłuższa, trzeba by potem nosić więcej toreb.

Po powrocie do domu Claire wrzuciła pranie do pralki i poszła do łazienki wziąć prysznic. Myślała o tym, co Maggie mówiła o Kevinie, i o jej podejrzeniach, że jest jej chłopakiem. Co dało jej powód, żeby tak myśleć? Może wydzielali jakąś aurę czy coś podobnego? A może to dlatego, że oboje są Irlandczykami? Ale co do jednego sąsiadka miała rację: Kevin, ze swoimi ciemnymi kręconymi włosami i czarującym uśmiechem, naprawdę był przystojny. Claire zauważyła to już przy pierwszym spotkaniu. Ale jako chłopak? Claire uśmiechnęła się do siebie i pokręciła głową. Raczej nie.

Włączyła radio i ubierała się, słuchając muzyki. Włożyła strój kąpielowy, a na niego spodenki i koszulkę. Będzie łatwiej rozebrać się na zatłoczonej plaży. Claire miała zamiar popracować nad swoją opalenizną i popływać. Skończyła się ubierać, wyjęła torbę i zapakowała do niej potrzebne rzeczy: ręcznik, sarong, bieliznę, odtwarzacz, kilka płyt, książkę, szczotkę do włosów, kosmetyki do makijażu, krem z filtrem... Przerwała na chwilę i po namyśle dodała jeszcze butelkę wody i portfel.

Nigdy nie wychodź nigdzie bez pieniędzy, chyba że jesteś królową – to była jedna z pierwszych rzeczy, których Claire nauczyła się po przyjeździe do Hiszpanii.

Opróżniła pralkę i właśnie wieszła pranie na balkonie, gdy usłyszała głośne pukanie do drzwi. Otworzyła i aż jęknęła, widząc, kto stoi w progu. Maggie ubrana była w workowate džinsy, wielką żółtą koszulkę, duże ciemne okulary i gigantyczne słomkowe sombrero.

– Co myślisz? – przywitała się.

– Wyglądasz bardzo... teatralnie – odparła Claire.

– Sombrero ma chronić moją twarz – wyjaśniła Maggie. – Bardzo łatwo się opala.

– Skoro martwisz się o oparzenia słoneczne, dlaczego zaproponowałeś wyjście na plażę?

– Chodzi tylko o moją twarz, muszę ją chronić. Twarz mnie utrzymuje.

– W takim razie z pewnością jest chroniona – podsumowała Claire, przerzuciła swoją torbę przez ramię i wzięła okulary przeciwsłoneczne oraz kapelusz. – To co, jesteście gotowe?

– Tak.

– To idziemy.

Miasto było już całkiem obudzone i jak zwykle buzowało energią. Sklepy potwierano, a ludzie siedzieli przy stolikach na zewnątrz, zajadając się późnym śniadaniem albo popijając kawę w porannym słońcu. Na rogu przy Paseo Maritimo dziewczyny spotkały grupę młodych wczasowiczów, gorliwie dyskutujących o czymś nad wielką turystyczną mapą rozłożoną na ławce. Claire zatrzymała się, by pokazać im drogę.

Dziesięć minut później razem z Maggie dotarli na plażę. Zaczynała się wypełniać, bo słońce świeciło coraz mocniej. Claire czuła pragnienie i obiecała sobie zimne piwo, gdy tylko dotrą do baru U Pedra. Ale kiedy go w końcu dostrzegła, wokół kłębił się już tłum klientów. Kevin biegał jak szalony dokoła, ale Marii nigdzie nie było widać. Jej miejsce zajął jakiś chudy facecik z jasnymi włosami i bardzo bladą skórą – znak, że dopiero przyjechał do Hiszpanii.

– Co to za blondasek? – spytała Maggie.

– Nie wiem – odparła Claire. – Nie widziałam go tu przedtem.

– Całkiem fajny, nie uważasz?

Claire przyjrzała się nieznajomemu. Sąsiadka gustowała w dziwnych mężczyznach.

– Tak myślisz?

– Tak. A ja się znam...

– Dobra, dobra – przerwała Claire, biorąc koleżankę pod rękę i ciągnąc ją do baru. – Ty znasz się na facetach. A teraz idziemy na zimne piwo, bo inaczej umrę z pragnienia.



## Rozdział 18

Snuffy Walshe wrócił do baru po godzinie, zupełnie odmieniony. Ogolił się, umył włosy i skorzystał z zaproszenia Kevina, by pożyczyć jego ubrania. Teraz miał na sobie plażową hawajską koszulę, która idealnie pasowała, parę džinsów, a nawet adidas. Wyglądał jak w miarę porządny młody turysta, a nie strach na wróble, którego zobaczył wcześniej Kevin. Zanim dotarł do baru, pierwsi klienci pojawili się już, aby zjeść lunch. Kevin krytycznie spojrzął na kolegę i z aprobatą pokiwał głową.

– Może być. A teraz wkładaj fartuch, a ja pokażę ci, jak działa kranik. Z piwem jest prosto: właściwie samo się nalewa, trzeba tylko odkręcić. Pint kosztuje euro pięćdziesiąt.

– Tylko tyle? – zdziwił się Snuffy.

– To Hiszpania, Snuffy. Nie ma tu na szczęście londyńskich cen.

– A kawa?

– Jedno euro. Lepiej pokażę ci, jak obsługiwać ekspres, skoro już o tym mówimy.

Snuffy przyglądał się, jak Kevin robi kawę i nabija wszystko na kasę.

– Alkohole są po dwa euro. Jeśli ktoś prosi o bocadillo, znaczy, że chce kanapkę. Bułki są już pokrojone, leżą w tym dużym plastikowym pojemniku. Nadszanie jest w lodówce. Kosztują półtora euro. I nie smarujemy ich masłem, nikt tego nie oczekuje, więc nie musisz szukać.

– Jasne – Snuffy wyglądał na nieco zagubionego.

– Będziesz potrafił zrobić hamburgera?

– Hm, nigdy tak ich nie robiłem – Snuffy wskazał na grill.

– Jeśli ktoś poprosi, popatrz, jak ja będę przygotowywał mięso. Cennik wisi na lodówce. Jeśli nie będziesz czegoś pewien, pytaj. Dobra?

– Dobra.

– Za chwilę chmury klientów opadną nas jak głodne sępy. Pracuj, aż przestaną przychodzić nowi. I jeszcze coś: nie grasz już na gitarze w pubie Slattery, nie musisz wyglądać tak ponuro. Chociaż udawaj, że dobrze się bawisz.

Snuffy uśmiechnął się.

– Już lepiej – pochwalił Kevin i wcisnął koledze w dłoń szklanekę do piwa. – Właśnie przyszli twoi pierwsi klienci.

Czterech młodych mężczyzn w szortach i koszulkach usiadło przy barze i zamówiło piwo. Pora lunchu okazała się jak zwykle szalona: głodni klienci nadchodzili falami, zamawiając jedzenie i napoje. Kevin pracował jak wariat, próbując realizować zamówienia. Trzymał się dzielnie, ale Snuffy pojawił się w samą porę, by pomóc, co okazało się niezbędne. Wydawało się nawet, że podoba mu się nowe

zajęcie. W środku tornada zadzwoniła Maria, aby powiedzieć, że jej siostra nie czuje się lepiej i Kevin będzie tego dnia musiał radzić sobie sam.

– A jutro? – spytał. – Chcesz, żebym znów otwierał rano bar?

– Tak, proszę. Jutro zobaczę, jak będzie. Jesteś dobrym chłopcem, Kevin.

Kevin opowiedział Marii o nowym pomocniku.

– Masz szczęście, że przyszedł.

Kątem oka Kevin patrzył, jak Snuffy nalewa właśnie pięć szklanek piwa jedna po drugiej i wrzuca mięso na ruszt.

– Myślę, że możesz mieć rację – odparł. – Nie martw się, Mario. Jakoś sobie poradzę. Mam nadzieję, że Rosario poczuje się lepiej. Pozdrów ją ode mnie.

Odłożył słuchawkę. Biedna Maria. Miała tyle zmartwień. Może kilka dni przerwy dobrze jej zrobi, ale teraz nie miał już czasu myśleć o czymkolwiek. Właśnie pojawił się następny rzut plażowiczów poszukujących hamburgerów, frytek i piwa. Ledwie zdążył ich obsłużyć, kiedy dostrzegł Claire idącą wzdłuż plaży. Towarzyszyła jej Maggie, prawie całkiem zasłonięta gigantycznym słomianym kapeluszem. Dziewczyny precyzyjnie się do baru i Claire zamówiła dwa piwa.

– Marii ciągle nie ma? – spytała.

– Niestety nie. Jej siostra źle się czuje.

– Biedaczka. – Claire odgarnęła niesforny czarny kosmyk z oczu.

Kiedy tak rozmawiali, Maggie siedziała w milczeniu i intensywnie wpatrywała się w Snuffy'ego, który próbował właśnie wyciągnąć korek z butelki wina.

– Widziałyście mojego nowego pomocnika? – spytał Kevin, podając dziewczynom piwo i biorąc od nich pieniądze.

– Chyba już go gdzieś widziałam.

– Na pewno nie we Fuengirolí, bo dopiero przyjechał. To mój kumpel z Galway. Grał na basie w naszej kapeli.

– Ooo! – zdziwiła się Claire. – Nie wiedziałam, że grałeś w kapeli.

– Nie zdążyłem ci powiedzieć – uśmiechnął się uwodzicielsko Kevin.

– Jak się nazywał wasz zespół? – spytała Maggie, zdejmując sombrero i rozpuszczając włosy.

– Bang.

– Widziałam was – ekscytowała się Maggie. – Graliście kiedyś w pubie Irish Rose w Kilburn.

– Zgadza się, graliśmy.

Maggie wpatrywała się teraz w Snuffy'ego z nowym zainteresowaniem.

– Czyż to nie jest cudowne – dziwiła się – że spotkaliśmy się znowu w takim miejscu?

Dziewczyny dokończyły piwo i ruszyły wzdłuż plaży, żeby znaleźć jakieś miejsce do opalania się.

- Czyż to nie dziwny zbieg okoliczności? – powtórzyła Maggie, kiedy chłopcy nie mogli już usłyszeć. – Zapamiętałam dobrze Snuffy'ego, bo był wokalistą i spodobał mi się. A byłam wtedy tylko rozmarzoną nastolatką.

- A teraz jesteś rozmarzoną kobietą – odparła Claire.

Plaża była już pełna ludzi, a nasmarowane olejkami ciała rozciągały się wszędzie na ręcznikach i leżakach. Dziewczynom z trudem udało się znaleźć miejsce blisko morza. Rozłożyły słomkowe maty i rozebrały się.

- Pracujesz dziś wieczorem? – spytała Claire.

- Nie, następnych kilka wieczorów mam wolnych.

- Lubisz swoją pracę? – wypytywała dalej Claire, rozkładając się na słońcu.

- Zarabiam na życie, i tyle. Wiem, że nigdy nie dostanę się do londyńskiego Palladium, ale kiedy uda mi się występ, dostaję zastrzyk energii, zwłaszcza gdy ludziom się podoba. No i mam z czego opłacić czynsz.

- Lubisz tu mieszkać?

- Lepiej tu niż w Clapham Common w deszczowe sobotnie popołudnie. Wiesz sama dobrze, w końcu też tu mieszkałaś.

- Mieszkałam... – z tęsknotą potwierdziła Claire. Maggie złożyła ręcznik, podłożyła go sobie pod głowę, nasunęła sombrero na twarz i położyła się na macie.

- Dowiedziałaś się w końcu, kto cię szukał? – spytała.

- Tak – odparła Claire. – Dawny facet.

- Więc jednak nie był to morderca z Marbelli, latający z siekierą? – Maggie wydawała się rozczarowana.

- Niestety nie. Jedynie szanowany agent nieruchomości.

- Czego chciał?

- Przyjeżdża i chce się ze mną spotkać.

- Serio? To miło. A gdzie mieszka?

- W Londynie.

- Aaaa, to takie romantyczne! Przejeżdża taki kawał drogi, żeby cię zobaczyć. Musi mu bardzo zależeć.

Claire nie podobał się kierunek, w jakim zmierzała ich rozmowa. Myślała o Matthew Bakerze prawie cały czas, odkąd dowiedziała się, że przyjeżdża. Wciąż jeszcze nie zdecydowała, czy zmierzyć się z nim, gdy w końcu się pojawi.

- On nie przyjeżdża specjalnie po to, żeby zobaczyć się ze mną. Przyjeżdża w interesach i chce sprawdzić, co u mnie słyszą – wyjaśniła.

- Ale widocznie wciąż ma do ciebie słabość. Przecież nie musi sprawdzać, co u ciebie słyszą, prawda? Mógłby po prostu zignorować twoją obecność tutaj, gdyby chciał.

Claire wolałaby, żeby Maggie mówiła o czymś innym, ale nie chciała być niegrzeczna. Przyznała więc tylko:

- To prawda.
- Nie brzmisz specjalnie radośnie. Rozumiem, że nie chcesz go widzieć?
- Jeszcze nie zdecydowałam.
- Rozstaliście się z hukiem?

Maggie podniosła się na jednym łokciu i spojrzała na Claire wyciągniętą na piasku. Claire czuła się jak pacjent na kozetce u psychoanalityka.

- To długa historia - odparła i zamknęła oczy, dając koleżance do zrozumienia, że uważa sprawę za zamkniętą.

- Coś mi się wydaje, że on wciąż może być tobą zainteresowany - podsumowała Maggie i z powrotem rozłożyła się na macie.

Właśnie tego najbardziej obawiała się Claire: że Matthew Baker nie poddał się, mimo tych wszystkich rzeczy, które powiedziała i zrobiła, by udowodnić mu, że ich związek jest skończony. Bała się myśli o kolejnej konfrontacji i energii, jaką musiałaby na nią poświęcić. Czy on po prostu nie mógł zaakceptować faktu, że Claire już go nie kocha i życie poszło naprzód?

Ale czy rzeczywiście go nie kocha? Może dlatego tak się dręczyła? Nie ufała sobie - nie wiedziała, jak zareaguje, kiedy przystojny Matthew pojawi się w jej drzwiach w przyszłym tygodniu. Czyżby bała się, że podda mu się po raz kolejny? Nie, to niemożliwe. Przecież po tym, co zrobił, Claire zupełnie przestała mu wierzyć. Odwróciła się i ukryła twarz w ręczniku. Dlaczego Matthew wracał właśnie teraz, kiedy wszystko układało się tak dobrze? Czemu chciał zepsuć jej wakacje?

Claire próbowała nie myśleć, ale nagle Matthew znów zaanektował wszystkie jej myśli. Bardzo się starała, ale wyobraźnią wciąż wracała do tamtych szczęśliwych chwil, kiedy mieszkali razem tutaj, we Fuengirolí. Wydawało się, że nieważne, co robi Claire, nigdy nie ucieknie przed widmem Matthew Bakera. I to ją przygnębiało. Miała już dość. Zerwała się z maty i oświadczyła:

- Idę popływać.

Zanim Maggie zdążyła odpowiedzieć, Claire biegła już po piasku, a potem zanurzyła się w nadchodzącej fali. Płynęła na oślep, jakby próbowała przed czymś uciec, aż w końcu osłabły jej ramiona. Zatrzymała się i spojrzała w kierunku brzegu. Wydawał się tak odległy, a przestrzeń morza dokoła taka spokojna i pusta. Może choć tutaj uda się odpocząć?

Dryfowała przez chwilę na plecach i postanowiła wracać. Szybki rajd dobrze jej zrobił. Już czuła się lepiej. Przynajmniej wyrzuciła Matthew ze swojej głowy. Zanurzyła twarz w wodzie i skierowała się w stronę lądu. Kiedy podniosła głowę, z przerażeniem stwierdziła, że plaża była coraz dalej, nie bliżej. Claire zdała sobie sprawę, że wypłynęła na otwarte morze. Podwoiła wysiłki, ale ręce były już zbyt słabe. Chciała płynąć do przodu, lecz fale wypychały ją coraz dalej. Wpadła w panikę. Zaczęła rzucać się szaleńczo i wołać o pomoc.

Ale wokół nie było żywej duszy. Woda wydawała się rozciągać w nieskończoność. Niebo nad Claire było jak rozstawiony błękitny parawan. Ludzie na plaży wyglądali jak malutkie żołnierzyki. Czuła, że serce bije jej coraz szybciej i do głowy wpada przerażająca myśl: „Utonę”. Ramiona Claire zaczęły sztywnieć i marznąć, resztki sił uchodziły z jej ciała. Głowa zeszła pod wodę i zapanowała ciemność. „Nie uda mi się dopłynąć do brzegu – myślała Claire. – A więc tak to jest tonać”. Na chwilę się wynurzyła, ale niebo znów wydawało się ją pochłaniać.

Nagle usłyszała głos gdzieś niedaleko. Poczowała, że ktoś ją chwyta i krzyczy: „Trzymaj się mnie i nie szarp!”. Bezwładnie pozwoliła się ciągnąć komuś dużo silniejszemu. Zanim usłyszała kolejne zdenerwowane i zatroskane głosy, minęły – jak wydawało się Claire – całe godziny. Jakies ręce wyciągnęły ją z powrotem na plażę. Ktoś przyniósł koc i opatulił ją. Czuła tylko zimno i zmęczenie, jakby miała zasnąć na wieczność. Nad sobą zobaczyła jakąś twarz i usłyszała głos:

- Jesteś bezpieczna. Wszystko będzie dobrze.
- Claire zamknęła oczy i dokoła zapadła ciemność.

## Rozdział 19

Tego ranka Mark obudził się z taką migreną, że myślał, iż ktoś młotem pneumatycznym wierci mu dziurę w głowie. „Mój Boże – pomyślał – musiałem nieźle zacałować wczorajszego wieczoru. Nie pamiętam, żebym się tak spał, odkąd byłem studentem. Co ja takiego piłem, że teraz jestem w takim stanie?”.

Odwrócił się i wcisnął twarz w poduszkę, ale wiercenie nie ustawało. Jak to przerwać? Zamówić mocną czarną kawę? Połknąć kilka tabletek aspiryny? Wziąć zimny prysznic? Mark zakopał się jeszcze głębiej w pościeli, próbując sobie przypomnieć, co takiego pił w Voodoo, gdzie wylądował wraz z Emmą. Cokolwiek to było, wypił za dużo.

Powoli budził się, ale hałas był coraz głośniejszy. Jakby kilka młotów pneumatycznych urządziło sobie koncert. „Koszmar – myślał Mark. – Najgorszy koszmar w moim życiu. Chyba powinienem zostać abstynentem i darować sobie jakikolwiek alkohol”.

Wygramolił się z łóżka i przycisnął dłonie do uszu, próbując uciszyć straszliwy hałas. W desperacji odsłonił nawet zasłony i aż zamrugał, gdy zobaczył coś za oknem. Grupa robotników w niebieskich kombinezonach i kaskach wierciła dziury w drodze przed hotelem.

Mark padł na łóżko i zaniósł się śmiechem, aż łzy potoczyły mu się po policzkach. Nie miał wcale kaca, był tylko trochę bardziej niż zwykle zmęczony. Cały ten hałas wywoływały przeklęte roboty drogowe! Ale jedno pozostawało faktem: po-

przedniego wieczoru świetnie się bawił. Teraz, już całkiem dobudzony, przypomniał sobie tańce, muzykę, światła i śmiechy.

- Margot – powiedział na głos. – Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe? Wiedział, że nie ma.

A teraz miał coś do załatwienia. Spojrzał na zegarek: było wpół do dziesiątej. W Dublinie cofało się czas o godzinę, zatem tam było wpół do dziewiątej. Mark uznał, że ma jeszcze czas, aby zjeść szybkie śniadanie, zanim zacznie załatwiać przez telefon zawodowe sprawy. Zadzwoił po obsługę, zamówił sok pomarańczowy, kawę i rogaliki. Potem poszedł do łazienki i stanął pod gorącym prysznicem. Właśnie się wycierał, kiedy usłyszał zdecydowane pukanie do drzwi pokoju, zawiadamiające, że podano śniadanie.

Dał napiwek kelnerowi i wyniósł tacę na taras. Słońce świeciło już jak szalone. Mark jadł i patrzył na rozpościerający się u jego stóp błękit morza. Przypomniał sobie rozmowę z Emmą w restauracji U Felipe. Czyż nie byłoby cudownie budzić się co rano w takim miejscu? Spędzać każdy dzień, odpoczywając i nie śpiesząc się? Od lat obiecywał Margot, że zwolni tempo, aż w końcu było za późno. Może właśnie teraz nadszedł właściwy czas? Powinien rozważyć zmianę trybu życia.

Ale teraz miał ważniejsze sprawy. Skończył śniadanie i odłożył tacę, po czym wrócił do sypialni i wykręcił dubliński numer. Menedżer Ted Cunningham odebrał po drugim dzwonku.

- Tylko sprawdzam, jak leci – oznajmił Mark, słysząc zdziwione powitanie Teda.

- O co chodzi? Czemu nie jesteś na polu golfowym?

- Ponieważ próbuję pomóc damie w tarapatkach.

- Co?

- To długa historia, nie mam czasu jej teraz opowiadać. Daj mi tylko numer do Terry'ego Kavanagha. Znajdziesz? Powinien być gdzieś na moim biurku.

- Masz problemy z prawem?

- Mam nadzieję, że nie – odparł Mark.

Chwilę później Cunningham wrócił z numerem kancelarii prawniczej obsługującej agencję. Mark szybko zapisał co trzeba i spytał:

- Jak tam sprawy w firmie? Radzicie sobie beze mnie?

- Pewnie, że tak. Wszystko idzie gładko. A u ciebie?

- Bawię się jak nigdy. Właśnie zjadłem pyszne śniadanie na tarasie, a później spotykam się z piękną młodą kobietą.

- Aha – Ted znów wydawał się nieco zaskoczony.

- A poza tym, mam tu dwadzieścia pięć stopni w cieniu. Rano!



Mark zaśmiał się i odłożył słuchawkę. Niezle się bawił, denerwując swoich kolegów i trzymając ich w niepewności. Będą teraz zachodzić w głowę, próbując się zorientować, co do diabła zamierza ich szef.

Chwilę później zadzwonił do Terry'ego Kavanagha.

– Cześć! – przywitał go prawnik. – Jak tam wakacje?

– Doskonale. Świeci słońce, a ja nie mam nic innego do roboty, jak tylko odpoczywać i dobrze się bawić.

– Jestem zazdrosny. Ale chyba nie wpakowałeś się w żadne kłopoty?

– Nie, potrzebuję tylko rady.

Parę minut zajęło Markowi opowiedzenie o problemach Emmy z barem.

– Brzmi paskudnie – podsumował Terry.

– Miałem nadzieję, że mógłbyś mi dać numer jakiegoś hiszpańskiego prawnika, który by nam pomógł. Żadne z nas nie ma pojęcia o tutejszym prawie i potrzebujemy kogoś, kto się na nim zna i będzie mógł nam doradzić.

– Luis Garcia Santiago – natychmiast odparł Terry. – Jest doskonały. Korzystamy z jego usług zawsze wtedy, kiedy nasi klienci chcą inwestować w hiszpańskie nieruchomości. On ci się przyda.

– A gdzie ma biuro? – spytał Mark.

– W Maladze. Poczekał chwilę, dam ci jego numer.

Kilka minut później Mark odłożył słuchawkę. Miał nazwisko i adres najwyższej klasy prawnika, który miał pomóc Emmie – a była dopiero dziesiąta trzydziści. Powinien teraz pójść za radą Teda Cunninghama i zagrać partyjkę golfa, a potem zadzwonić do Emmy. Poranek nie mógł ułożyć się lepiej! „Zanim słońce przygrzeje zbyt mocno, zdążę jeszcze rozegrać z dziewięć dołków” – pomyślał Mark.

W tym czasie Emma również odbywała różne rozmowy telefoniczne. Po śniadaniu zadzwoniła do drukarni, do George'a Caseya, żeby sprawdzić, jak funkcjonuje firma.

– Wszystko idzie jak po maśle – odparł Casey. – Niczym się nie martw. Odpoczywaj i ciesz się wakacjami. Wystarczająco długo na nie pracowałaś, Bóg jeden wie, że za długo.

– Dobrze – odparła. – Gdybyś mnie potrzebował, wiesz, gdzie jestem.

– Natychmiast zadzwonię, jeśli będziesz potrzebna.

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut i z opanowanego tonu głosu George'a Emma domyśliła się, że w istocie Casey panuje nad wszystkim. Ucieszyła się i poczuła satysfakcję ze swojej decyzji: los Hi-Speed Printing leżał w dobrych rękach.

Potem zadzwoniła do domu. Odebrał ojciec.

– Dotarłaś bezpiecznie? – zapytał od razu. – Jak się miewasz?

Emma postanowiła, że lepiej nie mówić nic o problemach z barem.

– Jak w niebie – odparła więc tylko. – Świetnie się bawię, a od przyjazdu nie widziałam jeszcze na niebie ani jednej chmurki.

– Spotkałaś jakichś fajnych facetów?

– Tato! – zaprotestowała. – Jesteś taki staromodny. Wydaje ci się, że moje życie nie będzie udane, jeśli nie znajdę sobie mężczyzny.

– Cóż, ja wiem tylko, że moje życie było niepełne, dopóki nie spotkałem twojej matki. Niektóre rzeczy się nie zmieniają, Emmo, bez względu na to, co sądzisz.

– A gdzie jest mama? Daj mi ją do telefonu.

– Minęłaś się z nią. Pojechała samochodem do sklepu.

– Powiedz jej, że dzwoniłam i uściskaj ją ode mnie.

– Jasne, uściskam. Miałaś już czas, żeby rozważyć propozycję pana Brauna? – spytał ojciec.

– Jeszcze nie – odpowiedziała Emma. – Byłam zbyt zajęta. – To akurat było prawdą.

– Nie śpiesz się, przemyśl wszystko spokojnie. I pamiętaj, że jeśli będziesz potrzebowała mojej rady, zawsze ci pomogę.

– Kocham cię, tato – wyszeptała Emma, odkładając słuchawkę.

Była szczęściarą, że miała takich rodziców. Oboje zawsze ją kochali i wspierali. Nigdy niczego nie wymagali i nie wtrącali się w jej życie. Musi pamiętać, żeby przywieźć im z Hiszpanii jakieś miłe prezenty.

Była jedenasta. Mark obiecał, że zadzwoni w porze lunchu, co oznaczało, że Emma ma jeszcze trochę czasu, by popracować nad swoją opalenizną. Zabrała potrzebne rzeczy, włożyła je do słomkowej torby na zakupy, włożyła bikini, sarong i wyruszyła na basen. Miała zamiar zostać na słońcu trochę dłużej niż ostatnio. Ale bez szaleństw – opalać trzeba się stopniowo.

Młody recepcjonista uśmiechnął się grzecznie, kiedy przechodziła obok niego, a równie młody goniec hotelowy pośpieszył, by otworzyć Emmie drzwi do ogrodu. Kilku nawiedzonych miłośników słońca było już na basenie, ale i tak zostało mnóstwo wolnego miejsca. Emma rozłożyła się na tym samym leżaku, co poprzednio. Wyjęła ręcznik, posmarowała się kremem z filtrem, poprawiła okulary i położyła się w ciepłym porannym słońcu.

Było cudownie. Słońce grzało tak przyjemnie, że Emma musiała pilnować się, by nie zasnąć. Próbowwała skupić się na sprawach, które trzeba było załatwić. Obiecała sobie wycieczkę na zakupy do Marbelli, ale do tej pory nie udało jej się pojechać z powodu zamieszania związanego z barem. Czasem miała ochotę dać sobie spokój z tym „prezenterem”, ale instynkt wojownika nie pozwalał Emmie się poddać i pozwolić oszukać. Postawa „księgowego” naprawdę ją zirytowała, bo nie znośiła być traktowana jak idiotka tylko dlatego, że jest kobietą. Była prawną

właścicielką baru U Pedra i miała prawo wiedzieć o nim wszystko. I, na Boga, wkrótce wszystkiego się dowie!

Emma czuła się coraz lepiej i jej myśli zwróciły się ku Markowi. Miała szczęście, że pojawił się obok, by jej pomóc. Jakby Bóg go zesłał. Tak niedawno przeżył śmierć żony, a jednak wcale nie narzekał. Ciekawe, czy ożeni się powtórnie. Miał czterdzieści lat – wciąż był młody i całkiem przystojny. Wiele kobiet uznałoby go za bardzo atrakcyjnego kandydata. I w przeciwieństwie do niektórych przystojnych facetów, Mark nie był arogancki, zarozumiały ani rozpieszczony.

Wczorajszego wieczoru w klubie Voodoo poznała drugą stronę pana Chamberisa: uwielbiał się dobrze bawić. Prawie całą noc szalał na parkiecie i nalegał, aby Emma tańczyła razem z nim, aż w końcu prawie padła z wyczerpania. Wieczór był naprawdę zwariowany, ale oboje bawili się świetnie. „Tak – pomyślała, przewracając się na brzuch – Marka Chamberisa z pewnością można nazwać interesującym mężczyzną”.

Około dwunastej trzydzieści Emma miała już dość opalania jak na jeden dzień. Wzięła szybki prysznic i weszła do basenu. Pół godziny później miała za sobą trzydzieści długości i mnóstwo nowej energii. Wysuszyła się, spakowała torbę i wróciła do pokoju. Ledwie zdążyła wejść, kiedy zadzwonił telefon. Dzwonił Mark.

- Jak tam dzień? – spytał.
- Na razie dobrze. Trochę wylegiwałam się na słońcu. A ty?
- Powiedzmy, że mój poranek był bardzo produktywny. Masz jakieś plany na dzisiejsze popołudnie?
- Nie – przyznała Emma.
- W takim razie masz szansę odwiedzić Malagę. Wpadnę po ciebie za pół godziny. Pasuje?
- Tak, świetnie.
- No to doskonale. Zaplanowałem coś specjalnego.
- Co? – spytała zaintrygowana.
- Wyjaśnię ci, gdy się spotkamy.

Mark pojawił się przed hotelem Alhambra o wpół do drugiej. Emma już czekała, ubrana elegancko i modnie w białą-niebieską wzorzystą spódnicę, którą Mark już widział, i niebieski top w kolorze oczu. Na nogach miała sandały na koturnach, a przez ramię przełożyła duży słomiany koszyk. Jasne włosy niepokornie fruwały dokoła głowy. „Wygląda oszałamiająco” – pomyślał Mark. Od razu zauważył, że Emma cieszy się ze spotkania.

- Dobrze spałaś? – spytał ją, otwierając drzwi pasażera.
- Jak niemowlę, a ty?
- Też. Dopóki banda roboli z młotami pneumatycznymi nie zaczęła wiercić dziur w drodze tuż pod moim oknem!

– Nie można mieć wszystkiego – zaśmiała się Emma. – A teraz powiedz mi, co takiego zaplanowałaś?

– Jedziemy spotkać się z kimś, kto może ci pomóc. Dużo myślałem o tym, co powiedziałaś mi wczoraj wieczorem, i zdecydowałem, że potrzebujesz porady eksperta.

– Zgadzam się w zupełności.

– Ponieważ żadne z nas nie ma pojęcia o hiszpańskim prawie i przepisach podatkowych, postanowiłem znaleźć kogoś, kto się na tym zna. Nazywa się Luis Garcia Santiago. Jest młodym, ale bardzo szanowanym prawnikiem. Zgodził się spotkać z nami w swoim biurze o trzeciej.

Emma z radości pocałowała Marka w policzek.

– Och, to fantastyczne! Jak udało ci się go znaleźć?

Uśmiechnął się skromnie.

– Nie było to takie trudne. Zadzwoiłem do kilku znajomych. A teraz proponuję, żebyś opowiedziała Luisowi o swoich problemach. Powiedz mu o spotkaniu z tym lewym księgowym i o trudnościach z dostępem do rachunków. Pewnie od razu powie ci, co robić, na czym stoisz i jakie działania możesz podjąć.

– Czemu tyle dla mnie robisz?

– To żaden problem.

– Nie odpowiedziałeś.

Wzruszył nonszalancko ramionami.

– Może mam w sobie jakiś gen Robin Hooda? A może po prostu lubię pomagać ludziom rozwiązywać problemy? Zwłaszcza takim pięknym kobietom jak ty.

Emma zaśmiała się.

– Ty pochlebco! Ale i tak jestem ci niezmiernie wdzięczna.

– Daj już spokój.

Pochylił się i zapalił silnik, a potem włączył klimatyzację. Dziesięć minut później wyjeżdżali już na autostradę. Podróż do Malagi zajęła około trzydziestu minut. Emma patrzyła przez okno na oddalone wybrzeże i morze, świecące w popołudniowym słońcu jak srebrna folia.

W oddali widziała ciemne i groźne szczyty Sierra Nevada, rozciągające się na wschód w kierunku Grenady. Miała zamiar odwiedzić te miejsca, kiedy tylko upora się z bałaganem w barze. Krótco przed drugą na horyzoncie pojawiły się wieże i kopuły Malagi. Dziesięć minut później Mark parkował już samochód na podziemnym parkingu niedaleko katedry.

– Jakie to piękne miasto! – zachwyciła się Emma, kiedy wyszli na ulicę. Z podziwem przyglądała się labiryntom małych uliczek i wąskim brukowanym placom.

– Kiedy tylko załatwisz sprawę z prawnikiem, możemy sobie zafundować krótki spacer po centrum – powiedział Mark. – Wtedy będzie już chłodniej.

– Dobrze, tak zrobimy.

Mark zerknął na zegarek.

– A teraz mamy dość czasu, żeby napić się kawy i zebrać myśli.

– Okej.

Niedaleko znaleźli kawiarnię na świeżym powietrzu, usytuowaną koło pomnika jakiegoś dawno zmarłego hiszpańskiego konkwistadora. Usiedli, a Mark zamówił dwie kawy z mlekiem u młodego kelnera, który natychmiast pojawił się, by ich obsłużyć.

– Muszę zrobić jakieś zakupy – odezwała się Emma. – Kończą mi się ubrania, bo przywiozłam rzeczy tylko na parę dni.

– To również możemy dzisiaj załatwić.

– O nie! – zaprotestowała. – Ty i tak już dość dla mnie zrobiłeś. Nie mogę cię jeszcze zapędzać do sklepów. Wiem, jak bardzo mężczyźni nie znoszą zakupów.

– W takim razie trochę sobie pozwiedzam, a potem możemy się spotkać.

– Jesteś pewien, że chcesz?

– Stuprocentowo. Właściwie możemy tu spędzić resztę dnia. Znajdziemy jakąś przytulną restaurację gdzieś niedaleko i zjemy kolację.

– Byłoby cudownie!

Mark uśmiechnął się i delikatnie pogładził dłoń Emmy.

– Nic nie sprawi mi większej przyjemności niż spędzenie z tobą reszty dnia.

Spojrzała na niego i poczuła, jak jej serce drży. Nie wyobrażała sobie miłszej rzeczy niż spędzić popołudnie z Markiem.

– W takim razie załatwione. Załatwię dwie sprawy za jednym zamachem: spotkam się z prawnikiem i zrobię zakupy.

– Trzy sprawy – poprawił ją Mark. – Zjesz jeszcze ze mną kolację.

Luis Garcia Santiago czekał na nich w eleganckim wyłożonym boazerią biurze na Calle Andalucia. Był szczupłym, przystojnym mężczyzną z kruczoczarnymi włosami, ubranym w świetnie skrojony lekki garnitur. Emma szacowała, że nie może mieć więcej niż trzydzieści lat, ale wyglądał na spokojnego i pewnego siebie. Nie mogła oprzeć się porównywaniu tego obrazka z obskurnym biurem Miguela Martineza Sancheza, które odwiedziła wczoraj.

– Napiją się państwo kawy? – zapytał prawnik po oficjalnej prezentacji i uściskach dłoni.

– Nie, dziękujemy – odparła Emma. – Właśnie wypiliśmy po jednej.

– To może wody gazowanej?

– Chętnie.

Luis podniósł słuchawkę telefonu stojącego na biurku i powiedział kilka słów po hiszpańsku. Kilka chwil później do gabinetu weszła młoda dziewczyna, niosąc tacę, na której stały trzy butelki wody i trzy szklanki.

– A teraz – zaczął Luis, kiedy wszyscy troje usiedli – proszę mi opowiedzieć o swoich problemach.

Przez następnych kilka minut Emma wyłuszczyła historię baru U Pedra, a młody prawnik milczał i tylko robił notatki.

– Jest więc pani prawną właścicielką tego przedsiębiorstwa?

– Tak.

– I wie pani, że zgodnie z hiszpańskim prawem przejęła pani także wszystkie długi, jakie mogą na nim ciążyć?

– Tego właśnie się obawiam – przyznała Emma. – Próbowałam się dowiedzieć, czy wszystkie podatki są płacone w terminie, ale ten księgowy, Miguel Manuel Sanchez, nie chce dać mi jasnej odpowiedzi.

Luis zmarszczył brwi.

– Ależ on jest zobowiązany jej pani udzielić!

– Nie chce tego zrobić.

– Odmówił?

– Nie wprost. Powiedział mi tylko, że mam się nie martwić, bo inspektor skarbowy jest jego dobrym przyjacielem. Proszę zrozumieć, w Irlandii sprawy finansowe mam zawsze uporządkowane i ten nonszalancki stosunek bardzo mnie niepokoi.

– Mogę panią zapewnić, że w Hiszpanii również wolimy, by finanse były w jak najlepszym porządku. – Luis uśmiechnął się przelotnie, a potem mówił dalej poważnym tonem: – Jest kilka rzeczy, od których możemy zacząć. Mogę skontaktować się z tym księgowym jako pani przedstawiciel i zażądać wszystkich informacji. Mogę też pójść prosto do urzędu podatkowego i poprosić ich o wykaz płatności baru. Drugie rozwiązanie jest nawet lepsze. Ale muszę panią ostrzec: to może zabrać trochę czasu. Jak długo zamierza pani tu zostać?

– Miesiąc.

– W takim razie zacznę działać od razu. A w tym czasie proponuję, żeby cieszyła się pani wakacjami. Gdy tylko się czegoś dowiem, od razu panią zawiadomię.

Prawniki wstał i uprzejmie pożegnał ich uściskiem dłoni.

– *Buenos tardes* – powiedział, odprowadzając Marka i Emmę do drzwi.

– Jak się czujesz? – spytał Mark, kiedy znów wyszli na jasne, popołudniowe słońce.

– Ogromnie mi ulżyło. W końcu mam do czynienia z profesjonalistą. Jestem pewna, że Luis dowie się, czego trzeba.



– Mam nadzieję, że wykorzystasz jego radę i będziesz cieszyła się wakacjami.

Emma się uśmiechnęła.

– Oczywiście, że będę. Jakżebym mogła zapłacić za tę poradę i z niej nie skorzystać?

Rozdzielając się u szczytu ulicy, umówili się, że spotkają się znowu o siódmej pod katedrą i pójdą razem na kolację. Emma pobiegła w kierunku dużej galerii handlowej, a Mark powoli odszedł, żeby pozwiedzać miasto z przewodnikiem w dłoni.

Dzień zrobił się chłodniejszy i miło było pospacerować. Mark chodził po wąskich uliczkach, czując, jak ogarnia go poczucie zadowolenia. Niezmiernie cieszył się z towarzystwa Emmy i był dumny, że może pomóc jej rozwiązać problemy z barem. Mark także wierzył w umiejętności Luisa, który wydał mu się świetnym młodym prawnikiem, niezajmującym się bzdurami, a jedynie dążącym do załatwienia sprawy. Jeśli ktoś mógł uporządkować finanse baru, mógł to być tylko Luis Garcia Santiago.

Idąc, co chwila zatrzymywał się, żeby popatrzeć na sklepowe wystawy albo wejść do małych, cichych kościółków i podziwiać ich architekturę. W pewnym momencie wyszedł z cienistej, brukowanej uliczki i wszedł na jasny plac, na którego środku tryskała fontanna. Dokoła placu zebrali się młodzi artyści wystawiający swoje prace.

Zatrzymał się, żeby obejrzeć serię rysunków, kiedy jakaś młoda kobieta podeszła bliżej i zagadnęła go. Ubrana była w koszulkę i dżinsy, włosy miała ciemne i kręcone, a oczy błyszczące.

– Jest pan Anglikiem? – spytała.

– Nie – odparł Mark. – Irlandczykiem.

– *Ah, Irlandia!* To przecież zupełnie inny kraj.

– Ma pani rację, zupełnie.

– Podobają się panu te rysunki? – pytała dalej dziewczyna.

– Bardzo. Wydają mi się bardzo dobre.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Wszystkie są na sprzedaż. Może kupi pan jeden? Który się panu podoba najbardziej?

– A ile kosztują? – chciał wiedzieć Mark.

– Nie są drogie.

– Może ten? – wskazał miniaturkę z obrazem katedry. Pomyślał, że może to być doskonały prezent dla Emmy, który będzie jej przypominał o wizycie w Maladze.

Dziewczyna przechyliła głowę.

- Dwadzieścia pięć euro? – spytała niepewnie, jakby nie wiedziała, ile może zażądać za rysunek. Pewnie gdyby się targował, Mark mógłby go kupić za mniej, ale był w dobrym humorze. Obrazek mu się podobał, a cena była przyzwoita. Poza tym młodzi artyści muszą jakoś zarabiać.

- Dobrze, wezmę go – zgodził się.

Malarka podniosła obrazek i zapakowała go w cienką bibułę. Mark wyjął z portfela pieniądze i zapłacił.

- Jak się pani nazywa? – zapytał jeszcze.

- Dolores Lopez Castillo.

- Czy to pani podpis w rogu?

- Oczywiście. Zawsze podpisuję swoje prace. Czemu pan pyta?

- Być może któregoś dnia pani podpis będzie równie cenny jak podpis Pabla Picassa.

Twarz dziewczyny rozjaśniła się z zadowolenia i rozbawienia.

- Kto wie? Jeśli tak będzie, to zrobił pan dzisiaj świetny interes.

Kiedy Mark wrócił pod katedrę, było parę minut po siódmej. Emma czekała już na niego obładowana torbami i paczkami.

- O mój Boże! – zdziwił się Mark. – Wykupiłaś wszystko, co było w sklepach?

- Nie wszystko. Ale kupiłam sporo ładnych rzeczy. Jakość jest doskonała, a ceny niskie, więc cały czas wydawało mi się, że ktoś w sklepie źle je zapisał.

- Daj mi pomyśleć, chyba już gdzieś słyszałem ten argument. Zaraz mi powiesz, że tak naprawdę zaoszczędziłaś pieniądze?

Emma uśmiechnęła się szeroko.

- Powinam była cię ostrzec, że zakupy to moja pasja.

- Pasja? Chyba raczej obsesja.

Pomógł jej zanieść torby do samochodu. Upchnęli je w bagażniku i ponownie zamknęli auto.

- Jesteś głodna? – spytał Mark.

- Strasznie.

- Ja też. Znajdźmy jakieś sympatyczne miejsce na kolację, zanim odgryzę nogę jakiemuś niewinnemu turyście.

Niedaleko odkryli restaurację specjalizującą się w kuchni andaluzyjskiej. Zanim weszli do środka, przeczytali wystawione na zewnątrz menu. Mark zamówił wieprzowinę, a Emma – pieczonego kurczaka. Do posiłku wybrali butelkę wina rioja. Mark nalał obojgu, podniósł swój kieliszek i stuknął nim delikatnie o kieliszek Emmy.

- Za udany dzień!

– Tak – odrzekła. – Bardzo udany. To chyba najmiłszy dzień, od kiedy tu przyjechałam. Może w końcu coś zacznie się poprawiać.

Mark podał Emmie rysunek, który kupił na placu.

– Kupiłem ci coś, żebyś zapamiętała Malagę.

Emma szybko odpakowała bibułkę i wykrzyknęła z zachwytem:

– Jest śliczny! Och, nie powinieneś był wydawać na mnie pieniędzy.

– I kto to mówi! Pewnie wyczyściłaś w tych sklepach wszystkie swoje karty kredytowe.

– Ale naprawdę, jak to miło, że o mnie pomyślałeś! A rysunek jest przepiękny. Oprawię go, gdy tylko wrócę do domu. Już mam dla niego idealne miejsce w holu mojego mieszkania, gdzie wszyscy będą mogli go podziwiać.

Podano dania główne, razem z pieczoną papryką, siekanymi ziemniakami, cebulą i miseczkami sałaty. Emma i Mark uśmiechali się do siebie, aż ona nagle sięgnęła po jego dłoń.

– Jesteś dla mnie taki dobry, a przecież ledwie się znamy.

– Ty też jesteś dla mnie dobra.

– Ja? W jaki sposób?

– Nawet nie wiesz, jak bardzo. Samo przebywanie w twoim towarzystwie sprawia, iż czuję, że żyję. Jesteś taka energiczna i pełna radości.

Emma spuściła wzrok i spytała:

– Tęsknisz za żoną?

– Oczywiście, że tak. Jej śmierć była dla mnie takim szokiem, że chciałem, by moje życie także się skończyło. – Mark zamilkł na chwilę. – Pewnie uznasz to za dziwactwo, ale ja co dzień z nią rozmawiam.

Emma uścisnęła jego dłoń.

– Nie. Nic w tym dziwnego. Myślę, że to cudowne.

– Opowiadam jej o wszystkim. O tobie też.

Emma podniosła wzrok i spojrzała w twarz Marka.

– I akceptuje moją obecność? – spytała.

– Ależ tak! Zdecydowanie tak – odparł.

## *Rozdział 20*

Claire obudziła się z niespokojnego snu w jakimś łóżku, opatulona w ciężką kołdrę. Jej czarne włosy były rozrzucone na poduszce. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest, ale stopniowo odyskiwała świadomość i przypomniała sobie, że leży we własnym łóżku, w swoim mieszkaniu. Naprzeciwko łóżka dostrzegła pulchną figurkę Maggie, po cichu czytającą jakąś książkę. *Złote legendy estrady*.

Podniosła się, a sąsiadka opuściła książkę i uśmiechnęła się serdecznie.

– A więc wróciłaś między żywych. Jak się czujesz?

– Lekko oszołomiona.

– Dzięki Bogu, że tylko tyle.

– Ledwie pamiętam, co się stało. Poszłam popływać, wpadłam w tarapaty, a potem zapadła ciemność.

– Tarapaty! Łagodnie powiedziane. Prawie cię straciliśmy. Gdyby nie Kevin, już by cię nie było na tym świecie.

– Kevin?

– Tak, Kevin. To on wbiegł do wody i cię wyciągnął.

– O Boże!

Claire opadła z powrotem na poduszki i zamknęła oczy. Przypominała sobie, co się stało. Koszmarna chwila, w której czuła, że traci świadomość, czarna woda dookoła, drętwie ciało i zimno. A potem ktoś kazał się jej trzymać i ciągnął w stronę brzegu. A więc to Kevin ją uratował!

Maggie cały czas mówiła, w pośpiechu relacjonując, co się stało.

– Leżałyśmy sobie na piaseczku, korzystałyśmy z miłego słońeczka, aż tu nagle zerwałaś się na nogi i oświadczyłaś: „Idę popływać”. Potem pobiegłaś prosto do morza. Pamiętasz?

– Tak.

– Pomyślałam, że to dziwne, więc poszłam za tobą, ale kiedy próbowałam cię dogonić, ty jak wariatka odpływałaś od brzegu. Płynęłaś coraz dalej i dalej. Potem zatrzymałaś się i rozejrzałaś. Machałam do ciebie, ale chyba mnie nie widziałaś. Potem przez chwilę unosiłaś się na wodzie i zaczęłaś płynąć z powrotem. I wtedy zaczęły się kłopoty. Widziałam, że nie posuwasz się naprzód. Machałaś rękami, jakbyś się przestraszyła. Pobiegłam więc na plażę, żeby znaleźć ratowników, ale żadnego nie było. No to poleciałam do baru, wołając Kevina i Snuffy'ego. – Maggie mówiła tak, jakby bawiło ją opowiadanie historii. – Kevin pobiegł razem ze mną i zobaczył, że naprawdę jesteś w tarapatkach. Natychmiast wskoczył do wody. Złapał cię i jakimś cudem przyciągnął do brzegu. Gdyby nie on, kto wie, co by się z tobą stało. Pewnie byłabyś już w Afryce Północnej.

– A jemu nic się nie stało?

– Nie, wszystko w porządku. Wysuszył się i czekał przy tobie, aż przyjechała karetka.

– A, tak... – Claire stopniowo przypominała sobie różne szczegóły. Dziwne twarze pochylających się nad nią Hiszpanów... potem ktoś ją podnosił... karetka... Maggie trzymająca ją za rękę.

– Kiedy wyciągnął cię z wody, byłaś nieprzytomna – opowiadała Maggie. – Przybiegł jeden z ratowników – w samą porę – i zrobił ci sztuczne oddychanie. Po-

tem przyjechała karetka, sanitariusze opatulili cię w koce i przywieźli do domu. Od tamtego czasu jesteś tutaj.

Claire było wstyd, że narobiła wszystkim tyle kłopotu swoim bezmyślnym zachowaniem. Gdyby matka się o tym dowiedziała, nie dałaby jej o tym zapomnieć.

– Jak długo spałam?

Maggie spojrzała na zegarek. Było dziesięć po dziewiątej.

– Sześć godzin – odparła.

– A ty cały ten czas siedziałaś na tym krześle?

Sąsiadka wzruszyła ramionami.

– To nic takiego. Czytałam sobie. A zresztą dostałam rozkazy od sanitariuszy – miałam cię pilnować.

Claire poczuła nagle, jak ogarnia ją niepokonane uczucie wdzięczności. Dobra, kochana Maggie poświęciła całe popołudnie i wieczór, by się nią zajmować.

I Kevin. Ocalił jej życie. Gdyby nie on, utonęłyby.

– Jak mam ci się odwdziaczyć, Maggie? – spytała.

– Nie musisz mi dziękować, to przecież nic takiego, naprawdę – zarumieniła się sąsiadka.

– A gdzie jest Kevin?

– Nie martw się o niego. On przejmował się tylko tym, czy z tobą wszystko w porządku. Kilka godzin temu dzwonił i pytał o ciebie.

Claire próbowała wygrzebać się z łóżka.

– Muszę go znaleźć i podziękować. Wiem, gdzie będzie. W bodedze. Zawsze tam chodzi po pracy.

Maggie natychmiast zapędziła przyjaciółkę z powrotem do łóżka.

– Masz się stąd nie ruszać! To zalecenie lekarza. Musisz leżeć aż do rana.

Claire pokornie weszła pod kołdrę.

– Pewnie wciąż jesteś w szoku – mówiła dalej Maggie. – Musisz teraz coś zjeść. Ugotowałam ci zupę jarzynową, bardzo odżywcza, i będę nad tobą stała, aż nie zjesz talerza do ostatniej kropelki.

Claire pokiwała głową.

– A potem przyrządę ci pyszny omlet z grzybami. Dobrze ci zrobi. Rano pójdziemy do baru i podziękujesz Kevinowi. A poza tym ja będę miała okazję spotkać się z tym wariatem Snuffym i pogadać o starych, dobrych, londyńskich czasach.

Claire była zbyt zmęczona, by się kłócić.

– Dobrze – zgodziła się tylko.

Maggie nakarmiła przyjaciółkę zupą i omletem, a potem siedziała przy łóżku i czytała na głos fragmenty swojej książki, pełnej pikantnych anegdot o wielkich gwiazdach estrady. Kiedy Maggie czytała, powieki Claire zaczęły robić się coraz cięższe. Pół godziny później spała już jak dziecko.

O wpół do dziewiątej rano obudziło ją głośne pukanie do drzwi mieszkania. Claire rozejrzała się dokoła, ale Maggie już nie było. Pukanie stawało się coraz bardziej natarczywe. Wyszła z łóżka, narzuciła na siebie szlafrok i otworzyła drzwi. Widząc osobę stojącą przed nimi, Claire aż zamrugała z niedowierzania. W korytarzu stał Kevin Joyce z wielkim bukietem kwiatów w dłoni.

– Jak się ma nasza pacjentka? – spytał ze swoim firmowym uśmiechem na twarzy.

Claire sapnęła z nerwów. Kevin był ostatnią osobą, której się spodziewała w tej chwili – wiedziała doskonale, że skoro właśnie wstała, musi wyglądać koszmarnie.

– Świetnie, dziękuję. Co to za bukiet?

– Dla ciebie.

– Dla mnie?

– A dla kogo innego? Masz jakąś współlokatorkę, której mógłbym go wręczyć?

Claire poczuła, że czerwieni się ze wstydu.

– Wejdz – powiedziała, otwierając szerzej drzwi. – Wybacz bałagan, ale dopiero co wstałam.

Kevin wszedł do środka.

– Nie mogę zostać. Lecę otworzyć bar, bo siostra Marii wciąż jest chora.

– O matko! – zmartwiła się Claire. – Biedna Maria musi przechodzić ciężkie chwile.

– Wpadłem tylko, żeby zobaczyć, jak się masz, no i dać ci kwiaty. – Wcisnął wielgachny bukiet w ramiona Claire.

– Jak mam ci się odwdzięczyć za to, że mnie wczoraj uratowałeś? – spytała Claire, ostrożnie kładąc kwiaty na stole. – Gdyby nie ty, utonąłabym.

Kevin się uśmiechnął.

– Niekoniecznie.

– Na pewno. Szłam pod wodę i nie miałam już w ogóle siły.

– Zapomnij już o tym – odparł. – Żyjesz, masz się dobrze i wyglądasz jak milion dolarów. Tylko to się liczy.

Claire spuściła wzrok. Nie mogła udawać, że nie słyszała komplementu.

– Jest mi tak strasznie głupio, że narobiłam wszystkim kłopotów. Nie wiem, czy jeszcze kiedyś będę mogła pokazać się na tej plaży.

– Bzdura, to był wypadek. Nie pierwszy i nie ostatni. Ratownicy prawie codziennie wyciągają ludzi z wody.

– Ale ja zachowałam się tak głupio! Zrobiłam coś, czego nie powinno się robić – odpłynęłam od brzegu.

– Przestań się zadręczać. Było, minęło, a ty jesteś cała.



- Dzięki tobie, Maggie i temu ratownikowi – wiecie, jak on ma na imię?
- Ja nie wiem. Może Maggie słyszała. Chociaż znam go z widzenia, ma częste zmiany.
- Muszę mu podziękować, kupić jakiś prezent albo coś.
- Dobry pomysł.
- Może jednak napijesz się kawy?
- Nie, dzięki. Lepiej już pójdę. Przede mną kolejny ciężki dzień.
- Jak spisuje się Snuffy? – spytała Claire.
- Doskonale. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak poradziłbym sobie bez niego przez tych ostatnich kilka dni.

- Podziękuj mu ode mnie. I powiedz, że o niego pytałam. I Maggie – pozdrów go od Maggie.

Kevin uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Maggie i Snuffy?

Claire odwzajemniła uśmiech.

- Zgadza się.
- A niech mnie! Dobra, pozdrowię go. – Odwrócił się, ale zatrzymał na chwilę. – Skoro już pytasz, to jest coś, co możesz dla mnie zrobić – powiedział.
- Tak?
- Dzisiaj wieczorem w Mijas odbywa się rockowy koncert plenerowy. Czujesz się wystarczająco dobrze, żeby ze mną pójść?

Claire nie zwlekała z odpowiedzią.

- Bardzo chętnie.

Po wyjściu gościa Claire oparła się plecami o drzwi i poczuła, jak serce wali jej w piersi. Kevin okazał się dobrym, uroczym i pomocnym mężczyzną. Dopiero co ocalił ją przed utonięciem, ale nie chciał za to żadnej wdzięczności – większość facetów czekałaby co najmniej na order. Wzięła kwiaty ze stołu i włożyła je do zlewu. Potem wyjęła z lodówki bekon, jajka i włączyła ekspres do kawy. Z mieszkania naprzeciwko nie dochodził żaden dźwięk – Maggie zapewne jeszcze spała. Musiała być wyczerpana po wczorajszych przygodach.

Claire wpadła nagle na pomysł, że robi sąsiadce niespodziankę. Chciała odwdziżyć się za całą jej serdeczność. Rozwiązała bukiet i podzieliła go na dwie części. Większą – wciąż wyglądającą jak dzieło sztuki – wzięła ze sobą i poszła pod drzwi naprzeciwko. Słyszała jakieś ciche dźwięki – widocznie Maggie już wstała.

Zapukała. Chwilę później otworzyły się drzwi i wyłoniła się zza nich zaspana postać.

- To dla ciebie – oznajmiła Claire, wciskając kwiaty w ręce Maggie.
- A z jakiej to okazji?

- Z okazji kochanej sąsiadki, która pokazała mi, co znaczy prawdziwa przyjaźń. Takie małe „dziękuję”.

Maggie wyglądała na zakłopotaną.

- Mam nadzieję, że nie wydałaś na nie fortuny.

Claire uśmiechnęła się.

- Nie ja je kupiłam. Kevin Joyce wpadł do mnie rano i wręczył mi wielki bukiet, a ja chciałam podzielić się z tobą.

- Ale ja nie mogę ich przyjąć! Kevin by się obraził.

- No coś ty, na pewno nie! Poza tym drugą połowę zatrzymałam.

- Dobra - są śliczne - zgodziła się Maggie. - Włożę je do wazonu.

- A potem przyjdź do mnie na śniadanie.

Claire wróciła do swojego mieszkania i wstawiła bekon. Nakryła do stołu na tarasie - dzień znów był przepiękny. Słońce stało wysoko na niebie i oświetlało ulicę na złoto. „Jak dobrze jest żyć - pomyślała Claire, rozkładając noże i widelce. - I pomyśleć, że gdyby nie Kevin, moje ciało mogłoby teraz leżeć w miejskiej kostnicy”. Wzdrygnęła się na samą myśl o tym. Wróciła do kuchni i zaczęła przyrządzać śniadanie.

Kilka minut później dołączyła do niej Maggie. Claire nałożyła jedzenie na talerze i zanosła je na taras.

- O, jak miło - cieszyła się Maggie, nalewając sobie filiżankę kawy. - A ty wyglądasz dzisiaj dużo lepiej. Dobrze ci zrobiło kilka godzin snu.

- No i twoja cudowna zupa jarzynowa - rzekła Claire, zabierając się do jajecznicy na bekonie. - Mam tyle energii, że mogłabym spędzić rano, sprzątajac mieszkanie.

- Chciałam cię o coś zapytać - odezwała się Maggie. - Dlaczego wczoraj zrobiłaś to, co zrobiłaś? Dlaczego poszłaś pływać jak wariatka? Wyglądało na to, że chcesz od czegoś uciec.

Claire zaczerwieniła się i spuściła wzrok.

- Po prostu miałam taki nastrój.

- Tylko nie zrób czegoś takiego jeszcze raz. Kevina może nie być w okolicy i cię nie uratuje. Jak tam poszło dzisiaj rano?

- Śpieszył się do pracy. Siostra Marii wciąż jest chora, więc Kevin sam prowadzi bar, a pomaga mu tylko Snuffy.

- Co pewnie oznacza, że Snuffy będzie zbyt zajęty, żeby pogadać? A ja tak na to czekałam.

- Snuffy bardzo się zmienił, od kiedy ostatnio go widziałaś?

- Wygląda inaczej. Wydaje się spokojniejszy. Kiedy był z zespołem, skakał po całej scenie jak psychopata. Teraz chyba jest bardziej zrelaksowany.

- I starszy - dodała Claire. - Prosiłam Kevina, żeby przekazał Snuffy'emu pozdrowienia od ciebie. Chyba się nie gniewasz?

- Ależ skąd – uśmiechnęła się Maggie. – Cieszę się, że to zrobiłaś.  
- Podoba ci się?  
- Tak, podobał mi się wtedy i teraz to się nie zmieniło. Widziałam go osiem lat temu – miałam tylko dwadzieścia dwa lata, a w tym wieku myśli się, że każdy jest dobry – byle grał w zespole.

- A co z Rickim? Nie możesz rzucić tego biedaka.

Maggie wyglądała na zmartwioną.

- Muszę się nad tym zastanowić.

Claire znów wpadł do głowy ciekawy pomysł.

- Kevin zaprosił mnie na plenerowy koncert rockowy w Mijas, dziś wieczorem. Może poproszę go, żeby zabrał Snuffy'ego i pójdziemy w czwórkę?

Twarz Maggie natychmiast się rozjaśniła.

- Byłoby wspaniale.

- Nie pracujesz dzisiaj?

- Nie, mam wolne aż do jutra wieczorem. Myślisz, że mogę włożyć swój punkowy kostiumik w kratkę i obrozę z kolcami?

- Pogadamy o tym później – odparła Claire. – A tymczasem posprzątam mieszkanie, dopóki jeszcze jestem w formie.

- Pomogę ci – zaoferowała się Maggie, kończąc śniadanie. Podniosła brudne naczynia i wyniosła je.

Chwilę później Claire usłyszała głośny śpiew dobiegający z kuchni.

- Słyszałaś, jak udaję Micka Jaggera? – spytała Maggie. – *I cant get noooooo - satisfaction!*

## Rozdział 21

Miguel Martinez Sanchez siedział w swoim obskurnym biurze i gapił się przez okno na ulicę. Denerwował się. To niedobre uczucie narastało, odkąd ta Irlandka, *señorita* Dunne, zadzwoniła z żądaniem ksiąg rachunkowych baru U Pedra. Księgowy miał teraz problemy ze snem, bo nieustannie się martwił. Podskakiwał na każdy dźwięk telefonu. Dokładnie oglądał każdy list, zanim go otworzył. Oglądał się nerwowo za siebie, gdy szedł po ulicy. Ciężar stawał się nie do zniesienia.

Wstał zza biurka i włożył marynarkę. Oznajmił sekretarce, że wychodzi na jakiś czas, więc ma zapisywać nazwiska dzwoniących, po czym opuścił biuro, szedł po krętych schodach, ale zanim wyszedł na ulicę, rozejrzał się uważnie dookoła. Stwierdziwszy, że jest bezpieczny, ruszył w drogę tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to grube nogi. Kierował się w stronę podejrzanego baru znajdującego się na rogu prostopadłej ulicy.

Wszedłszy do środka, zamówił dużą brandy i wypił ją natychmiast, stojąc jeszcze przy barze. Czuł, jak alkohol zaczyna uspokajać skołatane nerwy, nadstawił więc szklanke, by barman dolał jeszcze kolejkę. Potem wyłowił z kieszeni reszkę cygara, które schował tam na za pas, i zapalił je, roznosząc wokół chmurę dymu. Rozejrzał się po barze, szukając obcych, i stwierdziwszy z zadowoleniem, że nie ma żadnego, w końcu usiadł i głęboko westchnął z ulgą.

Miał powody, żeby czuć zdenerwowanie. Wizyta irlandzkiej *señority* zaskoczyła go. Kiedy zadzwoniła, by powiedzieć, że przyjdzie i chce obejrzyć księgi, Sanchez prawie zakrztusił się długopisem, którego czubek właśnie żuł. Tego się nie spodziewał. Stał bowiem przed ogromnym dylematem. Smutna prawda była taka, że księgi po prostu nie istniały. Nie miał żadnych rozliczeń, od kiedy Conor Delaney przejął bar.

Księgowy zrzucał swoje zdenerwowanie na dwóch ludzi: Antonia Hernandeza Rodrigueza i Conora Delaneya. Ten ostatni ani odrobinę nie interesował się firmą, którą przejął. W ciągu tych wszystkich lat *señor* Delaney ani razu nie spytał o księgi rachunkowe, ani o nic innego. Ufał wszystkim bezgranicznie. Przyjeżdżał do Fuengirola dwa lub trzy razy w roku i zawsze wcześniej dzwonił, więc Miguel miał czas, żeby się przygotować. Co innego ta nowa *senorita*, która od początku zachowywała się jak złodziej – skradała się i prawie przyprawiła go o zawał serca.

Zawsze kiedy dowiadywał się o przyjeździe Conora Delaneya, Miguel wypisywał czek na sporą kwotę, który właściciel z chęcią przyjmował i chował do portfela. Potem stawiał wszystkim kolejkę, a czasem nawet kilka. Oczywiście, niektórzy mówili po cichu, że *señor* Delaney zbyt chętnie popija, ale przecież miło było popatrzyć, jak sympatyczny dżentelmen może się zrelaksować. Czasem jechał do Marbelli odwiedzić przyjaciół i zjeść z nimi kolację, a innym razem wybierał się na tor wyścigowy Hippodroma. A potem wracał do Dublina i przez następne cztery miesiące nikt o nim nie słyszał.

Jeśli ma się takiego właściciela, po co się kłopotać i prowadzić jakiegokolwiek księgi? Interes się kręcił, a pod kierownictwem Marii zarabiał nawet całkiem sporo. Była doskonałym menedżerem. Miguel nie mógł zrozumieć, dlaczego jego przyjaciel Antonio nie traktował lepiej własnej matki. Mógł ją przecież zatrudnić do pomocy w swojej restauracji. Ale tych dwoje nie mogło się dogadać w sprawie sprzedaży baru i od tamtej pory im się nie układało. Antonio był chciwy, nie chciał zostawić matce ani grosza, i tylko dzięki *señorowi* Delaneyowi Maria nie wylądowała na bruku. Miguel nie zgadzał się z takim postępowaniem, ale miał powody, żeby trzymać gębę na kłódce i zatrzymać tę opinię dla siebie.

System sprawdzał się świetnie. Personel był zadowolony, *señor* Delaney był zadowolony, a Miguel Martinez Sanchez był przeszczęśliwy. Jako oficjalny księgowy nabrał nawyku odprowadzania małej części zysków do własnej kieszeni, choć

oczywiście bardzo się pilnował, by nie stać się zbyt chciwy, jak Antonio. To był kolejny powód, żeby zapomnieć o księgach rachunkowych. Miguel zaczął wierzyć, że taka sytuacja będzie trwała już zawsze, aż tu pewnego dnia zadzwoniła ta irlandzka *señorita*, oznajmiła, że jest nową właścicielką i chce się z nim zobaczyć. Musiał ją spławić, powiedział więc, że jest zajęty i nie ma czasu aż do południa.

Godziny przed spotkaniem spędził, próbując odnaleźć w Dublinie Conora Delaney'a i dowiedzieć się, czy ten koszmar to prawda. Kiedy w końcu się dodzwonił, głos byłego właściciela wyraźnie brzmiał, jakby Conor właśnie zafundował sobie kilka głębszych. Był jednak w stanie potwierdzić, że Emma Dunne rzeczywiście jest nową właścicielką i obecnie znajdowała się we Fuengirolí, by dopilnować swojego nabytku. Miał też jeszcze dość trzeźwy umysł, by przeprosić Miguela, że nie uprzedził go o zmianach, ale był bardzo zajęty problemami z przepływem gotówki, które zajmowały cały jego wolny czas. Conor zakończył rozmowę, serdecznie dziękując Miguelowi za jego nieocenione usługi, i obiecał, że postawi mu drinka, kiedy następnym razem się spotkają.

Te słowa absolutnie nie uspokoiły Miguela – bo co miał niby zrobić? Nie wyciągnie przecież ksiąg rachunkowych jak królika z kapelusza. A Emma żądała rachunków i faktur jeszcze sprzed dnia, w którym Conor Delaney przejął bar. To było zupełnie niemożliwe! Miguel co prawda miał talent do tak zwanej kreatywnej księgowości, ale nie był cudotwórcą. Nie mógł wyczarować rachunków z niczego. I tak się właśnie przedstawiała sprawa baru U Pedra. Zrobił wszystko, co mógł. Zwodził ją, kazał się nic martwić, zapewnił, że wszystko jest pod kontrolą. „Proszę się nie niepokoić – mówił. – W końcu po to mnie pani zatrudniała. To ja ponoszę odpowiedzialność za księgowość. Może przejmie pani metody *senora* Delaney'a i po prostu zostawi wszystko w moich rękach? Zanim wróci pani do Dublina, w pani ręce znajdzie się czek z wieloma zerami”.

Ale Emmy nie dało się tak łatwo spławić. Nalegała, że koniecznie chce zobaczyć nieistniejące rachunki. Miguel wiedział, że ma do czynienia z osobą zdeteminowaną, która nie da się zbyć byle jakimi wymówkami. Jednak jeszcze bardziej martwił go fakt, że Emma zapytała o sprawy podatkowe. Zażądała potwierdzenia z urzędu skarbowego, że wszystkie podatki są zapłacone i że na barze nie ciąży żadne długi. Miguel mógł tylko sięgnąć i płakać. *Senora* wyszła z biura z oburzoną miną, a kiedy tylko drzwi się za nią zamknęły, wiedział, że ma poważne kłopoty. Zadzwonił do swojego przyjaciela Antonia i umówił się z nim w barze, w którym teraz siedział.

Skończył drugą brandy i wyjrzał przez drzwi na ulicę. Antonia nie było nigdzie widać. Miguel poczuł strużkę potu, która wpadała mu za kołnierzyk koszuli. Miał ochotę na kolejną brandy, ale powstrzymał się. Musiał mieć jasny umysł, skoro chciał znaleźć jakieś rozwiązanie tego problemu. Zamiast alkoholu zamówił więc kawę z mlekiem.



Znał Antonia już bardzo długo. Ich znajomość zaczęła się jeszcze w czasie, kiedy Miguel był młodym studentem szkoły ekonomicznej, a Antonio pracował dla swojego ojca i prowadził bar U Pedra. Miguel na zawsze zapamiętał wieczór, kiedy Antonio przyszedł do niego z pytaniem, czy mógłby sfabrykować zestaw fałszywych ksiąg rachunkowych: coś, co wyglądałoby na prawdziwe, ale nie zdradzało wszystkich działań i ukryło rzeczywiste dochody z baru nie tylko przed urzędem skarbowym, ale także przed starym Pedrem. Miguel wahał się, co zrobić. Nie miał jeszcze kwalifikacji i gdyby jego działania wyszły na jaw, oznaczałoby to koniec kariery. Wydalono by go ze szkoły i postawiono przed sądem. Ale Antonio zapewniał, że nikt nigdy o niczym się nie dowie – miała to być jednorazowa przysługa. Obiecywał, że już więcej nie będzie prosił Miguela o pomoc. W końcu przekonujący okazał się plik banknotów i miody księgowy zrobił, co mu kazano. I rzeczywiście nikt nigdy nie dowiedział się o oszustwie, chociaż Antonio nie dotrzymał danego słowa.

Tamta decyzja okazała się punktem zwrotnym w życiu Miguela. Rok później Antonio znów się pojawił, prosząc o tę samą przysługę i mało subtelnie dał do zrozumienia, że jeśli księgowy nie będzie posłuszny, może mieć kłopoty. Oprócz szantażu było coś jeszcze: Antonio zaproponował Sanchezowi pracę – doskonale płatne stanowisko księgowego baru U Pedra. Pensja była dużo

większa, niż mógł marzyć jakikolwiek młody księgowy. Miguel nie wahał się długo. Rzucił studia i zaczął pracę na pełny etat.

Falszował księgi dla restauracji Antonia, fałszował zestawienia podatkowe i faktury. Kiedy Conor Delaney przejął bar, Miguel zachował stanowisko i wciąż zajmował się sprawami finansowymi lokalu na plaży, co zresztą sprowadzało się do lokowania pieniędzy w banku i pilnowania, by *señor* Delaney terminowo otrzymywał swój czek, kiedy w końcu zdarzało mu się pojawić. Przez te wszystkie lata Miguel coraz bardziej zaplątywał się w pajęczynę snutą przez Antonia, miał wobec niego długi i bał się go niewyobrażalnie. Wszystko jakoś się układało aż do dzisiaj: do chwili, w której pojawiła się *senorita* Dunne.

Miguel spojrzał na swą drżącą dłoń. Całą noc nie spał, martwiąc się, jak poradzić sobie z tym granatem, który ktoś rzucił mu na kolana. W tej chwili *senorita* Dunne mogła właśnie zeznawać w urzędzie skarbowym, albo – co gorsza – na policji. W każdej chwili mogą przyjść po niego. I co wtedy zrobi? Jak wyjaśni swój udział w całej sprawie?

Nagle dostrzegł cień sylwetki człowieka stojącego w drzwiach. Obrócił się i rozpoznał chudą, trupioblada postać ubraną w ciemny garnitur. Z wielką ulgą Miguel szybko wstał i wyszedł, by się przywitać.

– Antonio! Jak dobrze cię widzieć. Jak dobrze, że przyszedłeś! – Ujął dłoń swego pracodawcy i serdecznie ją uścisnął.



Antonio spojrział na księgowego, jakby ten był robalem, który właśnie wpełzł spod kamienia.

– O co ci właściwie chodzi, Miguel? Po co zawracasz mi głowę, przecież wiesz, jaki jestem zajęty.

– Proszę, Antonio, mów ciszej. Ludzie cię słyszą. – Księgowy nerwowo zerknął na barmana, który im się przyglądał. – Postawię ci drinka.

Miguel podszedł do baru i zamówił.

– *Dos coñacs, por favor.*

Zapłacił i wrócił do stolika, przy którym zdażył usiąść Antonio.

– Co się dzieje, Miguel? Co z tobą? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Widziałem ducha, tyle że ona nie jest martwa. Ona jest całkiem żywa.

– O czym ty bredzisz?

– Mam złe nowiny, Antonio.

– Co się dzieje? Wyduś to z siebie!

– Niedawno zadzwoniła do mnie pewna Irlandka, nazywa się Emma Dunne.

– No i?

– Jest nową właścicielką baru U Pedra.

Słyszając tę informację, Antonio nagle zainteresował się sprawą.

– A co z Conorem Delaneyem? Co się z nim stało?

– Conor Delaney przepisał akt własności na Emmę Dunne. Myślę, że chodziło o jakieś interesy między nimi.

– Hm. – Antonio podrapał się po brodzie.

– *Señorita Dunne* chciała się ze mną spotkać. Jest bardzo zdeterminowana. Zażądała wglądu w księgi rachunkowe i chciała wiedzieć, czy sprawy podatkowe są uregulowane.

– No więc czym się martwisz?

– Wiesz dobrze, że nie ma żadnych rachunków. Antonio się uśmiechnął.

– I co jej powiedziałaś?

– Żeby się nie martwiła, bo wszystko jest pod kontrolą. Ale raczej mi nie uwierzyła, była bardzo zła.

– Gdzie mieszka ta Emma Dunne?

– W hotelu Alhambra.

– Dobre miejsce. Ta panienka musi mieć niezły gust. – W oczach Antonia pojawił się dziwny błysk. Ni z tego, ni z owego po przyjacielsku poklepał Miguela po ramieniu. – Dam ci tę samą radę, którą ty dałeś jej: nie martw się o nic, Miguel.

– Ale jeśli ona pójdzie do skarbówki, będę miał poważne kłopoty. Mogę wyładować w więzieniu.

– Nie pójdzie do skarbówki. Słyszałeś mnie? Nie martw się.

- Co ja mam zrobić?
  - Nic. Jeśli wróci, opowiedz jej tę samą bajeczkę. Nagle Antonio spojrzął na zegarek i wstał. Poświęcił Miguelowi już dość swego cennego czasu.
  - Muszę iść, Miguel. Mam ważne spotkanie. Będziemy w kontakcie.
- Odwrócił się na pięcie i szybko wyszedł. Księgowy patrzył przed siebie zadziwiony. Nie martw się? Co to niby za rada? Jak mógł się nie martwić, gdy czekała go katastrofa?

## *Rozdział 22*

Następnego dnia rano Mark obudził się wcześniej i postanowił przed śniadaniem zafundować sobie energiczny spacer. Tym razem poszedł w innym kierunku niż poprzednio – wzdłuż wybrzeża, w stronę Benalmadeny. Na tym fragmencie plaży było spokojniej, znajdowało się tu mniej restauracji czy barów, i poza krzykami mew nie działo się prawie nic. Słońce rzucało już smugi światła na błyszczące morze i Mark szedł niespiesznie, myśląc o wydarzeniach ostatnich kilku dni.

Ciekawie zaczął się jego pobyt w Fuengirolí. Zupełnie przypadkiem spotkał Emmę, ale w krótkim czasie zdążył bardzo ją polubić, choć nie był do końca pewien, co czuje. Na początku było mu jej po prostu szkoda – miała problem, a Mark chciał pomóc. Teraz jednak to początkowe zainteresowanie zmieniło się w coś dużo silniejszego. Ale nie zamierzał opierać się przyjemności, którą czuł, będąc z Emmą.

Przypominała trochę Margot. Była silna i zdecydowana – a te cechy podziwiał w kobietach. Okazała się jednak również bardzo kobieca – nie bała się mówić, co czuje, w przeciwieństwie do mężczyzn, którzy zwykle ukrywali swoje emocje tak dobrze, że trudno było odgadnąć, co naprawdę w nich siedzi. Emma wydawała się szczerą, otwartą, i Markowi podobały się te jej zalety. Potrafiła być także czuła i empatyczna. Szukał więc jej towarzystwa i pragnął go coraz częściej.

Było wpół do dziesiątej, kiedy wrócił do hotelu. Postanowił zjeść śniadanie w hotelowej restauracji. Pokazał klucz kelnerowi i skierował się w stronę bufetu. Krótki spacer zaostrzył apetyt, więc Mark nalał sobie dużą szklankę soku pomarańczowego, na tacy postawił płatki, kilka plasterków bekonu, jajko, dwa tosty i dzbanuszek herbaty. Zaniósł jedzenie do stolika przy oknie i usiadł. Tego dnia nie zamierzał się śpieszyć.

Przy sąsiednim stole jakaś para w średnim wieku rozmawiała z ożywieniem i dość głośno, tak że nie można było jej nie słyszeć. Dyskutowali o wypadku na pla-

ży, który wydarzył się poprzedniego popołudnia – jakaś młoda kobieta prawie utonęła.

– Wypłynęła za daleko – mówił mężczyzna. – A tego absolutnie nie wolno robić. Przepisy są jasne. Trzeba pływać wzdłuż brzegu. No i potem nie mogła już wrócić. Gdyby nie ten młody mężczyzna z baru, już byłoby po niej.

– Z którego baru, kochanie?

– U Pedra, tak się chyba nazywa.

– Tam sprzedają paellę, prawda?

– Tak. Młody Irlandczyk, prawdziwy bohater.

Mark słuchał z zainteresowaniem.

– Wbiegł prosto do morza i wyciągnął biedaczkę. Miała szczęście, że znalazł się w okolicy. Inaczej dopadłyby ją kraby.

Kiedy Mark kończył śniadanie, małżonkowie wciąż rozmawiali o wypadku. Ze szczegółów, które usłyszał, wiedział już, że na pewno rozmawiali o Kevinie. Ciekawe, kim była ta młoda topielica.

Emma siedziała na ławce przed hotelem Alhambra, kiedy w południe Mark podjechał tam swoim wynajętym audi. Zamierzali pojechać do Marbelli – Emma chciała zrobić dodatkowe zakupy, i mogliby w końcu obejrzeć miasto. Na tę wycieczkę Emma włożyła luźne białe spodnie, białą koszulkę z dekoltem w serek i długą białą bawełnianą marynarkę. Mark domyślał się, że wszystkie te rzeczy kupiła dwa dni wcześniej w Maladze. Na szyi miała bursztynowo-srebrny naszyjnik zawieszony na rzemyku, bursztynowe kolczyki i ciemne okulary. Przy burzy blond włosów i złotej opaleniznie wyglądała olśniewająco.

– Wyglądasz cudownie – zauważył Mark, gdy wsiadła na siedzenie pasażera. – Przez moment myślałem, że to Michelle Pfeiffer.

– Ty wstrętny pochlebco! Nie wyglądam ani trochę jak ona! Poza tym Michelle Pfeiffer jest starsza ode mnie.

– A skąd miałem to wiedzieć? – zachichotał w odpowiedzi. – W każdym razie wyglądasz zjawiskowo.

– Dziękuję.

– Miałaś miły poranek?

– Doskonały. Nie robiłam zupełnie nic, tylko wylegiwałam się na basenie. Dzięki Luisowi Garcii Santiago to pierwszy dzień, kiedy nie muszę myśleć o tym piekielnym barze.

– Przypomniałaś mi o czymś – powiedział Mark, włączając się do ruchu. – Wczoraj na plaży zdarzył się jakiś wypadek. Słyszałem, jak pewna para rozmawiała o tym przy śniadaniu. Najwyraźniej Kevin Joyce uratował przed utonięciem jakąś młodą kobietę.

- Serio? – zdziwiła się Emma. – Może powinniśmy tam zajrzeć i zapytać, czy wszystko w porządku? Bar jest po drodze, prawda?

- Dobra – zgodził się Mark. – Możemy tak zrobić. Może dowiemy się, kim była ta kobieta?

Gdy dotarli do baru, Kevin był zajęty nalewaniem piwa, a hamburgery przyrządzał jakiś dziwny młody mężczyzna. Marii nie było nigdzie w pobliżu, a przy ladzie zaczynał gromadzić się tłum – zbliżała się pora lunchu. Kevin dostrzegł ich i pomachał na przywitanie.

- Co podać?

- Tylko przejeżdżaliśmy – wyjaśnił Mark. – Nie chcemy ci zajmować czasu. Gdzie jest Maria?

Kevin spojrzał z niepokojem na Emmę.

- Jej siostra znów czuje się gorzej, Maria wzięła wolne. Ale mam zastępstwo. – Zawołał Snuffy'ego i przedstawił go. – To mój przyjaciel z Irlandii. Graliśmy razem w zespole.

Snuffy uśmiechnął się i przywitał.

- Nauczyłeś się już wszystkiego? – spytała Emma.

- Prawie – odparł Snuffy, spoglądając z wdzięcznością na Kevina. – Nauczyłem się, jaka jest różnica między bocadillo i cortado. Jedno jesz, drugie pijesz.

Zaśmiali się.

- Ale oczywiście mam doskonałego nauczyciela – dodał Snuffy.

Kevin żartobliwie dał mu kuksańca.

- Nabija się ze mnie, bo jestem jego szefem.

- Słyszeliśmy, że wczoraj działy się tu dramatyczne rzeczy – wtrącił Mark.

- Hm, zgadza się.

- A ty okazałeś się bohaterem.

Kevin spuścił oczy. Wyglądał na zawstydzonego.

- To nic takiego, naprawdę.

- Jesteś pewien? Słyszałem, że ta dziewczyna utonąłaby bez twojej pomocy.

- Kto to był? – chciała wiedzieć Emma. – Jakaś turystka?

Kevin kręcił się niespokojnie.

- To była Claire – odparł.

Zapadła niezręczna cisza i wszyscy tylko patrzyli na siebie.

- Claire Greene?

- Tak.

- Mój Boże! – przestraszyła się Emma. – Jak ona się miewa?

- Jest w domu, w swoim mieszkaniu. Widziałem się z nią rano i wyglądała doskonale. Nie ma się o co martwić. Dzisiaj wieczorem jedziemy nawet razem na koncert do Mijas.

- Co się właściwie stało? – dopytywał się Mark.

- Wypłynęła za daleko i nie mogła wrócić. To nie pierwszy raz na tej plaży, kiedy ktoś ma podobne problemy.

- Była u lekarza?

- Tak, wszystko w porządku, naprawdę.

- Dzięki Bogu. Nie zapomnij powiedzieć Claire, że o nią pytaliśmy.

- Przekażę - zgodził się Kevin.

- Jak sobie radzisz bez Marii? - spytała znów Emma.

- Czasem jest ciężko, ale dajemy radę. Snuffy'ego chyba Bóg mi zesłał.

Uśmiechnął się do przyjaciela.

- Powiedz Marii, że za kilka dni do niej zajrzę - dodała jeszcze Emma. - I przekaz jej, że mam nadzieję, iż jej siostra poczuje się lepiej.

- Przekażę - odparł Kevin.

Do baru wpadła grupa klientów, prosząc o piwo. Czas ruszać dalej. Mark i Emma pożegnali się i wsiedli do auta. Pół godziny później byli już w Puerto Bannus.

Miasteczko stało się jednym z najdroższych na całym wybrzeżu - tego dnia całe skąpane było w jasnym popołudniowym słońcu. Wzdłuż mariny stały błyszczące i wielkie jachty. Tłumy turystów wypełniały restauracje i tłoczyły się w snobistycznych sklepach z pamiątkami. Mark i Emma przechadzali się po nabrzeżu, aż doszli do małego baru.

- Jesteś głodna? - spytał Mark.

- Nie bardzo. Ale napiłabym się kawy.

Usiedli przy stoliku na zewnątrz i przyglądali się spacerowiczom. Poranny dobry humor Emmy gdzieś uleciał po tym, jak odwiedzili bar na plaży. Teraz w jej oczach widniała troska.

- Co się dzieje? - spytał Mark.

- Myślę o Marii. Jej siostra jest chora, więc Maria nie może pracować, a to jest kolejne zmartwienie. I tak jest zdenerwowana moim przyjazdem - boi się, że mogę zamknąć bar. Co do Antonia - wciąż nie mogę uwierzyć, że tak źle potraktował własną matkę. Zabronił jej widywać wnuki i nie dał jej ani grosza ze sprzedaży baru.

- Zupełny drań - zgodził się Mark.

- Rozumiesz więc, że mam wobec nich zobowiązania. Nie tylko wobec samego baru, ale także wobec ludzi, którzy na mnie polegają.

- Słuchaj - Mark ujął dłoń Emmy. - Nie możesz nic zrobić, dopóki Luis się nie odezwie. Teraz sprawa jest w jego rękach. I pamiętaj, co ci powiedział. Masz się zrelaksować i cieszyć wakacjami.

- Masz rację - przytaknęła Emma. - Ale w żaden sposób nie mogę uciec od sprawy baru. Wydaje się wszędzie za mną łązić.

– Wyrzucić ją z pamięci – zdecydowanie zalecił Mark. – Może teraz pojedziemy do centrum Marbelli i zrobisz jakieś zakupy, a ja rozejrzę się po okolicy?

Zmusiła się do uśmiechu.

– Dobrze, zrobimy tak.

– I spróbuj nie kupować wszystkiego, co zobaczysz. Zostaw trochę dla innych klientów.

Kiedy dojechali do Marbelli, panowały tam spokój i cisza. Mark zaparkował niedaleko plaży i zamknął samochód. Wyjął przedtem dwie mapy miasta, które wcześniej wziął z hotelu, i jedną z nich podał Emmie.

– Na tej mapie zaznaczono wszystkie galerie handlowe, chociaż jestem pewien, że i tak byś je wywęszyła. Masz chyba wbudowany jakiś detektor, który zaczyna mrugać za każdym razem, kiedy zbliżasz się do sklepu.

Emma roześmiała się szczerze.

– Na pewno nie jest ze mną tak źle.

– Chcesz się założyć? – Mark zerknął na zegarek. – Może spotkamy się tu o piątej? Będziesz miała mnóstwo czasu.

Emma zaczęła się już cieszyć z perspektywy kolejnych zakupów.

– Co będziesz robił?

– Badał teren. Ale jedno wiem na pewno: nie zbliżę się do żadnego sklepu na bliżej niż pół mili.

Mark szedł wzdłuż Avenida Ramon y Cajal, aż dotarł do uroczego małego parku z przepiękną fontanną dedykowaną Virgen del Rocio – Dziewicy z Rosy. Dokoła podstawy fontanny znajdowały się małe obrazki innych Madonn z najróżniejszych miast i miasteczek. Mark usiadł na ławce w cieniu drzewa palmowego i zamknął oczy, delektując się ciszą. Było tu tak spokojnie, że mógłby siedzieć w parku całe popołudnie, ale w końcu zebrał się i poszedł dalej, Avenida del Mar, aż nad morze. W klubie Maritimo przez chwilę przyglądał się miłośnikom żeglarstwa, którzy rozplywali się nad zaletami swoich łodzi.

W końcu dotarł do małej kawiarni z widokiem na plażę. Zamówił piwo, siedział w słońcu i patrzył, jak fale delikatnie rozbijają się o brzeg. Emma miała rację. Nie dało się uciec przed myślami o barze – wracały jak zły szeląg. Zresztą nie chodziło tylko o interesy i o to, czy bar przynosi zyski. Chodziło o ludzi, a o tym Mark prawie zapomniał. Rozumiał, dlaczego Conor Delaney wcale nie przejmował się barem, a tylko pojawiał od czasu do czasu i zgarniał czek.

Najłatwiej byłoby sprzedać lokal. Ale Mark wiedział, że najłatwiejszy sposób nie zawsze jest najlepszy. Już przy pierwszym spotkaniu zauważył, że Emma przejmuje się innymi. To była jedna z cech, które w niej podziwiał. Cokolwiek zrobi, na pewno upewni się, że Kevin i Maria nie zostaną na łodzi. Jedno było jasne: dopóki prawnik nie zadzwoni z nowymi informacjami, nie mogli nic zrobić. Mark



postanowił wrócić, spotkać się z Emmą i zaproponować, aby znaleźli jakąś miłą restaurację, w której mogliby zjeść pyszną kolację.

Za dziesięć piąta dostrzegł Emmę idącą w stronę parkingu z kilkoma wielkimi torbami na zakupy. Kiedy podeszła bliżej, zauważył też zdenerwowanie na jej twarzy i napięte mięśnie. Wsiadł z auta i podbiegł.

- Co się stało? Wyglądasz, jakbyś chciała kogoś zabić.
- Spójrz - odparła, podając Markowi telefon. Na ekranie widniał otwarty SMS.

*Właśnie dowiedziałem się, że jest pani w mieście. Chciałbym pilnie spotkać się i przedyskutować naszą sprawę. Antonio Hernandez Rodriguez.*

- Kiedy to dostałaś? - spytał zdziwiony Mark.
- Pół godziny temu. Co mam zrobić?

Mark szybko zdecydował:

- Zignoruj go - odparł, wyłączając telefon. - Nie pozwalaj już, żeby sprawy baru psuły ci wakacje.

## Rozdział 23

Nie tylko Emma martwiła się o bar. Kevin także był coraz bardziej niespokojny, chociaż zatrzymywał te obawy dla siebie. Z rozmów telefonicznych, które odbył z Marią, wynikało pośrednio, że Rosario jest bardziej chora, niż to przyznaje jej siostra. Przypuszczał, że - dopóki nie znajdzie kogoś do opieki - Maria będzie nieobecna w pracy jeszcze dłużej. Jak zareaguje na to Emma? Kevin już wiedział, że to zdecydowana bizneswoman, która niczego nie pozostawia przypadkowi. Odwiedziła nawet tego oszusta, który udaje księgowego, choć tak naprawdę nie poznałby księgi rachunkowej, nawet gdyby użarła go w nogę. Miguel był tylko pacholkiem Antonia i Kevin wiedział, że jest od niego całkowicie zależny. Jednak było mało prawdopodobne, że ktokolwiek kiedykolwiek zapłacił choćby centa podatku za bar.

Wszystkie te sygnały mogły oznaczać, że Emma robi to, czego Kevin obawiał się najbardziej - sprzedaje bar. Kiedy dowie się, jaką masę problemów odziedziczyła po Conorze, będzie chciała pozbyć się ich jak najszybciej. I nie można było jej za to winić. W końcu nie wiedziała nic o prowadzeniu takiej firmy. Miała dość roboty z własną - drukarnią w Dublinie. Po co miałyby zatrzymywać bar U Pedra, skoro jedyny zysk to codziennie nowy ból głowy? „Powiniennem się przyzwyczajać do tej myśli - tłumaczył sobie Kevin. - Za kilka tygodni mogę być bez pracy. Snuffy zresztą też”.

Patrzył na przyjaciela, który krzątał się, czyszcząc wszystkie możliwe powierzchnie i naczynia, żeby przygotować bar do zamknięcia. Okazał się bardzo porządnym pracownikiem. Szybko nauczył się wszystkiego, harował ciężko i pokazywał, że bardzo chce zostawić przeszłość za sobą i zacząć nowe życie.

Kevin podjął ryzyko, przyjmując Snuffy'ego do pracy i pozwalając mu mieszkać u siebie w domu. Z dawnych doświadczeń wyniósł wiedzę, że narkomanom nigdy nie powinno się wierzyć bezgranicznie. Chcieli dobrze, ale pociąg do prochów okazywał się zbyt silny, i poddawali się. A na Costa było mnóstwo wszelkiego rodzaju używek, jeśli tylko Snuffy miałby ochotę coś wziąć. Jednak jak do tej pory nie wykazywał żadnych oznak zainteresowania dawnym stylem życia. Wydawało się, że praca jest dla niego terapią i odwraca uwagę od nałogu. Znalazł także we Fuengirolí grupę Dwunastu Kroków, która spotykała się kilka razy w tygodniu. Był na jednym ze spotkań poprzedniego wieczoru i wrócił do domu spokojny i zadowolony.

Jeśli Emma sprzeda bar, Kevin będzie musiał upewnić się, że Snuffy dostanie od niej doskonale referencje. Miał w końcu już jakieś doświadczenie, a w mieście były setki barów – nie powinien mieć problemu ze znalezieniem nowej pracy. A sam Kevin? „Zobaczymy – pomyślał. – Zastanowię się, jak przekroczyć most, kiedy do niego dojdę”. Podliczył dzienny utarg i włożył pieniądze do skórzanej torby razem z drukiem wpłaty. Miał zamiar zostawić jedno i drugie w banku po drodze do domu. Snuffy właśnie kończył składanie krzeseł i stolików, i przywiązywał je do tylnej ściany.

- Jak ci idzie? – zawołał do niego Kevin.
- Prawie skończyłem.

Kevin spojrzał na plażę. Wciąż było tam sporo ludzi, ale jeśli zachce im się pić, będą musieli iść gdzie indziej – U Pedra właśnie zamykali. Minał kolejny szalony dzień, a mieli ze Snuffym odebrać o ósmej dziewczyny, żeby pojechać na koncert do Mijas. Grała tam miejscowa kapela rockowa Los Desperados. Kevin słyszał ich już wcześniej i uznał, że są świetni. Wiele sobie obiecywał po tym wieczorze. Tuż po lunchu zadzwoniła Claire, żeby spytać, czy Snuffy i Maggie także mogą pójść. Kevin zgodził się od razu. Było mu nawet głupio, że sam o tym nie pomyślał.

Snuffy skończył układanie krzeseł i stolików. Sprzątać drewnianych podestów i tak nie miało sensu aż do rana. Kevin sprawdził jeszcze, czy wszystko jest w porządku, a potem głośno zasunął żaluzje. Zamknął i włożył klucze do kieszeni. Razem ze Snuffym ruszyli w stronę Paseo Maritimo, myśląc o przyjemnym wieczorze, który ich czekał.

Mniej więcej w tym samym czasie Claire wychodziła spod prysznic i energicznie suszyła ręcznikiem długie czarne włosy, zastanawiając się jednocześnie, co na siebie włożyć. Przez całe rano razem z Maggie sprzątała mieszkanie. Właściwie

nie potrzebowało ono specjalnych porządków, ale poranek dodał Claire tyle energii, że musiała ją jakoś spożytkować. We dwie zabrały się więc do mycia, szorowania i polerowania wszystkich możliwych powierzchni, aż zaczęły błyszczeć.

Claire wciąż nie chciała wracać na plażę, dopóki ludzie nie zapomną o jej przygodzie, wyjęła więc butelkę wina z lodówki i wraz z Maggie spędziły popołudnie na balkonie, popijając wino i rozmawiając w blasku słońca.

– Myślisz czasami o przyszłości? – spytała Claire przyjaciółkę.

– Niby po co?

– Fajnie tak sobie pomarzyć, gdzie mogłabyś być, co mogłabyś robić i z kim.

– Nie bardzo. Zazwyczaj żyję dniem dzisiejszym. Jeśli wybiegam myślami do weekendu, to już sukces.

– Ja czasami myślę o przyszłości – powiedziała Claire. – I zastanawiam się, jak będzie wyglądało moje życie. Wierzysz w gwiazdy?

– Rockowe czy filmowe?

– W horoskopy! – zaśmiała się Claire. – Wierzysz, że wszystko jest gdzieś zapisane? Z góry zaplanowane?

– Nie mam pojęcia – szybko odparła Maggie. – Myślę, że jesteśmy odpowiedzialni za wiele rzeczy, które nam się przytrafiają, bo to my działamy. Na przykład gdyby nie konkurs karaoke, nigdy nie zostałabym piosenkarką.

– Jaki konkurs?

– Ten, który wygrałam. Nie mówiłam ci?

– Raczej nie.

– No to słuchaj – zaczęła Maggie, popijając wino. – Pięć lat temu przyjechałam tu na wakacje. Zamierzałam zostać tylko tydzień. Aż tu pewnego wieczoru zdecydowałam się wziąć udział w konkursie karaoke w pubie Bloated Toad, w Fish Alley. Wygrałam go, a menedżer pubu był tak zachwycony, że poprosił, abym dała kilka występów, bo ich stała piosenkarka wyjechała. Zgodziłam się i tak bardzo mi się spodobało, że zostałam. Rzuciłam pracę w Clapham i nigdy nie wróciłam. I tak zaczęłam pracować w przemyśle rozrywkowym.

– Może było ci przeznaczone wygrać ten konkurs? – zasugerowała Claire. – To nie przeczy mojej teorii gwiazd.

– Może było ci przeznaczone wpaść w tarapaty na tej plaży, żeby Kevin mógł cię uratować i zaprosić na dzisiejszy koncert?

Claire w zamyśleniu podrapała się po brodzie.

– O tym nie pomyślałam.

– I może mnie było przeznaczone, że mam cię pilnować, abys ty mogła poprosić Kevina, by zaprosił Snuffy'ego.

Claire uśmiechała się szeroko.

– Hej! Właśnie udowodniłaś moją teorię!

- Ale podoba ci się, prawda?
- Kto? – Claire delikatnie się zarumieniła.
- Kevin, oczywiście.

Claire wyduła wargi.

- Chyba tak.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, to jest to bardzo przystojny facet. Już ci to mówiłam. A co więcej – lubi cię.

- Serio?

- Dajże spokój! Nie udawaj, że nie zauważyłaś. Kupił ci kwiaty. Zaprosił na randkę. Po co miałby to robić, gdybyś mu się nie podobała?

- Bo jest miłym facetem.

- Jest miłym facetem, który cię lubi. A ty – jeśli masz choć trochę oleju w głowie – odwzajemnisz to uczucie.

- Ale on nic takiego nie mówił.

- Daj mu trochę czasu – rzekła Maggie. – W końcu powie.

Claire rozmyślała o tej rozmowie jeszcze po wyjściu Maggie. Wiedziała, że niektóre kobiety lubiły urządzać dla mężczyzn przedstawienie, udając, że nie są zainteresowane, ale ona taka nie była. Wszystko działo się jakby z woli losu, bez żadnego wysiłku z jej strony. Po prostu spotykali się, a Maggie od razu uznała ich za parę. Choć myśl o tym była miła i w głębi serca Claire cieszyła się tą przyjaźnią. Być może naprawdę związek z Kevinem ktoś zapisał jej w gwiazdach?

Wciąż rozważając słowa przyjaciółki, zaczęła wybierać odpowiedni strój na wyjście. Szli na koncert – nie mogła włożyć byle czego. Żałowała, że nie wzięła krótkiej skórzanej kurtki, ale po pierwsze nie wydawała się potrzebna, a po drugie – w walizce nie było dość miejsca. W końcu wybrała krótką dżinsową spódnicę, ciemnozielony top i czarne botki. Co do fryzury Claire nie mogła zdecydować, czy rozpuścić włosy, czy – co w końcu zrobiła – związać je w kucyk i zostawić tylko parę kosmyków luźno spadających na twarz. Uznała, że tak może być. Raczej nie wygląda jak szalona dziewczyna rockmana, ale przynajmniej nie wystroiła się jak na wieczór w operze. Miała jeszcze chwilę, żeby maznąć usta jasno-czerwoną szminką i spryskać się perfumami – chwilę później usłyszała klakson stojącego na dole auta. Podeszła do okna i dostrzegła, że Kevin i Snuffy machają do niej z taksówki.

Najwidoczniej Maggie także usłyszała klakson, bo wyszła z mieszkania w tej samej chwili co Claire, ubrana na dodatek w taką samą spódnicę i koszulkę (fioletową), a na głowie miała jeszcze ciemne okulary. „Rany! – pomyślała Claire. – Wiedziałam, że o czymś zapomniałam”. Już chciała wrócić po okulary, kiedy zmieniła zdanie – byłyby z Maggie podobne jak bliźniaczki Olsenówny. Złapała więc Maggie za rękę i razem pobiegły na dół.

- Fajnie wyglądacie – odezwał się Kevin, kiedy w końcu usadowiły się na tylnym siedzeniu taksówki. – Zrobicie furorę.

- Racja – zgodził się z nim Snuffy.

Claire zobaczyła, jak Maggie przysuwa się bliżej niego.

- Lepiej się czujesz? – spytał Kevin Claire.

- Sto razy lepiej – odparła. – Nie, raczej sto dziesięć razy lepiej. I wszystko dzięki tobie. Aż mam dreszcze, kiedy pomyślę, co by się stało, gdybyś nie pojawił się wtedy na plaży. Dzisiaj spałabym z glonami.

- Szczęśliwe glony – zażartował Kevin i dał jej delikatnego kuksańca. – Mark i Emma zajrzeli dzisiaj na chwilę do baru. Prosili, żebym ci przekazał pozdrowienia.

- Boże, jak oni się dowiedzieli?

- Nie mam pojęcia. Musieli od kogoś usłyszeć.

- Nie mów mi, że już całe miasto o mnie wie – przeraziła się Claire. – Już nigdy nie wystawię nosa za drzwi.

- Spokojnie – zapewniał Kevin. – Za dzień, dwa, wszyscy o tym zapomną. Spróbuj się dobrze bawić, to będzie cudowny wieczór. A potem pójdziemy na drinka, żeby uczcić twoje cudowne ozdrowienie.

- Dobry pomysł – potwierdziła Maggie gdzieś z głębi objęć Snuffy'ego.

Mijas okazało się malowniczym miasteczkiem w górach, dojechali tam w dwadzieścia minut. Okazało się, że ulice pełne są ludzi, a główny plac jest zapchany samochodami, które klaksonami głośno objawiały zadowolenie swoich kierowców. Koncert odbywał się na arenie. Kiedy podeszli bliżej, hałas z głośników stał się zupełnie ogłuszający. Claire poczuła mile podniecenie. Kevin wziął ją za rękę i ścisnął mocno. Gdy spojrzała na Maggie, zobaczyła, że Snuffy obejmuje przyjaciółkę ramieniem, a ona przyłgnęła do niego jak glonojad do skały. Maggie dostrzegła spojrzenie Claire i mrugnęła łobuzersko.

Koncert był zupełnie szalony: kilka tysięcy ludzi wypełniło drewniane ławki na widowni i doskonale się bawiło. Śpiewali, machali i tupali – Claire z chęcią się przyłączyła. Zauważyła jednak, że Kevin i Snuffy uważnie oglądali zespół, wyraźnie zainteresowani jego profesjonalną stroną.

Claire poczuła, że Kevin obejmuje ją i przyciąga bliżej, żeby mogła oprzeć głowę na jego piersi. Muzyka zdawała się wypełniać noc energetycznymi dźwiękami. Niebo nad nimi stawało się mieszaniną błękitów i różowości – to słońce zaczynało zachodzić.

- Dzięki, że chciałaś przyjść – odezwał się Kevin. – Cały dzień czekałem na tę chwilę.

- Ja też.

- Kiedy jestem z tobą, jestem taki szczęśliwy. Mógłbym być nawet na bezludnej wyspie, ale byłbym zadowolony, gdybyś znalazła się tam ze mną.

Serce Claire załopotało, kiedy ciepłe usta Kevina dotknęły jej warg. Zamknęła oczy i poczuła, jak ogarnia ją fala ciepła.

## Rozdział 24

Minęło kilka dni, a Maria wciąż nie wróciła do pracy. Kevin zaczynał się martwić coraz bardziej. Od kiedy po raz pierwszy zadzwoniła, że nie może przyjść, upłynął już prawie tydzień. Nie wiedział, co robić i czy powinien poinformować Emmę. Jej także nie widział od kilku dni – od poranku po wypadku Claire, kiedy wpadli do baru z Markiem. Emma zapewne wciąż zastanawiała się, co zrobić z barem, ale jej milczenie nie oznaczało chyba nic dobrego. Gdyby Kevin powiedział Emmie o Marii, mogłoby ją to skłonić do szybkiej sprzedaży baru U Pedra. Ale jeśli nic nie powie – nowa właścicielka pomyśli, że coś przed nią ukrywa. W końcu to Emma była szefową i miała prawo wiedzieć wszystko. Kevin przeczesał palcami swoje loki. Co ma robić? Jakkolwiek by postąpił, każde rozwiązanie będzie złe.

Spojrzał na Snuffy'ego, który właśnie zajmował się zmywaniem naczyń i szklanek w wielkim zlewie. Żaden z nich nie miał wolnego, odkąd siostra Marii zachorowała. Snuffy ani razu nie narzekał: spędzał całe dni w pracy, a wieczory w mieszkaniu Maggie, gdzie słuchali Tiny Turner na zmianę z Madonną i wspólnie dopracowywali występy. Ale jak długo można tak ciągnąć bez choćby małej przerwy?

Nadeszło popołudnie. Plaża wciąż była zatłoczona, ale klienci powoli się rozchodzili. Kevin skończył wycierać ladę i zwrócił się do Snuffy'ego:

- Muszę cię prosić o przysługę.
- Wal śmiało – odparł przyjaciel.
- Myślisz, że poradziłbyś sobie sam przez jakąś godzinę?
- Pewnie – odparł Snuffy. - *No problemo.*
- Muszę zobaczyć się z Marią. To nie potrwa długo.
- Nie musisz się śpieszyć.
- Muszę, bo nie mogę zostawiać cię samego zbyt długo. Wróć jak najszybciej.
- W porządku – zgodził się Snuffy i wrócił do pracy.

Kevin włożył marynarkę i poszedł plażą w kierunku postoju taksówek. Już kiedyś był u Marii – mieszkała w bloku na skraju miasta, dziesięć minut od baru. Wsiadł do pierwszego z brzegu auta i podał adres. Zastanawiał się, czy Maria nie będzie zła, że wcześniej nie zadzwonił. Ale w końcu to była awaryjna sytuacja. Kevin musiał się dowiedzieć, na czym stoi, i jak długo Marii nie będzie w pracy.



Taksówka jechała przez kręte ulice, aż w końcu stanęła pod rozpadającym się blokiem usytuowanym w wąskiej uliczce niedaleko autostrady. Kevin zapłacił kierowcy i spojrzął na budynek: farba odłaziła ze wszystkich ścian, a na balkonach powiewały sznury suszącego się prania. Paru chłopaków kopało piłkę w pobliskim ogródku. Kevin podszedł do drzwi i spojrzął na listę mieszkańców przy domofonie. Znalazł nazwisko Marii, nacisnął przycisk i czekał. Maria odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili.

- *Hola!*
- To ja, Kevin.
- *Buenos dias* – odpowiedziała zaskoczona. – Czego chcesz?
- Pomyślałem, że wpadnę sprawdzić, jak się miewa Rosario.

Maria milczała.

- Rosario jest bardzo chora – odezwała się w końcu.
- Mogę wejść na górę? – spytał Kevin.
- Po co? – głos Marii był wyraźnie niespokojny.
- Chcę się z tobą zobaczyć.
- To nie jest dobry moment.
- Musimy porozmawiać, Mario.

Upłynęła kolejna minuta, zanim w końcu usłyszał:

- No dobrze. Poczekaj.

Usłyszał kliknięcie i drzwi się otworzyły. Kevin wszedł do obskurnego korytarza, na którego końcu znajdowała się zdezelowana winda. Zdecydował, że poczuje się bezpieczniej, idąc po schodach. Mieszkanie Marii znajdowało się na czwartym piętrze – Kevin widział, że starsza pani patrzy w dół, przez poręcz, czekając na niego.

- *Hola, Maria!* – powiedział wesoło i wyciągnął dłoń do starszej pani.

Wyglądała na zmęczoną i zestresowaną. Ujęła podaną jej rękę i przyjęła pocałunek w policzek.

- Chodź – odezwała się i otworzyła drzwi do mieszkania. Było bardzo małe – po lewej stronie mieściła się ciasna kuchnia, a za nią łazienka. Jedne drzwi były zamknięte, Kevin pamiętał, że to sypialnia, w której teraz zapewne wypoczywała chora Rosario.

Maria weszła do biednie umeblowanego salonu, w którym stało kilka krzeseł i otomana. W rogu znajdował się stół, a na nim wazon ze sztucznymi kwiatami. Na ścianach wisiało kilka kiczowatych obrazków. Na gzymsie Kevin dostrzegł duże zdjęcie uśmiechniętych dzieci, wnuków Marii, których nie wolno jej było widywać.

- Siadaj – zakomenderowała starsza pani i Kevin przysiadł na otomanie, podczas gdy Maria ustawiła dla siebie krzesło naprzeciwko. – Powiedz mi prawdę. Przysłała cię *senorita Dunne*?

– Nie – szybko zaprotestował Kevin. – Przyszedłem z własnej woli. *Senorita Dunne* nie ma pojęcia, że tu jestem.

– Czego chcesz?

– Martwiłem się o ciebie, Mario. Dawno się nie widzieliśmy. I o Rosario. Czy poprawiło jej się choć trochę?

W oczach Marii zaszklily się łzy. Wyjęła z rękawa chusteczkę i otarła twarz, zanim odpowiedziała:

– Rosario jest bardzo chora.

– Wezwałaś lekarza?

Pokręciła głową.

– Doktor wyśle ją do szpitala.

– Może powinna się tam znaleźć?

– Och, nie! – krzyknęła Maria. – Powinna być tutaj, ze mną. Jestem jej siostrą.

– Ale ona potrzebuje specjalistycznej opieki. W szpitalu na pewno poczuje się lepiej, pomogą jej tam.

– Ja jej pomogę. Za kilka dni będzie zdrowsza, a ja wrócę do pracy.

– Mogę ją zobaczyć? – spytał Kevin.

Maria wyglądała na niezdecydowaną. Powoli wstała z krzesła i wyszła z pokoju. Kevin słyszał, jak otwierają się drzwi sypialni. Chwilę później wróciła. Machnęła ręką, by za nią poszedł.

– Ona śpi. Musisz być cicho.

Zasłony w sypialni były zasłonięte i pokój tonął w ciemności. Stały tam dwa łóżka – w jednym z nich leżała Rosario zwinięta w kłębek, jej siwe włosy rozsypały się na poduszce. Kevin schylił się, aby przyjrzeć się staruszce. Jej twarz była wychudzona i zapadnięta, cera ziemista i sucha, a żyły na czole wyraźnie widoczne. Na dłoniach Rosario dostrzegł bolesne wrzody. Oddychała płytko i z wysiłkiem. W pewnej chwili drgnęła i odkaszlnęła flegmę. Maria wytarła twarz siostry chusteczką. Kevin przeraził się tym, co zobaczył. Rozejrzał się po pokoju: było tu krzesło, na którym leżały ubrania i kilka fiolek popularnych leków na komodzie – wszystkie można było kupić bez recepty.

Żadne z nich się nie odezwało. Maria powoli odwróciła się i wyszła z pokoju, a Kevin podążył za nią.

– Rozmawiałaś z kimś o Rosario? – spytał, kiedy wrócili do salonu.

Pokręciła głową. Zastanawiał się, czy powinien wspomnieć o jej synu, Antoniu. Ktoś w końcu powinien pomagać tym dwóm staruszkom. W oczach Marii widać było lęk i nieufność. Kevin usiadł obok i wziął ją za rękę.

– Myślę, że powinnaś wezwać lekarza, Mario.

– Nie, nie, żadnego lekarza – odparła szybko obronnym tonem.

– Ale Rosario potrzebuje opieki.

- Już jej lepiej. Za kilka dni będzie dobrze, zobaczysz.
- Jest bardzo chora. Tylko lekarz może jej pomóc.
- Jeśli wyśle ją do szpitala, co ja zrobię? A ta *senorita* będzie zła. I sprzeda bar.

- Nie - zaprotestował Kevin. - Po co miałyby to robić? Będzie zła, jeśli nie zadzwonisz do lekarza.

Maria znów zaczęła szlochać. Kevin nie miał pojęcia, co robić. Może sam powinien wezwać karetkę?

- Proszę, Mario, pozwól mi zadzwonić po lekarza. On pomoże Rosario, a ty będziesz mogła wrócić do pracy. Twoja siostra wyzdrowieje i wszyscy będą zadowoleni. To najlepsze rozwiązanie, uwierz mi.

Starsza pani zwlekała z odpowiedzią.

- Rosario jest bardzo chora. Bez pomocy może umrzeć - dodał.

Jego słowa doprowadziły staruszkę do płaczu. Złapała Kevina za rękę i ścisnęła ją.

- Nie wiem, co mam robić, boję się.

- Jestem twoim przyjacielem, Mario. Ufasz mi?

Skinęła głową.

- Wiesz, że nigdy bym ci źle nie doradził. Proszę, zrób, jak mówię. Zadzwoni do lekarza i poproś, żeby przyjechał. - Kevin wyjął swoją komórkę. - Jaki jest do niego numer?

Kevin wybrał podany przez Marię numer i poczekał, aż ktoś podniesie słuchawkę, po czym podał telefon staruszce. Wstał i podszedł do okna. Popołudniowe słońce paliło wciąż mocno, rzucając długie cienie na ulicę poniżej. Słyszał, jak Maria po hiszpańsku rozmawia z lekarzem. Po kilku minutach oddała Kevinowi komórkę, żeby ją wyłączył.

- Przyjedzie za pół godziny.

Czas płynął coraz wolniej.

- Może się czegoś napijesz? - spytał Kevin. - Zrobić ci kawę?

Maria potrząsnęła głową. Siedziała nieruchomo na krześle, kurczowo ściskając w dłoniach chusteczkę do nosa. Czekali oboje, aż w końcu usłyszeli dzwonek domofonu. Maria podniosła wzrok. Wstała i podniosła słuchawkę, po czym naciśnęła guzik, żeby wpuścić lekarza do budynku. Kilka chwil później zapukał do drzwi i wszedł do mieszkania.

Doktor okazał się młodym mężczyzną, ubranym elegancko, choć bez marynarki. Miał ze sobą staroświecką skórzaną torbę lekarską. Gdy wszedł, spojrzął przelotnie na Kevina i skinął uprzejmie głową. Kevin odwzajemnił przywitanie. Potem lekarz zwrócił się do Marii i zaczął rozmawiać z nią po hiszpańsku. Sporo gestykulowali i Kevin wywnioskował z języka ich ciała, że Maria dostaje burę za

to, iż wcześniej nie wezwała lekarza. W końcu starsza pani wskazała na drzwi sypialni i doktor wszedł do środka.

Siedząc w salonie, Kevin słyszał, jak mężczyzna budzi śpiącą Rosario. Potem jego głos stał się cichszy, uspokajający. Maria co chwila wtrącała słowo lub dwa. Zanim wyszli z pokoju, minęło sporo czasu, a gdy w końcu wrócili do przedpokoju, staruszka głośno zawodziła. Lekarz złożył stetoskop, który miał na szyi, wyjął komórkę i wcisnął jakiś numer. Zdecydowanym głosem powiedział coś do telefonu, podczas gdy Maria, blada jak ściana, usiadła.

– Co się dzieje? – spytał Kevin.

– Rosario jedzie do szpitala. On dzwoni po karetkę. – Maria spojrzała na Kevina oskarżycielsko, jakby ta sytuacja zdarzyła się z jego winy.

– Powiedział, co jej jest?

– *Si. Pulmonia.*

– *Pulmonia.* – Kevin nie znał tego słowa. – Co to za choroba?

Lekarz głośno zamknął telefon i zwrócił się do Kevina.

– Po angielsku to się chyba nazywa zapalenie płuc. Niestety, pacjentka jest bardzo chora, muszę ją natychmiast przewieźć na oddział intensywnej terapii. Rozumiem, że to pan przekonał Marię, by się ze mną skontaktowała? Dobrze pan zrobił, *señor*. Być może ocalił pan życie jej siostrze.

Kevin został w mieszkaniu, dopóki nie przyjechała karetka, aby zabrać Rosario. Maria chciała jechać z siostrą, lecz doktor nie pozwolił na to – zdecydowanie zaprotestował, twierdząc, że nic nie pomoże w szpitalu i będzie tylko zawadzać.

– Kiedy zadzwoni pani rano do szpitala, powiedzą pani, jak się czuje siostra. Jeśli wszystko będzie dobrze, może pani przyjść ją odwiedzić.

Poklepał Marię po plecach, zatrzasnął swoją torbę i skinął Kevinowi głową na pożegnanie. Słyszeli jeszcze kroki na schodach, a potem silnik samochodu na ulicy. Maria usiadła, a na jej twarzy pojawiły się zmęczenie, rezygnacja i smutek.

Kevin spojrzał na zegarek: był tu prawie dwie godziny. Bóg jeden wie, jak Snuffy radzi sobie w barze.

– Dobrze postąpiłaś, Mario. Teraz Rosario przejdzie terapię – słyszałaś przecież, co mówił lekarz. Jest bardzo chora.

Staruszka spojrzała smutno.

– Powiesz o wszystkim *señoricie* Dunne?

Kevin zwlekał przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

– Nie, Mario. Nie powiem jej.

## Rozdział 25

Romans Maggie i Snuffy'ego pędził naprzód z prędkością odrzutowca, ale w ciągu ostatnich kilku dni zgromadziły się nad nim czarne chmury w postaci Rick-y'ego Blaine'a – byłego chłopaka. Któregoś ranka pojawił się w mieszkaniu z pytaniem, czemu Maggie go unika. Claire, która przypadkiem zjawiała się u przyjaciółki, zmuszona była obserwować kłótnię, która wybuchła między kochankami.

– A kto mówi, że cię unikam? – Maggie uznała, że atak będzie najlepszą formą obrony.

– Cóż, nie widziałem cię od ponad tygodnia, a za każdym razem, gdy dzwonię, masz włączoną sekretarkę, a potem nie odpowiadasz na moje wiadomości. Wysłałem ci tysiące SMS-ów – ty nie napisałaś żadnego. Co się dzieje, Maggie? Spotykasz się z jakimś palantem?

Maggie udawała zaskoczoną.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Nie jestem głupi – odparł Ricky. – Widziałem, jak te wszystkie łajzy mierzyły cię wzrokiem w Mucky Duck,

kiedy odstawiałaś swój numer z Tiną Turner. Wiem dobrze, jakie świństwa chodzą im po głowie. Maggie parsknęła tylko z pogardą.

– Wiesz dobrze, że nigdy nie spoufalam się z moją publicznością. Taką mam zawodową zasadę.

– Co nie znaczy, że oni nie mogą spoufalać się z tobą.

– Byłam zajęta, to wszystko. Claire i ja ćwiczyłyśmy mój występ do muzyki Madonny. Prawda, Claire?

Claire przełknęła głośno ślinę. Nie chciała mieszać się w tę dyskusję, ale musiała wesprzeć przyjaciółkę.

– No, hm, tak. Zgadza się.

– Ciekawe, a ja słyszałem, że byłaś z jakimś kolesiem na koncercie Desperados w Mijas – nie poddawał się Ricky.

– Kto tak powiedział?

– Mała myszka.

– Chyba wstrętny szczur, ot co! – ze złością odparowała Maggie. – Szpiegowałeś mnie?

– Oczywiście, że nie – bronił się Ricky.

– Wygląda na to, że tak. Wiesz, Ricky, że nie znoszę zazdrosnych facetów. A ty zachowujesz się jak mały chłopiec, któremu właśnie odebrano zabawkę.

Maggie wrzeszczała na biednego Ricky'ego, aż w końcu zaczął mięknać pod naporem jej argumentów.

– W takim razie kiedy się spotkamy? – zapytał.

- Kiedy mi się zachce. Teraz muszę położyć przycisk na moją karierę – odparła Maggie.

- Nacisk – poprawiła delikatnie Claire.

- No właśnie. Próbuję zdecydować, czy zmienić się w Kylie Minogue. I potrzebuję czasu, żeby się skoncentrować. To dla mnie krytykujący moment.

- Krytyczny – znów poprawiła Claire.

Ricky wydawał się nieco uspokojony. Zebrał się do wyjścia – wysoki, chudy jak szczapa, przypominający postać z jakiegoś horroru.

- Faceci! – wrzasnęła z obrzydzeniem Maggie, kiedy wyszedł. – Czyż oni nie przyprawiają cię o mdłości? Zawsze coś im się nie podoba.

- Wiesz, on ma trochę racji – odważnie odparła Claire. – Skoro zakochałaś się w Snuffym, powinnaś powiedzieć o tym Ricky'emu. Nie jest w porządku, że trzymasz go przy sobie jak kundla na smyczy.

- Tak myślisz?

- Pewnie. Spróbuj sobie wyobrazić, jak ty byś się czuła.

- Masz rację – zgodziła się Maggie. – Tyle że ja lubię ich obu. Nie mogę się zdecydować.

- Lepiej się pośpiesz. Rzykujesz, że ich stracisz.

Maggie objęła Claire i przytuliła ją mocno.

- Zawsze zachowujesz zdrowy rozsądek – powiedziała. – Jesteś taka rozważna!

Claire się uśmiechnęła.

- Po to są przyjaciele, Maggie. Żeby się wspierać. A kiedy ja wywinęłam numer na plaży, ty byłaś przy mnie.

- Och, daj już spokój – zaczerwieniła się przyjaciółka. – Ja tylko zrobiłam ci jarzynówkę.

Claire wróciła do swego mieszkania, ale gdy tylko otworzyła drzwi, usłyszała dźwięk komórki. Telefon był w torbie leżącej na kuchennym stole. Zastanawiając się, kto może dzwonić, Claire wbiegła do domu i pobiegła do kuchni, gdzie sygnał rozlegał się coraz głośniej. W końcu wydobyła aparat z torby i przycisnęła do ucha.

- Halo?

- Dzięki Bogu, że nic ci nie jest – odezwał się zdenerwowany głos matki.

Przez jedną chwilę Claire zastanowiła się, czy może rodzice jakimś sposobem dowiedzieli się o przygodzie na plaży. Może miała jakieś telepatyczne zdolności? Ale chodziło o coś innego.

- Oczywiście, że nic mi nie jest. Czemu miałyby być inaczej?

- Bo tam grasuje jakiś szaleniec!

- Co?



- Wariat z siekierą. Biega i zarzyną ludzi.

Claire zachodziła w głowę, jak matka zdobyła tę informację. Czyżby w sekrecie porozumiewała się z Maggie? Mało prawdopodobne.

- Czytałam o nim w gazecie dzisiaj rano. Piszą, że policja urządziła obławę.
- Masz nieaktualne informacje. A zresztą to było daleko stąd, w innym kurorcie. Tu, gdzie mieszkam, na pewno jest bezpiecznie.

- A jeśli on przyjdzie do twojego domu?

- Mamo, uspokój się!

- Jak mam się uspokoić, skoro moja jedyna niezamężna córka jest w niebezpieczeństwie? Absolwentka prawa z dyplomem Trinity College!

- Nie jestem w niebezpieczeństwie mamo, naprawdę.

- Nie dyskutuj ze mną. Widziałam w telewizji program o tych świrach. Bezustannie szukają kolejnych ofiar. Świeże, młode, kobiece ciało – tak mówił ten reporter. Od razu pomyślałam o tobie.

- To miło.

- Szukają właśnie takich dziewczyn jak ty. Uważam, że nie powinnaś wychodzić z domu, dopóki go nie złapią.

- W domu to mogłabym siedzieć w Dublinie. A jak myślisz, po co przyjechałam do Fuengirolí?

- Ty mi powiedz. Nie mam pojęcia, skąd bierzesz te szalone pomysły. Przecież równie dobrze mogłaś pojechać na wakacje nad Morze Irlandzkie.

- A pomyślałaś, jaka tam jest pogoda?

- Nie wymądrzaj się. Mnie i twojemu ojcu Bray wystarczyło na odpoczynek.

- Musiałam zmienić klimat, mamo. Chyba już ci tłumaczyłam, prawda?

- Nigdy sobie nie wybaczę, jeśli coś ci się stanie.

- Mamo! – Claire podniosła głos. – Posłuchaj, jestem wdzięczna, że się o mnie martwisz, ale wszystko jest w porządku. Mieszkam w bloku, na szóstym piętrze. We wszystkich drzwiach są tu zamki. Wychodzę zawsze z przyjaciółmi.

- Przyjaciółmi? – Pani Greene dopiero teraz wpadła w prawdziwą histerię. – Jakimi przyjaciółmi? Kim są ci ludzie? Skąd ich znasz? Jakie mają pochodzenie?

- Nie wypytuję wszystkich znajomych o życiorys, zanim się do nich odezwę

- Claire też prawie krzyczała do słuchawki. – To ludzie, których tutaj poznałam. Wszyscy są bardzo mili. Z tego, co wiem, żadne nie ma powiązań z seryjnym zabójcą. Może w końcu przestaniesz się martwić? Jeśli wpadnę przypadkiem na jakiegoś psychopatę, do ciebie pierwszej zadzwonię, obiecuję.

Claire udało się jako tako uspokoić matkę, ale szybko skończyła rozmowę. Była tak zmęczona, jakby siłowała się z wielką ośmiornicą. Miała dwadzieścia sześć lat, a matka wciąż traktowała ją, jakby była sześciolatką wyjeżdżającą na swoją pierwszą szkolną wycieczkę.

Na zewnątrz jak zwykle we Fuengirolí świeciło słońce. Był wtorek – dzień targowy – a Claire od dawna obiecywała sobie wizytę na bazarze. Chciała kupić kilka rzeczy, ale przede wszystkim wyjść z domu i zażyć trochę ruchu. Zamknęła mieszkanie i ruszyła w stronę stacji kolejowej. Targ odbywał się na placu w Los Boliches – jedynie przystanek dalej. Pół godziny później Claire spacerowała już między zatłoczonymi stoiskami, słuchając wszechobecnego gwaru.

Na targu sprzedawano wszystko – od świeżej papryki po używane ubrania. Zatrzymała się na stoisku z warzywami, żeby kupić kilka pomidorów i brzoskwiń. Przy następnym pogrzebała trochę wśród ziołowych leków obiecujących wyleczenie każdej choroby, od nadciśnienia do reumatyzmu. Na trzecim straganie kupiła kilka płyt, a kiedy skończyła zakupy, postanowiła odpocząć, wypić kawę i zjeść coś słodkiego w pobliskiej kawiarni.

Usiadła w słońcu i jej myśli natychmiast pobiegły do Kevina. Dziś wieczorem mieli razem jechać do klubu w Marbelli. Claire czekała niecierpliwie na to spotkanie, myślała o nim cały czas, a im dłużej byli z Kevinem osobno, tym bardziej za nim tęskniła. „Jak potoczy się ten związek? – zastanawiała się. – Dokąd ich zaprowadzi?”.

Na te poważne pytania Claire nie знаła jeszcze odpowiedzi. Wiedziała tylko, że w krótkim czasie bardzo polubiła Kevina, a on ją – była pewna. Ale czy zrobią krok dalej? Czy może skończy się tylko na wakacyjnym romansie? Przecież za kilka dni miała zamiar wracać do Dublina. I co wtedy? Pocałują się na pożegnanie? Czy Kevin poderwie inną młodą kobietę, która pewnego dnia pojawi się w barze U Pedra i poprosi o zimne piwo? Claire znów wspomniała ciemne kręcone włosy i uwodzicielski uśmiech. Ciekawe, że Maggie od razu zauważyła, iż między przyjaciółką i Kevinem coś zaiskrzyło. Tylko czy mądrze było się angażować? Życie Kevina było tutaj. Jej – w Dublinie. Nagle Claire uśmiechnęła się na myśl, jak zareagowałaby matka, gdyby razem przyjechali do domu.

*Gdzie pan pracuje, panie Joyce?*

*Smażę hamburgery w plażowym barze we Fuengirolí.*

Matka dostałaby ataku serca i pewnie nigdy nie otrząsnęłaby się ze wstydu.

Claire dokończyła kawę, zapłaciła rachunek i ruszyła z powrotem w stronę centrum. Postanowiła nie robić nic i pozwolić działać losowi. Jeśli związek z Kevinem miał się rozwijać w coś więcej – zgoda. Jeśli nie – przynajmniej będą mieli szczęśliwe wspomnienia pięknej przyjaźni.

Zbliżając się powoli do domu, Claire czuła zmęczenie. Miała ochotę na zimny prysznic i kieliszek schłodzonego wina – musiała odpocząć, zanim zacznie przygotowywać się do spotkania z Kevinem. Jednak kiedy wyszła z windy, usłyszała nagle głos Maggie dobiegający z otwartych drzwi mieszkania.

– Chodź, chodź – prawie wepchnęła Claire do salonu i posadziła ją na kanapie. Claire już szykowała się na długo oczekiwany występ „Madonny”, ale zamiast tego usłyszała:

– Kiedy rano stąd wyszłaś, wpadłam na genialny pomysł.

– W związku z czym? – zdziwiła się Claire.

– W związku z Rickym i Snuffym. Pamiętasz, jak mówiłam, że nie mogę się zdecydować, który podoba mi się bardziej?

– Hm, tak.

– Zdecydowałam już, co zrobię. Obaj są muzykami, tak?

– Tak.

– Obaj grają na basie?

– Tak.

– To urządzę dla nich konkurs gitarowy. Ten, który zagra lepiej, zostanie ze mną.

Claire klasnęła w dłonie i uściskała przyjaciółkę.

– I zwycięzca otrzyma twoją rękę?

– Właśnie tak. Jak myślisz?

– Myślę, że to doskonały pomysł.

– Ja też – potwierdziła podekscytowana Maggie. – Wydaje mi się, że to bardzo romantyczne. A współcześni faceci mają z tym problem. Zero romansu. A przy okazji, zajrzał tu Johnny, właściciel mieszkania. Dziwnym trafem ciągle się mijacie. Prosił, żebym ci to przekazała. Podobno przyszedł dziś po południu. – Podała Claire kopertę.

Claire rozdarła ją i znalazła w środku faks wysłany z londyńskiego numeru telefonu.

*Kochana Claire! Przyjeżdżam do Fuengirolí dziś wieczorem. Chciałbym się z Tobą spotkać jutro o 10 w hotelu Victoria. Pozdrowienia, Matthew.*

W jednej chwili poczuła się tak, jakby ktoś położył jej na ramionach gigantyczny ciężar.

## Rozdział 26

Teraz, kiedy problem baru został przekazany w dobre ręce Luisa Garcii Santiago, Emma mogła w końcu porządnie się opalić. Kupiła kilka drogich kremów z filtrem, blokery i opakowanie balsamu po opalaniu. W ciągu ostatnich kilku dni wystawiała się na słońce i wyglądała coraz ładniej i bardziej brązowo. Jeśli ktoś w Dublinie nie zauważy, że była na wakacjach, będzie to znaczyło, że prawdopodobnie jest daltonistą.

Emma leżała właśnie na leżaku przy basenie, słuchając radia, kiedy zadzwonił długo oczekiwany Luis.

- *Senorita Dunne?*
- **Tak?**
- **Mówi Luis. Mam dla pani nowe informacje dotyczące baru U Pedra.**

Emma usiadła prosto. Odkąd odwiedzili prawnika w jego biurze w Maladze, odzywał się dopiero po raz pierwszy.

- **To dość ważne. Może pani do mnie przyjechać?**
- **Oczywiście. Kiedy najlepiej?**
- **Jak najszybciej.**

Zerknęła na zegarek – było wpół do pierwszej.

- **Mogę przyjechać od razu, jeśli jest pan wolny.**
- **Doskonale. To może o drugiej?**
- **Dobrze, będę.**

Emma wahała się chwilę, chcąc o coś zapytać, ale w końcu ciekawość zwyciężyła.

- **Ma pan dobre wiadomości czy złe?**
- **To skomplikowane, wolałbym porozmawiać z panią w cztery oczy.**
- **Dobrze – zgodziła się niechętnie. – Będę u pana o drugiej.**

Santiago rozłączył się, a Emma natychmiast wykręciła numer Marka. Mówił, że ma zamiar spędzić całe popołudnie na nurkowaniu, miała jednak nadzieję, że może złapie go jeszcze przed wypłynięciem. Odebrał po trzecim dzwonku.

- **Gdzie jesteś? – spytała. – Strasznie tam głośno.**
- **Jadę samochodem, zbliżam się do portu.**
- **Luis właśnie dzwonił. Chce się ze mną spotkać o drugiej w swoim biurze.**
- **Szybko działa. Powiedział, czy czegoś się dowiedział?**
- **Nie, nie chciał nic mówić przez telefon. Ale zaznaczył, że to ważne.**
- **Taka prawnicza gadka – podsumował Mark. – Zaraz po ciebie przyjadę.**
- **Jesteś pewien? Chciałeś ponurkować.**
- **Nurkowanie może poczekać. Będę u ciebie za pół godziny. Zacznij się szykować.**

- **Dobrze – zgodziła się Emma.**
- ***Adios* – pożegnał się Mark.**

Trzydzieści minut później podjeżdżał pod hotel Alhambra. Przedtem zatrzymał się jeszcze chwilę w swoim hotelu, wzięty szybki prysznic i przebrał się. Zamiast szortów i koszulki miał teraz na sobie niebieskie spodnie, czarną koszulę i marynarski sweter. Doświadczenie nauczyło Marka, że wizyta w biurze prawnika to zawsze okazja, by porządnie się ubrać.

Cmoknął Emmę w policzek, kiedy już usadowiła się na siedzeniu pasażera.

- **Jak minął poranek? – spytał.**

- Leniwie. Leżałam nad basenem i utrwaląłam opaleniznę.  
- Jak widać – skutecznie. Robisz się coraz bardziej brązowa – Mark spoj-  
rzał z uznaniem. – Z tymi blond loczkami i opaloną skórą zaczynasz wyglądać jak  
jakaś nordycka bogini słońca w miniaturze!

- Rozumiem, że takie boginie zawsze są piękne?

- Oszłamiające i władcze. Nie dają sobą manipulować. – Mark uśmiechnął  
się i ścisnął dłoń Emmy. – Jak się czujesz? Zdenerwowana?

- Trochę – przyznała. – Na chwilę udało mi się zapomnieć o sprawach ba-  
ru, ale one wciąż nade mną wiszą. Myśl o ewentualnych kłopotach strasznie mnie  
denerwuje. Chciałabym, żeby to całe zamieszanie skończyło się na dobre.

- Uśmiechnij się – pocieszał jak zwykle Mark. – Może Luis zaraz powie ci,  
że rozwiązał wszystkie problemy.

- Byłoby cudownie, ale niestety życie nie jest takie proste.

Pół godziny później dostrzegli na horyzoncie Malagę – pokryte miedzią dachy  
domów lśniły w jasnym popołudniowym słońcu. Znaleźli wolne miejsce na tym  
samym podziemnym parkingu co ostatnio, Mark zamknął auto i wyszli na tętnią-  
ce życiem ulice. Za pięć drugą stanęli pod drzwiami biura Luisa.

Po chwili wprowadzono ich do gabinetu. Prawnik siedział za biurkiem, ele-  
gancki, spokojny i zrelaksowany jak zawsze. Nie zapominając o dobrych manie-  
rach, wstał, przywitał się i poprosił, aby Mark i Emma usiedli. Zapropował coś  
do picia, ale odmówili.

Kiedy Luis otwierał teczkę leżącą na biurku, jego twarz nie zdradzała żadnych  
emocji.

- Odkąd widzieliśmy się ostatnio, udało mi się poczynić postępy w pani  
sprawie – powiedział.

- Tak? – delikatnie ponagliła go Emma.

- Rozmawiałem z władzami skarbowymi o sprawach baru U Pedra. – Pod-  
niósł głowę i spojrzął na Emmę. – Obawiam się, że nie mam dobrych wiadomości.

Emma poczuła nagły ucisk w żołądku.

- Nie ma ani jednego dowodu wpłaty jakiegokolwiek podatku od zysków te-  
go baru.

W biurze zapadła cisza. Wszyscy troje mierzyli się wzrokiem.

- Podliczyli już chociaż szacunkowo, jaką kwotę należałoby uiścić? – Em-  
ma próbowała ukryć drżenie w głosie.

- Dokładnie nie. Wciąż nad tym pracują.

- A podali panu choćby prawdopodobną wysokość podatku?

- Tak, ale niedokładną. Z odsetkami i procentami może to być nawet około  
sześćdziesięciu tysięcy euro.

Emma sapnęła nerwowo. Mark ujął jej dłoń.

- I ja jestem odpowiedzialna za te długi?

- Tak. Jak wyjaśniłem pani wcześniej, w świetle hiszpańskiego prawa przejmuję pani nieruchomości razem z jej długami. Zgodziła się pani na to, podpisując akt własności baru.

Mark odchrząknął i spytał.

- Jaka jest odpowiedzialność księgowego w tej sprawie? Prawnik rozłożył ręce i westchnął.

- Był odpowiedzialny za płacenie podatków i prowadzenie ksiąg rachunkowych. Oczywiście, nie dopełnił obowiązków. Może go pani pozwać, ale odradzam.

- Czemu? - zdziwiła się Emma.

- Bo to może być długi, męczący proces, który będzie kosztował sporo pieniędzy. Może pani przegrać. A nawet jeśli pani wygra, prawdopodobnie nie zwróca się żadne koszty. Zasięgnąłem opinii co do *señora* Martinezza Sancheza. Nie jest on człowiekiem majątnym. Nie ma grosza przy duszy.

Emma i Mark wymienili spojrzenia.

- W języku hiszpańskim jest takie powiedzenie - ciągnął Luis - że z piasku bicza nie ukrećisz.

- Po angielsku mówimy podobnie - wtrącił Mark. Prawnik rozłożył ręce.

- Rozumieją więc państwo całą sytuację. Jest beznadziejna, a ja nie znoszę być posłańcem złych wiadomości, przykro mi, *señorita* Dunne.

- A więc jestem winna skarbowce sześćdziesiąt tysięcy euro?

- Tak, co najmniej.

- I nie mogę nic zrobić?

- Niestety nie.

Mark wziął Emmę pod ramię i razem wyszli najpierw z biura prawnika, a potem z budynku, wprost na oślepiające słońce.

- Coś mi się wydaje, że po takiej rozmowie potrzebujesz mocnego drinka - powiedział.

Niedaleko znaleźli mały bar, usiedli i zamówili dwa kieliszki brandy. W oczach Emmy było widać gniew.

- Ten cholerny głupiec Miguel! Od pierwszej chwili wiedziałam, że to oszust. I ten cholerny Conor Delaney! Daje mi bar, który okazuje się bombą pułapką, wybuchającą mi w rękę. Powinnam po prostu darować mu dług i mieć sprawę z głowy.

Łyknęła haust brandy.

- Słuchaj, wiem, że to dla ciebie przykra niespodzianka - uspokajał Emmę Mark - ale musisz spróbować myśleć racjonalnie.

- To nie taka znowu niespodzianka. Cały czas miałam złe przeczucie, że coś podobnego może się zdarzyć. Ale najbardziej boli mnie to, że oni wzięli mnie za głupią.



- Odłóż emocje na bok – poradził Mark. – Teraz trzeba się zastanowić, co możesz zrobić.

- Co mogę zrobić? Będę musiała zapłacić sześćdziesiąt tysięcy. Słyszałeś, co powiedział Luis.

- A co potem?

Emma wzruszyła ramionami.

- Pewnie sprzedam bar. W końcu nigdy go nie chciałam, a teraz chcę jeszcze mniej.

- Nie zapominasz o czymś? – delikatnie napomknął Mark. – Jeśli sprzedasz bar, wyrzucisz jego personel na ulicę. Kevin da sobie radę, ale oboje wiemy, że Maria nie znajdzie już innej pracy.

Emma spojrzała na niego i odrzekła:

- Och, przecież wiesz, że tego nie chcę. Ale czy mam jakiś wybór? Bar to dla mnie tylko kłopot, a mam dużo poważniejsze i pilniejsze sprawy do załatwienia.

Spojrzał na nią pytająco.

- O czym ty mówisz?

Podniosła kieliszek i opróżniła go do końca.

- Nigdy nie powiedziałam ci, dlaczego tak naprawdę tu przyjechałam. Ty nigdy nie pytałeś, bo jesteś zawsze supergreczny. Ale teraz ci powiem.

W tym samym czasie, kiedy Emma i Mark omawiali wizytę u prawnika, Miguel Martinez Sanchez krążył po swoim obskurnym biurze we Fuengirolí jak zwierzę w klatce. Przez ostatnich kilka dni jego nerwowość przerodziła się w prawdziwą obsesję. Nie mógł spać, nie mógł się skupić na niczym. Myślał tylko o tej koszarnej groźbie, która zawisała nad jego głową. A wczoraj otrzymał telefon, którego tak bardzo się obawiał. Zadzwoił urzędnik z urzędu skarbowego, żeby zapytać, dlaczego nie otrzymali żadnych rozliczeń z baru U Pedra.

Miguel próbował być greczny. Wyjaśnił, że miał mnóstwo spraw do prowadzenia i rachunki baru przypadkiem zostały pominięte. Ale obiecał, że jak najszybciej je dostarczy. Jednak urzędnik nalegał – zadawał dziwne pytania, drażył najdrobniejsze szczegóły, aż Miguelowi zaczęło kręcić się w głowie. Z wielkim trudem udało mu się zakończyć nieprzyjemną rozmowę, ale ten telefon oznaczał jedno: urząd skarbowy w końcu zainteresował się sprawami baru. A skarbowka nigdy nie odpuszczała, Miguel wiedział o tym doskonale. Jeśli już wpadli na trop, nie dawali spokoju. Było tylko kwestią czasu, zanim znowu się odezwą. A następnym razem już nie spławi ich tak łatwo.

Za wszystkim stała ta zimna Irlandka, *señorita* Dunne, to było oczywiste. To ona zawiadomiła urzędników podatkowych, tak jak Miguel się obawiał. Nie odzywała się, odkąd wyszła z jego biura po pierwszym spotkaniu – już wiadomo, gdzie

poszła potem. Wiedział, kiedy tylko ją zobaczył, że kłopoty dopiero się zaczynają. I miał rację. Czekał tylko, aż zejdzie wielka lawina i przysypie go zupełnie.

Antonio kazał mu nie robić nic. Zresztą i tak nie było wiele do zrobienia. Ale Miguel nie mógł wytrzymać tego czekania bez końca. Antonio obiecał jeszcze, że będą w kontakcie, ale się nie odezwał. Co gorsza, nie odbierał telefonów od Miguela. Od rozmowy z urzędnikiem skarbowym Sanchez dzwonił do swojego przyjaciela z tuzin razy, by się go poradzić. Udało mu się tylko porozmawiać z sekretarką. Podkreślał, że sprawa jest pilna i błagał, aby pozwoliła mu porozmawiać z Antoniem albo przynajmniej poprosiła go, żeby oddzwonił. Niestety, telefon wciąż milczał.

Miguel był bliski obłędu, czuł się jak szczur schwytyany w pułapkę. W wyobraźni widział już, jak policjanci odprowadzają go do magistratu, a tam sędzia skazuje go na wieloletnie więzienie. Koniec kariery – resztki reputacji, jakie mu pozostały, rozwieją się na wietrze. A w więzieniu nie przetrwa, to wiedział. Siedzieć w zamknięciu z kryminalistami, z mordercami i złodziejami – nie da rady. Prędzej popełni samobójstwo niż pozwoli się wsadzić! Sama myśl o tym przyprawiła Miguela o dreszcze, nie mógł już dłużej czekać. Zatrzymał się i wysunął jedną z szuflad w biurku. Wyjął stamtąd dużą butelkę brandy i szklaneczkę. Napełnił ją, wypił jednym haustem, po czym otarł usta i nalał sobie drugą porcję.

Alkohol pomógł mu się rozluźnić, a przynajmniej uspokoił szalejącą wyobraźnię. Ze wszystkich sił Miguel próbował znaleźć jakieś rozwiązanie. Mógł sfalszować rachunki baru, tak jak robił to z rachunkami restauracji Antonia, i to już od dłuższego czasu. Jednak był jeden problem: nie miał na czym się oprzeć. Wiedział, że stara Maria trzymała jakieś faktury za prowadzenie baru, ale pewnie nie sięgały dalej niż rok wstecz. Na pewno nie będzie miała żadnych dokumentów sprzed więcej niż dwunastu miesięcy. A to nie wystarczy, żeby zadowolić urząd skarbowy. Będą chcieli zobaczyć porządnie podliczone księgi, a takie nie istniały. Nie, fałszowanie rachunków nic tu nie pomoże.

Wstał i znów zaczął chodzić w kółko po pokoju. Im więcej myślał o swoich problemach, w tym większą depresję wpadał. Nalał sobie następną porcję brandy i wychylił ją duszkiem. Wszystko było bez sensu – nie widział dobrego wyjścia. Musiał przyznać się do wszystkiego urzędnikom i liczyć na ich łaskę. Jeśli to zrobi, jeśli będzie z nimi współpracował, może okaza mu wyrozumiałość. Może zmniejszą wyrok? Ale przyznać się, oznaczało opowiedzieć całą historię i wmieszać w to innych. „Czy jestem do tego zdolny?” – zastanawiał się.

Z goryczą pomyślał o swoim „przyjacielu” Antoniu, który nie chciał nawet odebrać telefonu. Ten człowiek wolał stać z boku i przyglądać się, jak Miguel tonie, nie wyciągając do niego ręki. Czy taki ktoś zasługuje na lojalność? Czy Miguel powinien z pokorą przyjąć karę, a Antoniowi wszystko ujdzie na sucho?

Księgowy nalał sobie kolejną brandy. Nareszcie zaczynał myśleć logicznie. Wiedział już, co robi. W rozgorączkowanej głowie zaczął tworzyć się pewien plan. Miguel wymyślił sposób, który pomoże mu uciec z tonącego okrętu. Tyle że taki plan na pewno nie spodoba się Antoniowi. Trudno. Takie czasy.

Podniósł szklaneczkę i wypił jej zawartość.

## Rozdział 27

Claire z przerażeniem spoglądała na faks, który przed chwilą wręczyła jej Maggie, jakby kartka właśnie wyskoczyła z koperty i ugryzła ją w nogę. Przez ostatnich kilka dni w ogóle nie myślała o Matthew Bakerze, a teraz nagle pojawił się znowu z wielkim hukiem.

– To chyba nie są złe wiadomości, co? – spytała Maggie, widząc reakcję przyjaciółki.

Claire spróbowała się uspokoić i uśmiechnąć.

- Nie, nic takiego.
- Uff, to dobrze. Z wyrazu twojej twarzy można by sądzić, że ktoś umarł.
- Boże, na szczęście nie.
- A więc podoba ci się mój pomysł zorganizowania konkursu gitarowego?
- Bardzo, jest doskonały.
- Może zostałabyś sędzią?

Claire chciała jak najszybciej uciec z salonu Maggie i wrócić przez półpiętro do swojego bezpiecznego mieszkania.

– Pewnie, czemu nie.

– Zaplanuję wszystko na jutrzejszy wieczór. Zaproszę też Kevina. Ugotuję chilli con carne i zrobimy sobie małą imprezę. Co o tym myślisz?

– Brzmi doskonale. – Claire podniosła torby z zakupami i wstała. – Słuchaj, Maggie, muszę już iść. Spotykam się z Kevinem i chce się przygotować.

- Dokąd idziecie?
- Zabiera mnie do jakiegoś klubu w Marbelli.
- Ooo, cudownie. Pozdrów go ode mnie.
- Pozdrowię. Pa!

Claire pobiegła do siebie i zamknęła drzwi. Usiadła na łóżku, wyjęła wiadomość z koperty i przeczytała po raz kolejny. Hotel Victoria – jeden z najlepszych hoteli w mieście, pokój musiał kosztować fortunę. No ale Matthew zawsze miał klasę. Kiedyś po otrzymaniu takiej wiadomości serce Claire zabiłoby mocniej, czekałaby z niecierpliwością na spotkanie z ukochanym. Dzisiaj jednak czuła tylko zdenerwowanie. Aż do tej chwili pobyt we Fuengirola był miłym odpoczynkiem od

codziennej bieganiny. Czemu Matthew pojawiał się właśnie teraz i wszystko zepsuł?

Oczywiście, nie musiała wcale iść na to spotkanie. Mogła podrzeć wiadomość i zapomnieć o niej. Ale czy to by miało sens? Jeśli nie pójdzie, Johnny Parkinson i tak da Matthew adres Claire i dawny ukochany niespodziewanie pojawi się w jej drzwiach. Albo nawet zrobi awanturę. Znała Matthew zbyt dobrze – nigdy łatwo się nie poddawał.

Przeklęła w duszy, poszła do łazienki i zaczęła się rozbierać. Weszła pod prysznic i puściła gorącą wodę, aby się uspokoić. Taki prysznic zawsze pomagał jej zebrać myśli. Czego mógł chcieć Matthew Baker? Jeśli miał nadzieję ją odzyskać, tracił czas. Claire bowiem umocniła się w swojej decyzji jeszcze bardziej, kiedy spotkała Kevina. Jej związek z Matthew był skończony, raz na zawsze. Nie było powrotu.

Jednak nie mogła go unikać w nieskończoność. Będzie ją ścigał, aż w końcu zgodzi się spotkać. Claire nie miała wyboru – musiała pójść jutro rano do hotelu Victoria i dowiedzieć się, o co chodzi. Ale zamierzała potraktować tę sytuację oficjalnie, jakby dwoje starych znajomych spotykało się po długim niewidzeniu. „Jeśli Matthew będzie chciał czegoś więcej, twardo odmówię – zdecydowała. – Baker to przeszłość, a życie toczy się dalej”.

Wyszła spod prysznica, osuszyła się, po czym poszła do pokoju, żeby przygotować się do wieczornego wyjścia. Miała ochotę się wystroić. Przejrzała ubrania i zdecydowała się na najbardziej elegancki zestaw – czerwoną sukienkę i czarny szal, które miała na sobie podczas pierwszej kolacji z Markiem. Kevin nie widział jej jeszcze tak ubranej, a Claire pamiętała, jak Mark spojrzał na nią z podziwem, widząc szykowną sukienkę.

Pół godziny później wyszła z mieszkania w ciemną, ciepłą noc. Umówili się z Kevinem w bodedze, Claire szła więc wąskimi uliczkami, aż dostrzegła znajomą tablicę z wypisanymi nazwami potraw. Weszła do środka i zobaczyła Kevina czekającego przy barze. Miał na sobie czarne dżinsy i oliwkową koszulę z miękkiej bawełny. Opierał się o ladę, trzymając szklanekę piwa w dłoni. Ciemne kręcone włosy opadały mu delikatnie na twarz. Był taki przystojny! Claire natychmiast poczuła się lepiej.

– *Buenas noches, señorita* – powiedział żartobliwie, przyciągając Claire bliżej i całując ją w usta. – Wyglądasz olśniewająco.

– Miałam powiedzieć to samo o tobie – odparła.

Kevin zaśmiał się.

– Co to jest, towarzystwo wzajemnej adoracji?

– Nie, tylko kobieta, która docenia przystojnego mężczyznę, jeżeli już go spotka.

– Cudnie wyglądasz. Ale dość już tych komplementów. Czego się napijesz?

- Poproszę o kieliszek czerwonego wina.

Rozejrzała się po małej restauracji, która zaczynała wypełniać się gośćmi. Jose, który tego wieczoru był zarówno szefem kuchni, jak i kelnerem, przyjmował zamówienie od pary siedzącej przy stoliku w rogu.

- Maria wróciła już do pracy? - spytała Claire.

Kevin potrząsnął głową.

- Jej siostra jest poważnie chora. Kiedy poszedłem do ich mieszkania, była w bardzo kiepskim stanie. Maria próbowała leczyć ją zwykłymi lekami, ale dała się przekonać i wezwała lekarza. Gdy tylko przyjechał, natychmiast wezwał karetkę i zabrali Rosario do szpitala.

- Mój Boże, co jej jest?

- Zapalenie płuc. Lekarz powiedział, że najpewniej uratowałem jej życie.

Claire instynktownie zakryła dłonią usta.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że było tak źle.

- Ja też nie. I Maria chyba także nie wiedziała. Ale była tak przerażona, że Emma dowie się o wszystkim, że próbowała zachować chorobę Rosario w sekrecie. Kazała mi obiecać, że nie powiem nic Emmie.

- A możesz nie mówić? - spytała Claire. - Czy Emma nie powinna wiedzieć o wszystkim?

Kevin westchnął przeciągle.

- Oczywiście, że powinna. Ale jestem między młotem a kowadłem.

- W końcu to Maria jest kierownikiem baru. Nie ty powinieneś decydować o takich sprawach.

- Wiem, ale nie ma nikogo innego - więc utknąłem.

- Gdyby Emma знаła prawdę, jestem pewna, że postąpiłaby właściwie.

- Ja też, ale dałem słowo Marii. Dobrze chociaż, że Rosario jest teraz w szpitalu, gdzie się nią zajmą profesjonaliści.

Claire powoli pila wino.

- Ale co teraz będzie?

- Nie mam pojęcia. Bar zawsze był prowadzony *ad hoc*, w raczej niezobowiązujący sposób. A Emma próbuje teraz uporządkować rachunki.

- Co zrobi, kiedy już załatwi tę sprawę?

Kevin wzruszył ramionami.

- Będzie musiała zdecydować, czy zatrzymać bar, czy go sprzedać.

- I co wybierze?

Myślał przez chwilę, zanim odpowiedział.

- Chcesz wiedzieć, co myślę?

- Jasne.

- Wydaje mi się, że sprzeda.

Klub, który wybrał Kevin, nazywał się Mischief – Złe Zachowanie. Z zewnątrz wyglądał na bardzo eleganckie, snobistyczne miejsce: dokoła stały palmy w doniczkach, a fasadę ozdobiono sztucznym marmurem. Claire i Kevin stanęli w kolejce do wejścia i powoli przesuwali się koło milczących ochroniarzy, aż w końcu weszli do wielkiej, niesamowicie głośnej jaskini pełnej luster i reflektorów. Claire rozejrzała się dokoła. W klubie znajdowały się prawie wyłącznie anorektycznie chude dziewczyny i wystrojeni faceci – wiele osób wydawało się pijanych albo naciąganych.

– Chodź, zamówimy po piwie – zaproponował Kevin, idąc w kierunku baru.

Znaleźli wolny stolik we wnętrzu, skąd mogli obserwować poruszające się po parkiecie ciała.

– Byłeś tu już? – spytała Claire.

– Tylko raz. To podobno najlepszy klub na całym wybrzeżu.

– Dla mnie wszystkie wyglądają tak samo – wyznała Claire. – Hałas, spoczone ciała i ludzie nawaleni do granic możliwości.

– Masz rację. Może zatańczymy?

Claire z początku nie miała ochoty, ale nieustający rytm dobiegający z wielkich głośników w końcu przekonał ją, by pójść na parkiet i dołączyć do tańczących tłumów. Zanim się zorientowała, sama także poddała się urokowi szalonej nocy. Bawiła się tak dobrze, że czas wydawał się biec coraz szybciej. W jednej chwili była na parkiecie, wijąc się dziko u boku Kevina, a minutę później Kevin popatrzył na zegarek i oznajmił, że jest druga nad ranem.

– Pora na nas – oświadczył. – Muszę być w barze z samego rana, świeżutki jak skowronek.

Claire przypomniała sobie o wiadomości od Matthew, którą dostała wcześniej. Ona także miała rano ważne spotkanie.

– Dobra, zbierajmy się.

Przepchnęli się przez tańczący tłum i wyszli w chłodną noc. Po drugiej stronie drogi stał sznur taksówek – wsiedli do jednej i pół godziny później Kevin odprowadził Claire na klatkę schodową jej domu we Fuengirolí.

Ujął jej dłoń i z rozmarzeniem spojrzął w oczy. Sekundę później była już w jego ramionach, a ich ciepłe usta dotykały się namiętnie.

– Chciałem ci coś powiedzieć – wyszeptał Kevin.

– Tak?

– Jesteś najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek spotkałem.



## Rozdział 28

Mark słuchał uważnie, podczas gdy Emma wyjaśniała mu warunki, jakie zaproponował Herr Braun, który chciał kupić Hi-Speed Printing. Kiedy skończyła mówić, Mark szeroko rozłożył ręce i przeciągle zagwizdał z podziwem.

- Co mam ci powiedzieć? To doskonała oferta.
- Tak myślisz?
- Oczywiście. Dostajesz trzy miliony euro za firmę, przez pięć lat pracujesz dla nich jako konsultant z pensją stu pięćdziesięciu tysięcy rocznie – nie ma o czym myśleć. Prosiłaś księgowego, żeby to podliczył?
- On nic nie wie o tej ofercie. Właściwie to nie wie o niej nikt oprócz mojego ojca. I proszę, żebyś ty także zachował wszystko w sekrecie.
- Co twój ojciec myśli o sprzedaży?
- To samo co ty.
- Więc? Przyjmiesz ofertę?
- Jeszcze nie wiem. Przyjechałam tutaj, żeby spokojnie pomyśleć, ale jak dotąd nie miałam czasu. Prawie cały czas mam głowę zajętą sprawami baru.
- Tak. – Mark bawił się szklaneczką po brandy. – Rozumiem, że problemy z barem cię rozprasza.
- Nawet więcej – są jak wrzód na tyłku. Nie chcę tej knajpy. Nigdy jej nie chciałam. A po spotkaniu z Luisem mam ochotę oddać ją pierwszej osobie, która zgodzi się przejąć to miejsce.
- Jest jeszcze drobiazg w postaci sześćdziesięciu tysięcy długu.
- Tak – westchnęła. – Chyba nie mam wyboru, muszę je zapłacić.
- Chyba że chcesz pozwać tego księgowego? Emma pokręciła głową.
- Słyszałeś, co powiedział Luis. To by była zupełna strata czasu. Ale pierwsze, co zrobię, to go zwolnię.

Mark objął ją pocieszająco.

- Masz ochotę na jeszcze jedną brandy? – spytał.
- Nie – odparła. – Lepiej wrócę do hotelu.

Spotkanie z prawnikiem wywołało w niej poczucie porażki i złości. Chciała być sama, pożegnała się więc z Markiem przed hotelem, obiecując spotkać się z nim później, na drinku w barze. Poszła do swojego apartamentu i zanurzyła w ciepłej kąpiel, gdzie w końcu poczuła, jak napięcie powoli znika z jej ciała.

To był paskudny dzień. Najbardziej denerwowało imię to, że została oszukana i przechytrzona. Od początku wiedziała, że coś jest nie tak, a teraz czuła palące poczucie niesprawiedliwości, kiedy przypominała sobie, jak Miguel Martinez Sanchez zbył jej pytania i prośby, raktując ją, jakby była dzieckiem. Jutro rano

powetuje sobie te krzywdy, kiedy tylko zadzwoni do niego i oznajmi, że jest zwolniony.

Jutrzejszy dzień zapowiadał się na jeszcze bardziej męczący niż dzisiejszy. Emma zrobiła listę zadań do wykonania. Najpierw musiała poprosić Luisa, aby w jej imieniu otworzył konto bankowe, na które będzie musiała przelać pieniądze z dublińskiego rachunku. Luis powinien także znaleźć porządnego księgowego, który zajmie się rozwiązaniem spraw z urzędem skarbowym. Kiedy już będzie znała ostateczną sumę kary, zapłaci ją. A potem będzie mogła myśleć o wystawieniu baru na sprzedaż. Lepszego rozwiązania Emma nie umiała znaleźć. Dopóki zostanie właścicielką baru U Pedra, dopóty będzie miała na głowie tylko kolejne zmartwienia. Bar stał się prawdziwą kulą u nogi, a Emma chciała się uwolnić od problemów z personelem i następnych trudności z ubezpieczeniem czy podatkami. Nie miała pojęcia, ile może być wart, ale mogła przecież poradzić się jakiegoś agenta nieruchomości. Przy odrobinie szczęścia może uda jej się wyjść na zero.

Wciąż jednak pozostawał problem pracujących w barze ludzi. Kevin i Snuffy na pewno szybko znajdą zajęcie, ale co zrobić z Marią? Kto zatrudni kobietę w jej wieku, która na dodatek opiekuje się ciężko chorą siostrą? Nie, cokolwiek się zdarzy, Emma nie chciała mieć dwóch kobiet na sumieniu. Nie mogłaby spokojnie żyć, gdyby zostawiła staruszkę na pastwę losu. Może dałoby się wpisać do umowy kupna klauzulę, że obecny personel nie zostanie zwolniony? Ale czy to pomoże? I czy jest legalne? Kto chciałby kupić bar z takim obciążeniem? Musi zapytać Luisa – on na pewno dobrze doradzi.

Emma w końcu wyszła z wanny i osuszyła się. Włożyła wygodne ubrania, zadzwoniła do recepcji i zamówiła herbatę oraz kanapki. Kiedy przyniesiono jedzenie, przeniosła się na taras i zjadła, siedząc przy małym stoliku i patrząc, jak cienie robią się coraz dłuższe, a złote słońce chowa się w błękitnym morzu.

Było tutaj tak spokojnie – i tak daleko od wariackiego życia, jakie prowadziła w Dublinie. Emma myślała o tych wszystkich godzinach, które przesiedziała w biurze, prowadząc Hi-Speed Printing. Zwykle lubiła to robić, ale pracowała chyba zbyt ciężko. Nadeszła pora, aby odpocząć i poświęcić trochę czasu samej sobie. Miała trzydzieści jeden lat i aż do teraz nigdy nie wyjechała na przyzwoite wakacje. Nie chciała pewnego poranka obudzić się i uświadomić sobie, że jest stara, a życie przeszło jej koło nosa.

Oferta Herr Brauna była bardzo atrakcyjna, tak twierdzili i Mark, i ojciec. Po odjęciu podatków i zabezpieczeniu rodziców na przyszłość, powinno zostać około dwóch milionów euro. To pozwoliłoby na więcej niż przyzwoite życie. Jeśli mądrze zainwestowałaby pieniądze, przez resztę życia mogłaby żyć z odsetek. A przecież przez następnych pięć lat dostawałaby jeszcze sto pięćdziesiąt tysięcy rocznie za mniej więcej to samo, co robi teraz.

Byłaby wolna, wreszcie odzyskałaby swoje życie. Robiłaby to, co lubi. Mogłaby kupić jakąś nieruchomość tutaj, we Fuengirola, by mieć, dokąd uciec, gdy najdzie ją taka potrzeba. Przez chwilę Emma cieszyła się samym pomysłem. Jakże byłoby cudownie obudzić się w jakiś zimowy poranek w Dublinie i postanowić polecieć w ciepłe kraje. Można wylecieć z Dublina o dziesiątej rano i około południa być już w Hiszpanii. Gdyby miała swoje mieszkanie, trzymałaby tu ubrania i nie musiałaby nawet pakować walizki.

Przyjemne rozmyślenia przerwał głośny dzwonek telefonu. Kto to może być? – zastanawiała się Emma, ale wstała i przeszła do pokoju. Dzwoniła matka.

– Och, Emmo, jak dobrze cię słyszeć. Dzisiaj rano rozmawiałam o tobie z Ellie Moore i mówiłam jej, że pojechałaś do Hiszpanii na cały miesiąc. Była taka zazdrosna.

Ellie Moore była przyjaciółką matki. Uwielbiały nawzajem sobie dogryzać.

– Co słychać w domu? – spytała Emma.

– Wszystko w porządku. Alan w przyszłym tygodniu jedzie do Australii na jakiś turniej rugby czy coś takiego. Twój ojciec się w tym orientuje, ale lot jest strasznie długi, ja bym nie dała rady.

– A co u Petera?

– Nigdy nie zgadniesz, co się stało. Peter ma dziewczynę! Bardzo atrakcyjna, młoda kobieta, także lekarka. Była u nas na herbacie w zeszłą niedzielę. Przyszedł ją nam przedstawić, więc to chyba coś poważnego.

„Najwyższy czas” – pomyślała. Peter miał już trzydzieści siedem lat i nigdy nie wykazywał najmniejszego zamiaru, by znaleźć kobietę i się ustatkować. Zresztą bliscy pewnie to samo mówili o Emmie.

– Jaką macie pogodę w Irlandii?

– Całkiem niezłą, dzięki Bogu, jest ciepło i słonecznie. Właśnie skończyliśmy jeść kolację na tylnym tarasie. Choć pewnie w porównaniu z hiszpańskim słońcem to

nic takiego. Mam nadzieję, że u ciebie nie jest zbyt gorąco? Pamiętaj, że przy takiej jasnej karnacji musisz na siebie uważać.

– Nie martw się, mam. Zawsze smaruję się kremem z filtrem.

– Cieszę się, że wszystko w porządku i że dobrze się bawisz. Zasłużyłaś na przerwę. Jeśli o mnie chodzi, to od dawna wiem, że za dużo pracowałaś.

– Jest tam tato? Chciałabym się z nim przywitać.

W słuchawce coś zatrzeszczało, kiedy matka podawała ją ojcu, a chwilę później odezwał się jego głos.

– Jak się masz, kochanie?

– Doskonale. Cieszę się, że w końcu trochę poprawiła się u was pogoda.

– Tak, od wczoraj jest lepiej, ale do tej pory ciągle padało. Wiesz, jak tu jest.

– Dobra pogoda na golfa.

– U ciebie lepsza.

Emma odczekała chwilę i powiedziała:

– Myślałam o tej propozycji sprzedaży naszej firmy, tato.

– I?

– Jeszcze nie zdecydowałam, ale być może ją przyjmę.

– To już zależy od ciebie. Ale rozważ wszystko dobrze, zanim cokolwiek zdecydujesz. Potem nie będzie odwrotu.

– Powiedz mi coś, ale szczerze: jak byś się czuł, gdybym sprzedała drukarnię?

– Już ci mówiłem, moje uczucia się tu nie liczą. Ty jesteś właścicielką firmy, włożyłaś w nią tyle pracy.

– Nie będziesz żałował?

– Nie, jeśli ty będziesz szczęśliwa.

– Jeśli ją sprzedam, dostaniecie z mamą część pieniędzy.

– Dajże spokój! Nie martw się o nas, jesteśmy zabezpieczeni na przyszłość.

– Nie zrobię nic bez twojej wiedzy, tato.

– Dobrze, kochana. Wiesz, jak nas znaleźć.

Emma skończyła rozmowę i odłożyła słuchawkę. Po rozmowie z rodzicami zawsze czuła się lepiej niż przedtem. Zerknęła na zegarek – najwyższa pora, żeby przygotować się do wyjścia, niedługo umówiła się z Markiem na drinka w barze. Na szczęście była już w weselszym nastroju. Z chęcią wypije kilka drinków w przytulnym otoczeniu jakiegoś koktajl baru.

Przejrzała ubrania wiszące na wieszaku – wszystkie kupiła podczas ostatniego rajdu po sklepach. Wyglądało na to, że będzie musiała kupić jeszcze dodatkowe walizki na podróż powrotną, żeby wszystkie ciuchy się zmieściły. Po chwili zastanowienia Emma wybrała szarobrązową sukienkę do kolan i dopasowała ciemnozielone buty na obcasach, które kupiła na wyprzedaży w Marbelli.

Właśnie kończyła nakładać szminkę na usta, kiedy telefon odezwał się znowu. Tym razem dzwoniło z recepcji.

– Halo?

– *Senorita Dunne?*

– Tak.

– Ma pani gościa.

„Mark przyszedł wcześniej, niż sądziłam” – pomyślała.

– Proszę mu powiedzieć, że już schodzę.

– *Si, senorita.*

Emma wzięła jeszcze torebkę i nowy różowy szal, sprawdziła, czy drzwi na taras są zamknięte, i wyszła z pokoju. Zjechała windą do holu, a kiedy szła do re-

cepcji, dostrzegła chudego mężczyznę w tanim garniturze stojącego niedaleko. Marka nie było.

Podeszła bliżej, kiedy nieznajomy nagle zapytał:

– *Señorita Dunne?*

– Tak – odpada Emma z wahaniem.

– Nazywam się Antonio Hernandez Rodriguez.

– Kto?

– Maria Rodriguez de Hernandez jest moją matką.

– A, tak, oczywiście.

– Gdyby mogła mi pani poświęcić kilka chwil, muszę pani powiedzieć coś ważnego o barze U Pedra.

## *Rozdział 29*

Claire obudziła się, wciąż czując na ustach pocałunek Kevina, a w uszach słyszając jego głos. Było dziesięć po dziewiątej i poranne słońce zalewało sypialnię jasnym światłem. Jeszcze przez chwilę leżała zawinięta w ciepłą pościel, a potem nagle zerwała się nerwowo. Za mniej niż godzinę miała spotkanie z Matthew Bakerem! Wskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki. Stojąc pod prysznicem, znów pytała samą siebie, czy jest jakiś sposób, żeby uniknąć tego spotkania. W tej chwili Matthew był ostatnią osobą w Hiszpanii, którą miała ochotę oglądać. Wiedziała jednak, że nie ma sensu się migać, bo sto razy od wczoraj rozważała wszelkie możliwości. Musi pójść i szybko mieć to za sobą.

Co powinna włożyć? Hotel Victoria był snobistyczny, a Claire chciała wyglądać jak najlepiej – tylko oczywiście nie tak, jakby wystroiła się specjalnie dla Matthew. To jednak było trudne, a nie miała specjalnie z czego wybierać. Znalazła w szafie sukienkę, której jeszcze nie nosiła – prostą, liliową, z dekoltem w serek. Musi wystarczyć.

Kiedy czesała gęste ciemne włosy, w myślach planowała, jak zachowa się w trakcie spotkania. Musi być opanowana, to oczywiste. Ale powinna także być uprzejma. Nic jej nie da wielka kłótnia w imponujących przestrzeniach hotelu Victoria – nawet gdyby mogła dzięki temu zawstydzić Matthew. „Będę twarda – obiecywała sobie Claire. – Wyraźnie powiem mu, że nasz związek jest skończony i że nie podoba mi się, iż przyjechał za mną aż do Hiszpanii. Nie wrócimy do siebie – co do tego nie ma wątpliwości”.

Dwadzieścia minut później, podbudowana własnymi postanowieniami, zamknęła drzwi i zjechała windą na dół. Hotel Victoria był oddalony od domu dwadzieścia minut spacerkiem – powinna zdążyć na czas. Gdy biegła przez wąskie

brukowane uliczki, zastanawiała się, jak wiele się zmieniło, odkąd ostatni raz widziała Matthew. Prawie dwa lata! Ciekawe, jak teraz wygląda. Zawsze o siebie dbał, regularnie chodził na siłownię, a w weekendy biegał. Nawet przy tempie londyńskiego życia przestrzegał zdrowego trybu życia. Pewnie obecnie wygląda tak samo idealnie jak kiedyś.

Majestatyczna sylwetka hotelu Victoria wyłoniła się w jasnym porannym słońcu. Umundurowany odźwierny uprzejmie otworzył drzwi i Claire weszła do pięknego holu dokładnie pięć minut przed dziesiątą. Przystanęła na chwilę, żeby pozbierać myśli. Wykafelkowana marmurowa podłoga sięgała aż do bogato zdobionej recepcyjnej lady. Lśniące żyrandole rozpuszczały dokoła świetlne promienie, a na środku lobby cicho pluskała fontanna.

Claire stała i rozglądała się oniemiała, aż usłyszała, że ktoś woła jej imię. Odwróciła się i poczuła, że serce bije jej szybciej. Matthew siedział na sofie stojącej pod ścianą. Miał na sobie obrzydliwie drogi ciemnoszary garnitur i śnieżnobiałą koszulę z dopasowanym Miedziano-szarym krawatem. Ciemne włosy były idealnie ostrzyżone, tak że jedynie mały kosmyk opadał na czoło. Wyglądał dokładnie tak samo jak kiedyś – wysoki, smukły mężczyzna, który zdobył jej serce. Pewny siebie, opanowany – Claire znów odebrało oddech. Ujął jej dłoń i pocałował w policzek.

– Claire, cudownie cię znowu widzieć. Wyglądasz wspaniale!

Gapiała się na niego, czując się jak zając patrzący w reflektory nadjeżdżającego samochodu.

– Dziękuję – wydusiła i usiadła obok na sofie.

– Pewnie się zastanawiasz, czemu cię tu zaprosiłem? – spytał Matthew.

– Szczerze mówiąc, tak.

– Chcę ci zaproponować pracę.

Kobiecie zaparło dech ze zdziwienia.

– Pracę?

– Tak, pracę. – Matthew uśmiechał się. – Czemu jesteś taka zdziwiona?

– Nie... Nie oczekiwałam tego.

– Zanim ci wszystko wyjaśnię, może masz ochotę na kawę?

– Tak, proszę – Claire ledwie udało się wymówić te dwa słowa.

Matthew pstryknął palcami i kelner w uniformie natychmiast pojawił się obok, by przyjąć zamówienie. Kilka minut później wrócił, niosąc na srebrnej tacy dzbanek z parującą kawą, filiżanki i mały talerzyk z herbatnikami.

– Jak ci się powodzi? – spytał Matthew, nalewając kawę. – Rozumiem, że wciąż pracujesz w nieruchomościach?

– Tak, pracuję dla dublińskiej firmy.



- Zawsze byłaś świetna – ciepło komplementował Matthew. – Masz dar. Ludzie ci ufają, a to najważniejsza rzecz w interesach. – Znow się uśmiechnął. – Sam cię w końcu uczyłem. I od początku wiedziałem, że masz do tego smykałkę.

Nagle Claire poczuła się zupełnie zdezorientowana. Przyszła tutaj w oczekiwaniu, że Matthew będzie próbował ją zastraszyć, by do niego wróciła – a zamiast tego był absolutnie czarujący.

- Dzięki – powiedziała. – A co ty teraz robisz?

- Zakładam własną agencję nieruchomości.

- To znaczy, że zostawiłeś Sida Robbinsa?

- Tak, ale rozstaliśmy się w przyjaźni. Postanowiłem, że już czas, aby pójść na swoje.

- W Londynie?

Pokręcił głową i zdecydowanie zamieszał swoją kawę.

- Tutaj.

Claire nie potrafiła ukryć zaskoczenia. Matthew serwował jedną niespodziankę za drugą.

- We Fuengirolí? – spytała.

- Tak. Johnny ci nie powiedział?

- Nie. Powiedział tylko, że przyjeżdżasz tutaj w interesach i chcesz się ze mną spotkać. Nie mówił, o co chodzi.

- Dobrze, w takim razie ci wyjaśnię. Niedawno podpisałem bardzo lukratywny kontrakt z pewnym hiszpańskim deweloperem. Będę miał sprzedaż na wyłączność, a rozmawiamy o supereleganckich willach wzdłuż Costa, i liczymy tylko na najbogatszych klientów. Skończyło się już wystawianie na ulicach i rozdawanie ulotek, Claire. Przeniesiemy metody z West Endu tutaj, do Fuengirolí. W zeszłym tygodniu rozmawiałem z Johnnym Parkinsonem, który powiedział mi, że wynajmujesz od niego mieszkanie. Więc natychmiast pomyślałem o tobie.

Claire wciąż była oszołomiona. Matthew wydawał się zupełnie inny, bardziej zrelaksowany niż kiedyś, spokojny. Nieujarzmiona energia, która w nim buzowała, przekształciła się w zdecydowanie i opanowanie.

- Byłabyś idealna do tej roboty. Tak dobrze nam się razem pracowało. Miałbym dla ciebie doskonałą ofertę – wysoka pensja, służbowy samochód, zwrot wydatków, prowizja. Jeśli wszystko pójdzie tak, jak planuję, za jakiś czas mogłabyś nawet zostać moją współpracowniczką. Na dodatek mieszkałabyś i pracowała na Costa – przecież zawsze ci się to podobało. Pamiętasz, jak bardzo nie chciałaś wyjeżdżać?

Mówił prawdę. Claire uwielbiała tutaj mieszkać. Dlatego wróciła – aby odnaleźć choć odrobinę dawnej magii. A Matthew Baker proponował, żeby została we Fuengirolí na stałe.

- Składasz mi oficjalną propozycję pracy?

– Tak. Jeśli się zgodzisz, możemy od razu omówić warunki. Mogę wszystko spisać, jeśli chcesz. – Matthew pochylił się i zatopił w Claire spojrzenie swoich błękitnych oczu. – Powiedz mi, że się zgadasz.

Claire czuła, że jej silna wola gdzieś znika.

– Nnie... Nie mogę.

– Dlaczego?

– Bo tamte czasy zostawiłam za sobą. Mam nowe życie, w Dublinie. Kupiłam tam mieszkanie.

Dla Matthew nie był to istotny argument.

– Możesz je zatrzymać i mieszkać tam, kiedy będziesz wracać do domu. Myślę, że będziesz spędzała w Dublinie sporo czasu, bo wielu z tych, których chcemy zainteresować naszą ofertą, to Irlandczycy.

Spojrzała na niego: ujmujący jak zawsze, w doskonale skrojonym garniturze, w wyprasowanej koszuli i z doskonale wyrzeźbionymi rysami twarzy. Pewny siebie i uprzejmy. No i oferował jej właśnie pracę życia. Tylko gdzie był haczyk? Jakiś podstęp, którego Claire nie dostrzegła?

– Zaskoczyłeś mnie – wydukała w końcu. – Nie mogę od razu odpowiedzieć, muszę wszystko przemyśleć.

– Rozumiem, oczywiście – zgodził się Matthew. – Zostaję do końca tygodnia. Jeśli będziesz chciała znać jakieś szczegóły, zadzwoń.

Wyjął z kieszeni portfel, a z niego efektowną wizytówkę. Na odwrocie napisał numer pokoju i wewnętrzny.

– To moja wizytówka. Dzwoni o każdej porze. Oboje wstali z miejsca i uściśnęli sobie dłonie. Oczy Matthew raz jeszcze zmierzyły Claire.

– Dobrze cię było znów zobaczyć, Claire. Mam nadzieję, że się zgodzisz. Z tobą na pokładzie na pewno nam się uda.

Claire wyszła z hotelu jak w transie. Nie mogła uwierzyć w to, co się właśnie stało, czy raczej nie stało. Matthew Baker nie próbował z nią flirtować, a tym bardziej namawiać, by do niego wróciła. Nie wspomniał nawet o tym, co ich kiedyś łączyło. Spotkanie okazało się wyłącznie służbowe i bardzo formalne. A Matthew był uosobieniem wdzięku. To jedno na pewno się w nim nie zmieniło. Wyglądał doskonale. Był wciąż tym samym przystojnym mężczyzną, jakiego знаła: pewnym siebie, ale spokojniejszym i dojrzałszym niż kiedyś. Nic dziwnego, że się w nim wtedy zakochała. Każda dziewczyna oszalałaby na punkcie Matthew Bakera.

Do głowy wpadła jej pewna myśl: może źle osądziła byłego narzeczonego? Może on także zmienił swoje życie? Mógł przecież być w jakimś nowym związku, może nawet się ożenił, choć nie zauważyła na palcu obrączki. Być może to Claire była zbyt pewna siebie, myśląc, że były narzeczoną będzie chciał ją odzyskać? Wyglądało na to, że się myliła, i że Matthew zupełnie o niej nie pamiętał, dopóki Johnny Parkinson przypadkiem nie wspomniał imienia Claire. Ten wniosek ją za-

skoczył. Była tak zajęta własnym cierpieniem i uzalaniem się nad sobą, że nie spojrzała na całą sytuację z innego punktu widzenia. Być może Matthew był zupełnie niewinny? A jeśli wcale jej nie zdradził? Claire wróciła myślami do wydarzenia, które poprzedziło ich zerwanie. Nie dała mu przecież szansy, żeby się wytłumaczył. Po prostu spakowała swoje rzeczy i wyjechała. Czyżby postąpiła zbyt pochopnie? A jeśli zerwanie było okropną pomyłką?

Zupełnie nie wiedziała, co myśleć. Matthew właśnie przedstawił ofertę, która mogła zmienić całe życie Claire. Praca byłaby świetna i mogłaby być wielkim wyzwaniem, którego szukała. Poradziłaby sobie z łatwością. Mieszkałaby we Fuengirolu, ale często wracała do Dublina. A bez względu na sprawy osobiste, z Matthew zawsze pracowało się doskonale. Miał rację. Czy więc powinna przyjąć propozycję?

Rozmyślania Claire urwały się, kiedy tylko doszła do mieszkania. Maggie stała już w swoich drzwiach i czekała na przyjaciółkę.

– Czekałam na ciebie, żeby ci wszystko powiedzieć. Jestem taka podekscytowana!

- Powiedzieć mi co? – spytała Claire.
- Wszystko zaplanowane – z triumfem obwieściła Maggie.
- Co jest zaplanowane?
- Konkurs gitarowy o moją rękę.

Claire była tak zajęta sobą, że zupełnie zapomniała o genialnym pomysle sąsiadki.

- Konkurs gitarowy?
- Tak. Wczoraj wieczorem zadzwoniłam do Snuffy'ego i Ricky'ego i powiedziałam, że nie mogę się zdecydować na żadnego z nich, a ty zaproponowałaś, że mogą konkurować o moją rękę.

Claire szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

– Ja niczego nie proponowałam, Maggie. Ty to wymyśliłaś.

– Tak? Nie pamiętam. Nieważne, w każdym razie obaj się zgodzili. Będą tu o ósmej.

- Zgodzili się?
- Oczywiście. Powiedziałam im, że będziesz sędzią i twoje słowo ostatecznie zdecyduje.

Claire westchnęła głęboko. W co się wpackowała? Którykolwiek przegra, będzie jej nienawidził do końca życia.

- Słuchaj, Maggie, zastanawiam się, czy to dobry pomysł.

Maggie nie miała zamiaru rezygnować.

– Oczywiście, że to dobry pomysł. Właściwie to nawet doskonały. Sama to powiedziałaś.

## Rozdział 30

Tym razem Mark jadł kolację sam. Po raz pierwszy od prawie dwóch tygodni nie spędzał wieczoru z Emmą i tęsknił za nią ogromnie. Niesamowicie, jak bardzo stali się sobie bliscy w tak krótkim czasie. Kiedy przyjechał tutaj kilka tygodni temu, wciąż opłakiwał Margot. Nie wyobrażał sobie, że kiedykolwiek będzie potrafił wejść w bliski związek z jakąkolwiek inną kobietą – ale to się po prostu stało.

Mark miał świadomość, że nie chodziło tylko o uczucie samotności, które można było zwalczyć w kobiecym towarzystwie, to było coś więcej. Emma okazała się wyjątkowa, niezwykła, a przecież wpadł na nią zupełnie przypadkiem. Wiele lat temu w podobny sposób poznał Margot w Bewley's Cafe. Jednak wakacje dobiegały końca, trzeba było działać, i to szybko.

Tego wieczoru jadł kolację w małej rybnej restauracji, którą znalazł blisko stacji kolejowej – jedzenie mieli tu doskonałe. Jednak Mark chciał już szybko zapłacić rachunek i wrócić do hotelu Alhambra, gdzie umówił się z Emmą na drinka. Po południu podjął pewną decyzję: po wielu dniach rozmyślań w końcu zaakceptował coś, do czego od kilku tygodni bał się przyznać. Zakochał się w Emmie.

To uczucie ogarniało go stopniowo: na początku po prostu cieszył się jej towarzystwem. Była o dziewięć lat młodsza, ale Mark nie czuł tej różnicy. Emma miała mnóstwo energii, była zabawna i pełna życia, jednak kiedy to stawało się konieczne, zmieniała się w poważną i rozważną. I twardą, jeśli było trzeba. Kombinacja tych cech fascynowała go tak bardzo, że uwielbiał przebywać w towarzystwie Emmy.

Ostatnio Mark zaczął jednak odczuwać dużo więcej: nie przestawał myśleć o pannie Dunne. Była w jego głowie cały czas – od rana do samego zaśnięcia. Gdy przebywali osobno, czuł się nieszczęśliwy, dopóki znów się nie spotkali. Kiedy byli razem, energia aż w nim buzowała. Chciał, by to uczucie trwało jak najdłużej i nigdy się nie skończyło. A przecież nie był nastolatkiem, który po raz pierwszy się zadurzył. Wiedział dobrze, czego właśnie doświadcza. Jeśli to nie miłość, to cóż innego?

Zaczepił wzrokiem kelnera i poprosił o rachunek. Mężczyzna grzecznie skinął głową i pośpieszył w kierunku kuchni. „Błagam, niech ten facet nie trzyma mnie tu cały wieczór!” – myślał Mark. Jedno, czego nauczył się o hiszpańskich restauracjach, to to, że płacenie rachunku często było najmniej przyjemnym elementem posiłku. Wydawało się, że cała energia personelu idzie na gotowanie i podawanie, a płacenie to jedynie zbędny dodatek. Może i mieli rację, ale tego wieczoru Mark bardzo się śpieszył. Czekał na rachunek, nalał sobie do kieliszka resztę wina, które zamówił wcześniej, a jego myśli znów pobiegły ku Emmie. Oczywiście, nikt nie mógł zastąpić Margot, to było niemożliwe. Ale Mark czuł, że może pokochać

kogoś innego, nie zapominając o zmarłej żonie. Powiedział przecież Margot, co czuł do Emmy. A Margot to zaakceptowała. Wiedział o tym, bo nie czuł poczucia winy; nie czuł, że zdradza żonę.

Spojrzał na zegarek – była prawie dziewiąta. Jeśli wkrótce nie dotrze do hotelu, Emma zacznie się zastanawiać, co się dzieje. Mark rozejrzał się, szukając kelnera, który na dobre gdzieś zniknął. Mark zamieszał resztkę wina w kieliszku i wypił. Powinien był zamówić brandy po skończonej kolacji. W ten sposób mógłby coś robić, czekając na ten piekielny rachunek. Westchnął głęboko i próbował się nie denerwować.

Musiał wyznać Emmie swoje uczucia. Jeśli będzie czekał, aż wróca do Dublina, okazja może się już nie przydarzyć. Nadeszła właściwa pora. Mark nie miał wątpliwości, jak zareaguje ukochana. Na pewno będzie szczęśliwa – chyba że przez ostatnie tygodnie odgrywała oscarową rolę, udając zadowolenie. Mark uważał się za romantyka i chciał, by jego wyznanie odbyło się w wyjątkowych okolicznościach: z kwiatami i butelką szampana. Ale Emma miała na głowie wiele różnych spraw. Chwila nie wydawała się idealna, jednak lepsza mogła nie nadejść. Mark musiał się zdecydować i powiedzieć, co mu leży na sercu.

Nareszcie pojawił się kelner, a Mark znów go zaczepił, zamówił brandy i powtórnie poprosił o rachunek.

Chwilę później otrzymał jedno i drugie. Z westchnieniem ulgi jednym haustem wypił alkohol i poczuł w żołądku rozchodzące się ciepło. Wyjął z portfela kilka banknotów i zostawił je na talerzu, dodając hojny napiwek. Opuścił restaurację i wyszedł w ciepłą noc.

Natychmiast poczuł się lepiej. Szedł energicznie, pewny siebie, przez labirynt wąskich uliczek, zdrażając w kierunku hotelu. Za kilka minut życie Marka miało zupełnie się odmienić. W myślach planował, co zrobi – wybierze jakiś cichy zakątek baru z przyciemnionymi światłami. Może pianista będzie grał jakiś romantyczny kawałek? Odczeka, aż Emma będzie w dobrym nastroju, a potem jej powie. Trzeba było to zrobić z wyczuciem.

Dziesięć minut później Mark znalazł się pod hotelem Alhambra. Wszedł do środka szybkim krokiem i minął odzwiernego, kierując się do przepięknego holu. Minał recepcję i trafił do baru. A tam zobaczył coś, co sprawiło, że serce przestało mu bić. Emma siedziała już przy stoliku. Nie była sama. Towarzyszył jej jakiś chudy facet, którego z uwagą słuchała, nachylona w jego stronę. Cała pewność siebie Marka gdzieś uleciała. Kto to był? Czemu tak bardzo zajmował uwagę Emmy? Następną przykra myśl wpadła mu do głowy. Czyżby miał rywala? Kogoś, o kim Emma nie wspomniała? Mark poczuł ucisk w żołądku. Obrócił się na pięcie i szybko odszedł.



Za dziesięć ósma ktoś głośno zastukał do drzwi mieszkania Claire. Otworzyła i zobaczyła Maggie stojącą w korytarzu. Sąsiadka miała na sobie suknię z długimi rękawami, która zakrywała ciało od szyi do kostek, kolczyki ze sztucznych pereł i podobny do nich naszyjnik. Twarz Maggie pokrywała gruba warstwa makijażu, oczy podkreślone były tuszem i eyelinerem, a usta krwistoczerwoną szminką. Wyglądała jak aktorka z pantomimy.

– Czekają – oznajmiła ze spokojem.

Claire zamruwała ze zdziwienia. Nie wierzyła, że Maggie naprawdę wcieli w życie swój idiotyczny plan konkursu gitarowego, w którym Snuffy i Ricky mieli się starać o jej rękę. Ale widocznie nie doceniała zdecydowania swojej sąsiadki.

– Eee, jasne – wyjąkała w końcu Claire. – Wciąż chcesz, żebym była sędzią?

– Oczywiście. Jesteś najważniejszą osobą. Oprócz mnie, oczywiście. – Maggie uśmiechnęła się skromnie i zakręciła, aby sukienka rozłożyła się jak spadochron wokół kostek. – Jak ci się podoba mój strój?

– Jest, hm, bardzo oryginalny.

– Pomyślałam, że ta sukienka idealnie pasuje na taką okazję. Nie co dzień w końcu dwóch facetów bije się o ciebie. Jesteś gotowa?

– Chyba tak.

– To chodź. Wszystko już ustawione. I pamiętaj, masz być sprawiedliwa, nie możesz stawać po czyjejkolwiek stronie. Wszystko musi być pocziwe.

– Uczciwe – poprawiła ją Claire.

– No właśnie. Wszyscy są równi.

Claire westchnęła głośno i zamknęła drzwi. Udział w tym szalonym planie był ostatnią rzeczą, na jaką miała w tej chwili ochotę. Ale obiecała Maggie, że to zrobi, i nie chciała jej teraz zawieść. Przeszła przez korytarz i weszła do mieszkania sąsiadki. Od razu uderzył ją w nozdrza zapach gotowanego jedzenia i głośne brzdąkanie gitar. Zapomniała, że Maggie miała także zamiar urządzić małe przyjęcie.

Salon zmienił się w coś, co przypominało studio nagraniowe. Wzmacniacze i głośniki ustawiono pod ścianami, kable biegły wzdłuż całego pokoju. Ricky, ubrany w czarną koszulkę, czarną skórzaną kurtkę i obcisłe czarne dżinsy, siedział na stołku z gitarą Gibson Thunderbird na kolanach. W drugim rogu znaleźli się Snuffy i Kevin – niczym bokser i jego trener przygotowujący się do walki. Kevin uśmiechnął się szeroko i pomachał, gdy zobaczył Claire. Snuffy jedynie nieśmiało wygiął kąciki ust.

W samym środku pokoju, między dwoma uczestnikami, postawiono kolejny stółek, a pod ścianą – wielki fotel. Maggie wskazała na stółek, dając Claire do zrozumienia, że tam powinna usiąść, a sama rozsiadła się w fotelu z dostojną miną i przyglądała się przygotowaniom niczym królowa obserwująca poddanych.

– A teraz – odezwała się. – Jako że nie mamy całej nocy, a chilli eon carne jest prawie gotowe, może zaczniemy?



- Kto gra pierwszy? – spytał Snuffy.
- Może ty? – zaproponowała Maggie.
- Dobra.

Podniósł swoją gitarę Fender Jazz, upewniając się, że jest odpowiednio podłączona, nastroił parę akordów i zaczął grać szaloną wersję *Airt Misbehaving*, a po chwili wszyscy widzowie klaskali już do taktu. Gdy skończył, otarł pot z twarzy wierzchem dłoni. Obecni w pokoju zaklaskali z ochotą. A Snuffy skinął głową w kierunku Ricky'ego. Ten podniósł swoją gitarę i zaczął grać *Blueberry Hill*. Wszystkie głowy zwrócone były w jego kierunku, a Claire czuła się jak sędzia na meczu tenisowym. Kiedy Ricky skończył, rozległy się oklaski, a Snuffy zaintonował *Mustang Sally*.

Claire była przyjemnie zaskoczona poziomem konkursu. Wiedziała już, że będzie bardzo trudno wybrać zwycięzcę. Chwilę później Ricky grał już *Basin Street Blues*, a nawet Snuffy przytupywał do rytmu i bez dźwięku przesuwając palcami po strunach.

I stało się to, co było do przewidzenia. Ricky skończył utwór, Snuffy zaczął uduchowioną wersję *I Hear You Knocking*, konkurent dołączył do niego i chwilę później słyhać już było duet. W pokoju zawrzało. Gdy skończyli jeden kawałek, Ricky zabrał się od razu do *Honky Tonk Blues*, a Snuffy się przyłączył. Pół godziny później obaj odłożyli gitary, zmęczeni długim koncertem, i serdecznie pokleпали się po ramieniu.

- Było ostro, stary – odezwał się Ricky.
- Super – potwierdził Snuffy.

Maggie siedziała w swoim fotelu, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Cholerni muzycy! – rzuciła. – Powinnam była przewidzieć, że w końcu będą sobie razem pogrywać.

Jako że pomysł konkursu spalił na panewce, Claire mogła być tylko zadowolona, nie umiałyby bowiem wybrać lepszego gitarzysty. Zamiast werdyktu Maggie ogłosiła, że kolacja gotowa, więc wszyscy podreptali do kuchni, gdzie obok wielkiego rondla ryżu stał garnek z chilli, miska sałaty, bagietki oraz wino i piwo.

- Może nałożycie sobie jedzenie i zjemy na balkonie? – zaproponowała gospodyni. Chwilę później wszyscy siedzieli już wokół dużego stołu na tarasie, jedząc, pijąc i słuchając dźwięków nocnego życia dochodzących z ulicy. Ricky i Snuffy, którzy zaczęli wieczór jako rywale, teraz stali się najlepszymi kumplami i siedzieli razem na krańcu stołu. Kevin wcisnął się między Claire i Maggie.

- Chilli jest doskonale – pochwalił. – Dasz mi przepis?
- Jasne – ucieszyła się Maggie.
- Może wstawię je do menu U Pedra.

- To świetny pomysł. Ale tylko poczekaj, aż spróbujesz mojego deseru. Ciasto z kruszonką i agrestem. Korzystałam z przepisu, który jest w mojej rodzinie od pokoleń. Mówiłam ci kiedyś, że pochodzę z rodu farmerów z Kent?

- Chyba nie – odparł Kevin.

- No właśnie. Ludzie ziemi. Stąd moja osobowość – obiema nogami stoję mocno na ziemi.

- Racja. – Kevin z rozbawieniem spojrzał na Claire. – Wszystko pasuje.

Claire się uśmiechnęła.

- Jak tam Maria? Wróciła do pracy?

- Wyobraź sobie, że tak. Dziś rano.

- Pewnie się ucieszyłeś, widząc ją z powrotem?

- Jasne, że tak – z radością odparł Kevin.

W końcu wszyscy wrócili do mieszkania i obaj gitarzyści dali kolejny koncert. Wieczór skończył się występem Maggie jako Kylie Minogue i Madonny, któremu akompaniowali Ricky i Snuffy. Była prawie druga nad ranem, kiedy Claire w końcu wróciła do swojego mieszkania. Kevin odprowadził ją i stojąc pod drzwiami, zapytał:

- Dobrze się bawiłaś dziś wieczorem?

- Doskonale.

- Ja też. Ale biedna Maggie wciąż nie wybrała między Rickym a Snuffym.

- Może będą musieli się nią podzielić – roześmiała się Claire.

Kiedy rozbierała się i przygotowywała do spania, wpadła jej do głowy pewna myśl. Wieczór był cudowny. A jeśli przyjmie propozycję Matthew Bakera, takich wieczorów będzie o wiele więcej. I podobne noce nigdy się nie skończą.

## *Rozdział 31*

- Chce pan rozmawiać o barze U Pedra? – spytała Emma mężczyznę, który stanął przed nią z służalczym uśmiechem na ustach. Od razu zauważyła zapadłe, blade policzki, niegustowny garnitur i złotego rolksa. Facet przypominał mafiosa.

- Zgadza się – potwierdził Antonio. – Bardzo przepraszam, że nie umówiłem się na oficjalne spotkanie. Kilka dni temu wysłałem pani jednak wiadomość tekstową. Czy nie otrzymała jej pani?

- Otrzymałam – ostro odparła Emma. – I postanowiłam na nią nie odpowiadać. Skąd miał pan mój numer?

- Od Miguela Martineza Sancheza. Sama mu go pani dała. Przepraszam, jeśli panią zdenerwowałem, ale sprawy baru są bardzo pilne. Byłbym wdzięczny, gdyby poświęciła mi pani kilka minut swego cennego czasu.

Emma zawahała się. Antonio zupełnie ją zaskoczył – czekała na Marka. Wyczuł jej niepewność i nie marnował czasu, od razu przystępując do konkretów.

– To, co powiem, może przynieść pani korzyści.

Emma poczuła, że traci rezon. Może jednak powinna porozmawiać z tym człowiekiem?

– Zgoda – powiedziała w końcu. – Co prawda czekam na kogoś, ale mogę poświęcić panu chwilę.

– Bardzo rozsądnie, *senorita* Dunne. Może usiądziemy tutaj? – wskazał stół w cichym kącie baru.

Emma skinęła głową, a Antonio grzecznie przepuścił ją przed sobą, a potem odsunął krzesło, by usiadła. Obok natychmiast pojawił się kelner.

– Czy mogę postawić pani drinka?

– Poproszę kieliszek wytrawnego sherry.

– W takim razie dwa – zwrócił się Antonio do kelnera, który skłonił się i pośpiesznie odszedł.

– To doskonały hotel – Antonio odezwał się do Emmy, sadowiac się na krzesło i rozglądając po sali. – Jeden z najlepszych we Fuengirolí. Zapewne dobrze się tu pani mieszka?

– Bardzo – sucho odparła Emma.

– A jak upływają wakacje?

– Doskonale, dziękuję.

– To dobrze. Chcemy, by naszym gościom było tutaj dobrze. Kiedy potem wracają do swoich krajów, robią nam reklamę, niczym ambasadorzy, prawda?

Emma chciałaby, żeby darował sobie uprzejmości i przeszedł do sedna. W tej chwili wrócił kelner z alkoholami. Antonio rzucił na tacę dwadzieścia euro i odsłał go.

Podniósł swój kieliszek w geście toastu.

– Za pani zdrowie!

– I za pana – uprzejmie odparła Emma. Wypiła łyk i odstawiła kieliszek. – A teraz proszę mi powiedzieć, o czym chciał pan ze mną rozmawiać, *senor* Hernandez?

– Muszę pani wyznać, że bardzo martwię się sprawami baru U Pedra. Jak pani zapewne wie, kiedyś byłem jego właścicielem. Ja rozwinąłem cały interes. Kiedy mój ojciec prowadził bar, była to tylko chatka na plaży serwująca kanapki i wodę. Dzięki mnie stała się dobrze prosperującą firmą.

– Tak – odpowiedziała Emma. – Wiem o tym.

– Niestety, ostatnio jest coraz gorzej. Serce mi pęka, gdy patrzę, jak bar schodzi na psy. Czy wie pani, że moja matka, która podobno jest kierownikiem, nie przychodzi do pracy już od prawie tygodnia?

– Z tego co wiem, pańska ciotka jest chora.

- Rzeczywiście, jest bardzo chora, zabrano ją do szpitala. Bar prowadzi pewien młody Irlandczyk, *señor* Joyce. Robi, co może, ale to niestety nie wystarczy.

- Wiem, że nie wszystko idzie tak, jak powinno - zaprotestowała Emma - ale proszę zrozumieć, że dopiero co przejąłam ten bar. Poprzedni właściciel, Conor Delaney, w ogóle się nim nie interesował.

Antonio zrobił smutną minę.

- To prawda, w istocie. Przyjeżdżał tutaj tylko po to, żeby odebrać zyski. Tak się nie prowadzi interesów, *senorita*. - Spojrzał na Emmę przebiegle. - Nie można, obawiam się, prowadzić popularnego baru, będąc daleko od niego. Takie działanie prowadzi do katastrofy. Aby z powodzeniem zaistnieć na takim rynku, zawsze trzeba być na miejscu, takie jest moje zdanie. A jako że jestem obecnie właścicielem świetnie prosperującej restauracji, wiem dobrze, co mówię.

Emma uważnie przyjrzała się mężczyźnie. Do czegoś zmierzał - tylko do czego?

- Słyszałem, że rozmawiała pani z Miguelem o podatkach - zaczął Hernandez.

- Zgadza się - potwierdziła Emma. Antonio okazał się doskonale poinformowany.

Zniżył głos i mówił dalej:

- Muszę wyznać pani coś w zaufaniu: Miguel nie jest godnym zaufania człowiekiem.

- A jednak był pana księgowym - przypomniała Emma. - Czy to nie pan zatrudnił go, kiedy przejął pan bar? Wydaje mi się, że gdy pojawił się Conor, pan Rodriguez po prostu pracował dalej.

Antonio nawet nie mrugnął.

- To prawda. Ale ja dopiero zaczynałem wtedy prowadzić interesy. Byłem niedoświadczony, a Miguela polecił mi pewien znajomy. - Napił się sherry i kontynuował. - Dowiedziała się pani od niego wszystkiego, co chciała?

- Nie - odparła.

- Nie dziwi mnie to.

- Ale udało mi się gdzie indziej.

- Tak?

Zastanawiała się, jak wiele może zdradzić. Choć Antonio i tak wiedział już całkiem sporo.

- Wiem, że bar ma poważne długi. Okazało się, że od wielu lat nie płacono za niego żadnych podatków. Domyśla się pan, że nie jestem z tego powodu zadowolona.

– *Madre de Dios!* – z przesadą wykrzyknął Antonio. – To oburzające! Zaistniała sytuacja potwierdza tylko to, o czym mówiłem. Conor Delaney nie interesował się barem i oto, co się zdarzyło. Co pani zamierza?

– Jeszcze nie zdecydowałam.

Hernandez westchnął przeciągle.

– Wstyd mi. Nie tak powinno się traktować osobę tak szanowaną jak pani. Jest mi także przykro, że bar znalazł się w tak kłopotliwej sytuacji. Kiedy sprzedawałem go *señorowi* Delaneyowi, wszystko było w porządku, a teraz... – Antonio z rezygnacją machnął ręką. – Bar jest tylko cieniem dawnej firmy. Stał się zbędnym śmietniskiem. Wkrótce ktoś otworzy na plaży podobną restauracyjkę i ukradnie wszystkich klientów. Szkoda, że takie miłe miejsce tak nisko upadło. Miało świetny potencjał. – Spojrzał wprost na Emmę. – Teraz widzi pani, że mówiłem prawdę. Żeby prowadzić podobną firmę, trzeba zawsze być na miejscu. Nie da się pracować inaczej. – Zamilkł na chwilę. – Proszę wybaczyć mi dociekliwość, *señorita*, ale chciałbym spytać, czy przyjechała pani do Fuengirolí, by zamieszkać tu na stałe?

– Nie – odparła. – Nie mam takiego zamiaru.

– Więc jak zamierza pani prowadzić bar?

W ciągu kilku minut Antoniowi udało się dojść do sedna sprawy.

– Jeszcze nie zdecydowałam.

Zapadła cisza. Antonio bawił się swoim kieliszkiem.

– Czy mógłbym coś zasugerować, *senorita* Dunne?

– Słucham.

– To oczywiście poufna informacja. Jeśli rozważałaby pani sprzedaż baru U Pedra, być może ja byłbym zainteresowany jego kupnem.

Emma zeszywniała.

– Pomimo obciążeń finansowych?

Antonio znów machnął ręką.

– W tym biznesie rzadko kiedy wszystko jest w porządku. Zawsze są jakieś problemy. Jestem pewien, że jakoś byśmy się dogadali. Jeśli zdecyduje się pani na sprzedaż, zobaczy pani, że zaoferuję uczciwą transakcję.

Sytuacja była niezwykła. Antonio oferował rozwiązanie wszystkich problemów Emmy. Gdyby kupił bar, ona mogłaby się skoncentrować na naprawę ważnych sprawach – czyli na ofercie Herr Brauna.

– Ale dlaczego chciałby pan przejąć bar? Antonio się uśmiechnął.

– Bo mam sentyment do tego miejsca. Być może jestem głupi, ale tam zaczynałem swoją biznesową karierę i byłoby mi przykro, gdyby bar miał upaść. W dodatku ja cały czas jestem tutaj, na miejscu. Mogę wszystkiego dopilnować.

Emma zaczęła się zastanawiać. Oferta Antonia pojawiła się tak nagle... nie wiedziała, czy jest poważna, czy mężczyzna ma jakiś ukryty cel.

- Ile może pan zaproponować? – spytała.
- Pięćdziesiąt tysięcy euro.

Podliczyła szybko: pięćdziesiąt tysięcy spłaciłoby dług Conora i pokryło koszty prawne. Wyszłaby na zero.

- Muszę panu powiedzieć, że niezapłacone podatki mogą wynieść około sześćdziesięciu tysięcy. Ta kwota także przeszłaby na pana.

Antonio nie zdziwił się zbyt.

- Wziąłem to pod uwagę. Mówiłem, że zaoferuję uczciwą cenę. Czy zaakceptuje pani tę ofertę?

- Tak, ale mam jeszcze jeden warunek.

- Słucham, proszę mówić.

- Chcę mieć gwarancję co do personelu. Twarz mężczyzny nagle spochmurniała.

- Co pani ma na myśli?

- Bar jest jedynym źródłem dochodu pańskiej matki, która na dodatek musi opiekować się pańską chorą ciotką.

- Proszę się o to nie martwić – próbował zbyć Emmę Antonio. – Zaopiekuję się moją matką.

- Ależ ja się martwię. Jeśli zdecyduje się sprzedać bar, Maria ma zatrzymać swoją posesję. Reszta personelu także.

Przez chwilę Hernandez milczał, ale już po chwili na jego twarz powrócił uśmiech.

- W porządku. Jeśli tego pani chce, da się załatwić. Emma czuła, jak kamień spada jej z serca. Udało się

rozwiązać problem baru na dogodnych warunkach. Ulżyło jej, ale nie miała zamiaru tego okazywać.

- W takim razie myślę, że możemy sfinalizować transakcję. Poproszę mojego prawnika, aby przygotował dokumenty – powiedziała.

Antonio cały promieniał. Otworzył portfel i wyjął z niego wizytówkę.

- Tutaj jest mój adres. Pani prawnik może się ze mną skontaktować.

Emma wzięła wizytówkę, a kiedy odwróciła się, by włożyć ją do torebki, zobaczyła wchodzącego do baru Marka. Wstała natychmiast.

- Muszę pana opuścić, jestem z kimś umówiona.

Mark odwrócił się i już wychodził, Emma musiała więc pobiec za nim, wołając:

- Mark! Zaczekaj!



## Rozdział 32

Na dźwięk głosu Emmy Mark natychmiast przystanął. Począł na nią u szczytu schodów prowadzących do ogrodów.

- Dokąd idziesz? – spytała zdyszana Emma.
- Właśnie wybierałem się na spacer. Zobaczyłem, że jesteś zajęta i nie chciałem ci przeszkadzać w milej pogawędce.
- Wiesz, kto to był?
- Nie mam pojęcia – chłodno odparł Mark.
- Antonio, syn Marii.

Na dźwięk znajomego imienia Mark zmarszczył z niezadowoleniem czoło. Emma nie mogła się powstrzymać i mówiła dalej:

- Słuchaj, nigdy nie uwierzysz, co się stało. On właśnie zaproponował, że odkupi ode mnie bar.

Mark szeroko otworzył oczy ze zdziwienia.

- Co?
- Chcę kupić bar U Pedra.
- A wie o długach?
- Tak, powiedziałam mu. Ale chyba wiedział już przedtem.

Emma zarzuciła Markowi ręce na szyję i mocno go przytuliła.

- Czy to nie świetna wiadomość? Nie muszę się już martwić. Mogę skoncentrować się teraz na sprawach drukarni.

- Ale co się stanie z personelem?
- Zgodził się wszystkich zatrzymać.
- Mój Boże, Emmo, to fantastyczna wiadomość! Wygląda na to, że dostałaś wszystko, czego chciałaś.

- Łącznie z ceną. Zaproponował pięćdziesiąt tysięcy euro, co pokryje pierwotny dług, jaki miał wobec mnie Conor Delaney.

- Och, Emmo, tak się cieszę – powiedział Mark. – Od pierwszego dnia, kiedy cię spotkałem, cały czas martwiłaś się o ten bar.

- A teraz znalazłam rozwiązanie.

Przeszli do ogrodów. Nocne powietrze wypełniał intensywny zapach kwiatów. Niedaleko wyjścia stała ławka; Mark wziął Emmę za rękę i poprosił:

- Usiądźmy. Muszę ci coś powiedzieć.
- Tak? Coś przyjemnego?
- Tego jeszcze nie wiem. – Mark odchrząknął i zaczął jeszcze raz. – Od kilku tygodni bardzo dużo się widujemy.

- To prawda.

– A ja cieszyłem się każdą chwilą z tobą spędzoną. Jesteś cudowną towarzyszką, radosną i zabawną. Piękną. I inteligentną. Jesteś...

– Przestań – przerwała Emma i podniosła dłoń, by zamilkł.

Twarz Marka wyraźnie pobladła, jakby ktoś go spoliczkował.

– Zanim powiesz coś więcej – mówiła Emma – ja także chcę ci coś powiedzieć.

– Tak? – spytał nerwowo.

– Już od jakiegoś czasu zamierzałam to zrobić.

– Co?

– Powiedzieć ci...

– Na miłość boską, mów więc!

– Chyba się w tobie zakochałam.

Na jeden moment Markowi odebrało głos. Potem objął Emmę i z całych sił ją przytulił.

– Zakochałaś się we mnie?

– Tak.

– Ale ja miałem powiedzieć ci to samo.

Emma odrzuciła do tyłu swoje blond loki i zaśmiała się.

– Byłam pierwsza!

– Byłaś, ty kokietko!

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Chwilę później zwarli się w namiętym uścisku, a na niebie nad nimi pojawiły się tysiące migoczących gwiazd.

Claire stała w oknie swojego mieszkania z kubkiem kawy w ręku, i patrzyła na biegnącą w dole ulicę. Rozmyślała intensywnie. Matthew Baker wrócił do jej życia, a ten przyjazd zakłócił sielankowe życie, jakie wiodła od kilku tygodni. Mimo różnych zastrzeżeń Claire miała ochotę przyjąć propozycję pracy. Matthew oferował jej etat na Costa – robiłaby to, co lubiła, a do tego dostawała dobrą pensję, zwrot kosztów, prowizję, służbowy samochód, a w przyszłości być może partnerstwo w firmie. Nawet pani Greene byłaby zadowolona. Jeśli ktoś kazałby Claire usiąść i stworzyć jej opis wymarzonej pracy – nie wymyśliłaby niczego lepszego.

A jednak wciąż miała poważne wątpliwości. Nie była przekonana, czy wszystko jest w porządku. Jakaś część Claire podejrzewała, że propozycja pracy może być tylko sposobem na zwabienie jej z powrotem. Czy mogła zaufać Matthew? Co gorsza, nie była pewna, czy może ufać samej sobie.

O to martwiła się najbardziej. Jej własna reakcja na wczorajsze spotkanie w hotelu Victoria była zupełnie inna, niż być powinna. Poszła tam, oczekując, że spotka kłamcę i oszusta, który zniszczył ich związek i zdradził ukochaną z inną kobietą. Ale kiedy zobaczyła go siedzącego w hotelowym holu, natychmiast wróciła pamięcią do minionych dni. Przypomniała sobie Matthew, w którym się zako-

chała, czarującego faceta, który zdobył jej serce. Wciąż wyglądał cudownie, był tak przystojny, że zapierało dech. Claire musiała przyznać, że w głębi duszy nigdy nie przestała go kochać.

Gdyby zdecydowała się pracować z Matthew, każdego dnia musiałaby żyć pod ogromną presją. A wiedziała dobrze, jak były narzeczony potrafi być przekonujący, jeśli chce coś osiągnąć. Pamiętała, jak korzystał ze swego uroku, pamiętała zaproszenia na lunchy i kolacje, komplementy, drobne upominki. Claire wciąż musiałaby się pilnować, aż w końcu by się poddała. Bo skoro Matthew nie był już zakochany w niej, ona mogła z łatwością na nowo zakochać się w nim. Tylko co stałoby się z Kevinem? Nie mogła dopuścić do takiej sytuacji.

Potrzebowała dobrej rady, zaufanego przyjaciela, któremu mogłaby się zwierzyć. Na szczęście miała kogoś takiego. Claire dopiła kawę, odwróciła się od okna i weszła do kuchni. Komórka leżała na kuchennym stole, tam, gdzie ją zostawiła. Podniosła telefon i zadzwoniła do Anne Ryan.

– Cześć – przywitała się, kiedy przyjaciółka odebrała. – To ja. Mam nadzieję, że cię nie obudziłam?

– Żartujesz? Jest dziewiąta. Za kogo ty nas masz? Za bandę imprezowiczów, którzy balują całą noc i odsypiają cały dzień?

Claire się uśmiechnęła.

– Po prostu nigdy nie wiem, o której najlepiej dzwonić do znajomych. Niektórzy nie wychodzą z łóżka przed południem.

– Ale nie my, kochana. Tamte dni dawno minęły. Pat wstał już o siódmej, bo pracuje nad obrazem na temat wschodu słońca. Natura budząca się do życia i takie tam. Oboje lubimy wczesnie wstawać. Moim zdaniem to najlepsza pora dnia.

– Będiesz w domu do południa?

– Pewnie, a gdzie miałabym pójść?

– Pomyślałam, że może cię odwiedzę.

– Byłoby cudownie! Możesz zostać na lunch.

– Chętnie. Chcę się cię poradzić w pewnej sprawie.

– A o co chodzi? Zaciekawiałaś mnie.

– Opowiem ci wszystko, kiedy przyjadę. Będę około dziesiątej.

– Powiedz chociaż troszkę – prosiła Anne.

– Nie mogę. Musisz poczekać. Paaa!

Claire się rozłączyła. Dobrze mieć takich przyjaciół jak Ryanowie. Przynajmniej wiedziała, że cokolwiek powie jej Anne, będzie to dobra rada, oparta na wieloletniej przyjaźni i uważnej obserwacji.

Zamknęła drzwi i zeszła schodami. Mijając mieszkanie Maggie, usłyszała ciche chrapanie dochodzące zza drzwi. Widocznie sąsiadka wciąż spała po przeżyciach wczorajszego wieczoru. Kwadrans później Claire była już na stacji – miała

szczęście, bo autobus do Marbelli odchodził niedługo. Po dwudziestu minutach wysiadła w La Cali.

Ryanowie mieszkali w bungalowie niedaleko plaży. Kiedy Claire dotarła na miejsce, nieco po dziesiątej, zastała Anne przycinającą krzewy róż w ogrodzie. Przyjaciółka odłożyła sekator i mocno objęła gościa.

- Tak dobrze cię znowu widzieć. Musiałam trochę popracować w ogródku, zanim zrobi się za gorąco. Wejdz do środka, napijemy się czegoś – powiedziała i poprowadziła Claire do środka.

- Pat wciąż maluje na plaży?

- Tak, ale niedługo powinien wrócić. A tymczasem możemy sobie pogawędzić. Czego się napijesz? Herbaty? Kawy? Może czegoś zimnego?

- Czegoś zimnego.

- Mam sok pomarańczowy, może być?

- Jasne.

Anne naląła dwie szklanki soku i zaprosiła Claire do patia znajdującego się na tyłach domu, skąd rozciągał się widok na morze.

- A teraz – zaczęła, kiedy już usiadły – mów, bo nie mogłam się odprężyć, od kiedy zadzwoniłaś. Kiedy ktoś przychodzi do mnie po radę, zwykle oznacza to jedno: sprawy sercowe.

Claire się uśmiechnęła.

- Na dodatek jesteś jasnowidząca. Ale to nie tylko sprawy sercowe.

- Opowiadaj – nakazała Anne. – Zamieniam się w słuch.

Przez następnych dwadzieścia minut Claire wyjaśniała swój dylemat: jak bardzo chciałaby przyjąć ofertę pracy od Matthew Bakera, ale boi się konsekwencji tej decyzji. Kiedy skończyła, Anne zmarszczyła brwi i w zamyśleniu potarła brodę dłonią.

- Trudna sprawa.

- Ta praca byłaby dla mnie idealna. Mogłabym ją wykonywać z zamkniętymi oczami. I mogłabym zostać we Fuengirolí, z Kevinem.

- Poważnie o nim myślisz?

Claire pokiwała głową.

- W ciągu ostatnich kilku tygodni bardzo często się widujemy.

- Czy on czuje to samo?

- Chyba tak.

- Co będzie, jeśli odmówisz Matthew? Co wtedy zrobisz?

- Jeszcze o tym nie myślałam. Najpewniej będę musiała wrócić do Dublina.

- A co wtedy zrobi Kevin? Pojedzie za tobą?

- Nie rozmawialiśmy o tym. Tę propozycję pracy dostałam dopiero wczoraj. Kevin jeszcze o niej nie wie.

- Myślisz, że możesz z nim o tym porozmawiać?

- Może...

- Wydaje mi się, że to powinnaś zrobić najpierw. Choć jest jeszcze jedna możliwość.

- Jaka?

- Możesz szczerze porozmawiać z Matthew Bakerem i powiedzieć mu, że przyjmiesz tę pracę, ale tylko pod warunkiem, że będzie to wyłącznie zawodowe zobowiązanie. Jeśli chcesz, wspomnij o swoim związku z Kevinem, daj do zrozumienia, że mówisz poważnie.

- Ale ty nie znasz Matthew. Nic go nie powstrzyma, jeśli wciąż jest mną zainteresowany. Może nawet potraktuje to jak wyzwanie. - Claire spuściła wzrok. - A jeśli chcesz znać prawdę... Nie jestem pewna, jak długo będę potrafiła mu się opierać. Boję się, że może sama zaczęła go podrywać. Jakaś część mnie nadal kocha Matthew.

Anne objęła Claire.

- Moje biedactwo! Posłuchaj: ten mężczyzna bardzo cię skrzywdził. I widać, że mu nie ufasz. Ale jeśli wrócisz do Matthew, on znów to zrobi. Tacy faceci się nie zmieniają.

- Wiem o tym - zgodziła się Claire. - Nie mogę do niego wrócić. Ale ta praca to dla mnie możliwość zostania tutaj. Co mam robić?

- Cóż, wiem tylko, co ja bym zrobiła. Ale nie mogę przeżyć życia za ciebie. Wydaje się oczywiste, że musisz po prostu zdecydować, którego z tych dwóch mężczyzn wolisz, a potem dowiedzieć się, czy on czuje to samo. Później wykreślisz tego drugiego ze swojego życia. Jeśli chcesz Kevina, nie możesz pod żadnym pozorem przyjąć tej pracy.

Przez kolejnych dwadzieścia minut Claire pomagała Anne przygotować lunch: siekała warzywa, robiła sałatkę, kroїła chleb, nakrywała stół na tarasie. Około południa usłyszały dźwięk kroków Pata w korytarzu. Przeszedł przez cały dom i dotarł na balkon.

- Claire! Jak dobrze cię widzieć. Czemu zawdzięczamy tę miłą niespodziankę?

Pat odłożył pędzle i mocno przytulił Claire na powitanie.

- Przyszła się poradzić, czy przyjąć propozycję pracy - odpowiedziała Anne, zerkając przelotnie na Claire.

- Pracy? Tutaj?

- Tak - odparła Claire. - I wiesz co? Sprzedawałabym nieruchomości.

- No to czemu nie? To twoja mocna strona. - Pat przesunął krzesło do cieńa i usiadł. - Mogłaś trafić gorzej niż przeprowadzka tutaj. W najgorszym razie jedynym pożytkiem będzie to, że będziemy widywać cię częściej. - Zdjął słomkowy kapelusz i zaczął się nim wachlować. - Dzisiaj rano na plaży było strasznie gorą-

co. Gdyby nie ten lekki wiaterek, długo bym nie wytrzymał. A więc przyjmiesz tę pracę, czy nie?

- Nie jestem pewna.
- Pensja i warunki w porządku?
- O, tak.
- Więc w czym problem? Zawsze lubiłaś te strony.

Zanim Claire zdążyła odpowiedzieć, wtrąciła się Anne.

- Czy ktoś ma ochotę na drinka przed lunchem?
- Dla mnie gin z tonikiem – poprosił Pat.
- Claire?
- Mogę prosić o kieliszek wina?

Anne wyszła, żeby przynieść napoje.

- Tutaj jest tyle atrakcji – Pat zwrócił się do Claire. – Posłuchaj tego.
- Czego? – zdziwiła się Claire.

Na mocno opalonej twarzy Pata pojawił się szeroki uśmiech.

- No właśnie – odparł. – Nie słyhać niczego. Zupełna cisza. Tak tu spokojnie. A słońce świeci przez cały boży dzień. Ale ty to wszystko wiesz, Claire. Już byłaś na Costa. Wiesz dobrze, jak przyjemnie się tu żyje.

Siedzieli w trójkę przy stole, pod wielkim parasolem, jedząc wyśmienity lunch: potrawkę z jagnięcia i sałatę, popijając miejscowym różowym winem. Pat opowiadał o swoich obrazach. Po sukcesie wystawy w Maladze zaproszono go na następną, która miała się odbyć za miesiąc w Marbelli.

- Jest coraz bardziej znany – dodała Anne – ale za nic nie chce się reklamować.

- Nie rozumiesz – poprawił ją Pat wesołym głosem. – Tu nie chodzi o reklamę czy pieniądze. Chodzi o odpoczynek i twórczą satysfakcję. Nie maluję dla wystaw. Maluję dla siebie.

Rozmawiali, aż słońce zaczęło grzać tak mocno, że nawet duży parasol nie wystarczył, by się schronić. Niechętnie przenieśli się z tarasu do wnętrza domu.

- Lepiej będę się zbierać – powiedziała w końcu Claire. – Moi przyjaciele zaczną się zastanawiać, gdzie się podziewam.

Pat pocałował ją na pożegnanie.

- Tylko nie zapomnij nam powiedzieć, co zdecydowałaś.

Anne odprowadziła Claire do drzwi.

- Chcesz, żebym podwiozła cię na przystanek?

- Nie trzeba, lubię chodzić. Zresztą już i tak dość dla mnie zrobiłaś. Dzięki za pyszny lunch i dobrą radę.

- Pamiętaj, co ci powiedziałam – odparła Anne i przytuliła przyjaciółkę.

Claire usiadła z tyłu autobusu i śledziła wzrokiem linię wybrzeża wzdłuż drogi do Fuengirolí. Anne miała rację, jak zwykle zresztą. Trzeba było wybrać między



pocziwym, godnym zaufania Kevinem a olśniewającym Matthew. Claire wiedziała, że ta decyzja zmieni na zawsze całe jej życie.

## Rozdział 33

Teraz, kiedy Maria wróciła do pracy, Kevin znowu spędzał poranki, taplając się w morzu. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo brakowało mu tego relaksu w ciągu ostatnich, tak stresujących, dni. Pływanie było jedynym sportem, jaki uprawiał, nie licząc nalewania piwa i zmywania naczyń po ucieczce głodnych tłumów. Na szczęście wszystko zaczęło się już uspokajać. Maria przejęła na powrót swoje obowiązki, a nawet zaczęła się znowu uśmiechać – Rosario bowiem czuła się coraz lepiej. Miała szczęście, że Kevin postanowił tamtego dnia wpaść do mieszkania obu pań – inaczej, kto wie, co by się zdarzyło.

Nad barem wisiała jeszcze jedna czarna chmura. Nie wiedzieli, co zamierza zrobić Emma. Żadne z nich nie widziało jej prawie od tygodnia. Kevin zakładał, że wciąż zмага się z rachunkami i tym fałszywym księgowym. Życzył jej jak najlepiej, bo użeranie się z takim oszustem było jak zapasy z krokodylem. Na szczęście bar działał doskonale, a powrót Marii zdjął nieco obowiązków z Kevina i Snuff-y'ego. Udało im się nawet wziąć trochę wolnego. Kevin skorzystał z okazji, żeby wysprzątać mieszkanie i zrobić pranie. Snuffy natomiast nawiązał przyjaźń z Rickym Blainem – myślał nawet o wstąpieniu do jego zespołu Czarne Kurzyślady. Tego wieczoru wybierali się razem z Maggie na wycieczkę do Puerto Banus, by sprawdzić tamtejsze bary.

Kevin uśmiechnął się do siebie. Maggie miała teraz dwóch wielbicieli, którzy jednak – zamiast o nią walczyć – żyli ze sobą w zgodzie jak dwaj mormoni. „To samo można by powiedzieć o mnie i o Claire” – myślał Kevin, płynąc w kierunku skał na skraju plaży, gdzie zostawił ręcznik. Ich związek stał się nieco bardziej intensywny – widywali się codziennie, byli właściwie nierozłączni. To dziwne doświadczenie dla kogoś, kto w całym swoim życiu nigdy nie był tak blisko z kobietą.

Oczywiście, że miał wiele dziewczyn. Kiedy jeszcze grał w kapeli, panienki same rzucały mu się na szyję. Gdyby chciał, mógł mieć co wieczór inną. Ale uczucie, które teraz żywił do Claire, było zupełnie inne, i Kevin nie całkiem je rozumiał. Wiedział jednak, że ta dziewczyna wdarła się do jego życia i nie mógł już myśleć o niczym innym. Nie wyobrażał sobie życia bez niej. Był jednak pewien problem: co będzie, kiedy wakacje Claire się skończą i będzie musiała wracać do domu? Czy powinien pojechać z nią do Dublina? Czy będzie tego chciała? Jeśli tak – to dla obojga byłaby ważna decyzja. Kevin musiałby porzucić swoje wygodne życie na

Costa. Jednak gdyby oznaczało to pozostanie z Claire – był gotów to zrobić. Już przemyślał wszystko i zdecydował się. Ona była wyjątkowa. Nie mógł wypuścić jej z rąk.

Podniósł ręcznik i energicznie się wytarł. Włożył spodnie od dresu, koszulkę i ruszył plażą w stronę domu.

Po takiej rozgrzewce zawsze czuł się dużo lepiej. Pływanie było idealnym początkiem dnia. Pięć minut później otwierał drzwi do swojego mieszkania.

Snuffy wyszedł już do pracy, więc w środku nikogo nie było. Kevin wziął gorącą prysznic, ubrał się i nastawił wodę na herbatę – kolejny poranny zwyczaj. Co prawda, w ciągu dnia zwykle pijał kawę, ale lubił zacząć dzień dużym kubkiem herbaty. Znalazł nawet mały sklep w Los Boliches, gdzie kupował swoją ulubioną – Barry's Gold Label. Uśmiechnął się, zalał torebkę wrzątkiem i poczekał, aż naciągnie. Niektórych nawyków nie można było się pozbyć.

Popijając herbatę, Kevin wrócił myślami do Claire. Zastanawiał się, czy powinien do niej zadzwonić, ale postanowił tego nie robić – i tak zapewne spotkają się w barze trochę później. Wysłał więc tylko krótki SMS: *Myślę o tobie*. Dokończył śniadanie, zamknął mieszkanie i wyszedł. Dwadzieścia minut później był już w barze.

Zanim jeszcze wszedł, wiedział, że coś jest nie tak. Snuffy obsługiwał kilku klientów, ale nie uśmiechał się, jak zwykł to robić. Minę miał raczej nietęgą. Marii nigdzie nie było widać.

– Co się dzieje? – spytał z niepokojem Kevin, podchodząc bliżej.

Snuffy wzruszył ramionami.

– Gdzie jest Maria?

– Z tyłu.

– Coś się stało?

Snuffy zrobił dziwną minę.

– Lepiej sam zapytaj.

Kevin szybko poszedł na tył baru. Maria siedziała na krześle ustawionym na piasku, trzymała w dłoni chusteczkę i cicho płakała.

Usiadł przy niej i ujął jej dłoń.

– Co się stało, Mario? Czemu płaczesz?

Spojrzała na niego zaczerwienionymi od płaczu oczami.

– Dzisiaj rano dzwonił Antonio.

– I co?

– Złe wiadomości.

– O co chodzi, Mario? Co powiedział? Starsza pani wybuchnęła płaczem.

– Powiedział, że kupuje bar od *señority* Dunne!

Emma powoli budziła się ze snu. Pokój tonał w jasnym słońcu, a obok spokojnie spał Mark. Usiadła i spojrzała na niego. Delikatnie przesunęła dłoń po nagich plecach mężczyzny. Mięśnie miał idealnie wyrzeźbione, bicepsy krągłe, a ramiona szerokie. Jeszcze wczoraj nie wiedziała, jak pięknie jest zbudowany. Nie tylko tego się dowiedziała, kiedy w końcu znaleźli się w łóżku. Mark okazał się delikatnym i cierpliwym kochankiem. Powoli ją rozebrał, pokrywając całe jej ciało pocałunkami, które stawały się coraz bardziej intensywne, aż Emmę po czubki palców przeszywały dreszcze. Kiedy potem leżeli wyczerpani w wygniezionej pościeli, doświadczyła przyjemności, jakiej przedtem nie знаła.

Myślała o wczorajszych chwilach i przyglądała się śpiącemu Markowi. Wydawał się taki spokojny, oddychał miarowo i cicho. Miał przystojną, opaloną twarz, wyraźnie zarysowaną szczękę i kilkudniowy zarost delikatnie przyciemniający policzki. Emma instynktownie czuła, że znalazła mężczyznę, który może być jej towarzyszem na resztę życia.

Mark poruszył się. Podniósł rękę i potarł zaspane oczy.

- Dzień dobry – powiedział, mrużąc oczy od światła. – Która godzina?
- Prawie dziesiąta.
- Czemu mi się tak przyglądałaś?
- Podziwiałam cię. Zastanawiałam się, jak to robisz, że jesteś taki wysportowany.
- Ćwiczę – uśmiechnął się.
- Myślałam też o tym, jakie mam szczęście, że cię znalazłam.
- I nawzajem.
- Jesteśmy oboje szczęściarzami, prawda? – Delikatnie musnęła palcami włosy na jego piersi. – I pomyśleć, że gdybym nie spotkała cię tamtego poranka w barze, dzisiaj nie byłibyśmy tutaj, razem. Dobrze spałeś?
- Doskonale.
- Odpocząłeś?
- Pewnie.
- Wróciła ci kondycja?
- Mam nadzieję – odparł Mark.
- Wiesz, co mi chodzi po głowie?
- Pozwól, że zgadnę – powiedział, przyciągając ją do siebie. – Czy to ma coś wspólnego z czteroliterowym słowem zaczynającym się i kończącym na „s”?

Jakiś czas później Emma zadzwoniła do obsługi hotelowej, by zamówić śniadanie.

- Na co masz ochotę? – spytała, trzymając słuchawkę w ręce.
- Tylko na kawę i gorące bułeczki.
- No to dwa razy to samo.

Kiedy czekali na posiłek, Emma poszła wziąć prysznic. Tego ranka cieszyła ją nie tylko noc spędzona z Markiem, ale także rozwiązany problem baru. Powoli utwierdzała się też w przekonaniu, że powinna sprzedać Hi-Speed Printing. Jednak najpierw musiała porozmawiać z ojcem i wymusić na Herr Braunie kolejne ustępstwa. To właśnie Mark pomógł jej podjąć tę decyzję.

- Co masz do stracenia? - pytał. - Oferta jest doskonała. Będiesz miała więcej, niż trzeba, by wygodnie żyć. A jeśli kiedykolwiek poczujesz potrzebę powrotu do pracy, zawsze możesz zainwestować te pieniądze w coś innego.

- A co ty zamierzasz? - zaintrygowała się Emma.

- Być może pójdę za twoim przykładem i sprzedam Chambers Creative Artists. Kiedy jeszcze żyła Margot, obiecywałem sobie, że trochę zwolnię, ale nie zdażyłem. I teraz tego żałuję. Ale skoro znalazłem ciebie, nie zamierzam popełnić tego samego błędu po raz drugi.

Stojąc pod prysznicem, Emma rozważała wszystkie korzyści płynące ze sprzedaży drukarni. Zrzuci z siebie stresującą odpowiedzialność za prowadzenie firmy. Zdobędzie zabezpieczenie finansowe. Będzie miała więcej czasu i pieniędzy, by robić to, na co ma ochotę. Po raz pierwszy w życiu będzie zupełnie niezależna.

Nadejdą kolejne wspaniałe dni, takie jak dzisiejszy: będzie mogła odpoczywać i cieszyć się życiem u boku Marka. Może nawet kupi tutaj dom, do którego mogliby przyjeżdżać, kiedy tylko zimne i smutne irlandzkie zimy staną się niemożliwe do zniesienia. Byłoby cudownie!

Rozmyślenia Emmy przerwał głośny dzwonek telefonu. Usłyszała, jak Mark odbiera, a chwilę później puka do drzwi łazienki.

- Do ciebie - powiedział.

Zakręciła prysznic i owinięła się ręcznikiem.

- Kto to? - spytała szeptem, wychodząc z łazienki.

- Kevin - bezgłośnie odpowiedział Mark. Emma podniosła słuchawkę nieco zdenerwowana.

- Cześć - powiedziała.

- Przepraszam, że do ciebie wydzwaniam... - zaczął Kevin.

- O co chodzi?

- Mamy tu mały kryzys i nie bardzo wiem, co robić.

- Jaki kryzys?

- Właśnie przyjechałem do pracy. Maria jest bardzo zdenerwowana, bo właśnie dowiedziała się, że Antonio ma zamiar kupić od ciebie bar.

## Rozdział 34

Claire wciąż nie wiedziała, co zrobić. Całą noc nie mogła spać, przewracała się tylko w łóżku, próbując podjąć decyzję, czy przyjąć propozycję Matthew Bakera. Rozważyła całą sytuację na wszystkie możliwe sposoby, ale i tak nie rozwiązała problemu. A teraz kończył się jej czas. Dzisiaj Matthew wracał już do Londynu. Jeśli Claire nie zgodzi się dla niego pracować, będzie musiał szukać kogoś innego. Siedziała przy kuchennym stole i z nerwów zaciskała dłonie w pięści. Czemu życie musi być takie skomplikowane? Przyjechała tutaj na miłe wakacje, a zamiast odpoczywać, musiała rozwiązać wielki dylemat: przyjąć ofertę pracy ze wszystkimi tego konsekwencjami, czy za kilka tygodni wracać do Dublina – bez Kevina, oczywiście.

Jeśli przyjmie tę pracę, znów weźmie na siebie wielką odpowiedzialność i presję. Jeśli Matthew chce odbudować ich związek, Claire – wiedziała to dobrze – prędzej czy później da mu się zmiękczyć. Wciąż jej się podobał. Czy to znaczyło, że jednak nie kocha Kevina?

– Cholerny Matthew Baker! – wykrzyknęła do pustych ścian.

Gdyby tylko zniknął, wszystko byłoby takie proste. Praca wydawała się idealna: Claire robiłaby to, co umiała, i jeszcze dostawała za to porządną pensję. Mogłaby mieszkać na Costa. Z czasem, jeśli wciąż byłiby razem, mogliby wspólnie z Kevinem kupić mieszkanie. Zaczęłyby nowe życie i wszystko dobrze by się ułożyło. Claire pomyślała o radzie Anne. Problem leżał w tym, że nie było dość czasu, by rozważyć swoje emocje i zdecydować, jakie były intencje czy uczucia Matthew oraz Kevina. Brakowało zbyt wielu odpowiedzi, aby podjąć tak ważną decyzję.

Co więc miała zrobić? Claire wyjęła z torebki wizytówkę Matthew i spojrzała na leżącą obok komórkę. Powoli sięgnęła po telefon i wcisnęła numer. Po kilku chwilach usłyszała uwodzicielski głos.

– To ja, Claire – odezwała się.

Rozpoznała nutę zadowolenia w głosie Matthew.

– Claire! Zastanawiałem się, kiedy do mnie zadzwonisz.

– Myślałam o twojej propozycji – mówiła, czując rosnącą w gardle gulę.

– I co?

– Przyjmę ją.

Kilka minut później Claire wyłączyła telefon i poczuła, jak serce bije jej szybciej. Zrobiła to! Podjęła w końcu decyzję! Trzęsły się jej ręce, ale Matthew był bardzo zadowolony. zaproponował, żeby o wpół do pierwszej spotkali się na lunchu w restauracji U Felipe i przedyskutowali szczegóły. Claire spojrzała na zegarek: była prawie jedenasta, najwyższy czas, by zacząć się zbierać. „O Boże – modliła się w duchu, wstając od stołu – spraw, żeby ta decyzja była właściwa”.

W tej samej chwili ktoś załomotał do drzwi mieszkania. Claire otworzyła i spostrzegła Maggie stojącą w korytarzu, ubraną tylko w szlafrok.

– Właśnie zrobiłam francuskie tosty – oznajmiła z radością. – Chciałabym, żebyś przyszła i spróbowała.

Claire już miała odmówić, kiedy nagle zmieniła zdanie. Maggie pewnie bardzo się napracowała nad śniadaniem, a ona w tej chwili potrzebowała przyjacielskiej, babskiej pogawędki.

– Z chęcią – odparła więc, zabrała po drodze klucze do mieszkania i zamknęła drzwi.

W kuchni u Maggie leżała wielka góra tostów. Claire wzięła jeden i zaczęła powoli skubać. Był pyszny, ale skoro wybierała się na lunch, nie mogła się teraz objadać.

– Nie mów mi tylko, że to kolejny rodzinny przepis! – zagadnęła sąsiadkę.

– Mniej więcej. Trochę dodałam od siebie. Smakuje ci?

– Pyszny – odparła Claire, oblizując palce i przewracając oczami.

– Spróbuj z miodem – nalegała Maggie, przesuwając słoik po stole.

– Ale ja już jadłam śniadanie – zaprotestowała Claire.

– Malutki kawałek tostów ci nie zaszkodzi. No, dalej – poleciła przyjaciółka i przysunęła słoik jeszcze bliżej.

– I umówiłam się z kimś na lunch.

– To nie zjesz deseru. Masz, zjadaj, chyba że sama mam ci posmarować.

Claire była w pułapce. Wiedziała, że nie wymknie się z mieszkania Maggie, jeśli nie spełni jej prośby. Wzięła więc następny kawałek i posmarowała go miodem. Smakował nieziemsko.

– Mój Boże, Maggie, to naprawdę przepyszne!

Sąsiadka uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Zjedz, ile tylko chcesz. Przygotowałam całą tonę.

– Nie, naprawdę już nie mogę. Przysięgam.

Claire jadła więc ostatni tost, gawędząc z przyjaciółką o jej wyprawie do Puerto Banus. Ricky dzwonił już wcześniej, że udało mu się załatwić przesłuchanie dla Maggie na dzisiejszy wieczór w pubie Pig and Whistle.

– Trochę się denerwuję – wyznała Maggie. – Tamtejsi klienci są dużo bardziej wymagający.

– Ależ zupełnie nie masz się czym martwić! Oczarujesz ich.

– Tak myślisz?

– Mogę się założyć. – Claire nerwowo spojrzała na wiszący na ścianie zegar.

– Muszę już iść, bo inaczej się spóźnię.

– Naprawdę nie możesz jeszcze zostać? Tak bardzo lubię z tobą rozmawiać – jesteś zawsze taka rozważna.



– Ja też uwielbiam z tobą rozmawiać, ale jeśli zaraz nie wyjdę, spóźnię się na spotkanie. – Claire wstała od stołu. – Dzięki za tosty, Maggie. Musimy to powtórzyć.

– Mogę je znów zrobić jutro, jeśli masz ochotę. I dokończymy naszą rozmowę. Może pomożesz mi zdecydować, co powinnam zrobić z tymi dwoma kolesiami, którzy mieszają mi w życiu.

– Jutro to za wcześnie. Takie tosty powinno się oszczędzać na specjalne okazje, jak szampan albo kawior – odparła Claire i energicznie ruszyła w stronę drzwi, kiedy nagle Maggie zakrzyknęła:

– Czekaj!

Claire zatrzymała się tam, gdzie stała. Maggie oderwała kawałek folii aluminiowej, opakowała pozostałe tosty i wepchnęła je w dłonie przyjaciółki.

– Masz, weź ze sobą. Może później będziesz miała ochotę coś przekąsić.

Po powrocie do mieszkania Claire nerwowo zaczęła zbierać się do wyjścia. Musiała wziąć prysznic, ale czy zdąży jeszcze umyć głowę?

Dziesięć minut później, kiedy w końcu wyszła z łazienki, ociekając wodą, było wpół do dwunastej. Co włożyć? Claire nie była przygotowana na taką okazję. Po raz kolejny przejrzała swoją niewielką garderobę i postanowiła znaleźć coś w miarę oficjalnego, by nikt nie pomyślał, że chce flirtować z Matthew. Tyle że nie przywiozła ze sobą tego rodzaju ubrań. W końcu wybrała czarne szerokie spodnie i białą koszulę z długim rękawem. Związała włosy w kucyk i założyła jeszcze złoty łańcuszek oraz delikatne złote kolczyki. To był najbardziej „biznesowy” strój, jaki miała.

Przed dwunastą była gotowa do wyjścia. Spojrzała jeszcze na swoje odbicie w lustrze w łazience: może być. Zamknęła mieszkanie, pobiegła schodami na dół i na końcu ulicy złapała taksówkę. Dwadzieścia minut później witała się już z kierownikiem sali U Felipe.

Restauracja zaczynała wypełniać się gośćmi, ale Matthew jeszcze się nie pojawił. Claire usiadła przy stoliku koło okna, a kelner wręczył jej menu i spytał, czego się napije.

– Tonik z lodem, poproszę – odparła.

Otworzyła kartę. Dopiero teraz poczuła, że się denerwuje. Żeby poprawić sobie humor, przypomniała sobie ostatni raz, kiedy siedziała w tym miejscu – pierwszego wieczoru po przyjeździe jadła tutaj kolację z Markiem Chambersem. To był miły, beztroski wieczór. Claire miała na sobie lejącą się czerwoną sukienkę i szal z paszminy. Przypomniała sobie, że wciąż nie przeprosiła Marka za to, jak niemiło potraktowała go, gdy ostatnio spotkali się w barze na plaży. Jednak od tamtego dnia się nie widzieli. Ciekawe, co u niego słychać, jak mijają mu wakacje.

Patrzyła w otwarte menu, ale nie miała wcale apetytu. I nie chodziło tylko o francuskie tosty, które zjadła u Maggie. Chodziło o Matthew Balcera. Claire czuła motyle w brzuchu.

Chwilę później pojawił się kelner z tonikiem, a zaraz po nim do restauracji wszedł Matthew. Wyglądał zabójczo w kremowym swetrze, ciemnobrazowych spodniach odprasowanych na kant, kawowej koszuli i czekoladowobrazowym krawacie – wszystko najlepszych marek. Przez głowę Claire przemknął obraz Kevina w szortach i koszulce. Matthew przewiesił marynarkę przez oparcie krzesła i nachylił się, by delikatnie pocałować Claire w policzek. Usiadł i przeprosił:

- Wybacz spóźnienie, ale cały ranek spędziłem, negocjując wynajem nowego biura. Szukam dobrego miejsca niedaleko morza, blisko portu.
- Doskonała lokalizacja – odezwała się Claire nieswoim głosem.
- Zgadza się. Ale muszę wynegocjować obniżkę czynszu. – Matthew uśmiechnął się czarująco. – Wyglądasz przepięknie, Claire. Jak zawsze zresztą.

Zarumieniła się i odparła:

- Dziękuję.
- Nie wyobrażasz sobie nawet, jaki jestem szczęśliwy, że zgodziłaś się ze mną pracować.
- Ja też się cieszę. Mam nadzieję, że się dogadamy.
- Oczywiście, że tak. Ale zanim przejdziemy do szczegółów, może zamówimy coś do jedzenia? Na co masz ochotę?
- Poproszę sałatkę z krewetkami.
- Może jednak coś porządnego? Jesteśmy w najlepszej rybnej restauracji we Fuengirolí, a ty zamawiasz tylko sałatkę z krewetkami?
- Nie jestem głodna – wyjaśniła Claire.
- Szkoda. A czego się napijesz?
- Kieliszek białego wina.

Matthew sięgnął ręką przed stół i pogładził Claire po podbródku. Poczowała, że jej silna wola zaczyna słabnąć.

- Moja dziewczynka. Kiedy już zaczniemy działać, często będziemy jadali razem takie lunchy. Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę, że będziesz ze mną pracować, Claire.

Kelner przyjął zamówienie i szybko wrócił z butelką wina. Matthew nalał alkohol do kieliszków i podniósł swój, aby wznieść toast.

- Za owocną współpracę! – Stuknął swoim kieliszkiem o kieliszek Claire i upił odrobinę. – Będziemy fantastyczną parą, Claire. Jak za dawnych lat.
- Możemy omówić warunki? – przerwała mu.
- Jasne – zgodził się. – Co chcesz wiedzieć?
- Zacznijmy od pensji.

Matthew nagle spowaźniał i zaczął nerwowo skubać mankiet koszuli.

- Na początek myślałem o dwudziestu tysiącach.

Claire wydawało się, że źle słyszy. W Dublinie zarabiała prawie trzy razy tyle.

- Dwadzieścia tysięcy?

- To tylko podstawowa pensja – wyjaśnił. – Dopóki nie zaczniemy działać.

- Ale ja zarabiam o wiele więcej w Irlandii.

- Tu jest Fuengirola, Claire. Wszystko jest tutaj tańsze – tłumaczył pośpiesznie Matthew. – Z czasem będziesz zarabiać więcej. Ale teraz muszę bardzo ograniczyć koszty. – Uśmiechnął się. – Może dam radę płacić ci dwadzieścia pięć tysięcy. Ale nie zapominaj, że będziesz jeszcze miała prowizję.

- Tyle że one nie są pewne.

Matthew wyciągnął rękę i ujął dłoń Claire. Wbił w nią spojrzenie błękitnych oczu.

- Nie kłóćmy się. Przecież tu chodzi o coś więcej niż tylko pracę. Chodzi o nasze ewentualne partnerstwo, a ta wizja bardzo mi się podoba. Kiedy już rozkręcimy interes, będę płacił ci dużo więcej. Będziemy się świetnie razem bawić.

W tym momencie zadzwoniła komórka Matthew. Natychmiast puścił dłoń Claire i przycisnął słuchawkę do ucha.

- No, cześć! – powiedział, opierając się wygodnie i uśmiechając szeroko.

Claire patrzyła na niego z rosnącym niepokojem. Ich rozmowa potwierdzała wszystkie jej najgorsze obawy. Słuchała, jak Matthew rozmawia przez telefon.

- Pogoda jest cudna, jak zawsze... Nie, nie przepracowuję się... Właśnie zabieram się do lunchu. – Spojrzał na Claire i mrugnął. – Z kim? Z kimś, kto jest zainteresowany pracą.

Po chwili skończył konwersację i wyłączył telefon.

- Kto to był? – spytała Claire.

- Moja sekretarka, z Londynu. Chciała mnie poinformować, co dzieje się w firmie.

Żołądek Claire nagle się skurczył. Matthew pogładził ją delikatnie po ramieniu i powiedział:

- A tak przy okazji, chciałem o coś zapytać. Muszę zostać tu jeszcze kilka dni – może masz u siebie wolne łóżko? Tylko na parę dni, muszę gdzieś przenocować.

W Claire zagotowała się krew. Jakiż błąd popełniła! Matthew Baker wciąż był oszustem i kłamcą. Pewnie zwodził kolejną biedaczkę w Londynie, a tutaj próbował namówić Claire, by pracowała dla niego za marne pieniądze. Na dodatek chciał zaciągnąć ją do łóżka dziesięć minut po tym, jak się spotkali.

Odepchnęła jego dłoń.

- Ani trochę się nie zmieniłeś, wiesz o tym?

Matthew zbladł.

- O co ci chodzi?

– Wciąż jesteś draniem i oszustem, którego kiedyś znałam.

Próbował się uśmiechnąć.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Och, wiesz doskonale. Jesteś odrażającą gnidą, z wielkim nadmuchanym ego. Wydaje ci się, że możesz tu przyjechać, postawić mi drinka i zmusić do pracy za darmo, a w zamian dostaniesz bonus, bo pójde z tobą do łóżka? Niczego się nie nauczyłeś, niczego. – Matthew Baker otworzył usta ze zdumienia. Claire wstała i rzuciła serwetkę na stół. – Wsadź sobie gdzieś tę pracę! Obawiam się, że wybrałeś zły cel.

Odwróciła się na pięcie i wymaszerowała z restauracji, głośno stukając obcasami o podłogę. Wszyscy goście spoglądali teraz na Matthew Bakera, którego twarz przybrała odcień krwistej czerwieni.

## *Rozdział 35*

Kiedy Mark i Emma w końcu się ubrali, od razu pojechali do baru. Gdy dotarli na miejsce, było prawie południe, a dokoła lady kłębił się tłum głodnych klientów. Snuffy robił, co mógł, żeby ich obsłużyć. Mark zawołał go i spytał, gdzie są Kevin i Maria.

– Z tyłu – odparł Snuffy, wskazując kciukiem zaplecze.

Tam Mark i Emma natknęli się na siedzącą na krześle zdenerwowaną Marię i Kevina, który trzymał ją za rękę i próbował uspokoić. Mark postanowił opanować sytuację.

– Chodźmy do kawiarni naprzeciwko, napijmy się kawy i porozmawiajmy – powiedział.

Poszli do tej samej kawiarni, w której spędzili z Emmą pierwszy wspólny poranek. Usiedli w ogródku, gdzie natychmiast pojawił się kelner, aby przyjąć zamówienie.

– A teraz – Emma ciepłym głosem zwróciła się do Marii – opowiedz mi dokładnie, co się właściwie stało.

Starsza pani podniosła wzrok i otarła oczy dużą chusteczką.

– Dzisiaj rano dzwoni mój syn, Antonio. Mówi, że ma dla mnie wiadomość, która mi się nie spodoba. Kiedy go pytam, mówi, że sprzedaje mu pani bar. – Maria zamilkła i spojrzała na Emmę, która zachęciła ją:

– Mów dalej.

– Antonio mówi, że wszystko się zmieni. Że bar nie jest dobrze prowadzony i nie ma żadnego szefa. Mówię mu, że ja jestem szefem, ale on się śmieje i mówi,

że jestem stara i powinnam być w domu, opiekować się Rosario. – Maria znów zaczęła szlochać.

– Co jeszcze powiedział? – dopytywała się Emma.

– Nic więcej. Ale ja wiem, że kiedy on kupi bar, pozbędzie się mnie. Zatrudni nowego kierownika. Nie będę mieć pracy. – Starsza pani spojrzała błagalnie na Emmę. – Co ja zrobię, Emmo? Czemu on jest dla mnie taki zły? Jest moim jedynym synem, zawsze byłam dla niego dobra.

Emma zagryzła wargi. Spojrzała na Marka, prosząc o wsparcie.

– Nie wiem, czemu Antonio tak się zachowuje, Mario, ale nic jeszcze nie zdecydowałam. Na razie to ja jestem właścicielką baru.

– Ale czy to prawda, co on mówi? To prawda, że sprzedaje mu pani bar?

Emma westchnęła głęboko.

– To prawda, że dogadaliśmy się co do ceny i pewnych warunków. Jednym z nich jest punkt, że Antonio nie może zwolnić obecnego personelu. Także i ciebie, Mario. Ale podkreślałam, że jeszcze niczego nie podpisaliśmy.

– Co to znaczy?

– Że ja wciąż jestem właścicielką. Ja podejmuję decyzje.

– A co z Antoniem?

– Nie ma nic do powiedzenia w tej sprawie.

Słowa Emmy wydawały się uspokajać Marię, która przestała płakać i wydumchała nos. Wszyscy troje dopili kawę i Mark wezwał kelnera, aby zapłacić rachunek. Emma zwróciła się do Kevina:

– Chcę, żebyście oboje wrócili teraz do baru i normalnie pracowali. Gdy tylko będę coś wiedzieć, od razu się z wami skontaktuję. Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy.

Maria ścisnęła dłoń Emmy i ledwie powstrzymując łzy, powiedziała:

– Dziękuję, *senorita*. Jest pani bardzo dobra.

Kevin i Maria wrócili do pracy. Przez następnych kilka godzin tłum klientów prawie wcale się nie zmniejszył. Około drugiej po południu zrobiło się luźniej i Kevin zwolnił Snuffy'ego, by ten mógł się przygotować do wieczornej wycieczki z Maggie do Puerto Banus. Zmywał właśnie szklanki, kiedy dostrzegł na horyzoncie znajomą postać idącą wzdłuż plaży. Claire doszła do baru i ciężko usiadła na wysokim stołku. Ukryła głowę w dłoniach. Kevin przerwał pracę i spytał zaniepokojony:

– Co się stało? Wyglądasz, jakbyś była chora.

Potrząsnęła głową.

– Czuję się chora. Czuję się jak ostatnia kretyńska.

Kevin wyszedł zza baru, objął Claire i próbował ją pocieszyć.

– Coś cię martwi?

Spojrzała na niego ze łzami w oczach.

– Och, Kevin, przed chwilą byłam bliska popełnienia największego błędu w swoim życiu!

Dał znak Marii, że robi sobie przerwę i zaproponował:

– Chodźmy na spacer.

Gdy oddalili się już nieco od baru, Kevin wyjął z kieszeni chusteczkę i podał ją Claire.

– Wytrzyj oczy i powiedz, co się tak bardzo zdenerwowało.

– Zaproponowano mi pracę – siąkała nosem Claire. – Myślałam, że to będzie oferta mojego życia i że dzięki niej zostanę tutaj, we Fuengirolí.

– Dlaczego więc jej nie przyjąłeś?

– Bo to by była dopiero katastrofa. Człowiek, dla którego miałabym pracować, to skończony drań. Jest moim byłym narzeczonym i koszmarnym babiarzem. Poznałam go, kiedy mieszkałam tutaj kilka lat temu. Myślałam, że się zmienił, ale nic z tego. Gdybym przyjęła tę pracę... – Przerwała, przytuliła się i znów zaczęła szlochać.

– Już cicho, cicho – próbował ją uspokoić Kevin. – Ale, Claire... Czy ty wciąż go kochasz? Czy dlatego się martwisz?

Spojrzała mu w oczy i odparła:

– Najdziwniejsze jest to, że cała ta sytuacja tylko pokazała mi coś, czego nie dostrzegałam do tej pory.

– Co?

– Że to ciebie kocham.

Kevin zatrzymał się i spytał:

– Mówisz poważnie, Claire?

– Oczywiście. Całym sercem. Tylko ciebie kocham.

– Ja też cię kocham.

Claire próbowała uśmiechnąć się przez łzy.

– Serio?

– Tak. Próbowałem znaleźć jakiś sposób, żeby ci to powiedzieć.

– Och, jak mogłam być taka głupia?

Przytuliła się mocniej, a ich usta spotkały się w długim, namiętym pocałunku. Kiedy w końcu oderwali się od siebie, Kevin spytał:

– Ale skoro odrzuciłaś tę pracę, wracasz do domu, tak?

– Chyba tak. Ale co będzie z tobą? Pojedziesz ze mną?

Przez chwilę milczał, zastanawiając się nad czymś. W końcu odpowiedział:

– Masz jakieś oszczędności?

– Trochę. Prawie dwadzieścia tysięcy na koncie w Dublinie. Czemu pytasz?

– Właśnie wpadłem na pewien pomysł.



Emma i Mark spędzili resztę popołudnia, zwiedzając malownicze miasteczko Nerja, znajdujące się na wschód od Malagi. Planowali tę wycieczkę od jakiegoś czasu, a jako że urlop Marka zbliżał się do końca, postanowili zrealizować swój zamiar. Jednak wyjazd nie całkiem się udał. Entuzjazm, który Emma czuła jeszcze rano, zniknął gdzieś po rozmowie z Marią.

Był wczesny wieczór, kiedy Mark podjechał swoim wynajętym audi na parking hotelu Alhambra. Gdy wchodzili do wielkiego holu, usłyszeli znajomy głos. Zobaczyli, że to Kevin i Claire, którzy wstają z kanapy i podchodzą bliżej.

– A to niespodzianka! – odezwała się Emma. – Co wy tutaj robicie?

– Czekaliśmy na ciebie – odparł wyraźnie podekscytowany Kevin. – Możemy zamienić kilka słów?

– To zajmie tylko chwilę – dodała Claire.

– Dobrze – zgodziła się Emma.

Przeszli przez hol do cichej wnęki, gdzie usiedli.

– A teraz – zaczęła Emma – powiedzcie, o co chodzi.

Kevin odchrząknął i rzekł:

– Dużo myśleliśmy o naszej dzisiejszej rozmowie.

– I co?

– Bar U Pedra bardzo wiele znaczy dla wszystkich, którzy tam pracują. Lubimy nasze zajęcia. Spotykamy się z różnymi klientami. Ale bar najwięcej znaczy dla Marii, to jej jedyne źródło dochodów. Rozmawiałem ze Snuffym i... cóż, jeśli Antonio kupi bar, my nie będziemy chcieli w nim dłużej pracować.

Zapadła cisza.

– I co zrobicie? – spytała Emma.

– Poszukamy pracy gdzie indziej.

– A co z Marią?

Kevin wzruszył ramionami.

– Bóg jeden wie, co się z nią stanie. Maria jest przekonana, że jeśli Antonio przejmie bar, jej dni będą policzone. Nieważne, jakie da ci gwarancje, jeśli już się tam pojawi, na pewno pozbędzie się matki.

Emma głośno westchnęła.

– Pozwól, że będę z wami szczerą. Nie lubię Antonia tak samo jak wy. Ale ma rację co do jednej rzeczy: baru nie można prowadzić na odległość. Potrzeba tam kogoś, kto będzie na miejscu i wszystkiego dopilnuje. Widzieliście, co się stało, gdy właścicielem był Conor Delaney.

– A ty nie możesz prowadzić baru?

– Nie – odparła Emma. – Nie mam na to czasu ani umiejętności. Zdecydowałam już, że chcę go sprzedać.

Kevin wydawał się przygnębiony, ale odparł:

– Jest inne rozwiązanie.

- Jakie?

Spojrzał nerwowo na Claire i dokończył:

- Możesz sprzedać bar nam.

## *Rozdział 36*

Emma wpatrywała się ze zdziwieniem w Kevina.

- Sprzedać wam bar? Macie pojęcie, ile by was to kosztowało?

- Niedokładnie. Ale we dwoje uzbieramy około osiemdziesięciu tysięcy.

Zresztą każdy może się dołożyć.

- Nawet Maria?

Kevin spuścił wzrok.

- Nawet Maria. Nie ma zbyt wiele, ale jest gotowa poświęcić wszystkie oszczędności, żeby uratować to miejsce.

Emma nie wiedziała, co powiedzieć. W końcu wydusiła tylko:

- To dla mnie raczej zaskoczenie.

- Będziemy tu mieszkać na stałe, żeby pilnować interesu – mówił dalej Kevin. – A w dodatku mamy różne pomysły, jak go rozwinąć, żeby przynosił większe zyski. Lokalizacja jest idealna. Jak myślisz, dlaczego Antonio tak bardzo chce kupić ten bar? Bo widzi w tym miejscu nieskończony potencjał.

- Ale osiemdziesiąt tysięcy ledwie pokryje wszystkie długi. Same podatki to przynajmniej sześćdziesiąt. A dojdą jeszcze najróżniejsze opłaty.

Twarz Kevina nieco się zachmurzyła.

- Może uda nam się pożyczyć resztę pieniędzy. Ale cokolwiek zdecydujesz, błagam, nie sprzedawaj baru temu człowiekowi!

Claire wtrąciła się do rozmowy:

- Mam mieszkanie w Dublinie, które mogłabym sprzedać.

- A gdzie będziesz mieszkała? – zdziwiła się Emma.

Claire odwróciła się do Kevina i wzięła go za rękę.

- Mam zamiar zostać tutaj, z Kevinem. Proszę, daj nam trochę czasu, na pewno zdobędziemy gotówkę.

Emma patrzyła to na jedno, to na drugie.

- Nie odrzucaj naszej oferty tak od razu – prosił Kevin. – Przynajmniej ją rozważ. Jestem przekonany, że to może się udać.

Mark z aprobatą kiwał głową.

- Dobrze – zgodziła się w końcu Emma. – Przemyślę to. Możemy się tutaj spotkać jutro w południe?

- Jasne. – Kevin w końcu się uśmiechnął.

- Powiem wam, co zdecydowałam.

Antonio Hernandez Rodriguez wyglądał z małego pokoju, którego używał jako biura, przyglądając się swojej restauracji. Wszystkie stoliki nakryto już wykrochmalonymi białymi obrusami, na których później, tuż przed otwarciem, kelnerzy mieli poustawiać wazony ze świeżymi kwiatami. Podłogi były zamiecione, lustra wypolerowane, a czerwony dywan biegnący od drzwi do kasy odkurzono dwa razy. Cała sala wyglądała nieskazitelnie czysto.

Antonio zawsze pilnował, żeby te wszystkie zadania były wykonane wieczorem, zanim personel skończył pracę. Pamiętał bowiem, jak pewnego dnia o jedenastej rano odebrał telefon, by dowiedzieć się, że o wpół do pierwszej pojawi się na lunchu grupa czterdziestu superważnych specjalistów od turystyki. Wpadli wtedy w istne szaleństwo przygotowań. Antonio wyciągnął potem wnioski i niczego już nie zostawiał przypadkowi.

El Molino Blanco mógł gościć stu dwudziestu gości i prawie każdego wieczoru mieli komplet. Była to jedna z najlepiej prosperujących restauracji na Costa del Sol, o której wspominało we wszystkich najlepszych przewodnikach i opisach restauracji. Antonio wśród swoich gości miał najbogatszych ludzi na wybrzeżu. Na koncie inwestycyjnym uzbierała spora sumka i firmowy bank był bardzo zadowolony. Na dodatek Antonio stworzył to miejsce z niczego, wyłącznie dzięki swojej ciężkiej pracy i smykałce do handlu. Zresztą jeszcze nie skończył ulepszeń: miał wielkie plany, które chciał zrealizować, kiedy tylko uda mu się przejąć bar U Pedra.

Zawsze żałował, że sprzedał bar Conorowi Delaneyowi. Jednak wtedy nie miał wyboru, potrzebował pieniędzy, żeby otworzyć restaurację. Oczywiście, matka zrobiła wielką awanturę, żądając części zysków ze sprzedaży, ale niby czemu miałby jej dawać cokolwiek? Antonio wciąż z goryczą myślał o tamtej kłótni. W końcu to on był właścicielem baru. Ojciec dał go jemu, nie matce. To on rozwinął interes. Gdyby oddał matce tyle, ile chciała, nie miałby za co otworzyć restauracji. Zresztą co ona mogłaby zrobić z tymi pieniędzmi? Pewnie wydałaby je na jakieś głupoty dla tej swojej chorej siostry. I tam właśnie powinna siedzieć matka – w domu, przy Rosario.

Ale teraz, po powtórny przejęciu baru, wszystko miało się zmienić. Antonio miał zamiar zrobić z tego miejsca elegancki koktajl bar, który obsługiwałyby młodych, bogatych turystów przyjeżdżających na Costa. Żadnej paelli, żadnych tłustych hamburgerów. Zamiast tego ekskluzywne drinki po pięć euro. A pierwsze, co planował zrobić, to pozbyć się matki. Była taka staromodna, że tylko sprawiała kłopoty. Mimo obietnicy, jaką złożył tej Irlandce, nie chciał wcale zatrudnić Marii.

Ani nikogo innego z obecnego personelu, bo wszyscy wyglądali bardziej jak bezdomni niż eleganccy młodzi barmani, których miał zamiar znaleźć.

Najpierw jednak musiał kupić bar U Pedra, ale jak dotąd wszystko szło dobrze. Antonio polegał w dużej mierze na swoim przeczuciu, że ta Irlandka nie będzie chciała zatrzymać baru, bo nie zna się na jego prowadzeniu. W czasie spotkania z nią podkreślił także oczywisty fakt, że aby właściwie zajmować się firmą, właściciel powinien być blisko niej. W dodatku korzystne okazało się to, że lokal był obciążony tak wielkimi długami.

Dlatego właśnie Antonio zabronił Miguelowi robić cokolwiek w sprawie niezapłaconych podatków. Zresztą i tak niewiele można było zrobić. Od lat Miguel nie prowadził żadnych rejestrów, a Antonio wiedział jeszcze, że księgowy cały czas korzystał z zysków, podkradając część pieniędzy dla siebie. Nie można było przecież nagle wyprodukować ksiąg rachunkowych z niczego. Wszystko to skłoniło *señorite* Dunne, żeby pozbyła się baru przy pierwszej okazji. Antonio miał rację.

Kiedy już złożył ofertę i zaproponował, że przejmie wszystkie długi, poczuł się podekscytowany jak dziecko w sklepie z zabawkami. Zaoferował Emmie idealne rozwiązanie: szanse, żeby odzyskała pieniądze i uwolniła się od kłopotu. Oczywiście, zamierzała przyjąć propozycję. Uzgodnili warunki i teraz Antonio czekał już tylko na umowę od prawników. No tak, przypomniał sobie, trzeba zadzwonić do Luisa Garcii Santiago i sprawdzić, czemu wszystko tak długo trwa. Sprawy ułożyły się doskonale. Antonio nie mógł się doczekać, aż zacznie wprowadzać zmiany w barze.

Wstał od biurka i wyszedł na salę. Z kuchni dochodziły odgłosy siekania i zapachy jedzenia, które kucharze zaczęli już przygotowywać na lunch. Antonio postanowił wyjść na chwilę do kafejki na rogu, wypić poranne cortado i przejrzeć gazety. Jednak kiedy doszedł do drzwi, okazało się, że wyjście z restauracji blokuje dwóch wysokich mężczyzn w ciemnych garniturach.

– *Senor* Antonio Hernandez Rodriguez? – spytał jeden z nich. Wyjął skądś identyfikator i machnął nim przed oczami Antonia.

– Tak? – uśmiechnął się niepewnie.

– Kontrola skarbowa.

Uśmiech natychmiast gdzieś zniknął.

– Mój kolega jest z policji – dodał mężczyzna. – Mamy nakaz przeszukania.

Antonio poczuł dreszcz przerażenia.

– Nakaz?

– Tak.

Drugi mężczyzna wyciągnął druk nakazu i pokazał go Antoniowi, który ze wszystkich sił próbował nie okazywać zdenerwowania. Nie było sensu zadzierać z tymi panami, nic dobrego by z tego nie przyszło.

– Mamy także nakaz aresztowania.

Antonio głośno przełknął ślinę.

– Aresztowania? Nie rozumiem. Za co?

– Oszustwo podatkowe. Uchylenie się od płacenia podatków.

Teraz Antonio nie mógł już nie protestować.

– To oburzające! Jestem uczciwym biznesmenem. Nie możecie mi tego zrobić.

– Mamy nakazy, *senor Hernandez*. Możemy.

– Ależ ja nic nie zrobiłem! Zawsze płaciłem podatki.

– O tym zdecyduje sąd. Ale muszę panu powiedzieć, że już otrzymaliśmy pisemne zeznanie od jednego z pana wspólników.

Serce Antonia zamarło na chwilę.

– Co za drań miał czelność tak fałszywie mnie oskarżyć?

– *Señor Miguel Martinez Sanchez*. Złożył pełne zeznania.

Antonio nie wierzył własnym uszom.

– Miguel?

– Zgadza się. Wszystko nam powiedział. A teraz proszę nie stawiać oporu. – Mężczyzna wyciągnął kajdanki, a Antonio pokornie wyciągnął ręce do przodu.

Kevin obudził się już o siódmej rano. Nie spał zbyt dobrze, martwił się bowiem, jak Emma zareaguje na ich ofertę. Miał tylko nadzieję, że okaże odrobinę zrozumienia, nic więcej. Ale jednocześnie się obawiał, bo Emma była twardą bizneswoman, a tacy ludzie rzadko kiedy kierują się uczuciami.

Siedział przy kuchennym stole, popijając mocną herbatę, a Snuffy próbował włączyć elektryczny toster.

– Jak poszło z Maggie wczoraj wieczorem? – spytał Kevin, próbując nie myśleć o swoich sprawach.

– Super. Rozniosła tamtą budę.

– Zaproponowali jej występ?

– I to niejeden. W przyszłym tygodniu będzie miała podpisany kontrakt na trzy występy w tygodniu. Za podwójną stawkę.

– To świetna wiadomość.

– A jutro wieczorem ja zaczynam próby z Czarnymi Kurzyśladami.

– Przyłączysz się do nich?

– Na to wygląda. Ricky bardzo chciałby mnie w zespole. Mówi, że kolejna gitara dodałaby im pazura.

– Będziesz strasznie zajęty – zauważył Kevin. – Myślisz, że uda ci się grać i jednocześnie pracować w barze?

Snuffy rozsmarował dżem na toście.

– A czy nie dlatego spotykasz się z Emmą? Jesteś pewien, że w barze wciąż jeszcze jest dla nas praca?

Kevin spuścił wzrok.

– Nie – odparł. – Nie jestem pewien. Ale musimy mieć nadzieję, że się uda.

Za kwadrans dwunasta wszyscy spotkali się przed hotelem Alhambra. Nawet Maggie przysłała, by ich wspierać. Po drodze Kevin zajrzał jeszcze do baru, gdzie zawiesił informację: ZAMKNIĘTE DO 15.00. INWENTARYZACJA. Ponieważ okazja była wyjątkowa, ubrali się elegancko: nawet Snuffy wyglądał przyzwoicie w nowych dżinsach i niebieskiej koszuli z krótkim rękawem, którą pożyczył od Kevina. Wszyscy nerwowo przestępowali z nogi na nogę, aż w końcu na ścieżce prowadzącej do wejścia pojawiła się Maria.

Ona także włożyła najlepsze niedzielne ubranie – białą bluzkę i ciemną spódnicę. Na szyi miała prosty srebrny łańcuszek z wisiorkiem, a do piersi przypięła dużą broszę. Nie dało się jednak ukryć troski widocznej na twarzy starszej pani. Maria wiedziała dobrze, że to spotkanie zdecyduje o jej dalszym życiu. Za godzinę miała dowiedzieć się, czy będzie mogła jeszcze pracować.

– *Buenos dias* – przywitała się z każdym po kolei.

Kevin ujął dłoń Marii i pocałował ją w policzek.

– Wyglądasz pięknie, Mario. Może spotkasz tutaj jakiegoś bogatego biznesmena, który się z tobą ożeni?

Uśmiechnęła się i odparła:

– Raczej nie. Chyba że będzie ślepy.

Drobny żart wyraźnie złagodził napięcie. Wszyscy się roześmiali, a Kevin spojrział na zegarek. Było za pięć dwunasta. Czas wejść do środka.

– Dobra – oznajmił. – Wszyscy gotowi?

Skinęli głowami.

– No to idziemy.

Kevin przeszedł obok elegancko ubranych odźwiernych, a przyjaciele podążyli za nim. Gdy weszli do hotelu, na twarzach Marii i Maggie pojawił się nagle wyraz zdziwienia – wystrój w istocie był spektakularny: kryształowe żyrandole, fontanna, przepych i elegancja. Jakby wchodziło się do innego świata.

Mark czekał już na nich przy recepcji. Podszedł bliżej i uściskał dłonie każdemu z przybyłych.

– Dobrze was widzieć. Chodźcie proszę za mną.

Poprowadził grupę przez korytarz do małej salki konferencyjnej. Otworzył drzwi i stanął z boku, aby mogli wejść do środka. W sali ustawiono kilka krzeseł i małe podwyższenie. W rogu dostrzegli stół, a na nim dzbanek z kawą, filiżanki i spodki.

– Czestujcie się, proszę. – Mark wskazał na dzbanek. – Emma zaraz tu będzie. Dzwoniła kilka minut temu, że zbiera się do wyjścia.

Wszyscy spojrzeli po sobie, ale nikt nawet nie ruszył w kierunku minibaru. Byli zbyt zdenerwowani. Powoli wysunęli krzesła i usiedli. Mark próbował zagaić



rozmowę, ale po chwili i on zamilkł. W pokoju zapanowała grobowa cisza. Czekali na to, co miało się wydarzyć.

Emma była spóźniona. Tak jak Kevin wstała wcześniej, zjadła małe śniadanie złożone z rogalików i kawy, a o dziewiątej zadzwoniła pod domowy numer Luisa. Prawie całe rano spędziła na rozmowie z prawnikiem, omawiając z nim w najdrobniejszych szczegółach decyzję, którą miała podjąć. Teraz musiała jeszcze zejść na dół i ogłosić ją Kevinowi i reszcie. Kiedy weszła do sali, wszyscy nerwowo spojrzeli na nią jak na sędziego, mającego ogłosić werdykt. Emma energicznie podszła do podestu i z głośnym kliknięciem otworzyła teczkę.

– Dzień dobry – zaczęła od razu. – Przepraszam, że musieliście czekać.

Przyglądali się jej twarzy, szukając jakiejś podpowiedzi. Emma sięgnęła do teczki i wyjęła z niej plik dokumentów.

– Zanim zaczniemy, chcę wam opowiedzieć, jak to się stało, że w ogóle przejęłam bar U Pedra.

Zaskrzypiało czyjeś krzesło.

– Zajmuję się przede wszystkim prowadzeniem drukarni. Jakiś czas temu zaczęłam współpracę z Conorem Delaneyem, którego część z was zna jako poprzedniego właściciela baru. Nie będę wdawać się w szczegóły, ale Conor był mi winny pieniądze za pewne zlecenie. Nie mogłam ich zapłacić, zaproponował więc, że bym zamiast tego przejęła własność U Pedra. Oczywiście nie wiedziałam nic o prowadzeniu baru, a co ważniejsze – wcale nie chciałam tego robić. Na dodatek dowiedziałam się o ogromnych długach, które na nim ciążyły, i dlatego zdecydowałam się sprzedać bar. – Emma zamilkła na chwilę i spojrzała na Marię. – Kilka dni temu przyszedł do mnie Antonio, syn Marii, który złożył bardzo hojną ofertę kupna. Był także gotowy przejąć wszystkie długi. Dogadaliśmy się również w kwestii zatrzymania obecnego personelu po zawarciu transakcji. A potem, wczoraj wieczorem, przyszedł do mnie Kevin, składając kontrpropozycję jako wasz przedstawiciel. Obiecałam, że ją rozważę i dzisiaj dam odpowiedź.

W sali zapadła martwa cisza. Wszyscy wpatrywali się w Emmę.

– Zastanowiłam się i chcę powiedzieć, że zdecydowałam się nie przyjmować waszej oferty.

W sali rozległy się jęki i okrzyki niezadowolenia. Kevin wstał, chcąc coś powiedzieć, ale Emma gestem poprosiła, żeby usiadł.

– Pozwólcie mi wyjaśnić – mówiła dalej, uśmiechając się. – Wiem dobrze, jak wszyscy kochacie bar U Pedra. Rozumiem też, że obawiacie się o pracę swoją, a zwłaszcza Marii. Ale jeśli zaakceptowałabym waszą propozycję, zostalibyście zupełnie bez pieniędzy. Nie mielibyście dość kapitału, by rozwinąć interes, jak sugerował Kevin. Obciążylibyście się długami, a to niedobry sposób na zaczynanie ka-

riery w biznesie. – Mark podszedł i stanął obok Emmy, która kontynuowała: – Zamiast tego postanowiłam zrobić coś zupełnie innego.

Publiczność znowu zamilkła.

– Postanowiłam zmienić bar w spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością. Zostanę głównym udziałowcem, spłacę wszystkie długi, ale każde z was zostanie współudziałowcem. Pieniądze, które chcieliście wyłożyć na zakup, zostaną zainwestowane w renowację i modernizację baru. Nie będę się zajmować prowadzeniem firmy – to spadnie na Kevina i Marię. Rozmawiałam dziś rano z moim prawnikiem, który jest w trakcie przygotowywania potrzebnych dokumentów. Jeśli zgodzicie się na moją propozycję, dziś wieczorem możemy podpisać umowę.

– A co to dla nas oznacza w praktyce? – zapytał Snuffy.

– To znaczy, że wszyscy będziemy współwłaścicielami baru. Nie musicie martwić się o pracę.

Zdziwienie ustąpiło miejsca okrzykom radości. Kiedy do każdego dotarło w końcu, co powiedziała Emma, skoczyli do góry i uściskali się. Kevin całował Claire, Snuffy z całych sił objął Maggie, a potem wszyscy zgromadzili się wokół uśmiechniętych Emmy i Marka, i zaczęli ściskać ich ręce.

Maria nie wstała z krzesła. Siedziała jak zahipnotyzowana, a wielkie łzy wdzięczności spływały powoli po jej policzkach.

## Rozdział 37

– Proszę zapiąć pasy, za chwilę podchodzimy do lądowania.

Polecenie kapitana przerwało Emmie przyjemność słuchania muzyki przez słuchawki. Otworzyła oczy i przez okno zobaczyła niebieską przestrzeń morza. Samolot obniżył lot i pod chmurami ukazały się szczyty brązowych gór. Podróż dobiegała końca. Za kilka minut mieli wylądować w Maladze.

Poczuła, jak dłoń siedzącego obok Marka obejmuje jej palce.

– Wszystko dobrze? – zapytał prawie bezgłośnie.

Emma zdjęła słuchawki, by go lepiej słyszeć.

– Spałaś?

Pokręciła głową.

– Tylko odpoczywałam.

– Zapięłaś pasy?

– Tak. – Wskazała na swoją talię.

– Podekscytowana? – spytał znów.

Emma uśmiechnęła się i oparła głowę na ramieniu ukochanego.

– Cóż za pytanie! Oczywiście, że tak. Jestem podekscytowana, od kiedy cię spotkałam.

Tak było w istocie. Chwilami Emmie wydawało się, że w jej życie wdarło się nagle tornado. W ciągu dziewięciu miesięcy, od kiedy poznała Marka Chambersa, wszystko

przewróciło się do góry nogami. Sprzedała rodzinną drukarnię Herr Braunowi, po wielu tygodniach negocjacji. Z pomocą Marka i wsparciem ojca udało się podwyższyć cenę i uzyskała grubo ponad początkowe trzy miliony euro. Umowa została przypieczętowana szampanem w hotelu Four Seasons w Ballsbridge, a Niemcy właśnie wprowadzali się do głównej siedziby firmy w Baldoyle. Mimo obaw Emmy wszystko poszło zadziwiająco gładko. Wynegocjowała, że każdy członek personelu dostanie dużą premię, co zdecydowanie ułatwiło przeprowadzanie późniejszych zmian. A ona otrzymała stanowisko konsultanta, mimo że do firmy wprowadzono nowy zarząd. Wszyscy wydawali się zadowoleni z rezultatu.

Najtrudniej było przekonać rodziców, by przyjęli czek na milion euro, który Emma wypisała jako część umowy. Ojciec twierdził, że oboje z mamą nie potrzebują pieniędzy, jednak córka nie dała za wygraną.

– To ty zbudowałaś tę firmę, tato, i zasługujesz na nagrodę.  
– Ale to ty ją rozbudowałaś.  
– Na stworzonych przez ciebie fundamentach. Jeśli nie weźmiesz tych pieniędzy, odwołam całą transakcję.

Ojciec westchnął tylko.

– Zawsze byłaś uparta jak osioł, Emmo. A teraz jeszcze próbujesz mnie szantażować.

Niechętnie zgodził się jednak przyjąć czek.

W tym czasie Mark również zmieniał swoje życie. Po powrocie z Hiszpanii rozpoczął reorganizację agencji Chambers Creative. Pozostał prezesem, ale awansował Teda Cunninghama na dyrektora naczelnego, który miał na co dzień prowadzić firmę. Ten ruch pozwolił Markowi wycofać się i poświęcić więcej czasu Emmie. Teraz każdą wolną chwilę spędzali razem. Emma zostawiła część swoich rzeczy w domu Marka w Howth, gdzie przyjeżdżała na każdy weekend.

Nawet Conor Delaney jakoś przetrwał. Wpadli na siebie z Emmą pewnego wieczoru w restauracji w centrum. Conor wyglądał świetnie, schudł, i – co zdziwiło Emmę – pił wyłącznie wodę mineralną. Wyjaśnił, że kiedy firma zbankrutowała, udało mu się znaleźć pracę dyrektora sprzedaży w internetowym biurze podróży i teraz powoli odbudowywał swoje życie. I przestał pić.

– Co zrobiłaś z barem U Pedra? – spytał.  
– Przekształciłam go w spółkę z o.o.  
– Co zrobiłaś?

Emma miała ochotę opowiedzieć mu całą historię, ale powstrzymała się.

– Znalazłam nowych inwestorów, którzy mieszkają we Fuengirolí. Mogą całą swoją uwagę poświęcić prowadzeniu baru.

To była prawda. Regularne raporty, które otrzymywała Emma od Kevina i Claire, udawały, że interes się rozwija. Młodzi zainwestowali cały swój kapitał, aby odnowić i rozbudować bar, dodając restaurację na osiemdziesiąt osób. Udało im się nawet zatrudnić Carlosa, szefa kuchni U Felipe. Nowa restauracja cieszyła się ogromnym powodzeniem i przynosiła zyski.

Między innymi dlatego Emma i Mark wracali teraz na Costa. Inny powód był taki, że chcieli obejrzeć nowy dom, który Claire znalazła dla nich na przedmieściach Mijas. Mieli zamiar regularnie do niego zaglądać i odpoczywać od Dublina. Claire przez kilka miesięcy szukała czegoś odpowiedniego i teraz dała znać, że znalazła piękny dom z czterema sypialniami, ogrodem i basenem, tylko kwadrans od centrum. Emma nie mogła się doczekać, aż go zobaczy.

Samolotem zatrzesło, kiedy koła dotknęły pasa startowego, i pasażerowie powoli przeszli do terminalu. Dziesięć minut później Mark i Emma pławili się już w ciepłym słońcu Malagi. Mark wyciągnął wnioski ze swojej pierwszej podróży i spakował tylko bagaż podręczny, aby móc od razu przejść przez halę przylotów do postojów taksówek. Chwilę potem wraz z Emmą jechali już taksówką w stronę Fuengirolí. Emma oparła głowę o siedzenie i powiedziała:

– Tak się cieszę, że znów ich wszystkich spotkam. I zobaczę nowy dom.

– Ale najpierw muszę wziąć gorący prysznic i się przebrać – dodał Mark. – Już się czuję jak mokra ścierka, a przylecieliśmy zaledwie kwadrans temu.

Już wcześniej zarezerwowali pokój w hotelu Alhambra, a Emma napisała e-mail do Claire, żeby zawiadomić o swoim przyjeździe. Claire czekała już w holu, ogromnie podekscytowana. Uściskali się serdecznie.

– Cześć, oboje wyglądacie przepięknie – przywitała się Claire, przyglądając się Emmie.

– Nie tak dobrze jak ty – uśmiechnął się Mark. – Niestety, nasza opalenizna mocno zbladła przez szarą dublińską pogodę.

– Macie dość czasu, żeby to naprawić. – Claire odwzajemniła uśmiech. – Jak długo zostanieie?

– Dwa tygodnie.

– Taksówka czeka, więc gdy tylko będziecie gotowi, zabiorę was, abyście mogli obejrzeć dom.

– Doskonale – ucieszyła się Emma. – Nie mogę się doczekać.

– Myślę, że wam się spodoba. To dawna farma, ale całkowicie odnowiona. Wszystko jest zupełnie nowe, instalacje, sprzęty. I widok na okolicę jest doskonały.

– Dasz nam dziesięć minut na przebranie? – poprosił Mark.

- Jasne. Poczekam w barze.

Wrócili o umówionej porze. Emma miała na sobie białą spódnicę i brązową koszulkę, a Mark – luźną koszulę i dżinsy. Wsiedli do samochodu i ruszyli wzgórzem w stronę Mijas.

- Musisz mi opowiedzieć, co tu się wydarzyło – zwróciła się Emma do Claire.

- Cóż, Maggie wciąż żyje w trójkącie ze Snuffym i Rickym. Nie może się zdecydować, którego kocha bardziej. Zatrudniłszy ją jako animatorkę w restauracji. Mówiłam ci o tym?

- Chyba nie.

- Zajmuje się planowaniem przedstawiń.

- Czym?

- Ach, tak – z ekscytacją opowiadała Claire. – Teraz restauracja jest otwarta do północy i każdego wieczoru mamy jakieś wydarzenie. Snuffy prowadzi bar, a wieczorami gra na gitarze w Czarnych Kurzyśladach. Gościnnie występują u nas.

- Mój Boże! – zdziwił się Mark. – Naprawdę zmieniliście to miejsce.

- I potroiliśmy zyski. Bar jest teraz stałym punktem na mapie każdego turysty. Ludzie przychodzą choćby po to, żeby wypić u nas piwo.

- A co u Marii?

- Zajmuje się jedzeniem. Ale mamy też nowego kucharza, który wykonuje najcięższe prace. Maria ma tylko nadzorować całe wykonanie. Może więc spędzać więcej czasu w domu, z siostrą. Czuje się jak ryba w wodzie, rozkazując nowemu kucharzowi.

- Jak się czuje jej siostra?

- Dużo, dużo lepiej. Pobyt w szpitalu uratował jej życie. Od tamtej pory cały czas jest pod obserwacją, chodzi do lekarza kilka razy w tygodniu.

- Więc wszystko jest w porządku? – spytał Mark.

- Oprócz Antonia i Miguela. Słyszeliście, co się stało?

- Tak – ponuro potwierdziła Emma. – Po trzy lata za oszustwa.

- Mieli szczęście, że nie więcej. Sędzia wziął pod uwagę przyznanie się do winy i zeznania Miguela Martineza.

- Co słyszać u Kevina? – Uśmiechnęła się Emma. – Przecież wszystko to dzięki niemu.

Claire z zadowoleniem odparła:

- No więc, jak wicie, Kevin nadzoruje całą pracę baru. Ale większość czasu spędza w restauracji, chce, żeby prosperowała coraz lepiej. Prawie każdego wieczoru mamy komplet. Zatrudnienie Carlosa to było genialne posunięcie.

- A co z tobą i twoją agencją nieruchomości?

- Zawsze chciałam to robić. Cieszę się, że interes się kręci. Mam wiele zamówień z Irlandii, a moja matka biega po Dublinie i opowiada wszystkim, że jej córka jest teraz dyrektorem.

- Cudownie.

Claire dodała nieśmiało:

- I muszę wam jeszcze coś powiedzieć. Kevin i ja zamieszkaliśmy razem. Oszczędzamy na czynszu. A kiedy wszystko się uspokoi, planujemy wziąć ślub.

Emma krzyknęła z radości. Przyciągnęła Claire bliżej i ucałowała ją serdecznie.

- Tak się cieszę. Gratuluję!

Samochód w końcu zjechał z głównej drogi i pasażerowie wysiedli.

- Jesteśmy - oznajmiła Claire, wyciągając z torebki pęk kluczy. - Rozejrzyjcie się bez pośpiechu.

Dom był wspaniały. Mieścił się za wysokim murem, w otoczeniu drzewek pomarańczowych, cytrynowych i oliwnych. Z tyłu znaleźli wielki basen i taras do opalania. Na małym wykafelkowanym patiu stały żelazny stolik i krzesła. Idealne miejsce na zjedzenie śniadania w słoneczne poranki.

W środku dom został całkowicie odnowiony. Emma i Mark spacerowali po pokojach, wydając z siebie kolejne okrzyki zachwytu. Zwiedzili w pełni wyposażoną kuchnię, jadalnię i wygodny salon. Wielka sypialnia miała oddzielną łazienkę i balkon z cudownym widokiem na góry i morze.

- Jestem absolutnie oczarowana - przyznała Emma. - Chyba czytasz mi w myślach.

- Tak - zgodził się Mark. - Dokładnie czegoś takiego szukaliśmy.

- Przemyślcie wszystko. Nie ma pośpiechu.

- Nie musimy się zastanawiać - odparła Emma. - Właśnie tego chcieliśmy.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie.

- W takim razie za kilka dni przyniosę wam umowę kupna. Może być?

- Doskonale - ucieszyła się Emma. - Po południu zadzwonię do Luisa i wszystko mu powiem.

W drodze powrotnej do hotelu Claire zapytała:

- Macie jakieś plany na dzisiejszy wieczór?

- Nic szczególnego - odparł Mark.

- To dobrze - przebiegle uśmiechnęła się Claire. - Personel baru U Pedra zaplanował dla was coś specjalnego. Przyjęcie powitalne, o ósmej. Mogę im powiedzieć, że przyjdziecie?

- A mamy wybór? - zaśmiał się Mark.



Po powrocie do hotelu przekąsili coś w barze. Emma miała ochotę się poopalać, a Mark zgodził się do niej przyłączyć. Rozłożyli się na leżakach z westchnieniem zadowolenia.

- Tak się cieszę, że tu wróciliśmy - odezwała się Emma. - Wszystko tak dobrze się układa.

- Masz rację. Dom jest piękny. Nie mogę się doczekać, aż się tam wprowadzimy - pochylił się i pocałował ją. - Zostało jeszcze jedno.

Emma zdjęła okulary i zmrużyła oczy.

- Czyli co?

Mark pochylił się i powiedział jej coś do ucha. Emma aż zapiszczała z radości. Zerwała się z leżaka i rzuciła Markowi na szyję. Kilku gości podniosło wzrok ze zdziwienia.

O wpół do ósmej byli gotowi do wyjścia - oczywiście odpowiednio ubrani na tę specjalną okazję. Emma włożyła długą turkusową suknię i buty na obcasach. Claire chciała po nich przyjechać, ale woleli wziąć taksówkę. Od jutra Mark i tak miał wynajęty samochód. W czasie krótkiej podróży do baru rozmawiali o nadchodzącym wieczorze. Jednak kiedy dotarli na miejsce, okazali się zupełnie nieprzygotowani na to, co zobaczyli.

Lokal był przynajmniej dwa razy większy niż ostatnio. Zbudowano nowy bar i taras w miejscu starego. Obok pojawił się piękny nowy budynek z wielkim szyldelem: *Restauracja u Pedra*.

Kiedy Mark i Emma wysiedli z taksówki, zobaczyli pracowników ustawionych w rzędzie, aby ich powitać. Nagle wszyscy chcieli się przytulać, podawać ręce i całować. Kevin, wystrojony w smoking, wyszedł naprzód. Snuffy podał im rękę, a Carlos - w fartuchu szefa kuchni - skłonił się nisko. Ktoś próbował przecisnąć się przez tłum - Maria, szczęśliwa jak nigdy dotąd. Podeszła do Emmy i wręczyła jej bukiet kwiatów.

- Och, Mario - ucieszyła się Emma. - Są cudowne. Starsza pani uśmiechnęła się szeroko.

- Sama zbierałam. Kiedy pani przyjechała kiedyś, tak się bałam, że nas pani zamknie. Ale teraz jestem szczęśliwa. Dzięki pani dobroci.

Emma delikatnie pocałowała Marię w policzek.

- Dziękuję, Mario. Miło, że tak mówisz.

- To wszystko prawda. Mówię prosto z serca.

Emma poczuła ucisk w gardle. Ujęła dłoń starszej pani i popatrzyła w jej szare oczy.

- Wiem, Mario. Nigdy tego nie zapomnę.

Udało im się w końcu wejść do restauracji, w której na środku ustawiono długi stół. Kiedy już wszyscy usiedli, Kevin rozlał wino do kieliszków.

- Chcę wnieść toast! Za Emmę i Marka! Witamy z powrotem we Fuengirolli!

Dokoła rozległy się okrzyki i oklaski. Emma wstała i zwróciła się do zebranych:

- Dziękuję wam wszystkim. Naprawdę jestem zaskoczona tak ciepłym przyjęciem. I tym, co widzę dookoła. Także chciałabym wnieść toast. - Podniosła kieliszek. - Za bar U Pedra! Żeby rozwijał się i kwitł!

Wszyscy obecni przyklasnęli zgodnie i rozlano kolejne butelki wina. W tej chwili zatrzeszczało krzesło i goście odwrócili się, aby spojrzeć na Marka.

- Ja także chciałbym coś powiedzieć i wy usłyszycie to pierwsi. Tego popołudnia udało mi się coś wynegocjować z Emmą.

W sali zapadła cisza.

- W rezultacie tych negocjacji mogę z radością ogłosić, że Emma zgodziła się za mnie wyjść.

Rozległy się okrzyki zaskoczenia, a potem cała sala wybuchnęła radością. Ludzie gwizdali i tupali nogami. Potem ruszyli, żeby pogratulować narzeczonemu. Ktoś otworzył szampana. Na scenie pojawiła się Maggie przebrana za Tinę Turner, machając mikrofonem i udając, że śpiewa *Simply the Best*.

Mark zwrócił się do Emmy.

- To chyba wszystko, prawda?

Kiwnęła głową. Objął ją i mocno przytulił.

## *Podziękowania*

**Kolejny rok, kolejna powieść.**

**Raz jeszcze chciałam z całego serca podziękować mojej rodzinie za jej nieustające wsparcie; wszystkim z wydawnictwa Poolbeg Press, zwłaszcza Pauli Campbell, Claire, Emmie i Aoife za ich profesjonalizm i zachętę; Gaye Shortland za świetną redakcję (Gaye, myślę, że policja powinna skorzystać z Twoich usług – masz nieoceniony talent do znajdowania nieścisłości!); Marcowi Pattonowi, mojemu komputerowemu doradcy; Claire i Gaye, moim stylistkom; moim najlepszym przyjaciółom – księgarzom oraz wnikliwym czytelnikom, którzy kupili *Hotel Las Flores* i umieścili go na liście bestsellerów.**

**Mam nadzieję, że *Bar przy plaży* również Wam się spodoba.**

TLR